

01 Dziedzictwo

Salvatore R.A.



calibre 0.7.37

“Jest to kolejna ujmująca przygoda fantasy autorstwa twórcy Trylogii Doliny Lodowego Wichru, Trylogii Mrocznego Elfa oraz Pięcioksiągu Cadderly'ego... Autor z niezwykłą lekkością wiedzie nas przez sam środek niebezpiecznych królestw, sprawia, że czytelnik ociera się o żarłoczną zazdrość, pochłaniającą wiele istnień, jest świadkiem krwawych pojedynków pomiędzy dwoma odwiecznymi siłami świata.”

- The Book Reader

“Miłośnicy fantasy, którzy cenią sobie opowieści o magii i mieczu, odkryją, że Salvatore precyzyjnie tworzy niezwykle świat, a w nim interesujących, nie zawsze jednoznacznych, bohaterów.”

- The Bookwatch

“Godny uwagi fenomen... jest doskonałym przykładem gatunku przygodowej fantasy.”

- Księgarnia Poor Richard's

FORGOTTEN REALMS

Tłumaczenie:

Piotr Kucharski

Tytuł oryginału:

THE LEGACY

Dla Diane - ciesz się tym ze mną.

PRELUDIUM

Banita Dinin przemykał ostrożnie ciemnymi alejami Menzoberranzan, miasta drowów. Był renegatem, doświadczonym wojownikiem, od dwudziestu lat nie posiadał rodziny, którą mógłby uznać za własną. Znał doskonale niebezpieczeństwa kryjące się w mieście i wiedział, jak ich unikać.

Minął opuszczony budynek, leżący na trzykilometrowej zachodniej ścianie groty i nie mógł się powstrzymać, by nie przystanąć choć na chwilę. Bliźniacze stalagmitowe pagórki wspierały roztrzaskany płot wokół całego kompleksu, a dwie pary połamanych wrót, jedne na ziemi, drugie zaś na balkonie, siedem metrów wyżej na ścianie, wisiały otwarte na wypaczonych i osmalonych zawiasach. Jakże wiele razy Dinin wznosił się za pomocą lewitacji na ten balkon, wkraczając na prywatne kwatery szlachty jego domu, Domu Do'Urden?

Dom Do'Urden. W mieście drowów było nawet zakazane wymawianie tej nazwy. Niegdyś rodzina Dinina znajdowała się na ósmym miejscu wśród około sześćdziesięciu rodzin drowów w Menzoberranzan. Jego matka zasiadała w radzie rządzącej, a on, Dinin, był mistrzem w Melee-Magthere, Szkole Wojowników, w słynnej akademii drowów.

Kiedy Dinin tak stał przed budynkiem, wydawało mu się, jakby to miejsce było oddalone o tysiąc lat od czasów swojej chwały. Jego rodzina już nie istniała, jego dom leżał w gruzach, a Dinin został zmuszony do przyłączenia się do Bregan D'aerthe, okrytej złą sławą bandy najemników, po prostu by przeżyć.

- Niegdyś - drow renegat wyszeptał bezgłośnie. Wzruszył szczupłymi ramionami i zaciągnął wokół siebie swój osłaniający płaszcz piwafwi, przypominając sobie, na jakie niebezpieczeństwa narażony jest bezdomny drow. Szybkie spojrzenie w kierunku środka groty, na kolumnę Narbondel, pokazało mu, że godzina jest już późna. Na początku każdego dnia arcymag Menzoberranzan przychodził do Narbondel i nasączał kolumnę magicznym ruchomym ciepłem, które wspinało się w górę, a następnie z powrotem w dół. Dla czułych oczu drowów, które mogły patrzeć w spektrum podczerwieni, poziom ciepła w kolumnie służył za gigantyczny świecący zegar.

Teraz Narbondel była prawie zimna, kolejny dzień zbliżał się do końca.

Dinin musiał przejść jeszcze przez ponad połowę miasta, do sekretnej jaskini w Szponoszczelinie, wielkiej rozpadlinie biegnącej z północno-zachodniej ściany Menzoberranzan. Tam, w jednej ze swych licznych kryjówek, czekał Jarlaxle, przywódca Bregan D'aerthe.

Wojownik przeciął centrum miasta, mijając blisko Narbondel, a obok niej ponad setkę pustych stalagmitów, składających się na tuzin oddzielnych kompleksów rodzinnych, których wspinałe rzeźby i gargulce lśniły wielokolorowym ogniem faerie.

Żołnierze, pełniący wartę wzdłuż murów lub też na pomostach łączących liczne kamienne kolumny, przystanęli i przyjrżeli się ostrożnie samotnemu obcemu, trzymając w gotowości kusze lub zatrute oszczepy, dopóki Dinin nie znalazł się daleko od nich. Takie właśnie były zwyczaje Menzoberranzan - bądź zawsze czujny, zawsze podejrzliwy.

Dinin rozejrzał się ostrożnie dookoła, gdy dotarł do krawędzi Szponoszczeliny, po czym ześlizgnął się z niej i za pomocą wrodzonej mocy lewitacji opadł powoli do rozpadliny. Ponad trzydzieści metrów niżej znów spojrzął na gotowe do strzału kusze, jednak zostały one szybko cofnięte, gdy jeden z wartujących najemników rozpoznał Dinina jako jednego ze swoich.

Jarlaxle czeka na ciebie - zasygnalizował jeden ze strażników w zawiłym języku migowym mrocznych elfów.

Dinin nie kłopotał się odpowiedzią. Nie był winien żadnych wyjaśnień zwykłemu żołnierzowi. Odepchnął szorstko wartownika i ruszył w dół krótkim tunelem, który szybko przeszedł w płataninę korytarzy oraz grot. Kilka zakrętów później elf zatrzymał się przed błyszczącymi drzwiami, cienkimi i niemal przejrzystymi. Położył dłoń na ich powierzchni, pozwalając, by ciepło jego ciała wywarło na czułych na temperaturę oczach z drugiej strony wrażenie, które zostanie zrozumiane jako pukanie.

- W końcu - usłyszał chwilę później. - Wejdz Dininie, mój Khal 'abbilu. Długo kazałeś mi na siebie czekać.

Dinin stał przez chwilę, zastanawiając się nad tonem oraz słowami nieprzewidywalnego najemnika. Jarlaxle nazwał go Khafabbilem, "swoim zaufanym przyjacielem", mianem, którym określał Dinina od czasu najazdu, który zniszczył Dom Do'Urden (i w którym Jarlaxle odegrał główną rolę), a w głosie najemnika nie było słyhać wyraźnego sarkazmu. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. W takim razie jednak dlaczego Jarlaxle odwołał go z niebezpiecznej misji zwiadowczej w Domu Vandree, Siedemnastym Domu Menzoberranzan? Niemal rok zajęło Dininowi zdobycie zaufania zagrożonego strażnika domowego Vandree i pozycja ta bez wątpienia poważnie ucierpi na skutek nieoczekiwanej nieobecności w siedzibie domu.

Banita uznał, że istnieje tylko jeden sposób, by się dowiedzieć. Wstrzymał oddech i wszedł w zmętniała barierę. Odczuwał wrażenie, jakby przechodził przez ścianę gęstej wody, choć się nie zamoczył, i po kilku długich krokach przez płynącą pozawymiarową granicę pomiędzy dwoma planami egzystencji przedarł się przez grube zaledwie na kilka centymetrów drzwi i wszedł do małego pokoju Jarlaxle'a.

Pomieszczenie było oświetlone przyjemnym czerwonym blaskiem, pozwalającym Dininowi na przejście z podczerwieni na spektrum zwyczajnego światła. Mrugnął, gdy transformacja się zakończyła, po czym jeszcze raz, jak zawsze gdy spoglądał na Jarlaxle'a.

Dowódca najemników siedział za kamiennym biurkiem w egzotycznym, wyściełanym fotelu na obrotowym przegubie, dzięki któremu mógł odchyłać go do tyłu. Siedzący jak zawsze wygodnie Jarlaxle był właśnie wychylony w tył, a szczupłe dłonie miał założone za ogoloną na łyso głowę (niezwykły widok u drowa!).

Najwyraźniej tylko dla rozrywki Jarlaxle położył jedną nogę na stole, z głuchym odgłosem uderzając wysokim czarnym butem o kamień, po czym podniósł drugą, równie mocno stukając w powierzchnię, jednak tym razem but nie wydał z siebie nawet szelestu.

Dinin zauważył, że tego dnia najemnik miał swą rubinowo-czerwoną przepaskę na prawym oku.

Z boku biurka stało trzęsące się małe humanoidalne stworzenie, sięgające zaledwie połowy stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu Dinina, wliczając w to małe, białe rogi, wystające sponad jego brwi.

- Jeden z koboldów Domu Oblodra - wyjaśnił niedbale Jarlaxle. - Wygląda na to, że ta żalosna istota znalazła drogę do środka, ale nie jest jej już tak łatwo wyjść.

Rozumowanie to wydało się Dininowi rozsądne. Dom Oblodra, Trzeci Dom Menzoberranzan, zajmował zbity kompleks na końcu Szponoszczeliny i krążyły plotki, że trzymał tysiące koboldów dla przyjemności torturowania ich lub też po to, by na wypadek wojny służyły domowi za mięso armatnie.

- Chcesz wyjść? - Jarlaxle spytał stwora w gardłowym, uproszczonym języku.

Kobold pokiwał ochoczo głową z głupawą miną.

Jarlaxle wskazał na przymglone drzwi, a stworzenie skierowało się w ich stronę. Nie miało jednak siły, by przedrzeć się przez wrota i odbiło się od nich, niemal lądując u stóp Dinina. Zanim jeszcze pomyślał o podniesieniu się, kobold spojrzał z bezmyślnym zadowoleniem na dowódcę najemników.

Jarlaxle machnął kilkakrotnie dłonią. Wojownik odruchowo się napreżył, wiedział jednak, że lepiej się nie ruszać, że Jarlaxle zawsze celuje idealnie.

Kiedy spojrzał w dół, na kobolda, zobaczył, że z jego pozbawionego życia ciała wystaje pięć sztyletów, tworząc równą gwiazdę na małej piersi stworzenia.

Jarlaxle tylko wzruszył ramionami w obliczu zdumionego spojrzenia Dinina. - Nie mogłem mu pozwolić wrócić do Oblodra - stwierdził. - Nie, gdy dowiedział się, że nasza siedziba jest tak blisko nich.

Dinin dołączył się do śmiechu Jarlaxle'a. Zaczął wyciągać sztylety, jednak Jarlaxle przypomniał mu, że nie ma potrzeby.

- Same wróć- wyjaśnił najemnik, podnosząc krawędź rękawa swej kurtki, by odsłonić otaczającą nadgarstek magiczną pochwę. - Usiądź - poprosił swego przyjaciela, wskazując na zwykły stół obok biurka. - Mamy sporo do omówienia.

- Dlaczego mnie odwołałeś? - spytał bezceremonialnie Dinin, gdy zajął miejsce przy biurku. - W pełni przeniknąłem do Domu Vandree.

- Ach, mój Khal'abbilu - odparł Jarlaxle. - Zawsze konkretny. To cecha, którą tak w tobie

podziwiam.

- Uln 'hyrr - odrzekł Dinin, a znaczyło to kłamca.

Znów kompani wybuchli wspólnie śmiechem, jednak u Jarlaxle'a nie trwał on długo. Najemnik opuścił nogi i pochylił się do przodu, zaciskając dłonie ozdobione godnymi królewskiego skarbu klejnotami - Dinin często zastanawiał się, jak wiele z tych błyszczących cacek było magicznych - na kamiennym stole, a jego twarz nagle spochmurniała.

- Ma się rozpocząć atak na Vandree? - zapytał Dinin, uważając, że rozwiązał łamiętkę.

- Zapomnij o Vandree - odparł Jarlaxle. - Ich sprawy nie są już dla nas istotne.

Dinin opuścił swój ostry podbródek na szczupłą dłoń, opartą na stole. Nie są już istotne, pomyślał. Chciał się zerwać i udusić zagadkowego dowódcę. Spędził cały rok...

Dinin pozwolił, by jego myśli o Vandree rozplynęły się. Spojrzał stanowczo na wiecznie spokojną twarz Jarlaxle'a, szukając wskazówek, i nagle zrozumiał.

- Moja siostra - powiedział, a Jarlaxle przytaknął, zanim te słowa opuściły jeszcze usta Dinina. - Co zrobiła?

Jarlaxle wyprostował się, spojrzał na ścianę małego pomieszczenia i wydał z siebie ostry gwizd. Odsunął się fragment ściany, odsłaniając alkowę, i do pokoju wślizgnęła się Vierna Do'Urden, jedyna ocalała z rodzeństwa Dinina. Wydawała się bardziej dostojna i piękniejsza, niż Dinin zapamiętał ją od upadku ich domu.

Dinin otworzył szeroko oczy, gdy uświadomił sobie, w co ubrana jest Vierna - miała na sobie swoje szaty! Szaty wysokiej kapłanki Lloth, ozdobione znakiem pająka i broni, symbolem Domu Do'Urden! Dinin nie wiedział, że Vierna je zatrzymała, nie widział ich od ponad dekady.

- Narażasz się... - zaczął ją ostrzegać, jednak rozwścieczona mina Vierny, jej czerwone oczy, płonące niczym bliźniacze ognie za cieniem wysokich mahoniowych kości policzkowych, powstrzymały go, zanim zdołał wypowiedzieć następne słowa.

- Odzyskałam łaskę Lloth - oznajmiła Vierna.

Dinin spojrzał na Jarlaxle'a, który jedynie wzruszył ramionami i przesunął opaskę na lewe oko.

- Pajęcza Królowa ukazała mi drogę - ciągnęła Vierna, a jej zazwyczaj melodyjny głos drżał od niezaprzecznego podniecenia.

Dinin uznał, że znajduje się ona na skraju szaleństwa. Vierna zawsze była spokojna i znośna, nawet po nagłym zgonie Domu Do'Urden. W ciągu ostatnich kilku lat jej działania stawały się coraz

bardziej nieobliczalne i spędzała wiele godzin samotnie, w przepelnionych desperacją modłach do ich bezlitosnej bogini.

- Czy opowiesz nam o tej drodze, którą ukazała ci Lloth? - spytał po długiej ciszy Jarlaxle, nie wyglądając na to, by zrobiło to na nim jakiegokolwiek wrażenie.

- Drizzt - wypluła imię ich bluźnierczego brata, sącząc wraz z nim jad ze swych delikatnych warg.

Dinin rozsądnie przesunął rękę z podbródka na usta, by zdusić nasuwającą mu się odpowiedź. Vierna, pomimo całej swojej wyraźnej niepoczytalności, była w końcu wysoką kapłanką, i lepiej było jej nie denerwować.

- Drizzt? - spokojnie zapytał ją Jarlaxle. - Wasz brat?

- On nie jest moim bratem! - krzyknęła Vierna, rzucając się w stronę biurka, jakby zamierzała zaatakować Jarlaxle'a. Dinin nie przegapił delikatnego ruchu, dzięki któremu przywódca najemników przesunął miotającą sztylety rękę w pozycję gotową do rzutu.

- To zdrajca Domu Do'Urden! - wybuchnęła Vierna. - Zdrajca wszystkich drowów! - Jej grymas stał się nagle uśmiechem, złym i paskudnym. - Poświęcając Drizzta, odzyskam łaskę Lloth, znów będę mogła... - Vierna przerwała nagle, wyraźnie pragnąc zachować resztę swych planów dla siebie.

- Mówisz jak opiekunka Malice - ośmielił się powiedzieć Dinin. - Ona również rozpoczęła polowanie na naszego bra... na zdrajcę.

- Pamiętasz opiekunkę Malice? - spytał przymilnie Jarlaxle, używając myśli nasuwających się dzięki temu imieniu jako środka na uspokojenie nadmiernie podekscytowanej Vierny. Malice, matkę Vierny oraz opiekunkę Domu Do'Urden, spotkała w końcu klęska za niepowodzenie w schwytaniu oraz zabiciu zradzieckiego Drizzta.

Vierna rzeczywiście się uspokoiła, po czym wpadła w atak ironicznego śmiechu, ciągnący się przez wiele minut.

- Widzisz, dlaczego cię wezwałem? - Jarlaxle odezwał się do Dinina, nie zwracając uwagi na kapłankę.

- Chcesz, żebym ją zabił, zanim stanie się problemem? - odparł równie niedbale Dinin.

Śmiech Vierny zamarł, a jej rozszalałe spojrzenie padło na jej bezczelnego brata. - Wishyal - krzyknęła i fala magicznej energii porwała Dinina z jego stołka, ciskając nim silnie o kamienną ścianę.

- Na kolana! - rozkazała Vierna, a Dinin, kiedy się pozbierał, padł na kolana, przez cały czas spoglądając pusto na Jarlaxle'a.

Najemnik również nie mógł ukryć swego zdumienia. Ostatni rozkaz był prostym czarem, który z pewnością nie powinien tak łatwo zadziałać na tak doświadczonym wojowniku jak Dinin.

- Jestem w łasce Lloth - wyjaśniła obydwu z nich Yiema, stojąc idealnie prosto. - Jeśli mi się sprzeciwiacie, to w takim razie wy tej łaski nie doświadczycie, a dzięki temu, iż Lloth pobłogosławi moje czary i klątwy przeciwko wam, nie obronicie się.

- Kiedy ostatnio słyszeliśmy o Drizzcie, znajdował się na powierzchni - powiedział Jarlaxle do Vierny, by złagodzić jej wzbierającą złość. - Według wszelkich doniesień wciąż tam pozostaje.

Vierna przytaknęła, przez cały czas uśmiechając się dziwnie, a perłowobiałe zęby kontrastowały silnie ze lśniącą, mahoniową skórą. - Owszem, pozostaje - zgodziła się - lecz Lloth pokazała mi drogę do niego, drogę do chwały.

Jarlaxle i Dinin znów wymienili zdumione spojrzenia. Według nich słowa Vierny - oraz sama Vierna - brzmiały jak szalone.

Jednak Dinin, wbrew swej woli i wbrew jakiegokolwiek zdrowemu rozsądkowi, wciąż klęczał.

Część 1

Minęły niemal trzy dekady, odkąd opuściłem moją ojczyznę. Krótki okres czasu jak na miarę elfa drowa, wydawał mi się jednak całym życiem. Wszystkim czego pragnąłem lub też wierzyłem, że pragnę, kiedy wyszedłem z ciemnej groty Menzoberranzan, był prawdziwy dom, miejsce przyjaźni i spokoju, w którym mógłbym zawiesić moje sejmitary nad płonącym kominkiem i wymieniać się opowieściami z zaufanymi towarzyszami. Wszystko to teraz znalazłem u boku Bruenora, w godnych czci salach jego młodości. Rozwijamy się. Mamy pokój. Noszę swą broń tylko podczas pięciodniowych podróży pomiędzy Mithrilową Halą a Silverymoon. Czy się myliłem ?

Nie mam wątpliwości ani też nigdy nie żałuję mojej decyzji opuszczenia niegodziwego świata Menzoberranzan, teraz jednak zaczynam wierzyć, w ciszy i pokoju, iż moje pragnienia z tamtych dramatycznych czasów opierały się na nieuniknionej tęsknocie za niedoświadczaniem. Nigdy nie znalazłem tak spokojnego istnienia, do którego tak usilnie dążyłem.

Nie mogę zaprzeczyć, że moje życie jest lepsze, tysiącokrotnie lepsze niż wszystko, co kiedykolwiek znałem w Podmroku. Mimo to nie mogę przypomnieć sobie ostatniego razu, kiedy to czułem niepokój, inspirujący strach przed nadchodzącą walką, mrowienie pojawiające się tylko wtedy, gdy w pobliżu jest wróg lub też gdy trzeba stawić czoła wyzwaniu.

Och, pamiętam taką chwilę, zaledwie rok temu, kiedy Wulfgar, Guenhwyvar i ja pracowaliśmy nad oczyszczeniem niższych tuneli Mithrilowej Hali, jednak owo uczucie, ów dreszczyk strachu, uleciał dawno z moich wspomnień.

Czy jesteśmy więc istotami czynu? Czy mówimy, że pragniemy tych ogólnie przyjętych frazesów o wygodzie, kiedy, tak naprawdę, prawdziwą iskrę życia wzbudza w nas wyzwanie i przygoda?

Muszę przyznać, przynajmniej sobie, że nie wiem.

Istnieje wszakże jedna kwestia, co do której nie mogę się spierać, jedna prawda, która niewątpliwie pomoże mi odpowiedzieć na te pytania i która umieszcza mnie w szczęśliwej pozycji. Teraz bowiem, przy Bruenorze i jego pobratymcach, przy Wulfgarze, Catti-brie i Guenhwyvar, drogiej Guenhwyvar, sam wybieram swoje własne przeznaczenie.

Jestem teraz bezpieczniejszy niż kiedykolwiek wcześniej podczas moich sześćdziesięciu lat życia. Nigdy wcześniej nie miałem lepszych możliwości na przyszłość, na trwający spokój oraz bezpieczeństwo. Mimo to czuję się śmiertelny. Po raz pierwszy spoglądam raczej na to, co minęło, niż na to, co dopiero nadejdzie. Nie ma innego sposobu, by to wyjaśnić. Czuję, że umieram, że te opowieści, które tak chciałem wymieniać z przyjaciółmi, staną się wkrótce zatęchłe, nie będzie nic, co je zastąpi.

Jednak, jak znów sobie przypominam, sam dokonuję wyboru.

ROZDZIAŁ 1

NADEJŚCIE WIOSNY

Drizzt Do'Urden szedł powoli szlakiem w najbardziej na południe wysuniętej odnodze Gór Grzbietu Świata, a niebo wokół niego jaśniało. Daleko na południe, za równiną, w stronę Wiecznych Wrzosowisk, zauważył blask ostatnich świateł w jakimś odległym mieście. Kiedy Drizzt minął następny zakręt górskiego szlaku, daleko w dole dostrzegł małe miasto Settlestone. Barbarzyńcy, krewniacy Wulfgara z odległej Doliny Lodowego Wichru, właśnie rozpoczynali swoje poranne obowiązki, starając się doprowadzić ruiny z powrotem do porządku.

Drizzt obserwował, jak ich sylwetki, malutkie z tej odległości, krzątają się, i przypomniał sobie nie tak odległy czas, kiedy to Wulfgar i jego dumny lud przemierzali zamrażającą tundrę w krainie daleko na północ i zachód, po drugiej stronie wielkiego górskiego łańcucha, półtora tysiąca kilometrów stąd. Szybko zbliżała się wiosna, pora targowa, a wytrzymali mężczyźni i kobiety z Settlestone, pracujący jako pośrednicy krasnoludów z Mithrilowej Hali, wkrótce poznają większe bogactwo i wygodę, niż kiedykolwiek mogliby sobie w ogóle wyobrazić podczas swej poprzedniej egzystencji z dnia na dzień. Przybyli na wezwanie Wulfgara, walczyli dzielnie u boku krasnoludów w pradawnych salach i wkrótce zbiorą plony swej ciężkiej pracy, zostawiając za sobą swe nomadyczne zwyczaje, tak jak zostawili bezlitosny wiatr z Doliny Lodowego Wichru.

- Jakże daleko wszyscy zaszliśmy - Drizzt stwierdził do mroźnej pustki porannego powietrza i zachichotał z powodu podwójnego znaczenia swoich słów, rozważając, że właśnie wrócił z Silverymoon, wspaniałego miasta daleko na wschodzie, miejsca, o którym myślał, że nie znajdzie w nim nigdy akceptacji. Rzeczywiście, kiedy towarzyszył Bruenorowi i pozostałym w ich poszukiwaniach Mithrilowej Hali, zaledwie dwa lata temu, Drizzt został zawrócony sprzed ozdobnych bram Silverymoon.

- Zrobiłaś aż sto sześćdziesiąt mil w tydzień - dobiegła nieoczekiwana odpowiedź.

Drizzt instynktownie opuścił swe szczupłe, czarne dłonie na rękojeści sejmitarów, jednak jego umysł doścignął refleks i uspokoił się natychmiast, rozpoznając melodyjny głos z więcej niż lekkim krasnoludzkim akcentem. Chwilę później Catti-brie, adoptowana ludzka córka Bruenora Battlehammera, wyłoniła się skocznie zza skały. Jej kasztanowa czupryna tańczyła na górskim wietrze, a ciemnoniebieskie oczy lśniły niczym mokre klejnoty w świeżym porannym powietrzu.

Drizzt nie mógł ukryć uśmiechu na widok radosnej wiosny w krokach dziewczyny, żywotności, której nie potrafiły osłabić okrutne bitwy, w których brała udział w ciągu ostatnich kilku lat. Nie mógł też nie dostrzec fali ciepła, która oblała go, gdy ujrzał Catti-brie, młodą kobietę, która znała go lepiej niż ktokolwiek. Catti-brie rozumiała Drizzta i akceptowała za jego dobroć, nie zaś za kolor skóry, od dnia ich pierwszego spotkania w skalistej, smaganej wiatrem dolince ponad dekadę temu, kiedy miała zaledwie połowę swego obecnego wieku.

Mroczny elf czekał chwilę dłużej, oczekując, że zobaczy Wulfgara, mającego wkrótce zostać mężem Catti-brie, wyłaniającego się za nią zza skały.

- Przebyłaś dużą odległość bez eskorty - stwierdził Drizzt, kiedy barbarzyńca się nie pojawił.

Catti-brie skrzyżowała ręce i oparła się na jednej stopie, tupiąc niecierpliwie drugą. - A ty zaczynasz brzmieć bardziej jak mój ojciec niż jak mój przyjaciel - odparła. - Nie widzę żadnej eskorty idącej szlakiem obok Drizzta D'Urdena.

- Dobrze powiedziane - przyznał drow tropiciel głosem pełnym szacunku i pozbawionym nawet krzty sarkazmu. Łajając go, młoda kobieta przypomniała mu wymownie, iż potrafi o siebie zadbać. Miała ze sobą krótki miecz krasnoludzkiej roboty, a pod futrzanym płaszczem nosiła solidny pancerz, równie doskonały, jak kolczuga, którą Bruenor podarował Drizztowi! Na ramieniu Catti-brie spoczywał swobodnie Taulmaril Poszukiwacz Serc, magiczny łuk Anariel, najpotężniejsza broń, jaką kiedykolwiek widział Drizzt. Poza tym, że Catti-brie była tak doskonale wyposażona, została wychowana wśród krzepkich krasnoludów, przez samego Bruenora, równie twardego jak górski kamień.

- Czy często obserwujesz wschodzące słońce? - spytała Catti-brie, widząc, że Drizzt jest zwrócony na wschód.

Drizzt znalazł płaski głaz, na którym można było usiąść, i wskazał Catti-brie, by do niego dołączyła. - Obserwuję świt od moich pierwszych dni na powierzchni - wyjaśnił, zarzucając swój zielony niczym las płaszcz z powrotem na ramiona. - Wtedy jednak piekło mnie silnie w oczy, przypominało, skąd przybyłem, jak przypuszczam. Teraz wszakże, ku mojej uldze, widzę, że mogę znosić blask.

- I dobrze - odrzekła Catti-brie. Popatrzyła prosto we wspianiałe oczy drowa, zmuszając go, by spojrzał na nią, na ten sam niewinny uśmiech, który ujrzał tak wiele lat temu na owiewanym wiatrem

zboczu w Dolinie Lodowego Wichru.

Uśmiech jego pierwszej kobiecej przyjaciółki.

- To pewne, że powinieneś żyć w świetle słońca, Drizzcie Do'Urden - ciągnęła Catti-brie. - W równym stopniu jak jakakolwiek osoba z mojej rasy, według mnie.

Drizzt znów skierował wzrok na świt i nie odpowiedział. Catti-brie również milczała i siedzieli tak razem przez długą chwilę, obserwując budzący się świat.

- Przyszłam tu, by się z tobą zobaczyć - powiedziała nagle Catti-brie. Drizzt spojrział na nią z zaciekawieniem, nie rozumiejąc.

- To znaczy teraz - wyjaśniła młoda kobieta. - Doszło do nas, że pojawiłeś się z powrotem w Settlestone i za kilka dni wrócisz do Mithrilowej Hali. Od tego czasu przychodziłam tu codziennie.

Drizzt nie zmienił wyrazu twarzy. - Chcesz porozmawiać ze mną na osobności? - zapytał, by skłonić ją do odpowiedzi.

Delikatne skinienie głową, kiedy Catti-brie odwróciła się z powrotem ku wschodniemu horyzontowi, ukazało Drizztowi, że coś jest nie w porządku.

- Nie wybaczę ci, jeśli nie będzie cię na weselu - rzekła cicho Catti-brie. Skończywszy przygryzła dolną wargę, jak zauważył Drizzt, i pociągnęła nosem, choć starała się jak mogła, by wyglądało to na początek przeziębienia.

Drizzt otoczył ręką silne ramiona pięknej kobiety. - Czy choć przez chwilę mogłaś wierzyć, nawet gdyby pomiędzy mną a salą ceremonialną stały wszystkie trolle z Wiecznych Wrzosowisk, że mógłbym nie przyjść?

Catti-brie odwróciła się do niego, zrównując się z nim wzrokiem, i uśmiechnęła szeroko, znając odpowiedź. Zarzuciła na niego ramiona, obejmując go mocno, po czym podniosła się, pociągając go za sobą.

Drizzt starał się też odczuć ulgę, a przynajmniej sprawić, by uwierzyła, że tak jest. Catti-brie wiedziała od początku, iż nie opuści ślubu jej i Wulfgara, jego dwojga najdroższych przyjaciół. Dlaczego więc te łzy, to pociąganie nosem nie wynikało z żadnego rozpoczynającego się kataru, zastanawiał się spostrzegawczy tropiciel. Dlaczego Catti-brie musiała przyjść tu i spotkać się z nim zaledwie kilka godzin od wejścia do Mithri-lowej Hali?

Nie zapytał jej o to, jednak niepokoiło go to więcej niż trochę. Za każdym razem, gdy w ciemnobrązowych oczach Catti-brie zbierała się wilgoć, niepokoiło to Drizzta Do'Urdena więcej niż trochę.

Czarne buty Jarlaxle'a dudniły donośnie o kamień, gdy kroczył samotnie krętym tunelem na zewnątrz Menzoberranzan. Większość drowów znajdujących się w pojedynkę poza wielkim miastem, w dzicy Podmroku, podjęłaby poważne środki ostrożności, jednak najemnik wiedział, czego może się spodziewać w tunelach, znał każde stworzenie w tym określonym regionie.

Informacja była mocną stroną Jarlaxle'a. Zwiadowcza sieć Bregan D'aerthe, bandy, którą Jarlaxle założył i doprowadził do wielkości, była bardziej rozwinięta niż w jakimkolwiek domu drowów. Jarlaxle wiedział o wszystkim, co się stało albo też wkrótce się stanie, wewnątrz miasta i poza nim, a uzbrojony w te informacje zdołał przetrwać stulecia jako pozbawiony domu banita. Był już tak długo częścią intryg Menzoberranzan, iż nikt w mieście, może poza wyjątkiem pierwszej opiekunki Baenre, nie znał pochodzenia przebiegłego najemnika.

Miał teraz na sobie swą lśniącą pelerynę, jej magiczne barwy wznosiły się i opadały na jego zgrabnej sylwetce, zaś kapelusz o szerokim rondzie, obficie ozdobiony piórami diatrymy, wielkiego nielotnego ptaka z Podmroku, przykrywał jego ogoloną na łyso głowę. Wąski miecz tańczący na jednym biodrze oraz długi sztylet na drugim były jego jedyną widoczną bronią, jednak ci, którzy znali przebiegłego najemnika, zdawali sobie sprawę, że posiadał jej znacznie więcej, ukrytą, lecz łatwą do wyciągnięcia, jeśli nadarzała się okazja.

Przyciągany ciekawością Jarlaxle przyspieszył kroku. Zaraz gdy uświadomił sobie długość swych kroków, zmusił się do zwolnienia, przypominając sobie, iż chciał się stylowo spóźnić na to niezwykle spotkanie, które zaaranżowała szalona Vierna.

Szalona Vierna.

Jarlaxle rozważał przez długą chwilę tę myśl, a nawet przestał maszerować i oparł się o ścianę tunelu, by przypomnieć sobie liczne słowa wypowiedziane przez wysoką kapłankę w przeciągu ostatnich kilku tygodni. To, co z początku wydawało się desperacją, umykającą nadzieją upadłej szlachcianki bez żadnej szansy na sukces, szybko stawało się zwartym planem. Jarlaxle towarzyszył w tym Viernie bardziej z podziwu i ciekawości niż z rzeczywistego przekonania, iż zabiją, a nawet w ogóle odnajdą nieobecnego od dawna Drizta.

Coś jednak najwyraźniej prowadziło Vierne - Jarlaxle musiał uwierzyć, iż była to Lloth lub też jakiś potężny sługa Pajęczej Królowej. Wyglądało na to, że moce kapłańskie powróciły do Vierny w pełni i dostarczyła ich sprawie wielu cennych informacji, a nawet doskonałego szpiega. Byli już całkowicie pewni, gdzie znajduje się Drizt Do'Urden i Jarlaxle zaczynał wierzyć, iż zabicie tego zdradzieckiego drowa nie będzie takie trudne.

Buty najemnika obwieściły jego nadejście, gdy stukając nimi o kamień, okrążył ostatni zakręt tunelu, wchodząc do szerokiej, niskiej komnaty. Była tam Vierna z Dininem. Jarlaxle'a zastanowił

fakt, że Vierna wydawała się czuć swobodniej tutaj w dziczy, niż jej brat (kolejna notatka wykonana w wyrachowanym umyśle najemnika). Dinin spędził wiele lat w tych tunelach, dowodząc grupami patrolowymi, jednak Vierna, jako osłaniana szlachetna kapłanka, rzadko opuszczała miasto.

Jeśli jednak kapłanka szczerze wierzyła, iż idzie z błogosławieństwem Lloth, to nie miała się czego obawiać.

- Dostarczyłeś nasz dar dla człowieka? - spytała nagle z pilnością w głosie Vierna. Jarlaxle'owi wydawało się, iż wszystko w jej życiu stało się pilne.

Nagle pytanie, nie poprzedzone żadnym powitaniem ani nawet uwagą, że się spóźnił, zbiło najemnika na chwilę z tropu, spojrzął więc na Dinina, który odpowiedział bezradnym wzruszeniem ramion. Podczas gdy w oczach Vierny płonęły żarłoczne ognie, u Dinina widać było jedynie rezygnację.

- Człowiek ma kolczyk - odparł Jarlaxle.

Vierna podniosła piaski przedmiot w kształcie dysku, pokryty rysunkami odpowiadającymi tym na cennym kolczyku. - Jest zimny - wyjaśniła przejechawszy dłonią po metalicznej powierzchni dysku - a więc nasz szpieg jest już daleko od Menzoberranzan.

- Wraz z cennym podarunkiem - stwierdził Jarlaxle z lekką nutą sarkazmu.

- To było konieczne i popchnie naszą sprawę do przodu - warknęła na niego Vierna.

- Jeśli człowiek okaże się tak cennym informatorem, jak ci się wydaje - dodał pewnie Jarlaxle.

- Wątpisz w niego? - słowa Vierny odbiły się echem w tunelach, wzbudzając jeszcze większy niepokój w Dininie i brzmiąc wyraźnie jak groźba dla najemnika.

- To Lloth mnie do niego doprowadziła - ciągnęła Vierna z wyraźną kpiną. - Lloth ukazała mi drogę do odzyskania honoru mojej rodziny. Nie wątp...

- Nie wątpię w nic, w co zaangażowana jest nasza bogini - szybko przerwał Jarlaxle. - Kolczyk, twój sygnalizator, został dostarczony, tak jak poleciłaś, a człowiek już jest dawno w drodze. - Najemnik pochylił się w pełnym szacunku niskim ukłonie, dotykając szerokiego kapelusza.

Vierna uspokoiła się i wyglądała na ułagodzoną. Jej czerwone oczy załśniły ochoczo, a na twarz wpełzł diabelski uśmiech. - A gobliny? - spytała głosem ociekającym niecierpliwością.

- Wkrótce nawiążą kontakt z chciwymi krasnoludami - odpowiedział Jarlaxle. - Ku ich zgubie, bez wątpienia. W pobliżu goblinów znajdują się moi zwiadowcy. Jeśli wasz brat pojawi się w nieuniknionej bitwie, będziemy o tym wiedzieć. - Najemnik ukrył swój uśmiech na widok wyraźnego zadowolenia Vierny. Kapłanka chciała od nieszczęsnego plemienia goblinów uzyskać jedynie

potwierdzenie miejsca pobytu swego brata, lecz Jarlaxle miał więcej na myśli. Gobliny i krasnoludy darzyły się obopólną nienawiścią, równie intensywną, jak drowy oraz ich elfi kuzyni z powierzchni, i każde spotkanie tych grup zapewniało walkę. Jaka lepszą możliwość mógł mieć Jarlaxle, by zmierzyć poziom krasnoludzkich zabezpieczeń?

I krasnoludzkich słabości.

Bowiem, podczas gdy pragnienia Vierny były skupione - wszystkim, czego chciała, była śmierć jej zdradzieckiego brata - Jarlaxle spoglądał na szerszy obraz, zastanawiał się, jak te kosztowne poszukiwania w pobliżu powierzchni, a może nawet na niej, mogą przynieść większy zysk.

Vierna potarła o siebie dłońmi i odwróciła gwałtownie w stronę swego brata. Jarlaxle niemal roześmiał się na głos na widok bezwocnej próby Dinina naśladowania rozradowanej miny jego siostry.

Vierna była zbyt przejęta, by dostrzec wyraźny fałszywy krok swego mniej entuzjastycznie nastawionego brata. - Goblińska hołota zna swoje perspektywy? - spytała najemnika, lecz sama sobie odpowiedziała, zanim jeszcze Jarlaxle zdołał się odezwać

- Oczywiście nie ma żadnych perspektyw!

Jarlaxle poczuł nagłą potrzebę przekłucia jej bańki z gorliwością. - A co, jeśli gobliny zabijają Drizzta? - spytał niewinnie.

Twarz Vierny wykrzywiła się dziwacznie i z jej pierwszych bezskutecznych prób odpowiedzi wynikło jedynie jąkanie. - Nie! - zdecydowała w końcu. - Wiemy, że kompleks zamieszkuje ponad tysiąc krasnoludów, być może dwa lub trzy razy tyle. Plemię goblinów zostanie zmiażdżone.

- Jednak krasnoludy oraz ich sprzymierzeńcy odniosą pewne ofiary - uznał Jarlaxle.

-Nie Drizzt! -nieoczekiwanie odpowiedział Dinin. W jego ponurym tonie nie było ani śladu kompromisu i nie usłyszał od żadnego z towarzyszy jakiegokolwiek argumentu. - Żaden goblin nie zabije Drizzta. Broń żadnego goblina nie zbliży się do jego ciała.

Pochwalający uśmiech Vierny ukazał, że nie dostrzegала szczerego przerażenia, kryjącego się za słowami Dinina. Tylko on przetrwał z całej grupy, która walczyła z Drizztem.

- Tunele z powrotem do miasta są czyste? - Vierna spytała Jarlaxle'a, a ujrawszy jego skinienie, szybko odeszła, nie mając więcej czasu do zmarnowania.

- Chciałbyś, żeby się to skończyło -odezwał się najemnik do Dinina, gdy zostali sami.

- Nie spotkałeś mojego brata - odpowiedział pewnym głosem Dinin, a jego ręka instynktownie podążyła do rękojeści wspaniałego drowiego miecza, jakby samo napomknięcie o Drizzcie ustawiało

go w pozycji obronnej. - Przynajmniej nie w walce.

- Boisz się, Khal'abibilul - pytanie to uderzyło prosto w poczucie honoru Dinina, zabrzmiało bardziej jak urąganie.

Mimo to wojownik nie próbował zaprzeczyć.

- Powinieneś bać się również swojej siostry - stwierdził Jarlaxle, doskonale wiedząc, o czym mówi. Dinin zrobił minę pełną obrzydzenia.

- Rozmawiała z nią Pajęcza Królowa albo też któryś ze sług Lloth - dodał Jarlaxle w równym stopniu do siebie, jak i do swego roztrzęsionego towarzysza. Na pierwszy rzut oka obsesja Vierny wydawała się zrodzona z desperacji, jednak Jarlaxle wystarczająco długo przebywał w chaosie Menzoberranzan, by zdać sobie sprawę, że wiele innych potężnych postaci, wliczając w to opiekunkę Baenre, miało podobne, gwałtowne fantazje.

Niemal każda ważna osoba w Menzoberranzan, wliczając w to członkinie rady rządzącej, doszła do władzy dzięki czynom, które wydawały się podyktowane desperacją, przedarła się przez kolczastą pajęczynę chaosu, by odnaleźć chwałę.

Czy Vierna mogła być następną, która wkracza na ten niebezpieczny teren?

ROZDZIAŁ 2

RAZEM

Spoglądając na płynącą daleko pod nim, w dolinie, rzekę Surbrin, Drizzt wkroczył wczesnym popołudniem tego samego dnia przez wschodnią bramę Mithrilowej Hali. Catti-brie wślizgnęła się do środka jakiś czas przed nim, by oczekiwać na “niespodziankę”. Krasnoludzcy strażnicy powitali drowa tropiciela, jakby był jednym z ich brodatego ludu. Drizzt nie mógł zaprzeczyć fali ciepła, która przepłynęła przez niego na ich otwarte powitanie, choć nie było ono nieoczekiwane, bowiem krewniacy Bruenora uznawali go za przyjaciela od czasów Doliny Lodowego Wichru.

Drizzt nie potrzebował eskorty w krętych korytarzach Mithrilowej Hali i nie chciał jej, wołąc zostać sam wraz z tak wieloma emocjami i wspomnieniami, które zawsze przychodziły do niego, gdy pokonywał ten fragment górnego kompleksu. Przeszedł przez nowy most nad wąwozem Garumna. Był on budowlą z pięknego, wznoszącego się łukiem kamienia, przecinającą dziesiątki metrów głębokiej jamy. W tym miejscu Drizzt utracił na zawsze Bruenora, a przynajmniej tak myślał, bowiem widział, jak krasnolud opada w dół, w pozbawione światła głębiny, na grzbiecie płonącego smoka.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy to wspomnienie doszło do końca - trzeba było czegoś więcej niż smok, by zabić potężnego Bruenora Battlehammera!

Zbliżając się do końca długiego bezmiaru, Drizzt zauważył, iż nowe wieżyczki strażnicze, których budowę rozpoczęto zaledwie dziesięć dni wcześniej, były już niemal skończone -przedsiębiorcze krasnoludy poświęcały się swej pracy z absolutnym oddaniem. Mimo to każdy z zapracowanych robotników podnosił wzrok, by spojrzeć na przechodzącego drowa i pozdrowić go.

Drizzt skierował się do głównych korytarzy wychodzących z ogromnej komnaty na południe od mostu, a drogę wskazywały mu odgłosy jeszcze większej ilości młotów. Tuż za komnatą oraz małym przedsionkiem wszedł do szerokiego oraz wysokiego korytarza, praktycznie kolejnego pomieszczenia samego w sobie, gdzie ciężko pracowali najlepsi rzemieślnicy w Mithrilowej Hali, rzeźbiąc w kamiennej ścianie podobiznę Bruenora Battlehammera w odpowiedniej dla niej miejscu obok pomników królewskich przodków Bruenora, jego siedmiu poprzedników na tronie.

- Niezła robota, co drowie? - dobiegło wołanie. Drizzt odwrócił się, by spojrzeć na niskiego, okrągłego krasnoluda z podciętą krótko żółtą brodą, ledwo sięgającą górnej części jego szerokiego torsu.

- Miło cię spotkać, Cobble - powitał Drizzt mówiącego. Bruenor ostatnio wyznaczył krasnoluda świętym kapłanem hali, niezwykle cenioną pozycją.

- Pasuje? - spytał Cobble, wskazując na siedmiometrową rzeźbę aktualnego króla Mithrilowej Hali.

- Dla Bruenora powinna mieć trzydzieści metrów wysokości - odparł Drizzt, a dobroduszny Cobble zatrzęsł się ze śmiechu. Trwał on jeszcze, odbijając się echem za Drizstem przez wiele kroków, gdy drow znów przemierzał kręte korytarze.

Wkrótce dotarł do regionu sali wyższego poziomu, miasta ponad wspaniałym Podmiastem. W tej okolicy mieszkali Catti-brie i Wulfgar, podobnie jak przez większość czasu Bruenor, kiedy przygotowywał się do wiosennego okresu handlowego. Większość z pozostałych dwudziestu pięciu setek krasnoludów klanu znajdowało się daleko niżej, w kopalniach i w Podmieście, jednak ci w tym regionie byli dowódcami straży oraz elitarnymi żołnierzami. Nawet Drizzt, tak mile widziany w domu Bruenora, nie mógł wejść do króla nie zaanonsowany i bez eskorty.

Krępy kawał krasnoluda z kwaśną miną oraz długą, brązową brodą, którą miał zatkniętą za

szeroki, wysadzany klejnotami pas, zaprowadził Drizzta ostatnim korytarzem do sali audiencyjnej Bruenora na górnym poziomie. Generał Dagna, jak się nazywał, był osobistym służącym króla Harbromme'a z cytadeli Adbar, najpotężniejszej krasnoludzkiej fortecy w północnych krainach, jednak opryskliwy krasnolud przybył tu na czele wojsk z cytadeli Adbar, by pomóc Bruenorowi odzyskać jego pradawną ojczyznę. Po wygranej wojnie większość krasnoludów z Adbar odeszła, jednak Dagna oraz dwa tysiące innych pozostało po oczyszczeniu Mithrilowej Hali, przysięgając lojalność wobec klanu Battlehammer i dając Bruenorowi solidną siłę, za pomocą której mógł bronić bogactw krasnoludzkiej fortecy.

Dagna został z Bruenorem, by służyć mu za doradcę oraz dowódcę wojsk. Nie starał się udawać miłości do Drizzta, lecz z pewnością nie był na tyle głupi, by obrazić Drizzta, pozwalając, by jakiś pomniejszy sługa eskortował drowa do krasnoludzkiego króla.

- Mówiłem ci, że wróci - Drizzt usłyszał głos Bruenora zza otwartych drzwi, gdy zbliżali się do sali audiencyjnej. - Elf nie opuściłby czegoś takiego jak twoje wesele!

- Widzę, że się mnie spodziewają - odezwał się Drizzt do Dagny.

- Słyszeliśmy, że jesteś w pobliżu od ludzi z Settlestone - odparł opryskliwy generał, nie spoglądając na Drizzta, gdy mówił. - Uznaliśmy, że możesz się pojawić każdego dnia.

Drizzt wiedział, że generał - krasnolud wśród krasnoludów, jak mawiali inni - nie cenił go zbyt wysoko, podobnie zresztą jak każdego, wliczając w to Wulfgara i Catti-brie, kto nie był krasnoludem. Mroczny elf uśmiechnął się jednak, przyzwyczał się bowiem do takich uprzedzeń i wiedział, iż Dagna jest dla Bruenora ważnym sprzymierzeńcem.

- Witajcie - powiedział Drizzt do swych trojga przyjaciół, wchodząc do pomieszczenia. Bruenor siedział na swym kamiennym tronie, a Wulfgar i Catti-brie znajdowali się po bokach.

- A więc ci się udało - powiedziała beznamiętnie Catti-brie, udając brak zainteresowania. Drizzt uśmiechnął się lekko. Najwidoczniej nie powiedziała nikomu, że spotkała go tuż za wschodnimi wrotami.

- Nie zaplanowaliśmy tego - dodał Wulfgar, gigantyczny mężczyzna z wielkimi mięśniami jak postronki, długimi i falującymi blond lokami, oraz oczyma koloru krystalicznego błękitu nieba krain północnych. - Modłę się, aby znalazło się jedno dodatkowe miejsce przy stole.

Drizzt uśmiechnął się i skłonił nisko w wyrazie przeprosin. Wiedział, że zasługuje na ich naganę. Ostatnio często nie było go długo, czasami całe tygodnie.

- Ba! - parsknął rudobrody Bruenor. - Mówiłem wam, że wróci, tym razem by zostać!

Drizzt potrząsnął głową, wiedząc, że wkrótce znów odejdzie, szukając... czegoś.

- Polujesz na zabójcę, elfie? - usłyszał pytanie Bruenora.

Nigdy, pomyślał natychmiast Drizzt. Krasnoludowi chodziło o Artemisa Entreri, najbardziej zniechęconego przeciwnika Drizzta, pozbawionego serca mordercę równie wyćwiczonego we władaniu ostrzem jak drow tropiciel, i zdeterminowanego - ogarniętego obsesją! - by pokonać Drizzta. Entreri i Drizzt walczyli w Calimporcie, mieście daleko na południe, a Drizzt szczęśliwie uzyskał przewagę, zanim wydarzenia ich rozdzieliły. Pod względem emocjonalnym Drizzt doprowadził niedokończoną walkę do rozstrzygnięcia i uwolnił się od podobnej obsesji wobec Entreriego.

Drizzt ujrzał w zabójcy siebie, ujrzał, kim mógłby się stać, gdyby pozostał w Menzoberranzan. Nie mógł znieść tego widoku, pragnął go zniszczyć. Catti-brie, droga i zawikłana Catti-brie, ukazała Drizztowi prawdę, o Entrerim i o nim samym. Gdyby drow nigdy więcej nie zobaczył już Entreriego, byłby zdecydowanie szczęśliwszą osobą.

- Nie pragnę znów go spotkać - odpowiedział Drizzt. Spojrzał na Catti-brie, która siedziała obojętnie. Mrugnęła przebiegle do drowa, by ukazać, że go rozumie i popiera.

- W szerokim świecie istnieje wiele widoków, drogi krasnoludzie - ciągnął Drizzt - których nie można zobaczyć z cieni, wiele odgłosów przyjemniejszych niż brzęk stali oraz wiele zapachów lepszych niż smród śmierci.

- Przygotujcie następną ucztę! - parsknął Bruenor, zrywając się ze swego kamiennego fotela. - Z pewnością elf skierował oczy na następne wesele!

Drizzt pozwolił, by ta uwaga przeszła bez odpowiedzi.

Do pomieszczenia wpadł kolejny krasnolud, po czym wyszedł, wyciągając Dagnę za sobą. Chwilę później podenerwowany generał wrócił.

- Co jest? - mruknął Bruenor.

- Następny gość - wyjaśnił Dagna, a kiedy to mówił, do komnaty wkroczył radośnie halfling z okrągłym brzuchem.

- Regis! - krzyknęła zdumiona Catti-brie i wraz z Wulfgarem podbiegła, by przywitać przyjaciela. Nieoczekiwanie pięcioro towarzyszy znów było razem.

- Pasibrzuch! - Bruenor krzyknął swe zwyczajowe przezwisko dla wiecznie głodnego halflinga. - Co na dziewięć piekieł...

No właśnie, co, pomyślał Drizzt, dziwiąc się, że nie zauważył podróżnika na szlaku do Mithrilowej Hali. Przyjaciele zostawili Regisa w Calimporcie, ponad półtora tysiąca kilometrów stąd, na czele gildii złodziei, którą towarzysze pozbawili głów, ratując halflinga.

- Myśleliście, że stracę taką okazję? - prychnął Regis, wręcz obrażony, że Bruenor w niego zwątpił. - Wesele dwojga moich najdroższych przyjaciół?

Catti-brie objęła go mocno i wyglądało na to, że niezmiernie mu się to podoba.

Bruenor spojrział z zaciekawieniem na Drizzta i potrząsnął głową, uświadamiając sobie, że drow nie potrafi wyjaśnić tej niespodzianki.

- Skąd wiedziałeś? - krasnolud spytał halflinga.

- Nie doceniasz swojej sławy, królu Bruenorze - odparł Regis, wykonując ukłon, w wyniku którego jego brzuch przelał się nad cienkim paskiem.

Drizzt zauważył również, że w wyniku skłonu halfling zadzwonił. Kiedy Regis się pochylił, zadzwoniła setka klejnotów oraz tuzin pękatek sakiewek. Regis zawsze lubił ozdoby, jednak Drizzt nigdy nie widział, by halfling obwieszał się z takim przepychem. Miał na sobie wysadzaną klejnotami kurtkę i więcej biżuterii, niż Drizzt widział kiedykolwiek w jednym miejscu, wliczając w to magiczny, hipnotyzujący, rubinowy wisiołek.

- Zostaniesz na dłużej? - zapytała Catti-brie.

- Nie spieszę się - odrzekł Regis. - Czy mógłbym dostać pokój - spytał Bruenora - żeby położyć swe rzeczy i odpocząć po długiej drodze?

- Zajmiemy się tym - zapewniła go Catti-brie, zaraz gdy Drizzt i Bruenor jeszcze raz wymienili spojrzenia. Obydwaj myśleli o tym samym - było niezwykle, aby władca skrytobójczej, wykorzystującej każdą nadarżającą się okazję gildii złodziei, pozwalał sobie na pozostawienie jej bez kontroli na jakikolwiek okres czasu.

- A co z twoją służbą? - Bruenor zadał pytanie, które zawisło ciężko w powietrzu.

- Och - wyjąkał halfling. - Ja... przybyłem sam. Południowcy nie znoszą dobrze chłodu północnej wiosny, wiecie przecież.

- Cóż, trzeba więc się tobą zająć - odezwał się Bruenor. - Z pewnością nadeszła kolej, żebym ja wystawił ucztę, aby zadowolić twój brzuch.

Drizzt zajął miejsce przy królu krasnoludów, gdy pozostała trójka opuszczała komnatę.

- Niewiele osób w Calimporcie słyszało kiedykolwiek moje imię, elfie - stwierdził Bruenor, gdy zostali sami z Drizztem. - I kto na południe od Longsaddle wie o weselu?

Chytra mina Bruenora pokazywała, że doświadczony krasnolud dokładnie podziela odczucia Drizzta. - Z pewnością ten mały przyniósł ze sobą trochę swych skarbów, co? - spytał krasnoludzki

król.

- On ucieka - odparł Drizzt.

- Znów wpakował się w kłopoty - parsknął Bruenor – albo jestem brodatym gnomem!

* * *

- Pięć posiłków dziennie - mruknął Bruenor do Driztta, gdy drow i halfling przebywali już w Mithrilowej Hali przez pięć dni. - A porcje większe niż powinien móc w sobie pomieścić!

Drizzt, zawsze oczarowany apetytem Regisa, nie miał odpowiedzi dla króla krasnoludów. Razem obserwowali Regisa z drugiej strony sali, wpychającego kęs za kęsem w swe żarłoczne usta.

- Dobrze, że otwieramy nowe tunele - mruknął Bruenor. - Będę potrzebował sporych zapasów mithrilu, by móc go wyżywić.

Jakby wzmianka Bruenora o nowych złożach była wskazówką, do sali jadalnej wszedł generał Dagna. Najwyraźniej nie będąc zainteresowany jedzeniem, opryskliwy brązowobrody krasnolud odesłał służącego i skierował się prosto przez komnatę do Driztta i Bruenora.

- To była krótka wycieczka - rzucił Bruenor do Driztta, gdy zauważyli krasnoluda. Dagna wyszedł jeszcze tego poranka, prowadząc ostatnią grupę zwiadowczą do nowych złóż w najgłębszych kopalniach, daleko na zachód od Podmiasta.

- Kłopoty czy skarby? - Drizzt spytał retorycznie, a Bruenor tylko wzruszył ramionami, zawsze oczekując - i w sekrecie mając nadzieję - na jedno i drugie.

- Mój królu - przywitał się Dagna, stając przed Bruenoremi wymownie nie spoglądając na mrocznego elfa. Pochylił się w niskim ukłonie, a jego twarda jak skała mina nie dawała żadnych wskazówek, które z przypuszczeń Driztta mogłoby być słuszne.

- Mithril? - spytał z nadzieją Bruenor.

Dagna wyglądał na zaskoczonego tym bezceremonialnym pytaniem.

- Tak - powiedział w końcu. - Tunel za zapieczętowanymi drzwiami przechodzi w całkowicie nowy kompleks, bogaty w rudę, z tego co możemy stwierdzić. Legenda o twoim wyczuwającym klejnoty nosie powiększa się coraz bardziej, mój królu. - Znów się ukłonił, tym razem niżej niż za pierwszym razem.

- Wiedziałem to - wyszeptał Bruenor do Driztta. - Zszedłem tam kiedyś, zanim jeszcze wyrosła mi

broda. Zabiłem ettina...

- Ale mamy kłopoty - przerwał Dagna z wciąż beznamiętną twarzą.

Bruenor czekał i czekał, aż zmęczony krasnolud wyjaśni.

- Kłopoty? - zapytał w końcu, zdając sobie sprawę, że Dagna przerwał dla osiągnięcia dramatycznego efektu, i że uparty generał milczałby najprawdopodobniej do końca dnia, gdyby Bruenor go nie ponaglił.

- Gobliny - rzekł złowieszczo Dagna. Bruenor parsknął.

- Wydawało mi się, że mówiłeś coś o kłopotach?

- Spore plemię - ciągnął Dagna. - Może liczyć setki. Bruenor spojrział na Drizzta i z iskier w lawendowych oczach wyczytał, iż wieści nie niepokoiły bardziej jego przyjaciela niż jego samego.

- Setki goblinów, elfie - rzekł z chytrym uśmiechem Bruenor. - Co o tym sądzisz?

Drizzt nie odpowiedział, uśmiechał się tylko, pozwalając, by błysk w jego oczach mówił za siebie. Czasy od odzyskania Mithrilowej Hali nie obfitowały w wydarzenia. Jedynym metalem brzęczącym w krasnoludzkich tunelach były kilofy i łopaty górników oraz młoty rzemieślników, zaś szlaki pomiędzy Halą a Settlestone rzadko były niebezpieczne lub stanowiły jakiegokolwiek wyzwanie dla wyszkolonego Drizzta. Nowe wieści były szczególnie interesujące dla drowa. Drizzt był tropicielem poświęcającym się bronieniu dobrych ras i gardził długoramiennymi, cuchnącymi goblinami bardziej niż jakąkolwiek inną złą rasą na świecie.

Bruenor zaprowadził ich dwóch do stołu Regisa, choć wszystkie pozostałe stoły w dużej sali były puste. - Kolacja się skończyła - prychnął rudobrody krasnolud, odsuwając gwałtownie talerze sprzed halflinga i zrzucając je z trzaskiem na podłogę.

- Idź po Wulfgara - warknął Bruenor prosto w niedowierzającą twarz halflinga. - Masz go do mnie przyprowadzić, zanim doliczę do pięćdziesięciu. Jeśli zajmie ci to dłużej, obetnę ci porcję o połowę!

Regis natychmiast zniknął za drzwiami.

Na skinienie Bruenora Dagna wyciągnął z kieszeni bryłkę węgla i naszkicował na stole pobieżną mapę nowego regionu, pokazując Bruenorowi, gdzie napotkali ślady goblinów i gdzie dalszy zwiad wskazał na główną siedzibę. Obydwóch krasnoludów interesowały najbardziej obrobione tunele, z ich równymi podłogami i ociosanymi ścianami.

- Dobrze, by zaskoczyć głupie gobliny - Bruenor wyjaśnił Drizztowi z przebiegłym mrugnięciem.

- Wiedziałeś, że tam są gobliny - oskarżył go Drizzt, zdając sobie sprawę, że Bruenor był bardziej wystraszony, a mniej zdumiony, wiadomościami o potencjalnych przeciwnikach niż o potencjalnych bogactwach.

- Uznałem, że mogą tam być - przyznał Bruenor. - Widziałem je tam kiedyś, jednak po pojawieniu się smoka mój ojciec i jego żołnierze nie mieli czasu, by wypłenić to robactwo. Mimo to było to dawno, dawno temu, elfie - krasnolud pociągnął za swą długą, rudą brodę, by zaakcentować swe słowa - i nie mogłem być pewien, czy wciąż tam są.

- Coś nam zagraża? - dobiegł zza nich dźwięczny baryton. Ponad dwumetrowy barbarzyńca podszedł do stołu i pochylił się nad schematem Dagny.

- Tylko gobliny - odparł Bruenor.

- Wezwanie do wojny! - ryknął Wulfgar, uderzając Aegis-fangiem, potężnym młotem bojowym, który wykuł dla niego Bruenor, o otwartą dłoń.

- Wezwanie do zabawy - sprostował Bruenor wraz z Drizztem, kiwając głowami i chichocząc.

- Jeśli mnie oczy nie mylą, to wy dwaj wyglądacie na chętnych do zabijania - wtrąciła się Catti-brie, stając za Regisem.

- Możemy się założyć - odparł Bruenor.

- Znaleźliście jakieś gobliny w ich norze, nie przeszkadzające nikomu, i planujecie je wymordować - ciągnęła Catti-brie w obliczu sarkazmu swego ojca.

- Kobieta! - krzyknął Wulfgar.

Zamyślony uśmiech Drizzta rozplynął się w mgnieniu oka, zastąpiony wyrazem zdumienia, gdy przyglądał się pogardliwej minie ogromnego barbarzyńcy.

- Ciesz się z tego - odpowiedziała spokojnie Catti-brie, bez wahania i nie dając się wytrącić z ważniejszej dyskusji z Bruenorem. - Skąd wiesz, czy gobliny chcą walki? - spytała króla. - I czy w ogóle cię to obchodzi?

- W tych tunelach jest mithril - odrzekł Bruenor, jakby to miało zakończyć kłótnię.

- A więc czy nie jest to mithril goblinów? - zapytała niewinnie Catti-brie. - Zgodnie z prawem?

- Nie na długo - wtrącił się Dagna, jednak Bruenor nie mógł już dodać żadnych błyskotliwych uwag, zbity z tropu zdumiewającym szeregiem dość oskarżających pytań swej córki.

- Walka jest dla was ważniejsza, dla was wszystkich - ciągnęła dalej Catti-brie, kierując swe

rozumne niebieskie oczy na całą czwórkę - niż jakiegokolwiek skarby, które tam będzie można znaleźć. Jesteście żądni podniecenia. Poszlibyście za goblinami, nawet jeśli w tych tunelach nie byłoby nic poza nagim i bezwartościowym kamieniem!

- Nie ja - wtrącił się Regis, choć nikt nie zwrócił na niego większej uwagi.

- To są gobliny - powiedział do niej Drizzt. - Czy to nie w wyniku najazdu goblinów twój ojciec stracił życie?

- Ano - zgodziła się Catti-brie. - I jeśli kiedykolwiek odnajdę to plemię, to wieście, że zginą za swój niegodziwy czyn. Czy są jednak spokrewnione z tym plemieniem, znajdującym się ponad półtora tysiąca kilometrów stamtąd?

- Gobliny to gobliny! - warknął Bruenor.

- Czyżby? - odparła Catti-brie, krzyżując przed sobą ręce. - A drowy są drowami?

- Co to za gadanie? - spytał Wulfgar, mierząc wzrokiem swą przyszłą małżonkę.

- Gdybyście znaleźli mrocznego elfa wędrującego waszymi tunelami - Catti-brie rzekła do Bruenora, całkowicie ignorując Wulfgara, nawet mimo tego, że stanął spieszenie przy niej - czy narysowalibyście swoje plany i zabilibyście go?

Bruenor rzucił lekko zawstydzone spojrzenie w stronę Drizzta, lecz drow znów się uśmiechał, rozumiejąc dokąd doprowadziło ich rozumowanie Catti-brie - i gdzie uwięziło upartego króla.

- Jeśli zabilibyście go, a tym drowem byłby Drizzt Do'Urden, to czy mielibyście kogoś, kto posiadałby wystarczająco wiele cierpliwości, by siedzieć przy was i słuchać waszych przemądrzałych przechwałek? - skończyła młoda kobieta.

- Przynajmniej zabiłbym cię czysto - mrugnął Bruenor do Drizzta, a jego pycha pękła jak bańka.

Śmiech Drizzta dobywał się prosto z jego żołądka. - A więc rozmowa - powiedział w końcu. - Zgodnie ze słowami naszej rozsądnej młodej przyjaciółki, musimy przynajmniej dać szansę goblinom, by wyjaśniły swoje zamiary. - Przerwał i spojrzał z przebiegłą miną na Catti-brie, a jego lawendowe oczy wciąż błyszczały, wiedział bowiem, czego można się spodziewać po goblinach. - Zanim je zabijemy.

- Czysto - dodał Bruenor.

- Ona nic o tym nie wie! - zaczął narzekać Wulfgar, znów wzbudzając napięcie.

Drizzt uciszył go chłodnym spojrzeniem, najgroźniejszym, jakie kiedykolwiek zostało wymienione pomiędzy mrocznym elfem a barbarzyńcą. Catti-brie przeniosła wzrok z jednego na drugiego, z

twarzą pełną bólu, po czym chwyciła Regisa za ramię i razem opuścili komnatę.

- Będziemy rozmawiać z bandą goblinów? - spytał z niedowierzaniem Dagna.

- Ach, zamknij się - odpowiedział Bruenor, uderzając dłońmi o stół i jeszcze raz obserwując mapę. Minęło kilka chwil, zanim zdał sobie sprawę, że Wulfgar i Drizzt nie zakończyli swej milczącej wymiany spojrzeń. Bruenor dostrzegł w cieniu wzroku Drizzta zakłopotanie, jednak patrząc na barbarzyńcę, nie znalazł żadnej wskazówki, iż ten incydent będzie łatwo zapomniany.

* * *

Drizzt oparł się o kamienną ścianę w korytarzu przed pokojem Catti-brie. Przyszedł tu porozmawiać z młodą kobietą, dowiedzieć się, dlaczego tak ją to obchodziło, dlaczego była tak nieugięta w kwestii negocjacji z plemieniem goblinów. Catti-brie zawsze dawała wyjątkową perspektywę wyzwaniom stającym przed piątką towarzyszy, jednak tym razem wydawało się Drizztowi, iż kierowało nią coś innego, że to nie gobliny nadały żaru jej słowom.

Opierając się o ścianę za drzwiami, mroczny elf zaczął rozumieć.

- Nie pójdziesz! - mówił Wulfgar. - Tam będzie walka, pomimo twoich prób, by jej zapobiec. To są gobliny. Nie negocjują z krasnoludami!

- Jeśli tam będzie walka, to dlaczego mnie tam nie chcesz? - odparła Catti-brie.

- Nie pójdziesz.

Drizzt potrząsnął głową, słysząc ostateczność w głosie Wulfgara i myśląc, że nigdy wcześniej nie słyszał, by mówił w ten sposób. Zmienił jednak zdanie, przypomniawszy sobie, jak pierwszy raz spotkał nieokrzesanego, młodego barbarzyńcę, upartego, dumnego i mówiącego prawie tak bezmyślnie jak teraz.

Drizzt czekał aż Wulfgar wróci do swego pokoju. Drow opierał się niedbale o ścianę, opierając nadgarstki na zakrzywionych rękojeściach swych magicznych sejmitarów i odrzuciwszy z ramion zielony płaszcz.

- Bruenor po mnie posyła? - spytał Wulfgar, zdumiony dlaczego Drizzt wszedł do jego komnaty.

Drizzt popchnął drzwi, by się zamknęły. - Nie jestem tu dla Bruenora - wyjaśnił pewnym głosem.

Wulfgar wzruszył ramionami, nie chwytając. - Witaj więc z powrotem - powiedział, a w owym powitaniu wyczuwało się pewne napięcie. - Zbyt często jesteś poza Halą. Bruenor pragnie twojego towarzystwa...

- Jestem tu dla Catti-brie - przerwał Drizzt. Jasnobłękitne oczy barbarzyńcy zmrużyły się natychmiast i wyprostował ramiona oraz szczękę. - Wiem, że się z tobą spotkała - rzekł. - Na szlaku, zanim się zjawiał.

Zakłopotanie przecięło twarz Drizzta, gdy usłyszał w tonie Wulfgara wrogość. Co obchodziło Wulfgara, że Catti-brie się z nim spotkała? Co, na dziewięć piekieł, działo się z jego wielkim przyjacielem?

- Regis mi powiedział - wyjaśnił Wulfgar, najwyraźniej źle rozumiejąc zdumienie Drizzta. W oku barbarzyńcy pojawił się wyraz wyższości, jakby wierzył, iż owa sekretna informacja da mu jakąś przewagę.

Drizzt potrząsnął głową i odsunął szczupłymi palcami z czoła swe gęste, białe włosy. - Nie jestem tu z powodu żadnego spotkania na szlaku - powiedział - ani niczego, co Catti-brie do mnie powiedziała. - Wciąż opierając wygodnie nadgarstki na rękojeściach broni, Drizzt przeszedł przez rozległy pokój, stając po przeciwległej stronie dużego łóżka.

- Cokolwiek jednak mówi do mnie Catti-brie - musiał dodać - to nie twoja sprawa.

Wulfgar nawet nie mrugnął, jednak Drizzt widział, że barbarzyńca musi się niezwykle kontrolować, by nie rzucić się na niego przez łóżko. Drizzt, który uważał, że zna dobrze Wulfgara, ledwo mógł w to uwierzyć.

- Jak śmiesz? - Wulfgar warknął przez zaciśnięte zęby. - Ona jest moja...

- Jak śmiem? - odrzucił Drizzt. - Mówisz o Catti-brie tak, jakby była twoją własnością. Słyszałem, jak jej mówiłeś, jak jej rozkazywałeś, by pozostała tu, kiedy my pójdziemy na gobliny.

- Przekraczasz granice - ostrzegł Wulfgar.

- Sapiesz jak pijany ork - dorzucił Drizzt i pomyślał, że ta analogia dziwnie pasuje.

Wulfgar wziął głęboki oddech, wypinając swą wielką pierś, by się uspokoić. Jeden krok zaniósł go wzdłuż łóżka do ściany, w pobliże haków trzymających jego wspinały młot bojowy.

- Kiedyś byłeś moim nauczycielem - powiedział spokojnie Wulfgar.

- Zawsze byłem twoim przyjacielem - odparł Drizzt. Wulfgar zmierzył go gniewnym spojrzeniem.

- Mówisz do mnie jak ojciec do dziecka. Strzeż się, Drizzcie Do'Urden, już nie jesteś moim nauczycielem.

Drizzt prawie się przewrócił, zwłaszcza gdy Wulfgar, wciąż spoglądając na niego groźnie, zdjął ze ściany Aegis-fanga, potężny młot bojowy.

- Czy teraz ty jesteś nauczycielem? - spytał mroczny elf.

Wulfgar skinął powoli głową po czym zamrugał ze zdziwienia, gdy w dłoniach Drizzta pojawiły się nagle sejmitary. Błysk, magiczne ostrze, które dał drowowi czarodziej Malchor Harpell, zaślniło jasnoniebieskim płomieniem.

- Pamiętasz, jak pierwszy raz się spotkaliśmy? - zapytał mroczny elf. Obszedł nogi łóżka, rozsądnie czyniąc, bowiem dłuższy zasięg Wulfgara dawałby mu lekką przewagę, gdyby było pomiędzy nimi łóżko. - Pamiętasz nasze liczne lekcje na Kopcu Kelvina, kiedy to spoglądaliśmy na tundrę i ognie obozowisk twojego ludu?

Wulfgar odwrócił się powoli, utrzymując niebezpiecznego drowa przed sobą. Knykcie barbarzyńcy pobieleły z braku krwi, tak silnie ścisnął broń.

- Pamiętasz verbeega? - spytał Drizzt i myśl ta przywołała uśmiech na jego twarz. - Ty i ja walczący razem, wygrywający razem, z całym legowiskiem gigantów?

- I smoka, Lodową Śmierć? - ciągnął Drizzt, trzymając swój drugi sejmitar, ten, który zabrał z jaskini pokonanego jaszczura, wysoko przed sobą.

- Pamiętam - odparł cicho Wulfgar, spokojnie, a Drizzt zaczął wsuwać sejmitary z powrotem do pochew, myśląc, że udało mu się otrzeźwić młodego mężczyznę.

- Mówisz o odległych czasach! - ryknął nagle barbarzyńca, rzucając się do przodu z prędkością i zręcznością przekraczającą to, czego można by się spodziewać po tak wielkim mężczyźnie. Wymierzył zamaszysty cios pięścią w twarz Drizzta, trafiając zdumionego drowa w ramię, gdy ten zaczął się uchylać.

Tropiciel potoczył się pod ciosem i podniósł dopiero w dalekim rogu, z sejmitarami w rękach.

- Czas na kolejną lekcję - obiecał, a jego lawendowe oczy lśniły wewnętrznym ogniem, który barbarzyńca widział już tak wiele razy wcześniej.

Nie zrażając się tym, Wulfgar natarł, wykonując serię mylących ciosów Aegis-fangiem, zanim obrócił go do uderzenia znad głowy, które zmiażdżyłoby drowowi czaszkę.

- Czy minęło już zbyt dużo czasu, odkąd ostatni raz walczyliśmy? - spytał Drizzt, uważając cały ten incydent za dziwną grę, być może rytuał męskości dla młodego barbarzyńcy. Podniósł nad sobą sejmitary w blokującym krzyżu, z łatwością przechwytyjąc opadający młot. Nogi prawie się pod nim ugięły pod siłą ciosu.

Wulfgar cofnął się do drugiego uderzenia.

- Zawsze myśl o obronie - rzekł kpiąco Drizzt, przejeżdżając płazami sejmitarów, raz i dwa, po

bokach twarzy Wulfgara.

Barbarzyńca cofnął się o krok i grzbietem dłoni otarł z policzka strużkę krwi. Wciąż nie mrugał.

- Przepraszam - powiedział Drizzt, widząc krew. - Nie zamierzałem zranić...

Wulfgar rzucił się na niego gwałtownie, wymachując dziko młotem i wzywając Tempusa, swego boga bitwy.

Drizzt uchylił się przed pierwszym uderzeniem - zabrało ono spory odłamek ze ściany za nim - i zrobił krok w stronę młota, zaciskając na nim dłoń, by utrzymać go w miejscu.

Wulfgar puścił broń jedną ręką, chwycił Drizzta za przód tuniki i z łatwością podniósł go z podłogi. Mięśnie na nagim ramieniu barbarzyńcy zafalowały, gdy wyrzucił rękę do przodu, uderzając drowem o ścianę.

Drizzt nie mógł uwierzyć w siłę wielkiego mężczyzny! Czuł się, jakby był przepychany przez skałę do następnej komnaty - a przynajmniej miał nadzieję, że jest tam jakaś następna komnata! Wymierzył kopnięcie jedną nogą. Wulfgar uchylił się w tył, sądząc, że wykop jest wycelowany w jego twarz, lecz Drizzt zahaczył nogą wyprężoną rękę barbarzyńcy. Wykorzystując nogę jako dźwignię, Drizzt uderzył rękaw wewnętrzną stroną nadgarstka Wulfgara, zginając jego ramię i uwalniając się od ściany. Opadając uderzył rękojeścią seymitara, trafiając silnie w nos Wulfgara, i zwolnił uchwyt na młocie bojowym barbarzyńcy.

Charkot Wulfgara zabrzmiał nieludzko. Podniósł młot do uderzenia, lecz do tego czasu Drizzt padł na podłogę. Drow przewrócił się na plecy, oparł stopy o ścianę i odepchnął się, prześlizgując pod szeroko rozwartymi nogami Wulfgara. Stopa Drizzta wystrzeliła w górę, trafiając barbarzyńcę w pachwinę, kiedy zaś drow znajdował się już za Wulfgarem, uderzył obydwoma nogami, kopiając barbarzyńcę w wewnętrzną stronę kolan.

Pod Wulfgarem załamały się nogi i uderzył jednym kolanem o ścianę.

Drizzt wykorzystał pęd, by znów się przetoczyć. Podniósł się i skoczył, chwytając pozbawionego równowagi Wulfgara za włosy i ciągnąc mocno, w wyniku czego mężczyzna padł niczym ścięte drzewo.

Wulfgar jęknął i obrócił się, próbując wstać, lecz błysnęły seymitary Drizzta, rękojeściami do przodu, uderzając potężnie w szczękę wielkiego mężczyzny.

Wulfgar roześmiał się i powoli wstał. Drizzt cofnął się.

- Nie jesteś nauczycielem - powtórzył Wulfgar, jednak strużka zmieszanej ze śliną krwi, spływająca z kącika jego pękniętych ust, osłabiła mocno znaczenie tych słów.

- O co chodzi? - zażądał Drizzt. - Powiedz to teraz!

W jego stronę poleciał Aegis-fang, obracając się w powietrzu.

Drizzt padł na podłogę, ledwo unikając śmiertelnego ciosu. Skrzywił się słysząc, jak młot uderza w ścianę, siła rzutu wybiła sporą dziurę w skale.

Znów wstał, w chwili gdy nacierający barbarzyńca zbliżył się do niego. Drizzt zanurkował pod zamachującą się ręką mężczyzny, obrócił i kopnął Wulfgara w tyłek. Wulfgar ryknął i obrócił się gwałtownie tylko po to, by otrzymać kolejne trafienie w twarz płazem ostrza Drizzta. Tym razem strużka krwi nie była taka cienka.

Równie uparty jak każdy krasnolud, Wulfgar wymierzył kolejny zamaszysty cios pięścią.

- Twój szal cię pokona - stwierdził Drizzt, z łatwością unikając uderzenia. Nie mógł uwierzyć, że Wulfgar, tak dobrze wyćwiczony w sztuce - a była to sztuka! - walki, stracił opanowanie.

Wulfgar warknął i znów się zamachnął, lecz cofnął się natychmiast, bowiem tym razem Drizzt ustawił na linii ciosu Błysk, a ściślej mówiąc ostrą jak brzytwa krawędź Błysku. Wulfgar powstrzymał zamach zbyt późno i chwycił się za zakrwawioną dłoń.

- Wiem, że twój młot wróci ci do ręki - powiedział Drizzt, a Wulfgar wyglądał na niemal zaskoczonego, jakby zapomniał o magicznej mocy swojej własnej broni. - Chcesz, żeby pozostały ci jakieś palce, gdy będziesz go chwycił?

Jakby na zawołanie, Aegis-fang pojawił się w ręku barbarzyńcy.

Drizzt, zmęczony całym tym incydentem, wsunął sejmity z powrotem do pochew. Stał niewiele ponad metr od barbarzyńcy, zdecydowanie w jego zasięgu, z rozłożonymi szeroko rękoma, bezbronny.

Gdzieś w czasie walki, być może wtedy, gdy uświadomił sobie, że nie jest to gra, z jego lawendowych oczu uleciało lśnienie.

Wulfgar pozostawał nieruchomo przez długą chwilę i zamknął oczy. Drizztowi wydawało się, że toczy jakąś wewnętrzną walkę.

Uśmiechnął się, po czym otworzył oczy i pozwolił, by głowica jego potężnego młota bojowego opadła na podłogę.

- Mój przyjacielu - powiedział do Drizzta. - Mój nauczycielu. Dobrze, że wróciłeś. - Ręka Wulfgara wyciągnęła się w stronę ramienia Drizzta.

Jego palce zwinęły się nagle w pięść i wystrzeliły do twarzy Drizzta.

Drizzt obrócił się i zahaczył o rękę Wulfgara swą własną, po czym pociągnął wzdłuż linii pędu barbarzyńcy, posyłając go dalej głową do przodu. Wulfgar zdołał jednak podnieść drugą rękę, by chwycić drowa i zabrał go za sobą w niekontrolowany kołowrotek. Zatrzymali się razem, oparali o siebie pod ścianą i wybuchli szczerym śmiechem.

Pierwszy raz od spotkania w jadalni wydawało się Drizztowi, że znów ma przy sobie swego dawnego kompana.

Drizzt wyszedł wkrótce po tym, nie wspominając znów o Catti-brie - nie, dopóki nie będzie mógł dokładnie określić, co się stało w komnacie. Drow przynajmniej rozumiał zdumienie barbarzyńcy jeśli chodziło o młodą kobietę. Wulfgar pochodził z plemienia zdominowanego przez mężczyzn, gdzie kobiety mówiły tylko wtedy, jeśli im na to pozwolono, i robiły to, co kazali im ich panowie, mężczyźni. Wyglądało na to, że kiedy teraz Wulfgar miał poślubić Catti-brie, ciężko mu było pozbyć się nauk z młodości. Myśl ta bardziej niż trochę niepokoiła Drizzta. Rozumiał już smutek, jaki wyczuł w Catti-brie na szlaku przed krasnoludzkim kompleksem.

Rozumiał również wzmagający się szal Wulfgara. Jeśli uparty barbarzyńca będzie starał się zgasić ogień w Catti-brie, zabierze jej wszystko to, co go kiedyś do niej przyciągnęło, wszystko, co kochał - co Drizzt również kochał - w młodej kobiecie.

Drizzt odrzucił całkowicie tę myśl. Już od dekady spoglądał w jej rozumne oczy i widział, jak Catti-brie obraca sobie wokół palca swego upartego ojca.

Ani Wulfgar, ani Drizzt, ani nawet sami bogowie nie zdołają zgasić ogni w oczach Catti-brie.

ROZDZIAŁ 3

NEGOCJACJE

Ósmy król Mithrilowej Hali, idący na czele czworga swoich przyjaciół oraz dwustu krasnoludzkich żołnierzy, był bardziej przysposobiony do bitwy niż do negocjacji. Bruenor miał na sobie swój sterany, jednorogi hełm, którego drugi róg dawno temu się złamał, oraz wspaniałą mithrilową zbroję, której pionowe linie srebrnego metalu biegły przez całą długość jego krępego torsu i połyskiwały w świetle pochodni. Na jego tarczy znajdował się herb klanu Battlehammer, wykonany czystym złotem pieniający się kufel, zaś jego zwyczajowy topór, ukazujący szczyty po tysiącu zabitych w walce przeciwników (z których sporą część stanowiły gobliny!), wisiał w gotowości w pętli przy pasie, łatwy do wyciągnięcia.

Wulfgar, w pancerzu z naturalnej skóry, z wilczą głową osadzoną na środku jego wielkiej piersi, kroczył za krasnoludem, oparłszy swój młot bojowy Aegis-fang w zgięciu łokcia przed sobą. Obok niego szła Catti-brie, z Taulmarilem na ramieniu, jednak tych dwoje niewiele się odzywało, napięcie pomiędzy nimi było oczywiste.

Drizzt znajdował się z prawej strony króla krasnoludów. Regis truchtał obok, by dotrzymać mu tempa, zaś Guenhwyvar, smukła i dumna pantera, której mięśnie naprężyły się przy każdym kroku, kroczyła na prawo od tych dwóch, śmigając w cieniu, kiedy tylko niski i nierówny korytarz poszerzał się. Wielu z maszerujących za pięciorgiem przyjaciół krasnoludów niosło pochodnie i tworzone przez nie migoczące światło tworzyło potworne cienie, utrzymujące towarzyszy w gotowości - choć niezbyt było prawdopodobne, że coś ich zaskoczy, gdy pomiędzy nimi znajdują się Drizzt i Guenhwyvar. Czarna przyjaciółka mrocznego elfa była wyszkolona w poruszaniu się na czele pochodu.

Poza tym nic nie chciałoby zaskoczyć tej grupy. Cały oddział był przygotowany do walki, zaopatrzone w wielkie i solidne hełmy, pancerze oraz doskonałą broń. Każdy z krasnoludów niósł młot lub topór do rzutów na odległość oraz kolejną paskudną broń w przypadku gdyby jacyś przeciwnicy zbliżyli się.

Czterech krasnoludów w rzędzie w pobliżu środka oddziału opierało na swych krzepkich ramionach wielką, drewnianą belkę. Inni w pobliżu nich nieśli duże, okrągłe kawałki skały z otworami w środku. Gruba lina, długie karbowane tyczki, łańcuchy i arkusze giętkiego metalu były

oczywiste wśród tej części brygady jako elementy do "goblińskiej zabawki", jak Bruenor wyjaśnił swym niekrasróludzkim towarzyszom. Spoglądając na ciężkie części, Drizzt mógł sobie dobrze wyobrazić, jak wiele zabawy gobliny mogą się spodziewać po tym wynalazku.

Na rozwidleniu, gdzie szeroki tunel biegł na prawo, znaleźli kupkę ogromnych kości, z dwoma wielkimi czaszkami na wierzchu, każda z nich była wystarczającej wielkości, by do środka mógł się całkowicie wczłgać halfling.

- Ettin - wyjaśnił Bruenor, bowiem to on, jako bezbrody chłopak, pokonał potwora.

Na następnym skrzyżowaniu spotkali się z generałem Dagną oraz głównymi siłami, kolejnymi trzema setkami zaprawionych w bitwie krasróludów.

- Wszystko przygotowane - wyjaśnił Dagna. - Gobliny są trzysta metrów dalej w rozległej komnacie.

- Otoczysz ich z boku? - spytał go Bruenor.

- Ano, jednak gobliny zrobią tak samo - objaśnił dowódca. - Są ich cztery setki, jeśli to tylko jedna grupa. Wysłałem Cob-ble'a i jego trzystu szerokim łukiem na tyły groty, by odciął wszelkie drogi ucieczki.

Bruenor przytaknął. Najgorszym, czego mogli się spodziewać, były równe siły, a Bruenor postawiłby każdego ze swoich krasróludów przeciwko pięciu goblińskim obszarpańcom.

- Wejdę tam z setką - wyjaśnił król krasróludów. - Kolejnych stu idzie od prawej, z zabawką, a lewa dla ciebie. Nie zawieź mnie, gdy będę cię potrzebował!

W chichocie Dagny zabrzmiała pewność siebie, jednak jego mina nagle stała się grobowa. - Czy to ty powinieneś rozmawiać? - spytał Bruenora. - Nie ufam goblinom.

- Och, szukają dla mnie jakąś sztuczkę albo jestem brodatym gnomem - odparł Bruenor. - Jednak ta goblińska banda nie widziała krasróludów od setek lat, chyba że się mylę, i jestem pewien, że cenią nas niżej niż powinni.

Wymienili solidny uścisk rąk i Dagna odmaszerował, ciężkie buciory jego trzystu żołnierzy odbijały się echem w korytarzach niczym huk zbierającej się burzy.

- Skradanie się nigdy nie było mocną stroną krasróludów - zauważył cierpko Drizzt.

Regis błąkał się przez wiele chwil wzrokiem po odchodzących zwartych szeregach, po czym odwrócił się w drugą stronę, by przyjrzeć się drugiej grupie, niosącej belkę, kamienne dyski oraz inne przedmioty.

- Jeśli uważasz, że nie wytrzymasz... - zaczął Bruenor, interpretując zainteresowanie halflinga jako strach.

- Jestem tutaj, czyż nie? - odrzucił ostro Regis, wręcz szorstko, a niezwykle ton w jego głosie spowodował, iż przyjaciele popatrzyli na niego z zainteresowaniem. Wtedy jednak, zdecydowanie regisowym ruchem, halfling poprawił pas pod sporym brzuchem, wyprostował ramiona i odwrócił wzrok.

Pozostali pozwolili sobie na śmiech kosztem Regisa, jednak Drizzt wciąż spoglądał na niego z ciekawością. Regis rzeczywiście był "tutaj", dlaczego jednak przyszedł, tego drow nie wiedział. Powiedzenie, że Regis nie przepadał za walką, było równie wielkim niedomówieniem, jak stwierdzenie, iż nie przepada za przegapianiem posiłków.

Kilka minut później stu żołnierzy pozostałych przy swoim królu wkroczyło do wskazanej komnaty, wchodząc przez duży łuk na wzniesiony obszar skały, nieco powyżej rozległej podłogi zasadniczej części grotu, gdzie stały gobliny. Drizzt zauważył z zainteresowaniem, że w tej wzniesionej części nie było kopców stalagmitów, które wyglądały na powszechne w pozostałej części komnaty. Z niezbyt wysokiego stropu nad głową Drizzta spoglądało wiele stalaktytów, dlaczego więc spływająca z nich woda nie utworzyła kamiennych kopców?

Drizzt i Guenhwyvar przesunęli się w bok, poza zasięg pochodni, których drow, dzięki swemu wyjątkowemu wzrokowi, nie potrzebował. Wślizgnąwszy się w cienie kępy nisko wiszących stalaktytów ta dwójka praktycznie zniknęła.

Podobnie jak Regis, niezbyt daleko od Drizzta.

- Poddały wyższy teren, zanim w ogóle zaczęliśmy - wyszeptał Bruenor do Wulfgara i Catti-brie. - Można by pomyśleć, że nawet gobliny będą mądrzejsze! - Myśl ta skłoniła krasnoluda do zastanowienia i rozejrzał się po krawędziach wzniesionej sekcji, zauważając, że ten kawałek skały został obrobiony - za pomocą narzędzi - by pasował to tej sekcji jaskini. Ciemne oczy Bruenora zmrużyły się podejrzliwie, gdy spojrzał w miejsce, w którym zniknął Drizzt.

- Wydaje mi się, że to dobrze, iż jesteśmy wyżej przy negocjacjach - powiedział zbyt głośno Bruenor.

Drizzt zrozumiał.

- Cała ta część jest pułapką- zauważył Regis, tuż za drowem.

Drizzt niemal podskoczył, zdumiony, że halfling tak bardzo zbliżył się do niego i zastanawiając się, jaki magiczny przedmiot pozwalał Regisowi poruszać się tak cicho. Podążając za wzrokiem halflinga, Drizzt spojrzał na najbliższą krawędź platformy oraz częściowo wystającą spod kamienia kolumnę, smukły stalagmit, który został niedawno odcięty.

- Dobrze trafienie go zrzuci - stwierdził Regis.

- Zostań tu - polecił Drizzt, zgadzając się z oceną sprytnego halflinga. Być może gobliny poświęciły trochę czasu na przygotowanie jaskini. Drizzt przesunął się w zasięg wzroku krasnoludów, dając Bruenorowi sygnały wskazujące, iż to sprawdzi, po czym zniknął wraz z Guenhwyvar.

Do tego czasu do komnaty wkroczyły już wszystkie krasnoludy, a Bruenor ostrożnie trzymał ich uformowanych wzdłuż tylnej krawędzi półkolistej platformy.

Bruenor, wraz z otaczającymi go z boków Wulfgarem i Catti-brie, wyszedł kilka kroków do przodu, by przyjrzeć się goblinińskim gospodarzom. W ciemniejszej części jaskini było dobrze ponad sto - może dwieście - cuchnących istot, oceniając po wielu parach lśniących czerwono oczu, wpatrzonych w krasnoluda.

- Przyszliśmy rozmawiać - Bruenor zawołał w gardłowym języku goblinów - jak było uzgodnione.

- Rozmawiać - dobiegła odpowiedź we wspólnej mowie, co było zdumiewające. - Czo krasnoludy zaoferować Gar-yak i jego tysionczom?

- Tysiącom? - zauważył Wulfgar.

- Gobliny nie potrafią policzyć więcej niż mają palców - przypomniała mu Catti-brie.

- Bądźcie gotowi - Bruenor wyszeptał do obojga. - Ta grupa szuka walki, czuję to.

Wulfgar spojrzał na Catti-brie z wyższością, jednak jego szczeniacka buta szybko zniknęła, bowiem młoda kobieta nie zwróciła na niego uwagi.

* * *

Drizzt prześlizgiwał się z jednego cienia w drugi, wokół głazów, w końcu docierając do krawędzi podwyższonej platformy. Jak on i Regis oczekiwali, część ta, wspierana od przodu przez kilka skróconych stalagmitowych kolumn, nie była solidną bryłą, lecz obrobioną płytą osadzoną na swoim miejscu. Podobnie jak oczekiwali, gobliny zamierzały opuścić przednią część platformy i zrzucić krasnoludy. Przez wspierający szereg kolumn przebito częściowo wielkie żelazne kliny, czekające na młoty, które wbijają je głębiej.

Pod spodem nie czaił się jednak goblin, by uruchomić pułapkę, lecz kolejny dwugłowy olbrzym, ettin. Nawet leżąc płasko, był równie wysoki jak Drizzt i drow zgadywał, że gdy wstanie, będzie liczył przynajmniej cztery metry wzrostu. Jego ramiona, równie grube jak tors drowa, były nagie, trzymał w każdej dłoni wielką, nabijaną maczugę, a dwie wielkie głowy wpatrywały się w siebie,

najwyraźniej prowadząc rozmowę.

Drizzt nie wiedział, czy gobliny zamierzały szczerze negocjować, opuszczając pułapkę tylko, gdy krasnoludy wykonałyby jakiś zaczepny ruch, zważywszy jednak na obecność niebezpiecznego giganta, nie chciał ani trochę ryzykować. Korzystając z osłony najbliższej kolumny podtoczył się do krawędzi i zniknął w ciemności za oczekującym olbrzymem, lekko z boku.

Gdy z przeciwległej strony leżącego giganta spojrzały na Drizzta zielone kocie oczy, drow wiedział już, że Guenhwyvar również zajęła bezszelestnie pozycję.

* * *

Wśród szeregów goblinów podniosła się w górę pochodnia i do przodu wystąpiły trzy mierzące metr dwadzieścia, żółtoskóre stwory.

- Dobra - burknął Bruenor, zmęczony już tym spotkaniem. - Który z was psów to Gar-yak?

- Gar-yak z tyłu z innymi - odpowiedział najwyższy z grupy, spoglądając przez swe obwisłe ramię na główną grupę.

- Pewny znak, że będą kłopoty - mruknęła Catti-brie, spokojnie zdejmując z ramienia swój wspaniały łuk. - Kiedy dowódca stoi bezpiecznie z tyłu, gobliny zamierzają walczyć.

- Idźcie powiedzieć Garyakowi, że nie musimy was zabijać - rzekł stanowczo Bruenor. - Nazywam się Bruenor Battlehammer...

- Battlehammer? - rzucił goblin, najwyraźniej rozpoznając nazwisko. - Ty być król krasnoludów?

Wargi Bruenora nie poruszyły się, gdy szeptał do swych towarzyszy - Bądźcie gotowi. - Ręka Catti-brie spoczęła na wiszącym z jej boku kołczanie.

Bruenor przytaknął.

- Król! - huknął goblin, spoglądając w tył na swą grupę i wskazując podekscytowany w stronę Bruenora. Przygotowane krasnoludy zrozumiały wskazówkę do rzezi szybciej niż głupie gobliny i następnymi okrzykami w grocie były krasnoludzkie zawołania do walki.

* * *

Drizzt załapał wezwanie do walki szybciej niż niezbyt bystry ettin. Stwór zamachnął się swymi

maczugami, po czym zawył z bólu i zdumienia, gdy w jeden jego nadgarstek wbiła się trzystukilowa pantera, zaś z drugiej strony paskudnie ostry sejmitar zanurzył się w pachę.

Wielkie głowy potwora odwróciły się na zewnątrz dziwnym, synchronicznym ruchem, jedna by spojrzeć na Drizzta, druga zaś w stronę Guenhwyar.

Zanim ettin dowiedział się w ogóle, co się dzieje, Drizzt przejechał drugim sejmitarem po jego wybałuszonych oczach. Gigant próbował dostać raniącego go elfa, jednak zwinny Drizzt wślizgnął się pod jego rękę i uderzył potężnie w czułe głowy stwora.

Po drugiej stronie Guenhwyar wbijała kły w ciało i zapierała się pazurami o głaz, trzymając silnie ramię potwora.

- Drizzt go dostał! - stwierdził Bruenor, gdy zatrzęsała się pod nimi podłoga. Zważywszy na porażkę prostej, choć sprytnej pułapki, gobliny rzeczywiście poddały korzystniejszy, wyższy teren. Głupie stworzenia i tak atakowały, pohukując i wyjąc, rzucały niezdarnie wykonane włócznie, z których większość nie dolatywała do celu.

Krasnoludzka odpowiedź była skuteczniejsza. Przodowała w niej Catti-brie, natychmiast naciągając Poszukiwacza Serc i wypuszczając magiczną strzałę o srebrnym drzewcu, która wydawała się ciągnąć za sobą błyskawicę w swym śmiertcionośnym locie. Wypaliła ona gładką, dymiącą dziurę w jednym goblinie, podobnie zrobiła z drugim z tyłu i wbiła się w pierś trzeciego. Cała trójka upadła na ziemię.

Stu krasnoludów ryknęło i rzuciło się do ataku, ciskając w nacierające gobliny toporami oraz młotami.

Catti-brie znów wystrzeliła, a później jeszcze raz, i za pomocą trzech pocisków uzyskała osiem ofiar. Teraz to ona zwróciła w stronę Wulfgara spojrzenie pełne wyższości, zaś barbarzyńca, upokorzony, szybko odwrócił wzrok.

Podłoga kołysała się gwałtownie, a Bruenor słyszał pod sobą ryki rannego giganta.

- Na dół! - krasnoludzki król rozkazał nad tumultem bitwy. Zaciekle krasnoludy nie potrzebowały zbyt wiele zachęty, bowiem pierwsze gobliny były już wtedy blisko platformy. Uderzyły w nie żywe krasnoludzkie pociski, wbijając się w szeregi goblinów, wymierzając cios pięściami, butami i bronią, zanim jeszcze do końca spadły.

* * *

Wspierająca kolumna pękła na pół, gdy ettin niechcący ją potrącił, starając się przeprowadzić swą maczugę dookoła, by trafić Drizzta. Platforma opadła, przygważdżając głupią bestię.

Drizzt, przycupnięty bezpiecznie obok giganta, nie mógł uwierzyć, jak źle gobliny obmyśliły swój plan. - Jak ty w ogóle zamierzałeś stąd wyjść? - spytał, choć ettin nie mógł go oczywiście zrozumieć.

Drizzt potrząsnął głową, niemal z żalu, po czym zaczął pracować sejmitemi nad twarzą i gardłem potwora. Chwilę później Guenhwyar wskoczyła na drugą głowę, ryjąc głębokie blizny pazurami.

Po zaledwie kilku sekundach tropiciel i jego kocia towarzyszką wyskoczyli spod opadłej platformy, zakończywszy sprawę. Wiedząc, że jego wyjątkowe talenty mogą się lepiej przydać gdzie indziej, Drizzt unikał szaleńczej walki i przemykał wzdłuż bocznej ściany jaskini.

Z tego co widział, do głównej komnaty prowadził tuzin korytarzy, i przez niemal wszystkie wlewały się gobliny. Większym problemem byli jednak nieoczekiwani sojusznicy goblinów, bowiem ku swemu zdumieniu Drizzt zauważył więcej gigantycznych ettinów, stojących spokojnie i cicho za stalagmitami, czekających na moment, kiedy będą mogły dołączyć się do walki.

* * *

Catti-brie, wciąż stojąca na platformie i strzelająca do hordy goblinów, była pierwsza, która dostrzegła Drizzta, znajdującego się w połowie drogi na stalagmitowy kopiec po lewej stronie jaskini, i machającego do niej i Wulfgara.

Z walczącej masy wyłonił się goblin i zaszarżował na młodą kobietę, jednak wyszedł przed nią Wulfgar i cisnął swym wielkim młotem, posyłając go cztery metry za krawędź. Barbarzyńca obrócił się tak szybko, jak tylko mógł, starając się przygotować obronę, bowiem z boku pojawił się następny goblin, zbliżając się i trzymając przed sobą włócznię.

Niemal udało mu się uderzyć, jednak jego głowa eksplodowała w wyniku uderzenia ciągnącej za sobą srebrny strumień strzały.

- Drizzt nas potrzebuje - wyjaśniła Catti-brie i zaprowadziła barbarzyńcę na lewo wzdłuż kołyszącej się platformy. Wulfgar biegł obok krawędzi i zrzucał wszystkie gobliny, które próbowały się wdrapać.

Kiedy oddalili się od głównej walki, Drizzt zasygnalizował Catti-brie, by utrzymała pozycję, a Wulfgarowi, by ostrożnie podszedł.

- Znalazł jakichś gigantów - wyjaśnił im Regis, ukryty trochę poniżej pary - za tamtymi pagórkami.

Drizzt wyskoczył zza stalagmitu, po czym zanurkował z powrotem dołem, wykonując obronny salta przed ścigającym go ettinem, który chciał go zmiażdżyć parą bliźniaczych pałek.

Gigant zachwiał się w tył, gdy strzała Catti-brie wbiła mu się w pierś, paląc brudną zwierzęcą skórę, którą miał na sobie.

Drugi pocisk pozbawił go równowagi, zaś ciśnięty przez Wulfgara młot, wspomagany okrzykiem "Tempus!", powalił stwora.

Guenhwyvar, wciąż znajdująca się na zboczu pagórka, skoczyła na wytaczającego się drugiego ettina. Potężne pazury szarpały zawzięcie, oślepiając obydwie głowy potwora, dopóki Drizzt nie zbliżył się wystarczająco, by zapędzić do pracy swe sejmitary.

Następny gigant wyłonił się z drugiej strony pagórka, jednak Catti-brie już na niego czekała, i uderzała w niego strzała za strzałą, najpierw go obracając, a w końcu powalając martwego na ziemię.

Wulfgar rzucił się do ataku, chwytając z powrotem swój magiczny młot bojowy. Do czasu gdy barbarzyńca do niego dotarł, Drizzt skończył już z gigantem, więc mroczny elf dołączył do swego przyjaciela i ramię przy ramieniu powitali kolejne szarżujące potwory.

- Jak za dawnych czasów - stwierdził Drizzt. Nie czekał na odpowiedź, lecz rzucił się przewrotem przed Wulfgara.

Obydwaj wzdrygnęli się, oślepieni na chwilę, gdy przemknęła pomiędzy nimi następna strzała Catti-brie, wbijając się w brzuch najbliższego giganta.

- Zrobiła to, żeby przekazać swoje zdanie - stwierdził Drizzt i nie czekał na odpowiedź, lecz znów wzbil się przewrotką przed Wulfgara.

Rozumiejąc dywersyjną taktykę Drizzta, barbarzyńca cisnął Aegis-fangiem tuż nad toczącą się sylwetką i ettin, pochylający się by trafić Drizzta, przyjął młot prosto w bok jednej z głów. Druga głowa pozostała przy życiu, była jednak oszołomiona i zdezorientowana przez ułamek sekundy potrzebny jej do objęcia kontroli nad całym ciałem.

Ułamek sekundy to było zdecydowanie zbyt długo, gdy miało się do czynienia z Drizztem Do'Urdenem. Zwinny drow podskoczył, z łatwością unikając zamaszystego uderzenia, i wykonał sejmitarami cięcie krzyżne, które wyrysowało na gardle giganta dwie równoległe linie.

Ettin opuścił pałki i chwycił się za śmiertelną ranę.

Strzała posłała go na ziemię.

Za pagórkami pozostały jeszcze dwa ettiny, jednak obydwa - i wszystkie cztery głowy - już wystarczająco długo napatrzyły się na walczących towarzyszy. Bestie rzuciły się do bocznego tunelu, prosto na maszerujący oddział Dagny.

Jeden ranny ettin zatoczył się z powrotem do głównej groty, a przy każdym kulejącym kroku, jaki wykonywał, w jego pochylony grzbiet uderzał tuzin ciśniętych młotów. Zanim Drizzt, Wulfgar czy nawet Catti-brie ze swoim łukiem zdołali wykonać jakiś ruch w kierunku stwora, z tunelu wypadło mrowie krasnoludów, rzucając się na niego. Powalili go na ziemię, zasiekli i podążyli ochoczo do dalszej walki.

Drizzt spojrział na Wulfgara i wzruszył ramionami.

- Nie obawiaj się, mój przyjacielu - odparł barbarzyńca uśmiechając się. - Zostało jeszcze wiele stworów! - Znów zawoławszy do swego boga bitwy, Wulfgar obrócił się i rzucił w stronę głównej walki, starając się dostrzec jednorogi hełm Bruenora w wijącym się morzu splątanych goblinów i krasnoludów.

Drizzt nie ruszył jednak za nim, przedkładając pojedynczą walkę nad dzikość ogólnej bijatyki. Przyzwawszy do boku Guenhwyvar drow przeszedł wzdłuż ściany, wychodząc w końcu z głównej komnaty.

Po zaledwie paru krokach oraz ostrzegawczym warknięciu jego zaufanej kociej przyjaciółki uświadomił sobie, że Regis nie jest daleko.

* * *

Ocena krasnoludzkiej dzielności okazała się celna, gdy bitwa przekształciła się wkrótce w bezładną ucieczkę. Wymieniając trafienia z opancerzonymi krasnoludami, gobliny odkryły szybko, że ich toporne miecze i niewielkie pałki nie mogły się równać z ostrą bronią ich przeciwników. Pobratymcy Bruenora byli również lepiej wyćwiczeni, utrzymywali zwarte szeregi i nerwy na wodzy, co było trudne w chaosie walki i pośród krzyków umierających.

Gobliny uciekały dziesiątkami, większość trafiała na szeregi Dagny i jego krasnoludy pragnące ich zabić.

W całym tym zamieszaniu Catti-brie musiała starannie wybierać strzały, zwłaszcza że nie mogła być pewna, czy jej pocisk zatrzyma się na skórzastym ciele goblina. Młoda kobieta koncentrowała się głównie na stworach wyłamujących się z szeregów, uciekających na otwarty teren pomiędzy główną walką a siłami Dagny.

Pomimo swoich wypowiedzi o negocjacjach oraz oskarżeń wymierzonych w Bruenora i pozostałych, młoda kobieta nie mogła zaprzeczyć mrowieniu, zastrzykowi adrenaliny, jakie odczuwała za każdym razem, gdy unosiła Taulmarila Poszukiwacza Serc.

Oczy Wulfgara również lśniły blaskiem wskazującym na silny instynkt przetrwania. Wychował się wśród wojowniczego ludu, we wczesnym wieku poznał żądzę walki, szął, który został osłabiony,

dopiero gdy Bruenor i Drizzt nauczyli go postrzegania wartości wrogów oraz powiedzieli o licznych żalach, jakie spowodowały wojny jego plemienia.

W tej walce nie było jednak winy, nie wobec złych goblinów, i szarży Wulfgara znad martwych ettinów do większej bitwy towarzyszyła szczerą pieśń do Tempusa. Wulfgar nie znalazł żadnego celu na tyle pewnego, by mógł cisnąć swym młotem, nie zraziło go to jednak, zwłaszcza kiedy grupa kilku goblinów wyłamała się z walki i zaczęła uciekać w jego stronę.

Prowadzące trzy ledwo zdołały zorientować się, że jest tam barbarzyńca, kiedy poziomy zamach Aegis-fangiem trafił w nie z boku, zabijając dwa. Gobliny z tyłu potknęły się zaskoczone, jednak mimo to nadal parły do przodu, przepływając obok barbarzyńcy niczym rzeka omijająca głaz.

Pod następnym potężnym ciosem Aegis-fanga pękła głowa goblina. Wulfgar chwycił młot jedną ręką w połowie, by odbić miecz, po czym wymierzył pięścią lewy sierpowy, który zgruchotał szczękę jego niedoszłego napastnika i posłał stworzenie w powietrze.

Barbarzyńca poczuł w boku ukąszenie i odsunął się, zanim miecz zdołał wbić się głęboko. Zamachnął się w tył wolną ręką, trafiając na głowę atakującego i podnosząc szamoczącego się stwora z ziemi. Wciąż miał swój miecz i Wulfgar zdał sobie sprawę, że jest narażony na ciosy. Jediną możliwą obronę znalazł w czystej dzikości, potrząsał podniesionym goblinem w tył i przód tak gwałtownie, że stworzenie nie było w stanie uderzyć.

Wulfgar obrócił się dookoła, by zmusić licznych napastników do cofnięcia się i wykorzystał pęd, by pomóc sobie w zamachu młotem. Nacierający goblin starał się wycofać i uniósł ramię w żalostnej obronie, jednak młot bojowy przedarł się przez skórzastą kończynę i miażdżył dalej, uderzając w głowę stwora tak potężnie, iż kiedy goblin padł na ziemię, wylądował na plecach. Jego twarz była dokładnie przyciśnięta do skały.

Uparty, głupi goblin w powietrzu musnął wielki biceps Wulfgara. Barbarzyńca opuścił gwałtownie stworzenie, ścisnął i obrócił, słysząc satysfakcjonujący trzask kości. Widząc kątem oka zbliżający się atak, cisnął martwą istotą w jej towarzyszy, roztrzaskując ich.

- Tempus! - ryknął barbarzyńca. Chwycił oburącz swój młot bojowy i rzucił się w środek otaczającej go grupy, wymachując raz za razem Aegis-fangiem. Każdy goblin, który nie mógł uciec przed tą szaleńczą szarżą, który nie mógł się wydostać ze śmiertelniegroźnego zasięgu broni, kończył z całkowicie zniszczoną jakąś częścią ciała.

Wulfgar obrócił się i skierował w stronę grupy, o której wiedział, że jest za nim. Gobliny rzeczywiście zaczęły atak, jednak kiedy potężny wojownik się odwrócił, z twarzą wykrzywioną dzikim szaleństwem, obróciły się i zaczęły uciekać. Wulfgar cisnął swym młotem, miażdżąc jednego z nich, po czym odwrócił się z powrotem do wcześniejszej gromady.

Tamci również uciekali, najwyraźniej nie dbając o to, że dziki człowiek nie jest uzbrojony.

Wulfgar chwycił jednego z nich za łokieć, obrócił go w swoją stronę i uderzył ręką w twarz, powalając plecami na ziemię. Kiedy Aegis-fang znów pojawił się w dłoni barbarzyńcy, jego furia podwoiła się.

* * *

Bruenor musiał zaprzeć się mocno butem, by uwolnić wielokrotnie wyszczerbiony młot z piersi ostatniej ofiary. Kiedy ostrze się wydostało, wylał się za nim strumień krwi, opryskując krasnoluda. Bruenor nie dbał o to, pewien, że gobliny były złymi istotami, że rezultaty jego szaleńczych ataków uczynią świat lepszym.

Uśmiechając się szeroko, król krasnoludów przedzierał się w tłumie w tę i tamtą stronę, znajdując w końcu kolejny cel. Goblin uderzył pierwszy, jego pałka pękła w zetknięciu z solidną tarczą Bruenora. Głupi goblin wpatrywał się z niedowierzaniem w złamaną broń, po czym podniósł wzrok na krasnoluda, akurat by zobaczyć topór pomiędzy swymi oczyma.

Na prawo od krasnoluda błysnęło, strasząc krasnoluda i pozbawiając go przyjemności. Zdał sobie jednak sprawę, że to robota Catti-brie i cztery metry dalej zobaczył ofiarę, przybitą do kamiennej podłogi drżącą strzałą o srebrnym drzewcu.

- Cholernie dobry łuk - mruknął krasnolud i spoglądając z powrotem na swoją córkę, zauważył wdrapującego się na platformę goblina.

- O niedoczekanie twoje! - krzyknął krasnolud, biegnąc w stronę platformy i rzucając się na nią. Pojawił się przy stworze, gotów do wymiany ciosów, kiedy kolejny błysk zmusił go do odskoczenia.

Goblin wciąż stał, spoglądając na swą pierś, jakby spodziewał się tam znaleźć wystającą z niej strzałę. Trafił jednak na dziurę, przez obydwa płuca.

Goblin wsadził do środka palec, w śmiesznej próbie zatamowania upływu krwi, po czym padł martwy.

Bruenor oparł dłonie na biodrach i spojrzał stanowczo na swą córkę. - Hej, dziewczyno - odezwał się ganiąco. - Zabierasz mi całą zabawę!

Palce Catti-brie zaczęły naciągać cięciwę, lecz uspokoiła się natychmiast.

Bruenor zaczął się zastanawiać nad zagadkowym czynem dziewczyny, po czym zrozumiał, gdy goblinska pałka uderzyła go silnie w tył głowy.

- Zostawiłam go dla ciebie - powiedziała wzduszając ramionami Catti-brie, była to słaba wymówka, zważywszy na błysk w ciemnych oczach Bruenora.

Bruenor nie słuchał. Podniósł gwałtownie tarczę w górę, blokując następny przewidywalny atak, i obrócił się, trzymając przed sobą topór. Goblin wciągnął brzuch i odskoczył na palcach nóg.

- Za blisko - powiedział mu krasnolud, z uprzejmości używając jego własnego języka, a jego słowa okazały się prawdziwe, gdy goblinowi zaczęły się wylewać wnętrzności.

Przerażony stwór spojrział niedowierzająco.

- Nie powinieneś był mnie atakować, gdy nie patrzę - to były całe przeprosiny, jakie mógł otrzymać od Bruenora Battle-hammera, i drugie trafienie, wymierzone w szyję goblina, zdjęło mu głowę z ramion.

W związku z tym, że platforma była wolna od wrogów, zarówno Bruenor, jak i Catti-brie, odwrócili się w stronę ogólnej bitwy. Catti-brie podniosła łuk, lecz nie widziała sensu w wypuszczaniu kolejnych strzał. Większość goblinów uciekała, lecz wojska Dagny znajdowały się w całej komnacie, nie miały więc gdzie umykać.

Bruenor zeskoczył na dół i ustawił swe oddziały w zorganizowany pościg. Niczym wielka, klapiąca paszcza, krasnoludy zaczęły miażdżyć horde goblinów.

ROZDZIAŁ 4

KRASNOLUDZKA ZABAWKA

Drizzt przemykał cichym tunelem, zostawiwszy za sobą zgiełk szalonej bitwy. Drow nie obawiał się, wiedział bowiem, iż jego cień, jego Guenhwyvar, biegła cicho niedaleko przed nim. Bardziej troskało go to, że Regis trzymał się uparcie jego pleców. Na szczęście halfling poruszał się równie cicho jak drow, równie dobrze trzymając się cieni, i nie wydawał się niedogodnością.

Konieczność ciszy była jedyną rzeczą, jaka powstrzymywała Drizzta przed natychmiastowym wypyтaniem halflinga, bowiem jeśli natknęliby się na bandę goblinów, Drizzt nie wiedział, jak Regis, który nie był wyszkolony do walki, trzymałby się z dala od niebezpieczeństwa.

Z przodu czarna pantera przystanęła i spojrzała na Drizzta. Kocica, czarniejsza niż ciemność korytarzy, prześlizgnęła się następnie przez otwór i weszła do znajdującej się z boku groty. Za wejściem Drizzt usłyszał nie dające się z niczym pomylić warkotliwe głosy goblinów.

Drizzt zerknął w tył na Regisa, na czerwone kropki wskazujące jego wyczuwające ciepło oczy. Halflingi również potrafiły widzieć w ciemności, jednak zdecydowanie nie tak dobrze jak drowy i gobliny. Drizzt podniósł jedną rękę w górę, wskazując Regisowi, by poczekał w korytarzu, po czym pomknął w przód ku wejściu.

Gobliny, przynajmniej sześć lub siedem, były stłoczone w pobliżu środka małej komnaty, rozłupując liczne naturalne, przypominające zęby kolumny.

Na prawo, wzdłuż ściany, Drizzt wyczuł lekkie poruszenie, i wiedział, że to Guenhwyvar, cierpliwie czekająca, aż on wykona pierwszy ruch.

Jakże wspaniałą towarzyszką do walki była, przypomniał sobie Drizzt. Guenhwyvar zawsze pozwalała Drizztowi określać bieg walki, po czym wybierała najlepszy sposób, by się do niego dostosować.

Drow tropiciel przesunął się do najbliższego stalagmitu, przeczołgał na brzuchu do następnego i przetoczył do jeszcze jednego, coraz bardziej zbliżając się do swej zdobyczy. Doliczył się już dziewięciu goblinów, najwyraźniej dyskutujących nad najlepszym kierunkiem działania.

Nie wystawili straży, nie mieli pojęcia, że niebezpieczeństwo jest w pobliżu.

Jeden odszedł kawałek, by oprzeć się plecami o stalagmit, oddalony od innych o zaledwie półtora metra. Jego brzuch przeciął sejmitar, wbijając się w płuca, zanim zdążył wydać z siebie dźwięk.

Zostało ośmiu.

Drizzt położył ciało na ziemi i zajął jego miejsce, przyciskając plecy do kamienia.

Chwilę później jeden z goblinów zawołał do niego, uważając go za martwego goblina. Drizzt stęknął w odpowiedzi. Wyciągnęła się ręka, by klepnąć go w ramię, a drow nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Goblin stuknął go raz, po czym kolejny, wolniej, i wtedy stworzenie zaczęło obmacywać gruby płaszcz drowa, najwyraźniej dostrzegając wyższą sylwetkę Drizzta.

Z wyrazem zaciekawienia na swej brzydkiej twarzy, goblin zerknął za kolumnę.

Nagle było ich już siedmiu, a Drizzt wskoczył w ich środek, wykonując sejmitarami niewyraźny ruch, który w mgnieniu oka powalił dwa najbliższe goblina.

Pozostałych pięciu wrzasnęło i rozbiegło się, niektóre wpadły na stalagmity, inne zaś na siebie nawzajem przewracając się.

Jeden z goblinów szedł prosto na Drizzta, z jego ust płynął miarowy strumień niezrozumiałych słów, a ręce były rozwarte szeroko w geście przyjaźni. Najwyraźniej dopiero wtedy zły stwór uświadomił sobie, że ten mroczny elf nie jest potencjalnym kompanem, zaczął bowiem spiesznie się cofać. Sejmitary Drizzta skrzyżowały się w wymierzonym w dół cięciu, rysując gorącą krwią X na piersi stworzenia.

Guenhwyvar przeniknęła obok drowa atakując goblina, który uciekał w stronę przeciwległej ściany jaskini. Po jednym zamachu wielkiej łapy pantery zostało jedynie trzech.

W końcu dwa gobliny na tyle odzyskały swe zmysły, by natrzeć na drowa w skoordynowany sposób, z wyciągniętą bronią. Jeden wymierzył zamaszty cios pałąką, jednak Drizzt odtrącił ją w bok, zanim się zbliżyła.

Jego sejmitar, ten sam, którego użył do odtrącenia ciosu, pomknął w lewo, później w prawo, w lewo i w prawo, i jeszcze trzeci raz, pozostawiając oszołomione stworzenie z sześcioma śmiertelnymi ranami. Z ogłupiałym wzrokiem padło ono plecami na ziemię.

Przez cały ten czas drugi sejmitar Drizzta z łatwością parował bardziej desperackie ataki drugiego goblina.

Kiedy drow odwrócił się, by stanąć bezpośrednio przed stworzeniem, wiedziało już, że jest zgubione. Cisnęło swym krótkim mieczem w Drizzta, znów z niewielkim efektem, po czym rzuciło się za najbliższy kamienny filar.

Zza niego wyszedł ostatni z zaskoczonych stworów, zaskakując drowa i zabezpieczając drugiemu drogę ucieczki. Drizzt przeklął wyraźne szczęście goblina. Nie chciał, by którykolwiek uciekł, jednak te, albo z rozsądku, albo przypadkiem, uciekały w przeciwnych kierunkach. Ułamek sekundy później drow usłyszał jednak zza kolumny dźwięczny trzask i goblin, który rzucił wcześniej w niego mieczem, wytoczył się zza pilaru ze strzaskaną czaszką.

Regis, trzymając swój mały buzdygan, wyjrzał zza kolumny i wzruszył ramionami.

Drizzt był zakłopotany i tylko odwzajemnił spojrzenie, po czym obrócił się, by rzucić się w pościg za pozostałym goblinem, który szybko kluczył pomiędzy kamiennymi zębami, kierując się do korytarza na przeciwległym końcu groty.

Drow, szybszy i zręczniejszy, stopniowo zmniejszał dystans. Zauważył Guenhwyvar, której paszcza lśniła gorącem od krwi świeżej ofiary, jak pędzi równoległym torem i zbliża się do goblina z każdym długim susem. Drizzt był przekonany, że stwór nie ma szansy uciec.

Przy wyjściu goblin zatrzymał się nagle. Drizzt umknął w bok, podobnie jak Guenhwyvar, obydwójce rzucając się pod osłonę kolumn, kiedy ciało goblina pokryło się serią trzaskających i iskrzących wybuchów. Wrzasnął i zaszamotał się szaleńczo, w jedną i drugą stronę, zrywając z siebie kawałki ubrania i ciała.

Eksplodacje utrzymywały się jeszcze na długo po tym, jak zginął. W końcu znikły, a z kilku tuzinów wypalonych ran ulatywał dym.

Drizzt i Guenhwyvar nie ruszali się, zachowując absolutną ciszę, nie wiedzieli bowiem, jaki nowy potwór się pojawił.

Komnata została nagle oświetlona magicznym światłem.

Drizzt, usilnie starając się skupić wzrok, zacisnął mocniej sejmity.

- Wszystkie martwe? - usłyszał znajomy krasnoludzki głos. Mrugnawszy otworzył oczy i ujrzał wchodzącego do pomieszczenia kapłana Cobble'a, z jedną dłonią w dużej sakwie przy pasku, drugą zaś trzymającego przed sobą tarczę.

Za nim pojawiło się kilku żołnierzy, a jeden z nich mruknął - Cholernie dobry czar, kapłanie.

Cobble przesunął się, by zbadać rozszarpane ciało, po czym pokiwał twierdząco głową. Drizzt wychynął zza kolumny.

Dłonie zaskoczonego kapłana zaczęły wymachiwać, ciskając w stronę drowa kilkanaście małych przedmiotów - kamyków? Guenhwyiar warknęła, Drizzt rzucił się w bok, a kamyki trafiły tam, gdzie przed chwilą stał, wzniecając kolejny szereg małych eksplozji.

- Drizzt! - krzyknął Cobble, uświadamiając sobie swój błąd. - Drizzt! - Podbiegł do drowa, który spoglądał na liczne osmalone ślady na skale.

- Wszystko w porządku, drogi Drizzcie?! - krzyczał Cobble.

- Cholernie dobry czar, kapłanie - odparł Drizzt, imitując najlepiej jak potrafił głos krasnoluda oraz uśmiechając się szeroko z podziwem.

Cobble klepnął go potężnie w plecy, niemal przewracając. - Ja też go lubię - powiedział, pokazując Drizztowi, że ma całą sakwę pełną bombopodobnych kamyków. - Chcesz trochę?

- Ja chcę - odrzekł Regis, wychodząc zza stalagmitu, bliżej wejścia do tunelu niż był Drizzt.

Drow zamrugał swymi lawendowymi oczyma, dziwiąc się dzielności halflinga.

* * *

Kolejny oddział goblinów, liczący ponad setkę osobników, został ustawiony w korytarzach na prawo od głównej komnaty, aby uderzyć od flanki, gdy rozpocznie się walka. Po niepowodzeniu z pułapką oraz wykonaną następnie przez Bruenora szarżę (prowadzoną przez straszne strzały o srebrnych drzewcach), żalosnej porażce ettinów oraz przybyciu krasnoludzkich sił Dagny, nawet głupie goblino były wystarczająco rozsądne, by odwrócić się w tył i rzucić do ucieczki.

- Krasnoludy! - krzyknął jeden z biegnących na przedzie goblinów, a pozostałe zaczęły zaraz powtarzać po nim echem, które przeszło z przerażenia w żądzę bitwy, gdy stwory przekonały się, iż wpadły na małą grupę brodatego ludu, być może oddział zwiadowczy.

Jakkolwiek było, krasnoludy najwyraźniej nie miały zamiaru zatrzymać się, by walczyć, więc pościg trwał.

Kilka zakrętów doprowadziło uciekające krasnoludy i podążające za nimi gobliny do szerokiego, gładko obrobionego i oświetlonego pochodniami tunelu, jednego z tych, które kilkaset lat wcześniej zostały wykute przez krasnoludy z Mithrilowej Hali.

Po raz pierwszy od tamtych zamierzchłych dni krasnoludy znów tu były, czekając.

Potężne krasnoludzkie dłonie nasadziły wielkie dyski na drewnianą belkę, jeden za drugim, dopóki całość nie zaczęła przypominać wielkiego, cylindrycznego koła, równie wysokiego jak krasnolud i niemal tak szerokiego jak obrobiony korytarz, ważącego dobrze ponad tonę. Główny szkielet całości uzupełniało kilka odpowiednio umiejscowionych kołków, owijka z arkusza metalu (z przybitymi do niej ostrymi, paskudnymi zadziorami) oraz dwie karbowane rączki, które wychodziły z boków koła, biegnąc aż za wynalazek, gdzie mogły je trzymać krasnoludy i popychać całość do przodu.

Jako akcent końcowy powieszono na przedzie płachtę z pełnowymiarowymi podobiznami szarżujących krasnoludów, która miała utrzymywać gobliny w szeregach, dopóki nie będzie już za późno na odwrót.

- Idą - doniósł jeden ze zwiadowców, wracając do głównego oddziału. - Za kilka minut przejdą zakręt.

- Czy nagonka jest gotowa? - spytał krasnolud dowodzący brygadą zabawki.

Inny krasnolud skinął głową i brodacze chwycili drągi, ustawiając solidnie dłonie na odpowiednich karbach. Przed wynalazek wyszło czterech żołnierzy, gotowych do szaleńczej ucieczki, podczas gdy reszta stuosobowego krasnoludzkiego kontyngentu stanęła w szeregach za pchającymi.

- Wnęki są trzydzieści metrów stąd - dowódca krasnoludów przypomniał żołnierzom na przedzie. - Nie mińcie znaku! Jak zaczniemy już to toczyć, nie da się zatrzymać!

Od strony uciekających krasnoludów, na przeciwległym końcu długiego korytarza, rozległy się udawane okrzyki strachu, po nich zaś odezwało się wycie ścigających goblinów.

Dowódca krasnoludów potrząsnął swą brodatą głową. Tak łatwo było skusić gobliny. Wystarczyło sprawić, by uwierzyły, że mają przewagę, a wtedy już szły.

Żołnierze na przedzie ruszyli powolnym truchtem, pchacze za nimi podjęli spokojne tempo, po czym za toczącym się spokojnie kołem ruszyła cała armia.

Rozległa się kolejna seria wrzasków, pomiędzy które wdarł się nie dający się z niczym pomylić krzyk - Teraz!

Żołnierze na przedzie ryknęli i rzucili się do biegu. Masywna zabawka sunęła tuż za nimi, krasnoludzkie nogi wprawiły diabelskie koło w szybkie tempo. Ponad hałasem krasnoludy rozpoczęły swą warkotliwą pieśń.

Tunel zbyt niski,

Za blisko ściany,

Uciekaj goblinie,

Bo nadciągamy!

Ich szarża brzmiała niczym lawina, dudniący podkład pod krzyki goblinów. Nagonka zamachała do swych zbliżających się pobratymców, po czym zatrzymała się przy wnękach, zaczynając ciskać wyzwiska w ścigające gobliny.

Dowódca krasnoludów uśmiechnął się ponuro wiedząc, że zabawka minie małe alkowy, jedyne bezpieczne miejsca, na ułamek sekundy przed tym, jak dotrą tam gobliny.

Dokładnie tak, jak zaplanowały krasnoludy.

Nie mogąc zawrócić i uważając, że natknęły się na zwyczajną krasnoludzką ekspedycję, długie szeregi goblinów wydały z siebie bitewne wycie i kontynuowały natarcie.

Krasnoludscy żołnierze na przedzie przyłączyli się do nagonki i razem wskoczyli w alkowy, a zabawka przetoczyła się obok. Płachta przed nią spowodowała, że pierwsze szeregi goblinów zwolniły i zaczęły się zastanawiać.

Bitewne okrzyki zostały zastąpione przez wrzaski przerażenia, rozlegające się w szeregach goblinów. Najbliższy goblin odważnie dźgnął podskakujący wizerunek krasnoluda, zrywając pomalowaną płachtę i odsłaniając swego zabójcę na moment przed tym, jak został zmiażdżony.

Nieustraszone krasnoludy nazwały swą wojenną zabawkę sokowirówką, a strumień płynów goblina, który wypłynął z boku toczącego się koła ukazał, że nazwa była odpowiednia.

- Śpiewajcie, moje krasnoludy! - rozkazał dowódca, i rozległa się donośna pieśń, chrapliwe głosy słychać było ponad wyciem goblinów.

Trach i nie masz lba goblinie,

Krwi kałuża z ciebie płynie,

Dalej bracie, pchaj to koło,

Niechaj będzie im wesoło!

Brutalny wynalazek obijał się i podskakiwał, a pchacze potykali się na goblinach. Jeśli jednak jakiś krasnolud padał, tuzin następnych był gotów zająć jego miejsce przy drągu i zapierać się potężnie nogami.

Armia za kołem zaczęła się rozciągać, krasnoludy przystawały, by dobić te połamane gobliny, które jeszcze się ruszały. Główne siły pozostawały jednak za toczącym się wynalazkiem, bowiem jadąc coraz dalej, zaczął on mijać boczne tunele. Skręcały tam wyznaczone wcześniej brygady, tuż jak przejechała tamtędy zabawka, zabijając wszystkie gobliny w okolicy.

- Ciasny zakręt! - wrzasnął dowódca krasnoludów i z boku pokrytych stałą zewnętrznymi, kamiennych kół poszły iskry. Krasnoludy liczyły, że tocząca się potworność zatrzyma się w tym miejscu.

Nie zrobiła tego jednak i za zakrętem zamajaczył koniec korytarza oraz tuzin goblinów drapiących w niepoddający się kamień, starających się znaleźć drogę ucieczki.

- Puście to! - krzyknął dowódca i biegnące krasnoludy zrobiły to, wpadając na siebie, gdy traciły prędkość.

Z ogromnym hukiem, który wstrząsnął skałami, sokowirówka zderzyła się ze skałą. Cieszącym się krasnoludom nie było trudno odgadnąć, co stało się z nieszczęsnymi stworzeniami, znajdującymi się pomiędzy nią a ścianą.

- Och, dobra robota! - powiedział dowódca do swoich podwładnych, gdy spojrzął za zakręt, na długą linię zmiażdżonych goblinów. Krasnoludy wciąż walczyły, przewyższały jednak znacznie przeciwników pod względem liczebnym, bowiem ponad połowa goblinów zginęła pod kołem.

- Dobra robota! - powtórzył radośnie dowódca i, zgodnie z szacunkami nienawidzącego goblinów krasnoluda, istotnie tak było.

* * *

W głównej komnacie Bruenor i Dagna wymienili zwycięskie i mokre uściski, "dzieląc się krwią swoich wrogów", jak nazywały to brutalne krasnoludy. Kilku krasnoludów zostało zabitych, a wielu innych leżało rannych, jednak żaden z dowódców nie śmiał mieć nadziei, że zwycięstwo będzie tak całkowite.

- Co o tym sądzisz, moja dziewczynko? - Bruenor spytał Catti-brie, gdy ta podeszła do niego, z łukiem wiszącym wygodnie na ramieniu.

- Zrobiliśmy to, co musieliśmy - odparła kobieta. - A gobliny były, jak można było się spodziewać, zdradziecką bandą. Nie cofnę jednak swoich słów. Dobrze zrobiliśmy, próbując najpierw porozmawiać.

Dagna splunął na podłogę, jednak Bruenor, rozsądniejszy z nich dwóch, przytaknął, zgadzając się z córką.

- Tempus! - usłyszeli zwycięski okrzyk Wulfgara, który zauważywszy ich, zaczął się przedzierać w ich stronę, trzymając wysoko nad głową swój potężny młot bojowy.

- Wciąż wydaje mi się, że czerpicie z tego wszystkiego za dużo przyjemności - stwierdziła Catti-brie. Najwyraźniej nie chcąc rozmawiać z Wulfgarem odsunęła się, wracając by pomóc rannym.

- Ba! - parsknął za nią Bruenor. - Z pewnością skłoniłaś swój łuk do słodkiej pieśni!

Catti-brie odsunęła swe kasztanowe loki z twarzy i nie odwróciła wzroku. Nie chciała, by Bruenor widział jej uśmiech.

Pół godziny później weszła do głównej komnaty brygada sokowirówki, donosząc, że prawa flanką jest wolna od goblinów. Zaledwie kilka minut za nimi pojawili się Drizzt, Regis i Guenh-wyvar, mówiąc Bruenorowi, że oddział Cobble'a kończy w korytarzach z lewej i z tyłu.

- Zdobyłeś coś dla siebie? - spytał krasnolud. - To znaczy po ettinach?

Drizzt przytaknął. - Owszem - odparł - podobnie jak Gue-nhwyvar... i Regis. - Zarówno Drizzt, jak i krasnolud, skierowali zaciekawione spojrzenia na halflinga, który stał swobodnie, z zakrwawionym buzdyganem w dłoni. Zauważywszy ich wzrok, Regis wsunął broń za plecy, jakby był zawstydzony.

- Nawet nie spodziewałem się, że tu przyjdiesz, Pasibrzuchu - powiedział do niego Bruenor. - Myślałem, że zostaniesz na górze, racząc się kolejnymi porcjami jedzenia, podczas gdy reszta nas będzie walczyć.

Regis wzruszył ramionami. - Uznałem, że najbezpieczniejsze miejsce na świecie będzie u boku

Drizzta - wyjaśnił.

Bruenor nie zamierzał kłócić się z tym rozumowaniem. - Za parę dni możemy zacząć kopać - wyjaśnił swemu przyjacielowi tropicielowi. - Po tym jak przejdzie tędy kilka ekspedycji górników i uzna to miejsce za bezpieczne.

W tej chwili Drizzt już go prawie nie słuchał. Bardziej interesował go fakt, że Catti-brie i Wulfgar, przechadzający się wzdłuż szeregów rannych, wyraźnie się unikali.

- To jego wina - odezwał się do niego Bruenor, zauważając obiekt zainteresowania.

- Nie uważał, że kobieta powinna brać udział w bitwie - odparł Drizzt.

- Ba! - parsknął rudobrody krasnolud. - Jest doskonałą wojowniczką. Poza tym poszło pięć tuzinów krasnoludzkich kobiet, a dwie z nich nawet zostały zabite.

Twarz Drizzta wykrzywiła się w zdumieniu, gdy spojrział na króla krasnoludów. Potrząsnął bezradnie białą czupryną i zaczął iść w stronę Catti-brie, zatrzymał się jednak po zaledwie kilku krokach i popatrzył w tył, znów potrząsając głową.

- Pięć tuzinów - powtórzył Bruenor prosto w jego powątpiewającą twarz - krasnoludzkich kobiet, powiadam ci.

- Mój przyjacielu - odpowiedział Drizzt, znów podchodząc. - Nigdy bym nie odróżnił.

* * *

Dwie godziny później do pozostałych oddziałów dołączyły wojska Cobble'a, donosząc, że obszary z tyłu są wolne od wrogów. Walka się skończyła, z tego co Bruenor i jego dowódcy mogli powiedzieć, to nawet jeden przeciwnik nie został przy życiu.

Żaden z krasnoludzkich oddziałów nie zauważył szczupłych, ciemnych sylwetek - mrocznych elfów, szpiegów Jarlaxle'a - unoszących się pomiędzy stalaktytami nad krytycznymi obszarami i obserwujących ruchy krasnoludów oraz ich techniki walki z więcej niż tylko przelotnym zainteresowaniem.

Zagrożenie ze strony goblinów zakończyło się, lecz nie był to koniec problemów Bruenora Battlehammera.

ROZDZIAŁ 5

TY O SŁABEJ WIERZE

Dinin obserwował każdy ruch Vierny, patrzył, jak jego siostra przechodzi przez zawile rytuały chwalcące Pajęczą Królową. Drowy znajdowały się w małej kaplicy, jaką Jarlaxle zabezpieczył na użytek Vierny w jednym z pomniejszych domów Menzoberranzan. Dinin pozostawał wierny mrocznej bogini Lloth i dobrowolnie zgodził się towarzyszyć tego dnia Viernie w modłach, jednak tak naprawdę drow uważał to wszystko za pozbawioną sensu fasadę, sądził, że jego siostra jest śmieszną parodią siebie z przeszłości. - Nie powinieneś tak wątpić - odezwała się do niego Vierna, wciąż wykonując rytuał i nawet nie oglądając się przez ramię, by spojrzeć na Dinina.

Vierna odwróciła się jednak na dźwięk zde gustowanego westchnięcia Dinina, a w jej przymrużonych oczach zapłonęła złość.

- Jaki jest tego cel? - zapytał Dinin, odważnie stawiając czoła jej gniewowi. Nawet jeśli Vierna była pozbawiona łaski Lloth, w co uparcie wierzył, była większa i silniejsza od niego oraz uzbrojona w magię kapłańską. Zagryzł zęby, utwierdził się w stanowczości i nie cofnął się, bojąc się, że wzrastająca obsesja Vierny sprowadzi tych, którzy ją otaczają, na ścieżkę destrukcji.

W odpowiedzi Vierna wyciągnęła spomiędzy fałdów swych kapłańskich szat zagadkowy bicz. Choć jego rękojeść była z niewyróżniającego się niczym szczególnym czarnego adamantytu, pięć macek było żywymi, wijącymi się wężami. Dinin rozszerzył oczy, rozumiał znaczenie tej broni.

- Lloth nie pozwalała ich nosić nikomu poza wysokimi kapłankami - przypomniała mu Vierna, z pasją pieścąc głowy.

- Ale straciliśmy łaskę... - zaczął protestować Dinin, jednak był to słaby argument w obliczu pokazu Vierny.

Vierna zmierzyła go wzrokiem i zaśmiała się złowrogo, niemal cedząc śmiech, pochylając się, by pocałować jedną z główek.

- Po co więc iść za Drizztem? - spytał ją Dinin. - Odzyskałaś łaskę Lloth. Dlaczego ryzykować wszystko, ścigając naszego zdradzieckiego brata?

- To właśnie dlatego odzyskałam łaskę! - wrzasnęła Vierna. Podeszła o krok, a Dinin rozsądnie cofnął się. Pamiętał swą młodość w Domu Do'Urden, kiedy to Briza, jego najstarsza i najokrutniejsza siostra, często torturowała go takim przerażającym, wężowym biczem.

Vierna uspokoiła się jednak natychmiast i spojrzała znów na swój ciemny, pokryty pajakami (zarówno żywymi, jak i wyrzeźbionymi) ołtarz.

- Nasza rodzina upadła z powodu słabości opiekunki Malice - wyjaśniła. - Malice zawiodła w najważniejszym zadaniu, jakie kiedykolwiek dała jej Lloth.

- W zabiciu Drizzta - stwierdził Dinin.

- Tak - odpowiedziała krótko Vierna, spoglądając przez ramię na brata. - W zabiciu Drizzta, paskudnego, zdradzieckiego Drizzta. Obiecałam Lloth jego serce, obiecałam naprawić błędy rodziny, abyśmy my, ty i ja, mogli odzyskać łaskę naszej bogini.

- W jakim celu? - nie mógł nie zapytać Dinin, rozglądając się po niewielkiej kaplicy z wyraźną pogardą. - Nasz dom nie istnieje. Nigdzie w mieście nie można wypowiedzieć nazwiska Do'Urden. Co możemy osiągnąć odzyskując łaskę Lloth? Ty będziesz wysoką kapłanką, i z tego jestem zadowolony, jednak nie będziesz miała domu, którym będziesz mogła władać.

- Będę miała! - odparła Vierna, a jej oczy błysnęły. - Jestem ocalałą szlachcianką ze zniszczonego domu, podobnie jak ty, mój bracie. Mamy Prawa Oskarżenia.

Dinin otworzył szeroko oczy. Technicznie rzecz biorąc, Vierna miała rację, Prawa Oskarżenia były przywilejem zarezerwowanym dla ocalałych szlachetnych dzieci ze zniszczonych domów, dzięki którym owe dzieci wskazywały napastników i tym samym sprowadzały na winnych ciężar sprawiedliwości drowów. W pełnym pozakulisowych intryg Menzoberranzan sprawiedliwość rzadko jednak brała górę.

- Oskarżenia? - wyjąkał Dinin, ledwo będąc w stanie wydostać słowa z nagle zaschniętych ust. - Zapomniałaś, jaki dom zniszczył nasz?

- Dzięki temu jest jeszcze przyjemniej - wycodziła jego uparta siostra.

- Baenre! - krzyknął Dinin. - Dom Baenre, Pierwszy Dom Menzoberranzan! Nie możesz poświadczyć przeciwko Baenre. Żaden dom, samotnie czy w sojuszu, nie wykona przeciwko nim żadnego kroku, a opiekunka Baenre kontroluje akademię. Gdzie zbierzesz siły do wymierzenia sprawiedliwości?

- A co z Bregan D'aerthe? - przypomniał jej Dinin. - Ta sama banda najemników, która nas przygarnęła, pomogła zniszczyć nasz dom. - Dinin przerwał nagle, zastanawiając się nad własnymi słowami, wiecznie zdumiony przez paradoks, okrutną ironię społeczeństwa drowów.

- Jesteś mężczyzną i nie potrafisz zrozumieć piękna Lloth - odrzekła Vierna. - Nasza bogini karmi się tym chaosem, uważa tę sytuację za jeszcze przyjemniejszą właśnie z powodu tak wielu szalonych ironii.

- Miasto nie stanie przeciwko Domowi Baenre - powiedział beznamiętnie Dinin.

- Nigdy do tego nie dojdzie! - odwarknęła Vierna, a w jej płonących czerwienią oczach znów

pojawił się błysk. - Opiekunka Baenre jest stara, mój bracie. Jej czas już dawno minął. Kiedy Drizzt zginie, czego żąda Pajęczka Królowa, otrzymam audiencję w Domu Baenre, a wtedy ja... my dokonamy oskarżenia.

- I zostaną nami nakarmieni goblinscy niewolnicy Baenre - odparł sucho Dinin.

- Własne córki opiekunki Baenre wygnają ją, aby dom mógł odzyskać łaskę Pajęczej Królowej - ciągnęła podekscytowana Vierna, ignorując swego wątpliwego brata. - Aby to osiągnąć, umieszczą mnie u władzy.

Dinin ledwo mógł znaleźć słowa, by zbić przedwczesne roszczenia Vierny.

- Pomyśl o tym, mój bracie - ciągnęła Vierna. - Wyobraź sobie, jak stoisz przy mnie, gdy przewodzę Pierwszym Domem Menzoberranzan!

- Lloth ci to obiecała?

- Przez Triel - odrzekła Vierna. - Najstarszą córkę opiekunki Baenre, samą mistrzynię opiekunkę akademii.

Dinin zaczął chwytać. Jeśli Triel, znacznie potężniejsza niż Vierna, zamierzała zastąpić swą matkę, obdarzoną godnym podziwu wiekiem, z pewnością zażądałaby tronu Baenre dla siebie, a przynajmniej pozwoliłaby na nim zasiąść jednej ze swych wartych tego sióstr. Wątpliwości Dinina były wyraźne, kiedy siedział tak na jednej z ławek, skrzyżowawszy przed sobą ręce i potrząsając powoli głową, w przód i w tył.

- W moim orszaku nie ma miejsca dla niedowiarków - ostrzegła Vierna.

- Twoim orszaku? - odparł Dinin.

- Bregan D'aerthe to tylko narzędzie, dane mi, abym mogła zadowolić boginię - wyjaśniła bez wahania Vierna.

- Jesteś szalona - rzekł Dinin, zanim znalazł w sobie mądrość, by zachować tę myśl dla siebie. Ku jego uldze Vierna nie ruszyła jednak w jego stronę.

- Pożałujesz tych bluźnierczych słów, gdy zdradziecki Drizzt zostanie oddany Lloth - obiecała kapłanka.

- Nigdy nie zdołasz zbliżyć się do naszego brata - odpowiedział ostro Dinin, jego wspomnienia z

poprzedniego katastrofalnego spotkania z Drizztem wciąż były boleśnie wyraźne. - A ja nie pójdę z tobą na powierzchnię, nie przeciwko temu demonowi. On jest potężniejszy, Vierno, niż to sobie wyobrażasz.

- Cisza! - słowo to niosło w sobie magiczną moc i Dinin zauważył, że jego następne planowane protesty utkwiliły mu w gardle.

- Potężniejszy? - odezwała się chwilę później Vierna ganiącym tonem. - Co ty wiesz o potędze, nieudolny mężczyzno? - Jej twarz przeciął paskudny uśmiech, mina powodująca, że Dinin zaczął się wiercić na swoim siedzeniu. - Chodź ze mną, wąpiący Dininie - poprosiła Vierna. Ruszyła w stronę bocznych drzwi, lecz Dinin nie podążył za nią.

- Chodź! - rozkazała, a Dinin zauważył, że nogi poruszają się pod nim, że pozostawia za sobą ten mieszczący się w jednym stalagmicie kompleks pomniejszego domu, że pozostawia za sobą całe Menzoberranzan, wiernie podążając za każdym krokiem swej szalonej siostry.

* * *

Zaraz gdy dwoje Do'Urdenów zeszło z pola widzenia, Jarlaxle nasunął zasłonę na swe lustro szpiegowskie, rozprasząc obraz małej kaplicy. Pomyślał, że powinien porozmawiać wkrótce z Dininem, aby ostrzec upartego wojownika przed konsekwencjami, jakim będzie musiał stawić czoła. Jarlaxle szczerze lubił Dinina i wiedział, że drow zmierza ku zagładzie.

- Dobrze ją skusiłaś - odezwał się najemnik do stojącej obok niego kapłanki, mrugając do niej diabelsko lewym okiem - odkrytym tego dnia.

Kobieta, niższa niż Jarlaxle, lecz obnosząca się z niezaprzeczną potęgą, parsknęła w stronę najemnika, jej zadowolenie było wyraźne.

- Moja droga Triel - rzekł czule Jarlaxle.

- Trzymaj język za zębami - ostrzegła Triel Baenre - albo wyrwę ci go i dam, żebyś mógł trzymać w ręku.

Jarlaxle wzruszył ramionami i rozsądnie skierował rozmowę z powrotem na sprawy aktualne. - Vierna wierzy w twoje słowa - stwierdził.

- Vierna jest zdesperowana - odparła Triel Baenre.

- Poszłaby za Drizztem po obietnicy, że weźmiesz ją do swojej rodziny - uznał najemnik. - Ale nęcić ją iluzjami, że zastąpi opiekunkę Baenre...

- Im większa nagroda, tym większa motywacja Vierny - odrzekła spokojnie Triel. - Ważne jest dla mojej matki, aby Drizzt Do'Urden został oddany Lloth. Niech ta głupia kapłanka Do'Urden myśli sobie, co chce.

- Zgoda - powiedział ze skinieniem Jarlaxle. - Czy Dom Baenre przygotował eskortę?

- Wraz z wojownikami Bregan D'aerthe prześlizgną się trzy dziesiątki - odparła Triel. - To tylko mężczyźni - dodała z ironią - i nie są nie do zastąpienia. - Pierwsza córka Domu Baenre przekrzywiła z zaciekawieniem głowę, patrząc wciąż na przebiegłego najemnika.

- Czy będziesz towarzyszył osobiście Viernie wraz ze swoimi wybranymi żołnierzami? - spytała Triel. - Aby koordynować obydwie grupy?

Jarlaxle złożył razem swe szczupłe dłonie. - Jestem częścią tego wszystkiego - odpowiedział stanowczo.

- Ku mojej nieprzyjemności - warknęła córka Baenre. Wypowiedziała pojedyncze słowo i zniknęła w błysku.

- Twoja matka mnie kocha, droga Triel - Jarlaxle powiedział do pustki, jakby mistrzyni opiekunka akademii wciąż była przy nim. - Nie przegapię tego - ciągnął najemnik, myśląc na głos. Według szacunków Jarlaxle'a, polowanie na Drizzta mogło dać tylko korzyści. Mógł stracić paru żołnierzy, ale ich da się zastąpić. Jeśli Drizzt rzeczywiście zostanie złożony w ofierze, Lloth będzie zadowolona, opiekunka Baenre będzie zadowolona, a Jarlaxle znajdzie sposób, by zostać nagrodzonym za swoje wysiłki. W końcu, rozpatrując sprawę na niższym poziomie, Drizzt Do'Urden był zdradzieckim renegatem i na jego głowę była nałożona wysoka nagroda.

Jarlaxle zachichotał paskudnie, pławiąc się w pięknie tego wszystkiego. Gdyby Drizzt zdołał jakoś im się wymknąć, to cenę porażki poniesie Vierna, a najemnik wyjdzie nietknięty i będzie mógł prosperować dalej.

Istniała jeszcze jedna możliwość, z której Jarlaxle, spoglądający z dystansem na sytuację i obeznany w zwyczajach drowów, zdawał sobie sprawę, i jeśli dzięki niezwykłemu przypadkowi, miałyby ona miejsce, również znajdowałby się w odpowiedniej pozycji, by odnieść ogromne korzyści, po prostu dzięki swym dobrym stosunkom z Vierną. Triel obiecała Viernie niewyobrażalną nagrodę, bowiem tak poleciły jej Lloth oraz jej matka. Co się stanie, jeśli Vierna wypełni swoją część umowy? - zastanawiał się najemnik. Jaka niespodziankę trzymała w zanadrzu przebiegła Lloth dla Domu Baenre?

Z pewnością Vierna Do'Urden wydawała się szalona, wierząc w puste obietnice Triel, jednak Jarlaxle wiedział dobrze, że wiele z najpotężniejszych drowów w Menzoberranzan, wliczając w to opiekunkę Baenre, wydawało się na pewnym etapie swego życia szalonymi.

Tego samego dnia, lecz później, Vierna przecisnęła się przez zamglone wejście do prywatnych komnat Jarlaxle'a, a jej oszalała mina wyrażała niepokój związany z nadchodzącymi wydarzeniami.

Jarlaxle usłyszał zamieszanie w zewnętrznym korytarzu, lecz Vierna tylko uśmiechała się znacząco. Najemnik odchylił się w tył w swym wygodnym fotelu i zaczął stukać przed sobą palcami, starając się odgadnąć, jaką niespodziankę przygotowała tym razem kapłanka Do'Urden.

- Będziemy potrzebowali dodatkowego żołnierza, by uzupełnić naszą drużynę - rozkazała Vierna.

- To da się załatwić - odparł Jarlaxle, zaczynając chwytać. - Ale dlaczego? Czy Dinin nie będzie nam towarzyszył?

Viernie załśniły oczy.

- Będzie - powiedziała - jednak rola mojego brata w polowaniu zmieniła się.

Jarlaxle nawet nie drgnął, po prostu wciąż siedział odchylony, stukając palcami.

- Dinin nie wierzył w przeznaczenie Lloth - wyjaśniła Vierna, niedbale siadając na brzegu biurka Jarlaxle'a. - Nie chciał towarzyszyć mi w ważnej misji. Pajęcza Królowa zażądała tego od nas! - Zeskoczyła na podłogę, nabrawszy nagle werwy, i podeszła z powrotem do zamglonych drzwi.

Jarlaxle nie poruszył się, nie licząc rozprostowania palców w dłoni miotającej sztylety, a Vierna kontynuowała swą przemowę. Kapłanka zatoczyła ręką łuk obejmujący mały pokój, modląc się do Lloth, przeklinając tych, którzy nie padają na kolana przed boginią oraz swych braci, Drizzta i Dinina. Nagle znów się uspokoiła i uśmiechnęła paskudnie. - Lloth wymaga wierności.

- Oczywiście - odparł niewzruszony najemnik.

- Sprawiedliwość jest wymierzana przez kapłanki.

- Oczywiście.

Viernie rozbłysły oczy, a Jarlaxle naprężył się w obawie, że niestabilna kobieta zaatakuje go z jakiegoś nieznanego powodu. Zamiast tego cofnęła się do drzwi i zawołała cicho swego brata.

Jarlaxle ujrzał za portalem niewyraźną, przysłoniętą sylwetkę, zobaczył jak zamglone drzwi wyginają się i rozciągają, gdy Dinin przechodzi przez nie od drugiej strony.

Do pokoju wsunęła się wielka pajęcza noga, za nią następna i trzecia. Zaraz później przeszedł zmutowany tors, rozebrane i nadęte ciało Dinina, które przekształciło się od pasa w dół w wielkiego, czarnego pajaka. Jego niegdyś smukła twarz wydawała się teraz martwa, napęczniała i pozbawiona

wyrazu, oczy były pozbawione blasku.

Najemnik usilnie starał się zachować miarowy oddech. Zdjął swój wielki kapelusz i przejechał ręką po łysej, spoconej głowie.

Zniekształcony stwór wszedł do komnaty i stanął posłusznie za Vierną, a kapłanka uśmiechnęła się, widząc wyraźny niepokój najemnika.

- Zadanie jest ważne - wyjaśniła Vierna. - Lloth nie będzie tolerować odstępstw.

Jeśli Jarlaxle miał jakieś wątpliwości w kwestii zaangażowania Pajęczej Królowej w misję Vierny, teraz całkowicie zniknęły.

Vierna wykonała na sprawiającym kłopoty Dininie najwyższą karę społeczeństwa drowów, coś, czego mogły dokonać jedynie wysokie kapłanki, cieszące się najwyższą łaską Lloth. Zastąpiła zgrabne ciało Dinina tą groteskową i zmutowaną pajęczą sylwetką, zastąpiła zażartą niezależność Dinina złowrogą naturą, którą mogła naginać do każdego swego kaprysu.

Zamieniła go w dridera.

Cześć 2

POSTRZEGANIE

W języku drowów nie istnieje słowo oznaczające miłość. Najbliższym słowem, które przychodzi mi na myśl, jest ssinssrigg, jednak termin ten odpowiada bardziej fizycznemu pożądanemu lub samolubnej chciwości. Koncepcja miłości istnieje oczywiście w sercach niektórych drowów, jednak na prawdziwą miłość, bezinteresowne pragnienie często wymagające osobistej ofiary, nie ma miejsca w świecie tak zażartej i niebezpiecznej rywalizacji.

Jedynymi ofiarami w kulturze drowów są dary dla Lloth, a te z pewnością nie są bezinteresowne, bowiem dawca ma nadzieję, modli się o coś więcej w zamian.

Mimo to idea miłości nie była dla mnie nowa, gdy opuściłem Podmrok. Kochałem Zaknafaina. Kochałem Belwara i Clackera.

Tak naprawdę właśnie ta zdolność, potrzeba miłości, wyprowadziła mnie w końcu z

Menzoberranzan.

Czy w całym szerokim świecie istnieje bardziej ulotna, bardziej nieuchwytna idea? Wiele osób ze wszystkich ras wydaje się po prostu nie rozumieć miłości, obciążając jej piękną prostotę określonymi zawczasu wizjami i nierealistycznymi oczekiwaniami. Jakże ironiczne jest, że ja, wychodzący z mroku pozbawionego miłości Menzoberranzan, mogę lepiej uchwycić tę koncepcję niż wielu tych, którzy z nią żyją, a przynajmniej mają w swoim życiu stały z nią kontakt.

Niektórych rzeczy drow renegat nie bierze za pewnik.

Moje kilka podróży do Silverymoon w czasie ostatnich kilku tygodni wywołało płynące z dobroci serca żarty moich przyjaciół. - Z pewnością elf skierował oczy na następne wesele! - często mruzczał Bruenor, myśląc o mojej znajomości z Alustriel, panią Silverymoon. Przyjmuję te kpiny w świetle szczerego ciepła oraz kryjących się za nimi nadziei i nie gaszę owych nadziei, wyjaśniając moim drogim przyjaciołom, że się mylą.

Cenię Alustriel oraz dobroć, jaką mi okazała. Cenię, że ona, władczyni w zbyt często nieprzebaczącym świecie, zaryzykowała i pozwoliła mrocznemu elfowi przechadzać się swobodnie po wspaniałych alejach jej miasta. Akceptując mnie jako przyjaciela, Alustriel pozwoliła mi czerpać moje pragnienia z prawdziwych dążeń, nie z oczekiwanych ograniczeń.

Czy ją jednak kocham?

Nie bardziej niż ona kocha mnie.

Przyznaję jednak, iż kocham myśl, że mógłbym kochać Alustriel, i że ona mogłaby kochać mnie, i że, gdyby rzeczywiście istniało zauroczenie, kolor mojej skóry oraz reputacja mego rodowodu nie odstręczałyby szlachetnej pani Siherymoon.

Wiem teraz jednak, że miłość stała się najistotniejszą częścią mojej egzystencji, że moja więź przyjaźni z Bruenorem, Wulfgarem i Regisem jest ważniejsza niż jakakolwiek szczęśliwość, jaką kiedykolwiek znał jakiś drow.

Moja więź z Catti-brie będzie jeszcze dalej.

Szczera miłość jest ideą bezinteresowną, to już powiedziałem, a moja bezinteresowność została tej wiosny wystawiona na ciężką próbę.

Boję się o przyszłość, o Catti-brie i Wulfgara oraz o bariery, jakie będą musieli wspólnie pokonać. Wulfgar ją kocha, w to nie wątpię, jego miłość jest jednak obciążona zaborczością, która zahacza o brak szacunku.

Powinien zrozumieć ducha, jakim jest Catti-brie, powinien wyraźnie zobaczyć paliwo podsycające ogień płonący w jej wspaniałych niebieskich oczach. To właśnie tego ducha kocha

Wulfgar, a mimo to bez wątpienia zdusi go pod wizją roli kobiety jako własności swego męża.

Mój przyjaciel barbarzyńca daleko doszedł, odkąd przemierzał w młodości tundrę. Musi dojść jeszcze dalej, by zatrzymać serce ognistej córki Bruenora, by zatrzymać jej miłość.

Czy w całym świecie istnieje bardziej ulotna, bardziej nieuchwytna idea?

- Drizzt Do'Urden

ROZDZIAŁ 6

ŚCIEŻKA PROSTA I GŁADKA

Nie przyjmę grupy z Nesme! -warknął Bruenor do barbarzyńskiego posłańca z Settlestone.

- Ale, królu krasnoludów... - wyjąkał bezradnie wielki, rudowłosy mężczyzna.

- Nie! - poważny ton Bruenora uciszył go.

- Łucznicy z Nesme odegrali rolę w odzyskaniu Mithrilowej Hali - Drizzt, który stał u boku Bruenora w sali audiencyjnej, przypomniał pospiesznie krasnoludzkiemu królowi.

Bruenor obrócił się gwałtownie na swym kamiennym tronie.

- Zapomniałeś, jak te psy z Nesme potraktowały nas, gdy wcześniej przechodziliśmy przez ich ziemię? - spytał drowa.

Drizzt potrząsnął głową, lecz myśl ta przywołała wręcz uśmiech na jego twarz. - Nigdy - odparł, jednak jego spokojny ton oraz wyraz twarzy mówiły, że choć nie zapomniał, najwyraźniej przebaczył.

Spoglądając na swego mahoniowoskiego przyjaciela, tak spokojnego i zadowolonego, nadąsany krasnolud szybko złagodniał. - Myślisz więc, że powinienem pozwolić im przyjść na wesele?

- To ty jesteś królem - odpowiedział Drizzt i rozłożył ręce tak, jakby to proste stwierdzenie miało wszystko wyjaśniać. Mina Bruenora pokazywała jednak wyraźnie, że tak nie było, więc równie uparty mroczny elf szybko rozwinął myśl - Twoja odpowiedzialność wobec twojego ludu leży w dyplomacji - wyjaśnił. - Nesme będzie cennym partnerem handlowym oraz wartościowym sprzymierzeńcem. Poza tym możemy przebaczyć żołnierzom z często narażonego na niebezpieczeństwo miasta ich reakcję na widok mrocznego elfa.

- Ba, masz za dobre serce, elfie - mruknął Bruenor - i to mi się od ciebie udziela! - Spojrzał na wielkiego barbarzyńcę, wyraźnie spokrewnionego z Wulfgarem, i skinął głową. - Wyślijcie więc moją zgodę do Nesme, ale będę potrzebował wiedzieć, ilu z nich się zjawi!

Barbarzyńca popatrzył na Drizzta z uznaniem, po czym uklonił się i zniknął, choć jego odejście nie zatrzymało narzekania Bruenora.

- Kupa rzeczy do zrobienia, elfie - poskarżył się krasnolud.

- Starasz się uczynić wesele swojej córki największym, jakie kiedykolwiek widziała ta kraina - stwierdził Drizzt.

- Staram się - zgodził się Bruenor. - Ona na to zasługuje, moja Catti-brie. Przez te wszystkie lata starałem się dawać jej to, co mogłem, ale... - Bruenor rozłożył ręce, zapraszając do wzrokowych oględzin swego przysadzistego ciała, przypominając wymownie, że on i Catti-brie nie należeli do tej samej rasy.

Drizzt położył rękę na silnym ramieniu swego przyjaciela. -

Żaden człowiek nie mógłby dać jej więcej - zapewnił Bruenora.

Krasnolud pociągnął nosem, a Drizzt dobrze stłumił chichot.

- Kupa cholernych rzeczy! - ryknął Bruenor, jego napad sentymentalizmu był, jak można było przewidzieć, krótkotrwały. - Córka króla musi mieć odpowiednie wesele, powiadam, a ja nie dostaję zbyt wiele pomocy w robieniu tych wszystkich cholerstw!

Drizzt znał źródło nadmiernie napęczniałej frustracji Bruenora. Krasnolud spodziewał się, że Regis, dawny mistrz gildii i niezaprzeczalnie biegły w etykietce, pomoże w planowaniu wielkiej uroczystości. Wkrótce po tym jak Regis pojawił się w grotach, Bruenor zapewnił Drizzta, że jego kłopoty się skończyły, że "Pasibrzuch zajmie się tym, czym trzeba się zająć".

W rzeczywistości Regis wziął na siebie wiele zadań, jednak nie wykonywał ich tak dobrze, jak spodziewał się lub żądał Bruenor. Drizzt nie był pewien, czy wypływa to z nagłej nieudolności Regisa, czy też przesadnego zachowania Bruenora.

Wtedy wpadł krasnolud i podał Bruenorowi dwadzieścia różnych pergaminów z możliwymi sposobami zorganizowania wielkiej sali jadalnej. Temu pierwszemu następował na piąty drugi krasnolud, niosąc naręcze ewentualnych menu na ucztę.

Bruenor tylko westchnął i spojrzał bezradnie na Drizzta.

- Poradzisz sobie z tym wszystkim - zapewnił go drow. - A Catti-brie uzna to za największe przyjęcie, jakie kiedykolwiek zostało wydane - Drizzt zamierzał ciągnąć dalej wypowiedź, jednak

przerwał po ostatnim stwierdzeniu, na jego twarzy zaś pojawiła się troska, której nie przegapił Bruenor.

- Martwisz się o dziewczynę - stwierdził spostrzegawczy krasnolud.

- Bardziej o Wulfgara - przyznał Drizzt.

Bruenor zachichotał. - Trzech murarzy pracuje przy ścianach chłopaka - powiedział. - Coś musiało w nim wzbudzić ogromny gniew.

Drizzt jedynie przytaknął. Nie ujawnił nikomu, że to on był wtedy celem ataków Wulfgara, że gdyby barbarzyńca wygrał, najprawdopodobniej zabiłby go w ślepym szale.

- Chłopak po prostu jest nerwowy - rzekł Bruenor.

Drow znów przytaknął, choć nie był pewien, czy jest w stanie się z tym zgodzić. Wulfgar istotnie był nerwowy, jednak jego zachowanie wykraczało poza tę wymówkę. Mimo to Drizzt nie miał żadnego lepszego wyjaśnienia, a od czasu incydentu w swojej komnacie, Wulfgar ponownie stał się przyjazny wobec Drizzta, znów wydawał się taki jak dawniej.

- Stanie się spokojniejszy, gdy ten dzień już minie - ciągnął Bruenor, a Drizztowi wydawało się, iż bardziej niż kogokolwiek innego, krasnolud próbuje przekonać samego siebie. To również Drizzt rozumiał, bowiem Catti-brie, osierocona ludzka dziewczyna, była córką Bruenora sercem i duszą. Była jedynym wrażliwym punktem w twardym jak kamień sercu Bruenora, słabym ogniwem w pancerzu króla.

Wyglądało na to, że nieobliczalne, władcze zachowanie Wulfgara nie uciekało uwadze mądrego krasnoluda. Jednakże, choć nastawienie Wulfgara wyraźnie kłopotowało Bruenora, Drizzt nie sądził, by krasnolud coś z tym zrobił - chyba że Catti-brie poprosiłaby go o pomoc.

Drizzt wiedział zaś, że Catti-brie, równie dumna i uparta jak jej ojciec, nie poprosi o nią - nie Bruenora i nie Drizzta.

- Gdzie się chowałeś, mały oszuście? - Drizzt usłyszał ryknięcie Bruenora i sama głośność krasnoluda wytrąciło drowa z jego prywatnych rozmyślań. Rozejrzał się i zobaczył wchodzącego do sali Regisa, który wyglądał na całkowicie zdenerwowanego.

- Zjadłem mój pierwszy dzisiejszy posiłek! - odrzyknął Regis z kwaśną miną na swej anielskiej twarzy i ręką na burczącym żołądku.

- Nie czas najedzenie! - odrzucił Bruenor. - Mamy...

- Kupę rzeczy do zrobienia - dokończył Regis, naśladując szorstki akcent krasnoluda i podnosząc tłuściutką dłoń w desperackiej prośbie, by Bruenor się cofnął.

Bruenor tupnął ciężkim butem i rzucił się w stronę sterty ewentualnych menu. - Skoro nastawiłeś się na myślenie o jedzeniu... - zaczął Bruenor zbierając pergaminy i rzucając nimi w Regisa, zasypując go - na przyjęciu będzie mnóstwo elfów i ludzi - wyjaśnił, gdy Regis starał się ułożyć papiery w składną stertę. - Daj im coś, co przyjmą ich czułe wnętrzości!

Regis spojrział błagalnie na Drizzta, jednak kiedy drow jedynie wzruszył w odpowiedzi ramionami, halfling chwycił pergaminy i ruszył do wyjścia.

- Można by pomyśleć, że lepiej mu będzie szło planowanie tych wszystkich weselnych rzeczy - stwierdził Bruenor wystarczająco głośno, by znikający Regis usłyszał go.

- A nie tak dobrze walczyć z goblinami - odparł Drizzt, przypominając sobie godne uwagi wysiłki halflinga podczas bitwy.

Bruenor szarpnął się za swą gęstą, rudą brodę i spojrział na puste drzwi, przez które właśnie przeszedł Regis. - Spędził dużo czasu w drodze, przy takich jak my - zdecydował krasnolud.

- Zbyt dużo czasu - dodał pod nosem Drizzt, zbyt cicho, by dosłyszał Bruenor, bowiem dla drowa było oczywiste, iż krasnolud, w przeciwieństwie do niego, uważał zadziwiające zmiany w ich niewielkim przyjacielu za dobre zjawisko.

* * *

Krótką chwilę później, kiedy Drizzt, na polecenie Bruenora, zbliżał się do wejścia do kaplicy Cobble'a, zauważył, iż nie tylko Bruenor niepokoi się gorączkowymi przygotowaniem do nadchodzącego wesela.

- Nawet za cały mithril w królestwie Bruenora! - usłyszał dobitny krzyk Catti-brie.

- Bądź rozsądna - zaskamlał Cobble. - Twój ojciec nie prosi o zbyt wiele.

Po wejściu do kaplicy Drizzt zobaczył Catti-brie, stojącą na piedestale, z dłońmi opartymi stanowczo na smukłych biodrach, daleko pod nią był zaś Cobble, trzymający naszywany klejnotami fartuch.

Catti-brie spojrzała na Drizzta i skinęła mu lekko głową. - Chcą, żebym założyła kowalski fartuch! - krzyknęła. - Cholerny kowalski fartuch w dzień mojego ślubu!

Drizzt roztropnie zdał sobie sprawę, że to nie czas na uśmiech. Podeszedł z ponurą miną do Cobble'a i wziął fartuch.

- Tradycja Battlehammerów - sapnął kapłan.

- Każdy krasnolud byłby dumny, mogąc nosić ten strój -zgodził się Drizzt. - Czy muszę ci jednak przypominać, że Catti-brie nie jest krasnoludem?

- To jest symbol podporządkowania - wyrzuciła z siebie kasztanowowłosa kobieta. - Oczekuje się, że krasnoludzkie kobiety będą w tym pracować przez cały dzień. Nigdy nie trzymałam kowalskiego młota i...

Drizzt uspokoił ją podniesieniem dłoni oraz błagalnym wzrokiem.

- Ona jest córką Bruenora - wskazał Cobble. - Ma obowiązek zadowolić swego ojca.

- W istocie - Drizzt, doskonały dyplomata, zgodził się raz jeszcze - pamiętaj jednak, że ona nie wychodzi za krasnoluda. Catti-brie nigdy nie pracowała przy palenisku...

- To symbol - zaprotestował Cobble.

- ... a Wulfgar używał młota tylko podczas lat spędzonych w służbie u Bruenora, kiedy nie miał wyboru - Drizzt dokończył, nie dając sobie przerwać.

Cobble spojrzał na Catti-brie, po czym znów na fartuch, i wzruszył ramionami. - Znajdziemy kompromis - uznał.

Drizzt mrugnął do Catti-brie i był zdumiony widząc, że jego wysiłki najwyraźniej nie rozjaśniły nastroju dziewczyny.

- Przychodzę od Bruenora - drow tropiciel powiedział do Cobble'a. - Wspominał coś o sprawdzeniu wody święconej na ceremonię.

- Spróbowaniu - sprostował Cobble i podskoczył, rozglądając się w jedną i drugą stronę. - Tak, tak, miód - rzekł wyraźnie zaniepokojony. - Bruenor chce poruszyć dziś kwestię miodu. -Spojrzał na Drizta. - Wydaje nam się, że ciemny będzie nieodpowiedni dla tej grupki o delikatnych żołądkach z Silverymoon.

Cobble zaczął się miotać po dużej kaplicy, zaczerpując wiaderkami z licznych zbiorników przy ścianach. Catti-brie wzruszyła z niedowierzaniem ramionami, gdy drow wyszeptał - Woda święcona?

Kapłani większości religii przygotowywali swą pobłogosławioną za pomocą egzotycznych olejków, nie powinno więc być dla Drizta niespodzianką, po tak wielu latach przy awanturnicznym Bruenorze, że krasnoludy używały trunków.

- Bruenor powiedział, że powinieneś przynieść szczodłą ilość - Drizzt rzekł do Cobble'a, lecz instrukcje te nie były zbytnio potrzebne, bowiem podekscytowany kapłan już napełniał mały wózek pojemnikami.

- Skończyliśmy na dzisiaj - Cobble oznajmił Catti-brie. Krasnolud skierował się szybko do drzwi, ciągnąc za sobą swój brzęczący ładunek. - Nie sądz jednak, że ostatnie słowo będzie należało do ciebie!

Catti-brie znów warknęła, jednak Cobble, pędzący z pełną prędkością, był już zbyt daleko, by to zauważyć.

Drizzt i Catti-brie siedzieli przez jakiś w milczeniu ramię przy ramieniu na małym piedestale. - Czy to ten fartuch jest taki zły? - zdobył się w końcu na pytanie drow.

Catti-brie potrząsnęła głową. - Nie o to chodzi, że nie podoba mi się sam strój, lecz jego znaczenie - wyjaśniła. - Mój ślub jest za dwa tygodnie. Sądzę, że przeżyłam mój a ostatnią przygodę, moją ostatnią walkę, nie licząc tych, które będę musiała stoczyć z własnym mężem.

To bezceremonialne stwierdzenie ugodziło dotkliwie w Drizzta i zdjęło trochę ciężaru z obaw przed wyrażaniem jego prywatnych myśli.

- Gobliny z całego Faerunu ucieszą się słysząc to - powiedział żartobliwie, starając się trochę rozjaśnić mroczny nastrój młodej kobiety. Catti-brie zdołała uśmiechnąć się lekko, jednak w jej niebieskich oczach pozostał dogłębny smutek.

- Walczyłaś równie dobrze jak wszyscy - dodał Drizzt.

- Myślałeś, że tak nie będzie? - rzuciła Catti-brie, przechodząc nagle do defensywy, a jej głos był równie ostry jak magiczne sejmity Drizzta.

- Zawsze jesteś tak pełna złości? - odwzajemnił Drizzt, a jego oskarżające słowa natychmiast uspokoiły Catti-brie.

- Tylko wystraszona, wydaje mi się - odparła cicho.

Drizzt przytaknął, rozumiejąc narastający dylemat swojej przyjaciółki. - Muszę wrócić do Bruenora - wyjaśnił, wstając z piedestału. Pozostawiłby to w ten sposób, nie mógł jednak zignorować błagalnego spojrzenia jakie skierowała na niego Catti-brie. Odwróciła natychmiast wzrok, patrząc przed siebie pod kapturem gęstych kasztanowych loków, a to przygnębienie jeszcze bardziej ugodziło Drizzta.

- To nie ja powinienem ci mówić, co powinnaś czuć - powiedział pewnym głosem Drizzt. Mimo to młoda kobieta nie spojrzała na niego z powrotem. - Moje brzemie jako twojego przyjaciela jest równe temu, jakie nosiłaś w południowym mieście Calimport, kiedy zgubiłem drogę. Mówię ci teraz: ścieżka przed tobą skręci wkrótce w wielu kierunkach, jednak to ty musisz wybrać. Dla dobra nas wszystkich, a głównie twojego, modlę się, byś dokładnie rozważyła ten kierunek. - Pochylił się nisko, odsunął włosy Catti-brie i pocałował ją delikatnie w policzek.

Wciąż nie spoglądała na niego, gdy opuszczał kaplicę.

* * *

Kiedy drow wkroczył do sali audiencyjnej Bruenora, opróżniona była już połowa wózka Cobble'a. Bruenor, Cobble, Dagna, Wulfgar, Regis oraz kilku innych krasnoludów spierało się donośnie, który pojemnik "wody święconej" miał najdoskonalszy, najlepszy smak. Kłótnie te w nieunikniony sposób prowadziły do dalszych prób smaku, co z kolei wzniecało następne spory.

- Ten! - zagrzmiał Bruenor po wysączeniu kubelka i wyciągnięciu z niego pokrytej pianą rudej brody.

- Ten jest dobry dla goblinów! - ryknął Wulfgar przytępionym głosem. Jego śmiech zakończył się jednak nagle, kiedy Bruenor nałożył mu pojemnik na głowę i uderzył w niego donośnie ręką.

- Mogłem się mylić - przyznał Wulfgar, usiadłszy nagle na podłodze, głosem dobywającym się spod metalowego wiaderka.

- Powiedz mi, co o tym sądzisz, drowie - huknął Bruenor zauważywszy Drizzta. Podniósł dwa chlapiące wiadra.

Drizzt podniósł rękę, odrzucając zaproszenie. - Górskie strumienie bardziej odpowiadają moim gustom niż gęsty miód - wyjaśnił.

Bruenor cisnął w niego pojemnikami, jednak drow z łatwością się uchylił, a ciemny, złotawy płyn rozlał się powoli po kamiennej podłodze. Głośność protestów, jakie zaczęły wyrażać pozostałe krasnoludy na marnotrawstwo dobrego miodu, zdumiała Drizzta, jednak nie tak mocno jak fakt, że po raz pierwszy widział Bruenora obrażonego i nie mającego odwagi, by dalej walczyć.

- Mój królu - dobiegło wołanie od drzwi, kończąc kłótnię. Dość tęgi krasnolud, w pełni odziany w rynsztunek bitewny, wszedł do sali audiencyjnej, a powaga malująca się na jego twarzy osłabiła radość panującą w komnacie.

- Siedmiu naszych nie wróciło z nowej sekcji - wyjaśnił krasnolud.

- Dobrze się bawią, to wszystko - odparł Bruenor.

- Opuścili kolację - powiedział strażnik.

- Kłopoty - rzekli razem Cobble i Dagna, nagle pochmurniejąc.

- Ba! - parsknął Bruenor, niepewnie machając przed sobą swą szeroką dłonią. - W tych tunelach

nie ma już goblinów. Grupy na dole po prostu polują mithril. Znaleźli żyłę, powiadam wam. To powstrzymuje każdego krasnoluda, nawet przed kolacją.

Cobble i Dagna, a nawet Regis, jak zauważył Drizzt, pokiwali twierdząco głowami. Zważywszy na potencjalne niebezpieczeństwa, na jakie można było natknąć się, podróżując tunelami Podm-roku (a najgłębsze tunele Mithrilowej Hali nie mogły być uznane za nic lepszego), ostrożny drow nie dawał się tak łatwo przekonać.

- Co o tym sądzisz? - Bruenor spytał Drizzta, widząc jego wyraźną troskę.

Drizzt przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. - Sądzę, że najprawdopodobniej macie rację.

- Najprawdopodobniej? - sapnął Bruenor. - Ach, cóż, nigdy nie mogłem cię przekonać. Idź więc. Przecież tego właśnie chcesz. Zabierz swojego kota i znajdź moje zagubione krasnoludy.

Chytry uśmiech Drizzta nie pozostawiał wątpliwości, iż przez cały czas miał na myśli to, co polecił mu właśnie Bruenor.

- Jestem Wulfgar, syn Beornegara! Pójdę! - obwieścił Wulfgar, jednak zabrzmiał dość śmiesznie z głową wciąż schowaną pod wiadrem. Bruenor znów w nie uderzył, by uciszyć jego deklarację.

- I elfie - odezwał się król, zwracając Drizzta z powrotem do siebie. Bruenor uśmiechnął się paskudnie do wszystkich, którzy go otaczali, po czym skierował spojrzenie w pełni na Regisa. - Zabierz też ze sobą Pasibrzucha - wyjaśnił. - Nie przydaje mi się tu zbytnio.

Wielkie i okrągłe oczy Regisa stały się jeszcze większe i okrągłejsze. Przejechał tłustymi, miękkimi palcami po kręconych, brązowych włosach, po czym pociągnął się niespokojnie za kolczyk, który dyndał mu w uchu. - Ja? - spytał żałośnie. - Mam wrócić tam na dół?

- Już raz tam byłeś - stwierdził Bruenor, mówiąc to bardziej do pozostałych krasnoludów niż do Regisa. - Poradziłeś sobie z paroma goblinami, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Mam za dużo do...

- Idź, Pasibrzuchu - warknął Bruenor, pochylając się do przodu na swoim fotelu i niemal tracąc w wyniku tego równowagę. - Po raz pierwszy odkąd zjawiłeś się tu uciekając, a wiesz, że wiemy, że uciekasz, zrób to, co mówię bez gadania i wymówek!

Powaga w ponurym tonie Bruenora zdumiała każdego w pomieszczeniu, najwyraźniej nawet Regisa, bowiem halfling już nic nie powiedział, wstał tylko i posłusznie podszedł do Drizzta.

- Możemy przystanąć przy moim pokoju? - Regis zapytał cicho drowa. - Chciałbym zabrać chociaż mój buzdygan i plecak.

Drizzt otoczył ręką oklapnięte ramiona swego metrowego towarzysza i obrócił go w swoją stronę. - Nie obawiaj się - powiedział pod nosem, i by podkreślić swoje słowa, upuścił w ochocze dłonie halflinga onyksową figurkę Guenhwyvar.

Regis wiedział, że znajduje się w dobrym towarzystwie.

ROZDZIAŁ 7

CISZA W CIEMNOŚCI

Nawet przy płonących lampach, wiszących na ścianach, oraz czystych i dobrze oznaczonych ścieżkach niemal trzy godziny zajęło Drizztowi i Regisowi pokonanie odległości pomiędzy wielkim kompleksem Mithrilowej Hali a obszarem nowych tuneli. Przeszli przez cudowne, wielokondygnacyjne Podmiasto, wraz z jego licznymi poziomami krasnoludzkich siedzib, przypominającymi gigantyczne schody po dwu stronach wielkiej jaskini. Owe siedziby wychodziły na centralny obszar pracy na podłodze jaskini, który kipiał wręcz od działania przedsiębiorczej rasy. Była to oś całego kompleksu, to tutaj mieszkała i pracowała większość ludu Bruenora. Przez cały dzień, co dzień, ryczały wielkie piece. Krasnoludzkie młoty grały wciąż rozbrzmiewającą melodię i, choć kopalnie były otwarte zaledwie od kilku miesięcy, tysiące gotowych produktów - wszystko od wspaniale wykonanej broni do pięknych kielichów - zapełniało już liczne wózki, czekające wzdłuż ścian na nadejście sezonu handlowego.

Drizzt i Regis wkroczyli ze wschodniego krańca na górny poziom, przeszli przez jaskinię za pomocą wysokiego mostu i zeszli po licznych schodach, by wyjść z miasta na najniższej kondygnacji, kierując się na zachód, ku najgłębszym kopalniom Mithrilowej Hali. Na ścianach wisały słabo palące się lampy, a towarzysze co i rusz natykali się na pracującą krasnoludzką załogę, wydobywającą cenny srebrnawy mithril ze ściany tunelu.

Następnie dotarli do zewnętrznych tuneli, gdzie nie było lamp i krasnoludów. Drizzt ściągnął

plecak, myśląc o zapaleniu pochodni, zauważył jednak, że oczy halflinga lśnią wiele mówiącym światłem infrawizji.

- Wolę światło pochodni - skomentował Regis, gdy drow zaczął zakładać z powrotem plecak, nie rozpalając światła.

- Powinniśmy je oszczędzać - odpowiedział Drizzt. - Nie wiemy, jak długo będziemy musieli pozostać na nowych obszarach.

Regis wzruszył ramionami. Drizzt zamyślił się, widząc, że halfling trzyma już swój mały, choć niewątpliwie skuteczny buzdygan, choć nie minęli jeszcze zabezpieczonych regionów kompleksu.

Zrobili sobie krótką przerwę, po czym znów ruszyli, zostawiając za sobą kolejne kilka kilometrów. Jak można było przewidzieć, Regis wkrótce zaczął narzekać na zmęczone nogi i uciszał się tylko, gdy gdzieś z przodu było słychać odgłosy rozmawiających krasnoludów.

Po kilku zakrętach tunelu dotarli do wąskich schodów, wychodzących na ostatnią strażnicę w tej sekcji. Znajdowało się tam czterech krasnoludów, grających w kości (narzekając przy każdym rzucie) i nie zwracających większej uwagi na wielkie, zasłonięte żelazną sztabą drzwi, odcinające nowe tereny.

- Miło was spotkać - powiedział Drizzt, przerywając grę.

- Na dole jest paru naszych - odparł krępy, brązowobrody krasnolud, zauważywszy Drizta. - Król Bruenor wysłał was, żebyście ich znaleźli?

- Mieliśmy to szczęście - stwierdził Regis. Drizzt przytaknął.

- Mamy przypomnieć zaginionym krasnoludom, że wydobycie mithrilu rozpocznie się w odpowiednim czasie - rzekł, starając się utrzymać to spotkanie na luzie, nie chcąc niepokoić krasnoludzkich strażników, mówiąc im, że uważał, iż w nowej sekcji mogą być jakieś problemy.

Dwóch krasnoludów chwyciło swą broń, podczas gdy pozostała dwójka podeszła, by zdjąć ciężką żelazną sztabę, która zamykała drzwi.

- No, jak będziecie gotowi, by wrócić, zastukajcie w drzwi trzy razy, a później dwa - wyjaśnił brązowobrody krasnolud. - Nie otworzymy, dopóki sygnał nie będzie prawidłowy!

- Trzy, a później dwa - zgodził się Drizzt.

Sztaba została zdjęta i drzwi otworzyły się gwałtownie do środka z donośnym syczącym dźwiękiem. Nie było za nimi widać nic poza czernią pustego tunelu.

- Spokojnie, mój mały przyjacielu - powiedział Drizzt, widząc nagły błysk w oku halflinga. Byli

tu zaledwie kilka tygodni temu, przy okazji walki z goblinami, jednak choć zagrożenie zostało usunięte, milczący tunel nie zaczął sprawiać mniejszego wrażenia.

- Pospieszcie się - odezwał się do nich brązowobrody krasnolud, najwyraźniej nie będąc zbyt szczęśliwy, że drzwi są otwarte.

Drizzt zapalił pochodnię i wszedł w mrok, a Regis niemal następował mu na pięty. Krasnoludy zamknęły wrota natychmiast, gdy towarzysze przez nie przeszli, Drizzt i Regis usłyszeli brzęk zakładanej na miejsce sztaby.

Drizzt podał Regisowi pochodnię i wyciągnął swoje sejmity, Błysk zapłonął jasnym błękitem. - Powinniśmy załatwić to tak szybko, jak to tylko możliwe - stwierdził drow. - Sprowadź Guenhwyvar i niech nas prowadzi.

Regis odłożył buzdygan oraz pochodnię i zaczął szukać onyksowej figurki. Położył ją przed sobą na ziemi i zebrał pozostałe przedmioty, po czym spojrzał na Drizzta, który przeszedł kilka kroków dalej tunelem.

- Możesz wezwać panterę - powiedział Drizzt, dość zaskoczony, kiedy zerknąwszy za siebie zobaczył, że halfling na niego czeka, co było dość zagadkowym widokiem, zważywszy na bliski związek Regisa z wielką kocicą. Guenhwyvar była istotą magiczną, mieszkanką Planu Astralnego, pojawiającą się na wezwanie właściciela figurki. Bruenor zawsze był trochę nieufny w obecności kocicy (krasnoludy zasadniczo nie lubiły magii innej niż ta zawarta w broni), jednak Regis i Guenhwyvar byli bliskimi przyjaciółmi. Guenhwyvar nawet raz uratowała hal-flingowi życie, zabierając go na astralną przejażdżkę, i dzięki temu wydostając z walącej się wieży.

Teraz jednak Regis stał nad figurką, z pochodnią i buzdyganem w rękach, najwyraźniej nie wiedząc, co robić dalej.

Drizzt cofnął się kilka kroków do swego niewielkiego przyjaciela. - W czym problem? - spytał.

- Ja... ja po prostu sędzę, że to ty powinieneś wezwać Guenhwyvar - odparł halfling. - To w końcu twoja pantera i Guenhwyvar zna najlepiej twój głos.

- Guenhwyvar przyjdzie na twoje wezwanie - Drizzt zapewnił Regisa, klepiąc halflinga w ramię. Nie chcąc jednak tracić czasu i spierać się nad tą kwestią, drow cicho zawołał imię pantery. Kilka sekund później wokół figurki zebrała się szarawa mgła, wydająca się ciemniejsza w przyćmionym świetle, stopniowo formując się w sylwetkę pantery. Mgła delikatnie się przekształcała, stając się jakby bardziej materialna, następnie zniknęła, pozostawiając po sobie magiczną sylwetkę Guenhwyvar. Pantera położyła natychmiast po sobie uszy - Regis roztropnie cofnął się o krok - po czym Drizzt chwycił Guenhwyvar za policzek i potrząsnął radośnie.

- Zniknęło kilku krasnoludów - Drizzt wyjaśnił kocicy, a Regis wiedział, że Guenhwyvar rozumie każde słowo. - Znajdź ich zapach, moja przyjaciółko. Zaprowadź mnie do nich.

Guenhwyvar spędziła długą chwilę, badając najbliższą okolicę, po czym na chwilę skierowała wzrok na Regisa, wydając z siebie niski warkot.

- Szukaj - Drizzt poprosił kocicę, a smukłe mięśnie napięły się, prowadząc Guenhwyvar z łatwością i w całkowitej ciszy w ciemność rozpościerającą się za światłem pochodni.

Drizzt i Regis podążyli za nią spokojnym krokiem, drow był przekonany, że pantera nie odejdzie zbyt daleko, a Regis rozglądał się nerwowo, w jedną i drugą stronę, z każdym mijanym krokiem. Niedługo później przeszli przez rozwidlenie z gigantycznymi kośćmi ettina, pierwszej ofiary Bruenora, a Guenhwyvar dołączyła do nich z powrotem w niskiej jaskini, gdzie zostały rozgromione główne siły goblinów.

Po świeżej bitwie nie pozostało wiele śladów, nie licząc licznych krwawych plam oraz zmniejszającej się sterty ciał goblinów na środku komnaty. Wszędzie wokół niej kręciły się trzymetrowe, robakopodobne stworzenia, wyczuwając przed sobą drogę długimi mackami, gdy pożywiały się na wydętych zwłokach.

- Trzymaj się blisko - ostrzegł Drizzt, a Regisowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. - To pełzacze gnilne - wyjaśnił drow tropiciel - sępy Podmroku. Mając tak dużo łatwo dostępnego pożywienia, najprawdopodobniej zostawią nas w spokoju, są jednak niebezpiecznymi przeciwnikami. Ukąszenie ich macką może pozbawić cię siły w kończynach.

- Myślisz, że krasnoludy za bardzo się do nich zbliżyły? - spytał Regis, mrużąc oczy w przyćmionym świetle, by sprawdzić, czy na stercie znajdują się jakieś ciała nie należące do goblinów.

Drizzt potrząsnął głową. - Krasnoludy dobrze znają pełzacze - wyjaśnił. - Cieszą się, że bestie pozbawią ich smrodu goblinów zwłok. Raczej nie spodziewałbym się, że siedmiu doświadczonych krasnoludów dałoby się im podejść.

Drizzt ruszył w dół pochylonej platformy, lecz halfling chwycił go za płaszcz, by go zatrzymać. - Tam na dole jest martwy ettin - wyjaśnił Regis. - Dużo mięsa.

Drizzt przekrzywił z zaciekawieniem głowę, spoglądając na myślącego szybko halflinga. Uznał, że być może Bruenor rozsądnie postąpił, posyłając z nim tego małego. Przemknęli skrajem wzniesionego kamienia i zeszli na dół dużo dalej. Rzeczywiście, nad ogromnym ciałem ettina pracowało kilka pełzaczy gnilnych. Pierwotny kurs Drizzta zaprowadziłby go niebezpiecznie blisko bestii.

Po kilku sekundach znów byli w pustych tunelach, Guenhwyvar płynęła w ciemność prowadząc ich.

Pochodnia wkrótce się wypaliła. Regis potrząsnął głową, kiedy Drizzt sięgnął po następną przypominając drowowi, że powinni oszczędzać źródła światła.

Szli dalej, w ciszy, w mroku, tylko delikatne lśnienie Błysku świadczyło o ich obecności. Drowowi przypominało to dawne czasy, przemierzanie Podmroku wraz ze swoją kocią towarzyszką, a jego zmysły wzmacniała świadomość, że za każdym zakrętem może czaić się niebezpieczeństwo.

* * *

- Dysk jest ciepły? - spytał Jarlaxle, widząc zadowoloną minę Vierny, gdy przejechała swymi delikatnymi palcami po metalicznej powierzchni. Siedziała na grzbiecie dridera, jej wierzchowca na czas tej podróży. Napęczniała twarz Dinina była pozbawiona emocji i nie mrugała.

- Mój brat jest niedaleko - odparła kapłanka, z oczyma zamkniętymi w koncentracji.

Najemnik oparł się o ścianę, zerkając w długi tunel, wypełniony rozplaszczonymi ciałami goblinów. Wszystkie otaczające go ciemne sylwetki, jego bezszelestna grupa zabójców, podążały swoją drogą.

- Skąd możemy wiedzieć, że Drizzt tu w ogóle jest? - ośmielił się spytać najemnik, choć nie miał zamiaru rozpraszać oczekiwań nieobliczalnej Vierny, zwłaszcza gdy kapłanka siedziała na tak wymownym świadectwie konsekwencji jej gniewu.

- Jest tu - odrzekła spokojnie Vierna.

- A ty jesteś pewna, że nasz przyjaciel nie zabije go, zanim go nie znajdziemy? - zapytał najemnik.

- Możemy ufać temu sprzymierzeńcowi - odparła spokojnie Vierna, jej ton wzbudził ulgę w nerwowym dowódcy najemników. - Lloth mnie zapewniła.

Tak kończy się każda dyskusja, powiedział sobie Jarlaxle, choć zdecydowanie nie czuł się bezpieczny, ufając jakimkolwiek człowiekowi, zwłaszcza tak niegodziwemu jak ten, do którego zaprowadziła go Vierna. Spojrzał za siebie w tunel, na przesuujące się sylwetki najemników.

Tymi, którym Jarlaxle ufał, byli jego żołnierze, gotowe oddać za siebie życie drowy, jeden z najlepszych oddziałów w świecie mrocznych elfów. Jeśli Drizzt Do'Urden istotnie błąkał się tymi tunelami, wyszkoleni zabójcy z Bregan D'aerthe dostaną go.

- Czy mam rozesłać siły Baenre? - najemnik spytał Viernę.

Vierna rozmyślała przez chwilę nad jego słowami, po czym potrząsnęła głową. Jej niezdecydowanie pokazało Jarlaxle'owi, że wcale nie jest taka pewna lokalizacji swego brata, jak twierdziła. - Utrzymaj ich jeszcze przez chwilę w pobliżu - poleciła. - Kiedy znajdziemy mojego brata, posłużą do osłonięcia naszego odejścia.

Jarlaxle był aż nazbyt szczęśliwy, mogąc wykonać to polecenie. Nawet jeśli Drizzt gdzieś tu był, jak wierzyła Vierna, nie wiedzieli, jak wielu jego kompanów mogło mu towarzyszyć. Mając wokół siebie pięćdziesięciu żołnierzy, najemnik nie martwił się zbytnio.

Trapiło go jednak, czy Triel Baenre spodoba się wiadomość, że jej żołnierze, nawet jeśli tylko mężczyźni, zostaną użyci jako mięso armatnie?

* * *

- Te tunele nie mają końca –jęknął Regis po kolejnych dwóch godzinach nie różniących się zakrętów w poprawionych przez gobliny naturalnych korytarzach. Drizzt pozwolił na przerwę na kolację, a nawet zapalił pochodnię, i dwaj przyjaciele zasiedli w małej, naturalnej jaskini na płaskim gładzie, otoczeni wpatrującymi się w nich stalaktytami oraz przypominającymi potwory kopcami spiętrzonych skał.

Drizzt zdawał sobie sprawę, jak nieumyślnie proroctwa mogą okazać się słowa halflinga. Znajdowali się daleko pod ziemią, kilka kilometrów, a jaskinie ciągnęły się bez końca, łącząc duże oraz małe groty i tuziny bocznych korytarzy. Regis był wcześniej w krasnoludzkich kopalniach, nigdy nie wszedł jednak na kolejny poziom, do przerażającego Podmroku, w którym żyły elfy drowy, gdzie urodził się Drizzt Do'Urden.

Duszące powietrze i nieuchronne przeświadczenie, że nad głową wiszą tysiące ton skał, doprowadziło mrocznego elfa do nieuniknionych rozmyślań o jego dawnym życiu, o czasach, kiedy mieszkał w Menzoberranzan albo też kroczył wraz z Guenhwyryar po wydawałoby się nieskończonych tunelach podziemnego świata Torilu.

- Zgubimy się tak jak krasnoludy - mruknął Regis jedząc suchara. Brał małe kęsy i żuł je niezwykle starannie, by jak najdłużej zachować każdy bezcenny kawałeczek.

Nie wyglądało na to, by uśmiech Drizzta go uspokoił, tropiciel był jednak przekonany, że on, i w jeszcze większym stopniu Guenhwyvar, wiedzą dokładnie gdzie są, wykonując systematycznie okrąg z komnatą głównej bitwy z goblinami jako osią. Wskazał za Regisa, ruchem tym skłaniając halflinga, by wykonał półobrót na swym kamiennym siedzisku.

- Gdybyśmy wrócili tym tunelem i skręcili w pierwszy korytarz po prawej ręce, to po paru minutach dotarlibyśmy do dużej komnaty, w której Bruenor pokonał gobliny - wyjaśnił Drizzt. - Nie jesteśmy tak daleko od miejsca, w którym spotkaliśmy Cobble'a.

- Po prostu wydaje się, jakby było dalej - mruknął pod nosem Regis.

Drizzt nie naciskał w tej kwestii, ciesząc się, że ma Regisa ze sobą, nawet jeśli halfling był w szczególnie posępnym nastroju. Drizzt nie widywał zbyt często Regisa podczas tych paru tygodni,

odkąd wrócił do Mithrilowej Hali, zresztą nikt go tak naprawdę nie widywał, może oprócz krasnoludzkiego personelu kucharskiego we wspólnych jadalniach.

- Dlaczego wróciłeś? - spytał nagle Drizzt, a jego pytanie spowodowało, że Regis zakrztusił się kawałkiem suchara. Halfling spojrział na niego niedowierzająco.

- Cieszę się, że jesteś z powrotem - ciągnął Drizzt, wyjaśniając zamiary kryjące się za jego dość bezceremonialnym pytaniem. - I z pewnością wszyscy z nas mają nadzieję, że zostaniesz przez dłuższy czas. Dlaczego jednak, mój przyjacielu?

- Wesele... - wyjąkał Regis.

- Dobry powód, lecz raczej nie jedyny - odparł z uśmiechem Drizzt. - Kiedy ostatni raz cię widzieliśmy, byłeś mistrzem gildii, a Calimport był na twoje usługi.

Regis odwrócił wzrok, przejechał palcami ozdobionymi kilkoma pierścieniami po kręconych, brązowych włosach, po czym opuścił dłoń, by pociągnąć za dyndający kolczyk.

- To jest właśnie życie, jakiego zawsze pragnął Regis, którego znałem - stwierdził Drizzt.

- A więc może nie rozumiałeś tak naprawdę Regisa - odparł halfling.

- Może - przyznał Drizzt - jednak jest jeszcze coś więcej. Znam cię wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że jesteś w stanie zrobić bardzo dużo, by uniknąć walki. Mimo to, kiedy zaczęła się bitwa z goblinami, zostałeś przy mnie.

- Gdzie bezpieczniej niż przy Drizzcie Do'Urdenie?

- W górnym kompleksie, w jadalniach - odpowiedział bez wahania drow. W uśmiechu Drizzta widniała przyjaźń, blask w jego lawendowych oczach nie wskazywał na jakąkolwiek niechęć wobec halflinga, niezależnie od wszelkich kłamstw, jakie Regis serwował. - Niezależnie od powodu, dla którego przyszedłeś, bądź pewien, że wszyscy cieszymy się z twojej obecności - rzekł szczerze Drizzt. - A Bruenor chyba bardziej niż ktokolwiek. Jeśli jednak wpadłeś w jakieś kłopoty, jakieś niebezpieczeństwo, radzę ci, żebyś przyznał się do tego otwarcie, abyśmy mogli razem to pokonać. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi i staniemy przy tobie, nie czyniąc wyrzutów, przeciwko wszelkim niedogodnościom. Z mojego doświadczenia wiem, że takie niedogodności zawsze są lepsze, jeśli zna się przeciwnika.

- Straciłem gildię - przyznał Regis. - Zaledwie dwa tygodnie po tym jak opuściliście Calimport.

Wiadomość ta nie zdumiała drowa.

- Artemis Entreri - powiedział ponuro Regis, unosząc swą anielską twarz, by spojrzeć bezpośrednio na Drizzta, obserwując każdy ruch drowa.

- Entreri przejął gildię? - spytał Drizzt.

Regis przytaknął. - Nie napracował się nad tym zbytnio. Jego sieć sięgnęła do moich najbardziej zaufanych kolegów.

- Powinieneś spodziewać się czegoś takiego po zabójcy - odparł Drizzt i roześmiał się lekko, wskutek czego oczy Regisa rozszerzyły się w widocznym zdumieniu.

- Uważasz to za zabawne?

- Lepiej, że gildia jest w rękach Entreriego - odrzekł Drizzt, ku ciągłemu zdumieniu halflinga. - Pasuje do podwójnych gier godnego pożałowania Calimportu.

- Myślałem, że ty... - zaczął Regis. - To znaczy, czy nie chciałeś tam iść i...

- Zabić Entreriego? - spytał z cichym chichotem Drizzt. - Moja walka z zabójcą się zakończyła - dodał, gdy ochocze skinienie Regisa potwierdziło jego przypuszczenia.

- Entreri może tak nie myśleć - powiedział ponuro Regis.

Drizzt wzruszył ramionami i zauważył, że jego niedbałe zachowanie dość mocno niepokoi halflinga. - Tak długo jak Entreri pozostaje w południowych krainach, nie muszę się nim martwić. - Drizzt wiedział, że Regis nie spodziewa się, by Entreri pozostał na południu. Być może właśnie dlatego halfling nie pozostał na górnych poziomach podczas walki z goblinami, pomyślał Drizzt. Być może Regis obawiał się, że Entreri może wślizgnąć się do Mithrilowej Hali. Gdyby zabójca znalazł razem Drizzta i Regisa, najprawdopodobniej poszedłby najpierw za drowem.

- Zraniłeś go, wiesz przecież - ciągnął Regis. - To znaczy podczas walki. On nie należy do tych, którzy przebaczą coś takiego.

Spojrzenie Drizzta spochmurniało nagle. Regis cofnął się, zwiększając odległość pomiędzy sobą a ogniem w lawendowych oczach drowa. - Czy myślisz, że podążył za tobą na północ - Drizzt spytał bez ogródek.

Regis potrząsnął energicznie głową.

- Zaaranżowałem wszystko tak, żeby wyglądało, iż zostałem zabity - wyjaśnił. - Poza tym Entreri wie, gdzie jest Mithrilowa Hala. Mógłby znaleźć cię bez potrzeby śledzenia mnie. - Ale nie zrobi tego - ciągnął Regis. - Z tego co słyszałem, stracił władzę w jednym ramieniu oraz oko. Trudno byłoby mu już dorównać ci w walce.

- To utrata serca pozbawiła go umiejętności walki - stwierdził Drizzt, bardziej do siebie niż do Regisa. Pomimo swego niedbałego zachowania Drizzt nie mógł tak łatwo odrzucić swojej długotrwałej rywalizacji ze śmiertelnie zabójcą. Entreri był w wielu aspektach jego

przeciwieństwem, był beznamienny i amoralny, jednak w walce okazał się równy Drizztowi - prawie równy. Zgodnie ze swoją filozofią Entreri utrzymywał, że prawdziwy wojownik musi być istotą pozbawioną serca, czystym skutecznym zabójcą. Przekonania Drizzta szły w zupełnie innym kierunku. Dla drowa, który dorastał wśród tak wielu wojowników o ideałach podobnych do zabójcy, męstwo było wspomagane przez prawość. Ojciec Drizzta nie miał sobie równych w Menzoberranzan, bowiem jego miecze wychodziły poza ramy sprawiedliwości, bowiem walczył ze szczerym przekonaniem, że jego walki były moralnie usprawiedliwione.

- Nie wątp w to, że on zawsze będzie cię nienawidził - stwierdził ponuro Regis, wrywając Drizzta z prywatnych rozważań.

Drizzt zauważył w oku halflinga iskrę i wziął ją za oznakę zażartej nienawiści Regisa do Entreriego. Czy Regis chciał, spodziewał się, że drow wróci z nim do Calimportu i dokończy wojnę z Entrerim? Czy Regis oczekiwał, że Drizzt dostarczy mu z powrotem gildię złodziei, likwidując przewodzącego jej zabójcę?

- On mnie nienawidzi, ponieważ swoim sposobem życia pokazałem mu, że jego jest jedynie pustym kłamstwem - powiedział stanowczo i dość chłodno Drizzt. Drow nie wróci do Calimportu, nie wróci walczyć z Artemisem Entreri, niezależnie od powodów. Robiąc tak, stoczyłby się na poziom moralny zabójcy, a tego drow, który odwrócił się plecami od własnego niemoralnego ludu, obawiał się bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Regis odwrócił wzrok, najwyraźniej odgadując prawdziwe odczucia Drizzta. W jego twarzy widać było wyraźne rozczarowanie. Drow musiał uwierzyć, że Regis naprawdę miał nadzieję, że odzyska swą drogocenną gildię dzięki sejmitarom Drizzta. Drizzt zaś naprawdę nie nabrał wielkiej nadziei, słysząc zapewnienia halflinga, że Entreri nie przybędzie na północ. Jeśli zabójcy, a przynajmniej jego agentów, nie było w pobliżu, to dlaczego Regis pozostawał tak blisko Drizzta, gdy zeszli na dół, by walczyć z goblinami?

- Chodź - poprosił drow, zanim zapanowała nad nim gromadząca się w nim złość. - Mamy jeszcze do pokonania wiele kilometrów przed nadejściem nocy. Musimy wkrótce odesłać Guenhwyvar z powrotem na Plan Astralny, a nasze szanse odnalezienia krasnoludów są większe, jeśli pantera jest przy nas.

Regis wsunął pozostałe mu jedzenie do swego małego plecaka, zgasił pochodnię i ruszył za drowem. Drizzt spoglądał często na niego, dość zdumiony, dość rozczarowany widokiem złowrogiego blasku w czerwonych punktach, które były oczyma halflinga.

ROZDZIAŁ 8

WZLATUJĄCE ISKRY

Strużki lśniącego potu spływały po niemalże wyrzeźbionych ramionach barbarzyńcy, a cienie rzucane przez migoczące palenisko kreśliły wyraziste linie wzdłuż jego bicepsów i szerokich przedramion, podkreślając ogromne, napięte mięśnie.

Ze zdumiewającą łatwością, jakby wymachiwał narzędziem stworzonym do wbijania smukłych gwoździ, Wulfgar opuścił kilkakrotnie dziesięciokilogramowy młot na metalowe drzewce. Z każdym brzęczącym uderzeniem unosiły się kawałki stopionego żelaza, pokrywając ściany, podłogę oraz noszony przez niego gruby, skórzany fartuch, bowiem barbarzyńca beztrósco przegrzał metal. W wielkich barkach Wulfgara pędziła gwałtownie krew, nie mrugał jednak nawet i nie był zmęczony. Kierowała nim pewność, że musi pozbyć się demonicznych uczuć, które pochwyciły jego serce.

Odnajdzie ukojenie w wyczerpaniu.

Wulfgar od lat nie pracował w kuźni, nie, odkąd Bruenor uwolnił go ze służby jeszcze w Dolinie Lodowego Wichru, w miejscu, w życiu, które wydawały się teraz oddalone o milion kilometrów.

Potrzebował teraz żelaza, potrzebował bezmyślnego, instynktownego kucia, fizycznego znużenia,

które zapanowałyby nad ciągłym mętlikiem uczuć, nie pozwalającym mu odpocząć. Rytmiczne dudnienie zmusiło jego myśli, by biegły po prostej linii, pozwalając sobie na rozważanie tylko pojedynczej myśli pomiędzy każdym przerywającym ją uderzeniem.

Chciał tego dnia rozwikłać tak wiele rzeczy, głównie by przypomnieć sobie o tych cechach, które początkowo przyciągnęły go do jego przyszłej małżonki. Przy każdej przerwie wracał do niego jednak gwałtownie ten sam obraz - Aegis-fang wirujący niebezpiecznie blisko głowy Drizzta.

Próbował zabić swego najdroższego przyjaciela.

Z nagle odnowionym wigorem znów zaczął uderzać młotem o metal i znów małą, odosobnioną komnatę zaczęły przecinać smugi iskier.

Co, na dziewięć piekieł, się z nim działo?

Znów uniosły się dziko iskry.

Jakże wiele razy Drizzt Do'Urden go ocalił? Jakże puste byłoby jego życie bez mahoniowoskórego przyjaciela?

Stęknął, gdy młot uderzył w swój cel.

Jednak drow pocałował Catti-brie - Catti-brie Wulfgara! - przed Mithrilową Halą, w dzień swojego powrotu!

Oddech wydostawał się z Wulfgara utrudzonymi sapnięciami, jednak jego ręka poruszała się zaciekle, wyzwalając jego furię na kowalskim młocie. Oczy miał równie mocno zaciśnięte, jak trzymająca młot dłoń, a mięśnie pociły się od napięcia.

- Będiesz tym rzucał dookoła rogów? - usłyszał krasnoludzki głos.

Wulfgar otworzył oczy i obrócił się. Ujrzał jednego z pobratymców Bruenora, przemykającego obok częściowo otwartych drzwi, śmiech krasnoluda rozbrzmiewał echem w wykutych w skale korytarzach. Kiedy barbatrzyńca znów spojrział na swoją pracę, zrozumiał źródło radości krasnoluda, bowiem kuta przez niego metalowa włócznia była teraz silnie wygięta w środku od zbyt wielu uderzeń w nadmiernie rozgrzany metal.

Wulfgar cisnął zniszczone drzewce na bok i upuścił młot na kamienną podłogę.

- Dlaczego mi to zrobiłeś? - spytał na głos, choć Drizzt był oczywiście zbyt daleko, by go usłyszeć. W umyśle wciąż znajdował się przywołany obraz Drizzta i jego ukochanej Catti-brie objętych w pocałunku, obraz, którego Wulfgar nie mógł się pozbyć, nawet jeśli tak naprawdę nie widział tych dwojga w tej sytuacji.

Otarł dłonią spoconą skroń, pozostawiając na czole linię sadzy, i usiadł ciężko na skraju kamiennego stołu. Nie spodziewał się, że wszystko stanie się tak skomplikowane, nie oczekiwał tak gwałtownego zachowania Catti-brie. Pomyślał o pierwszym razie, kiedy ujrzał swą miłość, kiedy była jeszcze niewiele więcej niż dziewczynką, hasającą po korytarzach krasnoludzkiego kompleksu w Dolinie Lodowego Wichru, hasającą beztrosko, jakby wszystkie bezustannie obecne niebezpieczeństwa tej brutalnej okolicy i wszystkie wspomnienia z niedawnej wojny z ludem Wulfgara spadły po prostu z jej delikatnych ramion, odbiły się od niej tak, jak odbijały się jej lśniąca kasztanowe loki.

Wulfgar nie potrzebował wiele czasu, by zrozumieć, że owym beztroskim tańcem Catti-brie porwała jego serce. Nigdy nie spotkał żadnej kobiety takiej jak ona. W jego zdominowanym przez mężczyzn plemieniu kobiety były praktycznie niewolnicami, chylącymi się ze strachu przed często pozbawionymi rozsądku żądaniami mężczyzn. Barbarzyńskie kobiety nie śmiały sprzeciwić się swoim mężczyznom, z pewnością nie zawstydzaly ich w taki sposób, w jaki Catti-brie zrobiła to Wulfgarowi, kiedy mówił, że nie weźmie udziału w siłach wysyłanych na negocjacje z plemieniem goblinów.

Wulfgar był już teraz wystarczająco rozsądny, by przyznać się do swoich błędów i czuł się głupcem z powodu sposobu, w jaki mówił do Catti-brie. Mimo to w barbarzyńcy wciąż pozostawała potrzeba kobiety - żony - którą będzie mógł chronić, która pozwoli mu zająć jego prawowite miejsce mężczyzny.

Wszystko się tak mocno skomplikowało, a później, żeby jeszcze pogorszyć sprawę, Catti-brie, jego Catti-brie, pocałowała się z Drizztem Do'Urdenem!

Wulfgar wstał raptownie i rzucił się z powrotem po młot, wiedząc, że spędzi jeszcze wiele godzin w kuźni, wiele godzin przenosząc zawartą w napiętych mięśniach wściekłość na metal. Metal bowiem poddawał mu się tak, jak tego nigdy nie robi Catti-brie, podporządkowywał się wezwaniom jego młota.

Wulfgar posłał młot w dół z całą swoją siłą, a świeżo rozgrzana metalowa sztaba zadrżała od uderzenia. Pong! Iskry zaczęły smagać wystające kości policzkowe Wulfgara, jedna zahaczyła o skraj oka.

Z krwią pędzącą w żyłach i napiętymi mięśniami, Wulfgar nie odczuwał bólu.

* * *

- Zapal pochodnię - wyszeptał drow.

- Światło ostrzeże naszych wrogów - spierał się podobnie stłumionym tonem Regis.

Usłyszeli warkot, nisko i odbijający się echem od korytarza.

- Pochodnia - polecił Drizzt, podając Regisowi małe krzesiwo. - Poczekaj tu ze światłem. Guenhwyvar i ja będziemy krążyć w pobliżu.

- Teraz ja jestem przynętą? - spytał halfling.

Drizzt, dostroiwszy zmysły na oznaki niebezpieczeństwa, nie usłyszał pytania. Z jednym sejmitem wyciągniętym, bowiem Błysk wraz ze swoim wiele mówiącym lśnieniem czekał wsunięty w pochwę, pomknął bezszelestnie do przodu i zniknął w mroku.

Regis, wciąż narzekając, uderzył krzemieniem o krzesiwo i wkrótce pochodnia zaczęła płonąć. Drizzt był poza zasięgiem wzroku.

Warkot obrócił halflinga dookoła, z buzdyganem w gotowości, jednak była to tylko Guenhwyvar, zawsze czujna, biegnąca bocznym korytarzem. Pantera przemknęła obok halflinga, podążając tropem Drizzta, a Regis ruszył szybko za nią, choć nie mógł żywić nadziei na dotrzymanie jej kroku.

Po kilku sekundach znów był sam, a jego pochodnia rzucała wydłużone, złowieszcze cienie na nierówne ściany. Z plecami przyciśniętymi do skały Regis przesuwiał się powoli do przodu równie cicho jak śmierć.

Czarna paszcza bocznego korytarza majaczyła zaledwie kilka kroków dalej. Halfling szedł dalej, trzymając przed sobą pochodnię i buzdygan. Wyczuwał za rogiem jakąś obecność, coś zbliżało się do krawędzi od drugiej strony.

Regis położył ostrożnie pochodnię na kamieniu i przysunął buzdygan bliżej piersi, delikatnie przesuwając stopy, by idealnie balansować ciężarem ciała.

Raptownie, na ślepo okrążył róg, zamachując się buzdyganem. Błysnęło coś niebieskiego przechwytyjąc cios, metal zadzwonił o metal. Regis natychmiast cofnął broń i zamierzył się z boku, niżej.

Znów rozległ się znamienny brzęk parowania.

Buzdygan podążył w przód i cofnął się, zgrabnie podążając tym samym kursem. Wyszkolony przeciwnik halflinga nie dał się jednak ogłupić i blokujące ostrze wciąż było na miejscu.

- Regis!

Buzdygan wznosił się nad głowę halflinga, gotowy rzucić się w przód, jednak Regis opuścił go na długość ramienia, rozpoznając nagle głos.

- Mówiłem ci, żebyś tam został ze światłem - zlątał go Drizzt, wychodząc z cienia. - Masz

szczęście, że cię nie zabiłem.

- Albo że ja ciebie nie zabiłem - odparł Regis, nie dając się zbić z tropu, a jego spokojny, chłodny ton spowodował, że twarz Drizzta pokryła się zdumieniem. - Znalazłeś coś? - spytał halfling.

Drizzt potrząsnął głową. - Jesteśmy blisko - odrzekł cicho. - Obydwoje z Guenhwyvar jesteśmy tego pewni.

Regis podszedł do pochodni i podniósł ją, po czym zatknął buzdygan za pas, aby był łatwy do wyciągnięcia.

Z dalszej części korytarza dobiegł do nich nagle echem warkot Guenhwyvar, obydwaj rzucili się biegiem. - Nie zostawiaj mnie z tyłu! - poprosił Regis, chwytając płaszcz Drizzta i nie puszczając. Jego owłosione stopy biegly, podskakiwały, a nawet ślizgały się, gdy próbował dotrzymać tempa.

Drizzt zwolnił, gdy żółtozielone szkliste oczy spojrzały na niego tuż zza zasięgu pochodni, z rogu, przy którym korytarz gwałtownie skręcał.

- Myślę, że znaleźliśmy krasnoludy - mruknął ponuro Regis. Podał Drizztowi pochodnię i puścił jego płaszcz, podążając za drowem do załomu.

Drizzt rozejrzał się - Regis zobaczył, jak się skrzywił - po czym podniósł pochodnię, rzucając światło na przerażającą scenę.

Rzeczywiście znaleźli zaginione krasnoludy, pocięte i zamordowane, niektóre leżące, niektóre oparte o ściany w nierównych odstępach wzdłuż krótkiego odcinka kamiennego korytarza.

* * *

- Jeśli nie chcesz nosić fartucha, to nie będziesz go nosiła! - powiedział zezłoszczony Bruenor. Catti-brie przytaknęła, słysząc w końcu ustępstwo, jakiego pragnęła od początku.

- Ale, mój królu... - zaprotestował Cobble, jedyny obecny w prywatnej komnacie z Bruenorem i Catti-brie. Zarówno on, jak i Bruenor, cierpieli na spore, wywołane "wodą święconą" bóle głowy.

- Ba! - rzucił król krasnoludów, by uciszyć kierującego się dobrymi intencjami kapłana. - Nie znasz mojej dziewczynki tak dobrze jak ja. Jeśli ona mówi, że nie będzie tego nosić, to nawet wszystkie giganty z Grzbietu Świata nie zmieniają jej zdania.

- Sam się ba! - dobiegło niespodziewane wołanie zza pomieszczenia, po którym nastąpiło donośne pukanie. - Wiem, że tam jesteś, Bruenorze Battlehammerze, który nazywasz się królem Mithrilowej Hali! A teraz otwórz drzwi i spotkaj się z lepszym od ciebie!

- Znasz ten głos? - spytał Cobble, po czym on i Bruenor wymienili zdumione spojrzenia.

- Otwórz, powiadam! - dobiegł kolejny krzyk, po którym nastąpiło ostre stuknięcie. Drzewo rozszczepiło się, gdy specjalnie skonstruowana rękawica z osadzonymi na niej wielkimi szpikulcami utkwiała w grubych drzwiach.

- Au, piaskowiec - rozległo się cichsze zawołanie. Bruenor i Cobble popatrzyli na siebie z niedowierzaniem. - Nie - powiedzieli wspólnie, potrząsając głowami w tył i w przód.

- Co to jest? - spytała Catti-brie, stając się coraz bardziej niecierpliwa.

- To nie może być - odparł Cobble, a młodej kobiecie wydało się, iż z całego serca żywi on nadzieję, by jego słowa okazały się prawdziwe.

Sieknięcie zasygnalizowało, iż stworzenie za drzwiami wyciągnęło w końcu swój szpikuliec.

- Co to jest? - Catti-brie zażądała odpowiedzi od swojego ojca, oparłszy dłonie na biodrach.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, ukazując najdziwniej wyglądającego krasnoluda, jakiego kiedykolwiek widziała Catti-brie. Nosił na każdej dłoni stalowe rękawice z odkrytymi palcami, a podobne szpikulce wystawały z jego łokci, kolan oraz palców ciężkich buciorów. Miał również zbroję (dopasowaną do jego niskiej, baryłkowatej sylwetki) z ułożonych równolegle, poziomych, metalowych płytek, rozmieszczonych o centymetr od siebie i pokrywających jego ciało od szyi do połowy łydki oraz ręce od barków do przedramion. Jego szary hełm okrywał twarz, pod potworną, czarną brodą znikwały grube skórzane paski, z czubka zaś wystawał lśniący szpikuliec, niemal tak wysoki jak mierzący metr dwadzieścia krasnolud.

- To - odpowiedział Bruenor, a w jego głosie brzmiała wyraźna pogarda - jest szałojownik.

-Nie tylko szałojownik - wtrącił się zagadkowy, czarnobrody krasnolud. - To ten szałojownik! Najdzikszy szałojownik! - Podeszedł do Catti-brie i uśmiechnął się szeroko, wyciągając do niej rękę. Przy każdym kroku jego zbroja wydawała chrzęszczące, skrzypiące odgłosy, które powodowały, że młodej kobiecie włosy na karku stawały dęba.

- Thibbledorf Pwent do twoich usług, moja dobra pani! - przedstawił się z pompą krasnolud. - Pierwszy wojownik Mithrilowej Hali. Ty musisz być tą Catti-brie, o której tak wiele opowieści słyszałem w Adbar. Ludzka córka Bruenora, tak mi powiedzieli, choć wciąż jestem trochę wstrząśnięty, widząc jakąś kobietę Battlehammerów bez brody, która łaskocze ją w pałce u nóg!

Smród stworzenia niemal przewrócił Catti-brie. Czy choć raz w przeciągu ostatniego stulecia zdjął swoją zbroję? - zastanawiała się. - Spróbuję ją wyhodować - obiecała.

- Zrób to! Zrób to! - huknął Thibbledorf i przeskoczył przed Bruenora, a odgłos wydany przez jego pancerz zmroził Catti-brie szpik w kościach.

- Mój królu! - ryknął Thibbledorf. Upadł w pokłonie, a robiąc to, niemal odciął długi, zadarty nos Bruenora szpikulcem na hełmie.

- Co, na dziewięć piekieł, tu robisz? - zapytał Bruenor.

- Na dodatek żywy - uzupełnił Cobble, po czym odwzajemnił niedowierzające spojrzenie Bruenora bezradnym wzruszeniem ramion.

- Byłem przekonany, że spadłeś, kiedy smok Shimmergloom przejął dolne hale - ciągnął Bruenor.

- Jego dech był śmiercią! - wrzasnął Thibbledorf.

I kto to mówi, pomyślała Catti-brie, zachowała jednak milczenie.

Pwent wciąż porykiwał, dramatycznie wymachując dookoła rękoma i obracając się na podłodze, nie wpatrując się w nic szczególnego, jakby przypominał sobie scenę z odległej przeszłości. - Zły dech. Głęboka czerń, która spadła na mnie i pozbawiła mnie siły w kościach.

- Ale wydostałem się i uciekłem! - krzyknął nagle Thibbledorf, obracając się do Catti-brie i celując w jej stronę sękatym palcem. - Przez sekretne drzwi w dolnych tunelach. Nawet smok nie jest w stanie powstrzymać Pwenta!

- Utrzymywaliśmy hale jeszcze przez dwa dni po tym, jak sługusy Shimmerglooma wypędziły nas do Doliny Strażnika - wtrącił się Bruenor. - Nie słyszeliśmy ani słowa o tym, że wróciłeś walczyć u boku mojego ojca oraz jego ojca, wtedy króla Mithrilowej Hali.

- Minał tydzień, zanim odzyskałem siły i wróciłem górkami przełęczami do zachodnich wrót - wyjaśnił Pwent. - Wtedy jednak hale były już stracone. Jakiś czas później - ciągnął Pwent, rozdzielając swą niemożliwie gęstą brodę jednym ze szpikulców na rękawicy - usłyszałem, że gromadka młodych, w tym ty, udała się na zachód. Niektórzy mówili, że poszliście pracować w kopalniach Mirabar, kiedy tam jednak dotarłem, nie było po was żadnego śladu.

- Dwieście lat! - Bruenor warknął Pwentowi w twarz, pozbawiając go wydawałoby się wiecznego uśmiechu. - Miałeś dwieście lat, by nas znaleźć, a jednak ani razu nie usłyszeliśmy choć słowa o tym, że żyjesz.

- Wróciłem na wschód - wyjaśnił z łatwością Pwent. - Żyłem spokojnie, głównie jako najemnik, w Sundabar i dla króla Harbromme'a z cytadeli Adbar. To właśnie tam, trzy tygodnie temu, bowiem wcześniej byłem przez jakiś czas na południu, usłyszałem o twoim powrocie, o tym, że Battlehammer odzyskał hale!

- Tak więc jestem, mój królu - powiedział, opadając na jedno kolano. - Wyceluj mnie na twoich wrogów. - Mrugnął wyraźnie w stronę Catti-brie i pokazał brudnym, sękatym palcem na czubek swego szpikulca na hełmie.

- Najdzikszy? - spytał z pewną kpina Bruenor.

- Jak zawsze - odparł Thibbledorf.

- Wezwę ci eskortę - rzekł Bruenor. - Żebyś mógł dostać kąpiel i posiłek.

- Wezmę posiłek - odpowiedział Pwent. - Zachowaj kąpiel i eskortę dla siebie. Znam te stare hale równie dobrze jak ty, Bruenorze Battlehammerze. Lepiej nawet, bo ty byłeś zaledwie krasnoludziątkiem ze szczeciną na podbródku, kiedy zostaliśmy wypędzeni. - Wysunął dłoń, by pociągnąć Bruenora za brodę i zaraz został w nią uderzony. Z przenikliwym śmiechem, przypominającym wołanie jastrzębia, oraz skrzypiąc zbroją, jakby ktoś przejeżdżał pazurem po szkłe, szalójownik wyszedł.

- Sympatyczny - stwierdziła Catti-brie.

- Pwent żyje - zamyślił się Cobble, a Catti-brie nie wiedziała, czy to dobra wiadomość, czy nie.

- Nigdy o nim nie wspominałeś - Catti-brie powiedziała do Bruenora.

- Zaufaj mi, dziewczyno - odparł Bruenor. - Nie warto było o nim wspominać.

* * *

Wyczerpany barbarzyńca padł na łóżko, szukając tak potrzebnego mu snu. Poczuł jak sny wracają do niego, zanim jeszcze zamknął oczy. Usiadł, nie chcąc znów widzieć obrazu Catti-brie obejmującej się z Drizztem Do'Urdenem.

I tak do niego przyszedł.

Ujrzał tysiąc tysięcy iskier, milion odbitych płomieni, opadających spiralą w dół, zapraszających go do siebie.

Wulfgar warknął buntowniczo i próbował wstać. Parę chwil potrwało, zanim zdał sobie sprawę, iż próby te są bezskuteczne, że wciąż znajduje się na swoim łóżku i że opada, podążając nie dającym się zgubić szlakiem migoczących iskier w stronę obrazu.

ROZDZIAŁ 9

ZBYT CZYSTE RANY

Gobliny? - spytał Regis. Drizzt nachylił się nad jednym z krasnoludzkich ciał i potrząsnął głową, zanim zbliżył się jeszcze na tyle, by zbadać rany. Drow tropiciel wiedział, że gobliny raczej nie zostawiłyby krasnoludów w tym stanie, z pewnością nie tknąwszy ich cennych zbroi oraz ekwipunku. Poza tym gobliny nigdy nie zabierały ciał swoich poległych, a w korytarzu leżały jedynie krasnoludy. Niezależnie od tego, jak duży byłby oddział goblinów i jak wielką przewagą wynikającą z zaskoczenia, by dysponował, Drizzt nie uważał za prawdopodobne, by gobliny mogły zabić całą tak krzepką grupę bez żadnych strat.

Rany na najbliższym krasnoludzie wydawały się potwierdzać to, co drowowi podpowiadał instynkt. Cięcia były wąskie i dokładne, nie wykonała ich toporna, nierówna broń goblinów.

Doskonałe, ostre jak brzytwa ostrze, prawdopodobnie zakłute, podcięło gardło temu właśnie krasnoludowi. Linia była ledwo widoczna, nawet gdy Drizzt otarł krew, jednak śmiertelna.

- Co ich zabiło? - zapytał Regis, stając się niecierpliwy. Przeniósł ciężar ciała z jednej stopy na drugą oraz przełożył pochodnię.

Umysł Drizzta odmawiał zaakceptowania oczywistych wniosków. Jakże wiele razy podczas lat spędzonych w Menzoberranzan, podczas walk u boku swych pobratymców drowów, Drizzt Do'Urden widział rany podobne do tych? Żadna inna rasa w całych Krainach, może poza wyjątkiem elfów z powierzchni, nie używała tak ostrej broni.

- Co ich zabiło? - powtórzył Regis z zauważalnym drżeniem w głosie.

Drizzt potrząsnął swymi białymi lokami. - Nie wiem - odpowiedział szczerze. Przeszedł do następnego ciała, pólśiedzącego pod ścianą. Pomimo obfitej ilości krwi jedyną raną, jaką znalazł drow, było pojedyncze, ukośne cięcie z prawej strony gardła nieszczęsnego krasnoluda, cienkie jak kartka papieru, jednak bardzo głębokie.

- To mógł być duergar - Drizzt powiedział do Regisa, mając na myśli złą rasę szarych

krasróludów. Idea ta miała sens, bowiem to właśnie duergarowie służyli smokowi Shimmergloomowi i zamieszkivali te hale jeszcze kilka miesięcy temu, zanim wypędziły ich wojska Bruenora. Mimo to Drizzt wiedział, iż jego rozumowanie opiera się bardziej na nadziei niż na prawdzie. Chciwi duergarowie rozebraliby całkowicie swe ofiary, zwłaszcza zabierając cenny ekwipunek górniczy, poza tym, podobnie jak górskie krasróludy, duergarowie cenili sobie cięższą broń, jak topory. Tego krasróluda nie trafiła taka broń.

- Sam w to nie wierzysz - powiedział z tyłu Regis. Drizzt nie odwrócił się, by spojrzeć na halflinga. Pozostając ciągle w przykucniętej pozycji, przesunął się w stronę następnego nieszczęsnego krasróluda.

Głos Regisa zamierał za plecami Drizzta, jednak drow usłyszał ostatnie stwierdzenie halflinga wyraźniej niż cokolwiek w całym swoim życiu.

- Myślisz, że to zrobił Entreri?

Drizzt tak nie myślał, nie sądził, by jakikolwiek samotny wojownik, niezależnie od tego, jak wyszkolony, mógł wykonać tak dokładną i precyzyjną robotę. Zerknął na Regisa, stojącego obojętnie pod wzniesioną pochodnią i spoglądającego na Drizzta w poszukiwaniu śladów jakiegokolwiek reakcji. Drow uznał rozumowanie halflinga za niezwykle ciekawe, a jedynym wyjaśnieniem, które przychodziło mu na myśl, było to, iż Regis był śmiertelnie przerażony, że Entreri szedł za nim z Calimportu.

Drizzt potrząsnął głową i wrócił do oględzin. Na ciele trzeciego krasróluda znalazł wskazówkę, która zawężała listę potencjalnych zabójców do jednej rasy.

Z boku ciała wystawała mała strzałka, wbita pod płaszcz. Drizzt musiał odetchnąć, by się uspokoić, zanim zdobył się na jej wyciągnięcie, bowiem rozpoznał ją, wyjaśniała ona łatwość, z jaką te krzepkie krasróludy zostały zamordowane. Pocisk, wykonany dla ręcznej kuszy, został bez wątpienia pokryty trucizną usypiającą i był ulubioną bronią strzelecką mrocznych elfów.

Drizzt podniósł się, a do jego smukłych dłoni wskoczyły sejmitary. - Musimy opuścić to miejsce - wyszeptał ostro.

- Co to jest? - spytał Regis.

Drizzt, dostosowując zmysły do zalegającej dalszą część korytarza ciemności, nie odpowiedział.

Skądś za halflingiem Guenhwyvar wydała niski pomruk.

Drizzt podniósł jedną stopę i zaczął powoli wycofywać się do tyłu, rozumiejąc, że każdy gwałtowny ruch doprowadzi do ataku. Mroczne elfy w Mithrilowej Hali! Ze wszystkich potworności, o których mógł pomyśleć Drizzt - a w Faerunie były one niezliczone - żadna nawet nie dorastała do drowów.

- Którędy? - wyszeptał Regis.

Błękitne światło Błysku wydawało się rozjarzyć.

- Idź! - krzyknął Drizzt, rozumiejąc ostrzeżenie sejmitara. Obrócił się i widział Regisa zaledwie przez chwilę, później halfling zniknął pod kulą przyzwaną ciemności, magia w mgnieniu oka pochłonęła światło trzymanej przez niego pochodni.

Drizzt przetoczył się na bok korytarza i znów obrócił za opartym ciałem martwego krasnoluda. Zamknął oczy, zmuszając je do przejścia w spektrum podczerwieni, i poczuł, jak zwłoki krasnoluda poruszają się lekko, raz i drugi. Drizzt wiedział, że zostały trafione bełtami.

Z kuli ciemności z tyłu wyłoniła się smuga ciemności, korytarz rozjaśnił się trochę, gdy Regis najwyraźniej wyszedł z tyłu zaciemnionego obszaru, jego pochodnia rzuciła trochę światła wokół krawędzi nieprzeniknionej sfery.

Halfling nie krzyknął jednak. Zdumiało to Drizzta i wzbudziło w nim obawy, że Regis został pochwycony.

Przebiegła obok niego Guenhwyvar, najpierw rzucając się w lewo, później w prawo. Pokryty truczną bełt odbił się od kamiennej podłogi, centymetry od szybko przesuwających się łap pantery. Kolejny trafił z głuchym odgłosem Guenhwyvar, jednak kocica nawet nie zwolniła.

Drizzt dostrzegł zarysy dwóch szczupłych sylwetek, wiele metrów dalej, każda z wyciągniętą jedną ręką, jakby znów mierzyły ze swych paskudnych broni. Drizzt przyzwał swe wrodzone magiczne zdolności i umieścił kulę ciemności w korytarzu przed Guenhwyvar, dając jej osłonę. Następnie on również podniósł się i zaczął biec, podążając za kotem z nadzieją że Regis jakoś uciekł.

Nie zwalniając wpadł we własną ciemność. Doskonale pamiętał układ korytarza i zwinnie przeskoczył ciało kolejnego krasnoluda. Wyłoniwszy się Drizzt zauważył po swojej lewej stronie czarną paszczę bocznego korytarza. Guenhwyvar przemknęła obok niej i kierowała się teraz na dwie sylwetki drowów, jednak Drizzt, wyćwiczony w taktyce mrocznych elfów, wiedział w głębi serca, że ten boczny korytarz nie może być czysty.

Usłyszał odgłos kroków, jakby wydawany przez wiele twardych nóg, po czym padł do tyłu, oszołomiony i wystraszony, gdy ośmionożna potworność, w połowie drow, a połowie arachnid, okrążyła zakręt, z równą łatwością stąpając po podłodze co po ścianach.

W całym rozległym świecie nie istniało nic bardziej odstręczającego dla każdego drowa, w tym dla Drizzta Do'Urdena, niż drider.

Ryk Guenhwyvar, któremu towarzyszyły odgłosy kilku strzelających kusz, przywrócił Drizztowi zmysły akurat na czas, by mógł odbić pierwszy atak dridera. Potwór natarł na niego z podniesionymi i wierzgającymi przednimi nogami - aby pozbawić Drizzta równowagi - po czym wykonał podwójne

cięcie swymi toporami w głowę Drizzta.

Drizzt wycofał się z zasięgu nóg akurat, by uniknąć toporów, zamiast jednak kontynuować odwrót, zahaczył ramieniem jedno z pajęczych odnóży i okręcił się wokół niego, wracając. Zamigotał Błysk, odtrącając na bok drugą nogę i dając Drizztowi wolną przestrzeń, by wślizgnąć się na kolanach prosto pod bestię.

Drider cofnął się i zasyczał, obydwa jego topory podążyły w stronę pleców Drizzta.

Drugi sejmitar Drizzta był już jednak na miejscu, ustawiony poziomo za jego czułym karkiem. Odbił szeroko jeden z toporów i przyjął drugi w miejscu, gdzie jego głowica stykała się z trzonkiem. Drizzt wsunął pod siebie stopę i odwrócił się w bok wstając, kierując obydwa ostrza w górę. Kontynuował ruch parującym sejmitarem, obracał schwyty topór w ręce dridera, wrywając go. Błyskiem natomiast pchnął pionowo w górę, odnajdując lukę w pancernym egzoszkielecie stwora i zatapiając ostrze głęboko w pajęczę ciało. Rękę Drizzta zalały gorące płyny, a drider wrzasnął z bólu i zatrząsł się gwałtownie.

Nogi zaczęły uderzać w Drizzta z każdej strony. Niemal puścił chwyt na Błysku i musiał wyciągnąć ostrze, by zdołać je utrzymać. Poprzez swoje więzienie z pajęczych nóg Drizzt dostrzegł więcej ciemnych sylwetek wylaniających się z bocznego korytarza, wyraźnie mrocznych elfów, każda z jedną ręką wyciągniętą w jego stronę.

Obrócił się szaleńczo, gdy pierwszy wystrzelił. Jego gruby płaszcz rozwiął się szczęśliwie za nim i chwycił pocisk w swe ciężkie fałdy. Zakończywszy jednak swój desperacki manewr Drizzt zauważył, że częściowo wydostał się spod dridera, a stwór obrócił się tak, by wymierzyć w niego pozostały mu topór. Co gorsza, drugi drow miał go właśnie jak na dłoni w celowniku swej kuszy.

Topór opadł z furją w dół - płazem do przodu, jak zauważył Drizzt - zmuszając drowa do parowania. Spodziewał się usłyszeć brzęk zwalnianej kuszy, zamiast tego jednak dosłyszał stłumiony jęk, gdy trzysta kilogramów czarnej pantery pogrzebało pod sobą mrocznego napastnika.

Drizzt odrzucił jednym z ostrz topór na bok, po czym powtórzył to samo drugim, zdobywając dla siebie wystarczającą ilość czasu, by się odsunąć. Podniósł się, instynktownie umykając sprzed dridera, akurat na czas, by jego broń zablokowała pchnięcie mieczem od najbliższego drowa.

- Opuść broń, to pójdzie mi łatwiej! - drow, trzymający dwa wspaniałe miecze, krzyknął w języku, którego Drizzt nie słyszał od ponad dekady, języku, który znów przywołał do jego umysłu obrazy pięknego, wypaczonego, straszego Menzoberranzan. Jakże wiele razy Zaknafein, jego ojciec, stał przed nim, podobnie uzbrojony, oczekując na ich pojedynek sparingowy?

Z ust Drizzta wydostał się warkot, którego nawet nie był świadom. Wszedł w serię ofensywnych kombinacji, które w ułamku sekundy pozostawiły jego przeciwnika oszołomionego i pozbawionego równowagi. Z boku nisko ruszył sejmitar, drugi zaś wysoko, w przód, następnie pierwszy znowu się zamierzył, skierowany w dół na poziomie barku.

Oczy wrogięgo drowa rozszerzyły się nagle, gdy uświadomił sobie, że jest zgubiony.

Obok nich przemknęła Guenhwyvar, wpadając całym ciałem na dridera i tocząc się z nim w czarnej kuli drapiących pazurów oraz wierzgających pajęczych nóg.

Drizzt wiedział, że pojawia się więcej mrocznych elfów, z przodu i z bocznego przejścia. Furia Drizzta nie opadała. Błysk i drugie ostrze pracowały zawzięcie, powstrzymując drugiego drowa przed rozpoczęciem ofensywnej kontry.

Dostrzegł lukę na poziomie szyi drowa, jednak nie miał serca, by zabić. Nie walczył z goblinem, lecz z drowem, jednym z własnej rasy, być może podobnym do Zaknafeina. Drizzt przypomniał sobie obietnicę, jaką złożył, gdy opuścił miasto mrocznych elfów. Ignorując odsłoniętą szyję drowa, skierował zamiast tego ostrze w dół, odbijając jeden z mieczy przeciwnika. Zaraz po tym ataku ruszył Błysk, trafiając w ten sam miecz, po czym pierwsze ostrze Drizzta uderzyło od drugiej strony, trafiając broń z przeciwnego kierunku i wytrącając ją przeciwnikowi z ręki. Zły drow zachwiał się do tyłu, po czym natarł nisko, mając nadzieję wykonać wystarczająco szybko kontrę pozostałym mu mieczem, by odepchnąć Drizzta w tył i spróbować odzyskać straconą broń.

Oślepiające uderzenie Błyskiem posłało ów pozostały miecz daleko, a Drizzt, nigdy nie wątpiąc w skuteczność swoich ataków, zaczął iść do przodu, zanim jeszcze Błysk trafił.

Mógł trafić drowa gdziekolwiek tylko by zechciał, wliczając w to tuzin żywotnych miejsc, jednak znów przypomniał sobie przysięgę, złożoną kiedy opuścił Menzoberranzan, obietnicę wobec siebie oraz usprawiedliwienie odejścia, że nigdy więcej nie odbierze już życia komuś ze swego własnego ludu.

Jego sejmitar dźgnął w dół, kierując się nad rzepkę kolanową przeciwnika. Drow zawył i padł na plecy, wijąc się na kamieniach i trzymając za zranioną kończynę.

Guenhwyvar znajdowała się pod stojącym driderem, mięśnie pantery wystawały spod zwisających luźno płatów pokrytej czarną sierścią skóry.

- Idź, Guenhwyvar! - krzyknął Drizzt biegnąc wzdłuż ściany i skacząc dziko w znajdującą się z tej strony płataninę nóg dridera. Znów usłyszał wrzask potwora, gdy sejmitar wbił się głęboko w jedną z jego nóg, niemal ją odcinając, po czym wyrwał broń i rzucił się w bok.

Guenhwyvar otrzymała kolejne trafienie toporem, lecz nie odpowiedziała na nie, nie podążyła za Drizstem ani nie skontrolowała ataku.

- Guenhwyvar! - zawołał Drizzt, a pantera obróciła powoli głowę, by na niego spojrzeć. Drizzt zrozumiał powód opóźnienia pantery, gdy Guenhwyvar wzdrygnęła się od kilku kolejnych trafień z kuszy.

Instynkt drowa mówił mu, by odesłał panterę, zanim spadnie na nią więcej ciosów - nie miał

jednak figurki!

- Guenhwyvar! - krzyknął jeszcze raz, widząc liczne sylwetki zbliżające się szybko zza dridera. Szczerze rozdarty Drizzt zdecydował się wrócić i walczyć u boku pantery aż do smutnego końca.

Osmionogie stworzenie zasyczało zwycięsko, celując toporem w bezbronny i drżący kark pantery. Ostrze opadło, trafiło jednak tylko niematerialną mgłę, i w głosie dridera rozbrzmiała frustracja.

- Chodź! - Drizzt usłyszał za sobą Regisa. Tropiciel zrozumiał wtedy i odczuł ulgę.

Wtedy jednak drider odwrócił się do niego w pełni i po raz pierwszy, gdy światło pochodni wróciło do tego odcinka tunelu, Drizzt mógł się dobrze przyjrzeć niepokojąco znajomej twarzy stwora.

Nie miał jednak czasu, by się nad tym zastanawiać. Odwrócił się, wykonując ten ruch bardziej zamasyście, by rozwiązać swój płaszcz (i przyjąć na niego kolejny pocisk, który leciał w stronę jego pleców), i zaczął biec.

Korytarz zaciemnił się zaraz, po czym rozjaśnił trochę i znów zaciemnił, kiedy Regis wchodził i wychodził z dwóch kul ciemności. Drizzt rzucił się na bok, zaraz gdy wszedł pod osłonę własnej kuli, i usłyszał, jak niedaleko od niego bełt odbija się od kamienia. Biegając pełnymi krokami, dogonił Regisa tuż za drugą kulą. Razem przemknęli nad ciałami krasnoludów, ścięli zakręt korytarza i dalej biegli, Drizzt wskazywał drogę.

W ŚCIANKACH WSPANIAŁEGO KLEJNOTU

Regis i Drizzt zatrzymali się w małej, bocznej komnacie, której strop był względnie wolny od stalaktytów wszechobecnych w tym rejonie jaskiń, a wejście niskie i łatwe do obrony. - Czy mam zgasić pochodnię? - spytał halfling. Stał za Drizztem, gdy drow przykucnął przed wejściem, nasłuchując odgłosów ruchu w rozciągającym się dalej głównym korytarzu. Drizzt rozmyślał przez chwilę, po czym potrząsnął głową, wiedząc, że to i tak nie ma znaczenia, że on i Regis nie mają szansy uciec z tych tuneli bez kolejnej konfrontacji. Wkrótce po tym jak uciekli z pola walki, Drizzt odkrył innych przeciwników poruszających się równoległe do nich bocznymi korytarzami. Znał techniki łowieckie mrocznych elfów wystarczająco dobrze, by rozumieć, iż w żadnych wyraźnych przejściach nie będzie zastawionych pułapek.

- Wydaje mi się, że walczę lepiej w świetle niż moi pobratymcy - stwierdził Drizzt.

- Przynajmniej nie był to Entreri - powiedział lekko Regis, a Drizzt uznał wzmiankę o zabójcy za niezwykle dziwną. Gdyby to był Artemis Entreri! - zamyślił się drow. Przynajmniej on i Regis nie byłiby otoczeni przez hordę drowów wojowników!

- Dobrze zrobiłeś odsyłając Guenhwyvar - uznał Drizzt. - Czy pantera zginęłaby? - zapytał Regis.

Drizzt szczerze nie znał odpowiedzi, nie przypuszczał jednak, by Guenhwyvar groziło jakiegokolwiek śmiertelne niebezpieczeństwo. Widział panterę wciąganą w kamień przez stworzenie z żywiołowego planu ziemi oraz wpadającą do magicznie stworzonego jeziora czystego kwasu. W obydwu przypadkach pantera wróciła do niego i jej rany się w końcu zagoiły.

- Gdybyśmy pozwolili dłużej kontynuować drowom i driderowi - dodał - możliwe, że pantera potrzebowałaby więcej czasu, by wylizać się z ran na Planie Astralnym. Nie sądzę jednak, by panterę można było zabić poza jej domem, nie, jeśli przetrwa figurka. - Drizzt znów skierował wzrok na Regisa, a na jego przystojnej twarzy widniała szczerza wdzięczność. - Dobrze jednak zrobiłeś, odsyłając Guenhwyvar z powrotem, bowiem z pewnością cierpiała z rak naszych wrogów.

- Cieszę się, że Guenhwyvar nie umrze - rzekł Regis, gdy Drizzt odwrócił spojrzenie w stronę wejścia. - Szkoda byłoby stracić tak cenny magiczny przedmiot.

Nic, co Regis powiedział od powrotu z Calimportu, nic, co kiedykolwiek powiedział do Drizzta, nie wydawało się być tak nie na miejscu. Nie, to szło jeszcze dalej, uznał Drizzt, kucając tam, oszołomiony nieczułą uwagą halflinga. Guenhwyvar i Regis byli czymś więcej niż towarzyszami, byli przyjaciółmi, od wielu lat. Regis nigdy nie odniósłby się do Guenhwyvar jako do magicznego

przedmiotu.

Nagle to wszystko zaczęło mieć sens dla mrocznego elfa - niedawne wzmianki halflinga o Artemisie Entrerim, przy martwych krasnoludach, oraz wcześniej, kiedy rozmawiali o tym, co się stało w Calimporcie po odjeździe Drizzta. Teraz Drizzt rozumiał ochoczość, jaką Regis mierzył jego odpowiedzi na wzmianki o zabójcy.

Drizzt rozumiał też okrucieństwo swej walki z Wulfgarem - czy barbarzyńca nie wspomniał mu, że to Regis powiedział mu o spotkaniu drowa z Catti-brie przed Mithrilową Halą?

- Co jeszcze powiedziałaś Wulfgarowi? - spytał Drizzt, nie obracając się, nie wykonując najdrobniejszego ruchu. - O czym jeszcze go przekonałeś tym rubinowym wisiorkiem, który wisi na twojej szyi?

Mały buzdygan upadł z brzękiem na ziemię przy drowie, zatrzymując się kilka kroków przed nim. Później spadł następny przedmiot, maska, którą sam Drizzt nosił podczas swojej podróży do południowych cesarstw, maska, która pozwoliła mu ukryć swój wygląd pod twarzą elfa z powierzchni.

* * *

Wulfgar popatrzył z zaciekawieniem na rozwścieczonego krasnoluda, niezbyt pewien, co zrobić z tym niezwykłym szalojownikiem. Bruenor przedstawił Pwenta barbarzyńcy zaledwie minutę temu i Wulfgar odniósł niewyraźne wrażenie, iż Bruenor nie przepada zbytnio za tym czarnobrodym, cuchnącym krasnoludem. Następnie król krasnoludów ruszył biegiem przez salę audiencyjną, by zająć miejsce pomiędzy Cobble'em a Catti-brie, pozostawiając Wulfgara stojącego przy drzwiach w kłopotliwej sytuacji.

Thibbledorf Pwent wydawał się jednak czuć całkowicie swobodnie.

- A więc jesteś wojownikiem? - spytał grzecznie Wulfgar, starając się znaleźć jakąś wspólną płaszczyznę.

Wybuch śmiechu Pwenta zabrzmiał kpiąco. - Wojownikiem? - ryknął sprośny krasnolud. - Chodzi ci o takiego, który walczy z honorem?

Wulfgar wzruszył ramionami, nie mając pojęcia dokąd zmierza Pwent.

- Czy ty jesteś wojownikiem, wielki chłopcze? - spytał Pwent.

Wulfgar wypiął swą wielką pierś. - Jestem Wulfgar, syn Beornegara... - zaczął ponuro.

- Tak sądziłem - Pwent zawołał przez pomieszczenie do pozostałych. - A gdybyś walczył z innym, zaś on by się przewrócił i upuścił broń, ty stałbyś nieruchomo, pozwalając mu ją podnieść, ponieważ wiedziałbyś, że i tak wygrasz - stwierdził Pwent.

Wulfgar wzruszył ramionami, odpowiedź była dla niego oczywista.

- Zdajesz sobie sprawę, że Pwent pewnie obrazi chłopaka - Cobble, oparłszy rękę na ramieniu fotela Bruenora, wyszeptał do króla krasnoludów.

- A więc stawiam złoto przeciwko srebru na chłopaka - zaproponował cicho Bruenor. - Pwent jest dobry i dziki, jednak nie ma siły, by sobie z nim poradzić.

- Nie przyjmuję zakładu - odparł Cobble. - Ale jeśli Wulfgar podniesie na niego rękę, bez wątpienia zostanie dźgnięty.

- Dobrze - wtrąciła nieoczekiwanie Catti-brie. Bruenor i Cobble skierowali na młodą kobietę niedowierzające spojrzenia. - Wulfgar potrzebuje dźgnięcia - wyjaśniła z nietypową dla siebie nieczułością.

- No dobra, niech więc ci będzie! - Pwent ryknął Wulfgarowi w twarz, a mówiąc prowadził barbarzyńcę przez pomieszczenie. - Gdybym ja z kimś walczył, gdybym walczył z tobą, a ty upuściłbyś broń, pozwoliłbym ci się schylić i ją podnieść.

Wulfgar przytaknął, odskoczył jednak, gdy Pwent strzelił mu tuż pod nosem swymi brudnymi paluchami. - A wtedy wbiłbym mój szpikulec prosto w czubek twojej wielkiej głowy! - dokończył szałojownik. - Nie jestem żadnym cholernym głupim wojownikiem, ty durny idioto! Jestem szałojownikiem, tym szałojownikiem, i nigdy nie zapominaj o tym, że Pwent walczy, by wygrać! - Znow strzelił palcami w stronę Wulfgara, po czym przemknął obok oszołomionego barbarzyńcy i tupiąc stanął przed Bruenorem.

- Masz gwałtownych przyjaciół, ale nie jestem zaskoczony - Pwent zagrzmiął do Bruenora. Spojrzał na Catti-brie uśmiechając się, w pełni ukazując połamane zęby. - Ale ty dziewczyno byłabyś słodka, gdybyś tylko znalazła sposób, by wyhodować sobie trochę włosów na podbródku.

- Weź to za komplement - Cobble cicho zaproponował Cat-ti-brie, która tylko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się rozbawiona.

- Battlehammerowie zawsze mieli w swych sercach słabość dla tych, którzy nie należą do krasnoludzkiego ludu - ciągnął Pwent, kierując swe uwagi do Wulfgara, który podchodził bliżej. - A my i tak pozwalamy im być naszymi królami. Nikt jeszcze tego nie rozwikłał.

Knykie Bruenora zbieleły od napięcia, gdy chwycił oparcia swego fotela, starając się opanować. Catti-brie przykryła jego dłoń swoją, a kiedy spojrzał w jej tolerancyjne oczy, burza szybko przeszła.

- Jak już o tym mówimy - ciągnął Pwent - krąży tu paskudna plotka, że macie przy sobie elfa drowa. Jest w tym trochę prawdy?

Pierwszą reakcją Bruenora była złość - krasnolud zawsze bronił swego często źle postrzeganego przyjaciela.

Catti-brie przemówiła jednak pierwsza, a jej słowa były bardziej skierowane do ojca niż do Pwenta, przypominały Bruenorowi, że skóra Drizzta stwardniała i sam potrafił się o siebie zatroszczyć. - Wkrótce poznasz drowa - powiedziała szałojownikowi. - On z pewnością jest wojownikiem, który pasuje do twojego opisu, jeśli ktoś taki istnieje.

Pwent zaryczał szyderczym śmiechem, zamarł on jednak, gdy Catti-brie ciągnęła dalej.

- Gdybyś przyszedł do niego zacząć walkę, lecz upuściłbyś swój spiczasty hełm, podniósłby ci go i założył z powrotem na głowę - wyjaśniła. - Oczywiście później by ci go zdjął, wsadził ci w spodnie i dał parę kopniaków, taka byłaby "pwenta".

Wydawało się, że wargi szałojownika zaciskają się w ciasny węzeł. Po raz pierwszy od wielu dni wyglądało na to, że Wulfgar całkowicie popiera rozumowanie Catti-brie, a jego skinienie głowy, oraz Bruenora i Cobble'a, wyrażały z pewnością pochwałą, gdy Pwent nic nie odpowiedział.

- Od jak dawna nie ma Drizzta? - spytał barbarzyńca, aby zmienić temat, zanim Pwent odnajdzie swój irytujący głos.

- Tunele są długie - odparł Bruenor.

- Wróci na ceremonię? - zapytał Wulfgar, a Catti-brie wydało się, że w jego tonie brzmi jakaś sprzeczność uczuć, niepewność, którą odpowiedź by wolał.

- Bądź pewien, że wróci - wtrąciła niewzruszenie młoda kobieta. - Bądź bowiem pewien, że nie będzie żadnego ślubu, dopóki Drizzt nie wróci z tuneli. - Spojrzała na Bruenora całkowicie miażdżąc jego protesty, zanim nawet zdołał je wypowiedzieć. - A mnie nie obchodzi, że wszyscy królowie i królowe z północy będą czekać przez miesiąc!

Wulfgar wydawał się znajdować na skraju eksplozji, był jednak na tyle rozsądny, by skierować swą narastającą złość z dala od Catti-brie. - Powinienem być pójść razem z nim! - warknął do Bruenora. - Dlaczego posłałeś z nim Regisa? Na co przyda się halfling, gdy trafią na wrogów?

Dzikość w tonie młodzieńca zbiła Bruenora z tropu.

- On ma rację - Catti-brie rzuciła prosto w ucho swego ojca, nie dlatego, że nie chciała się w żadnej kwestii zgodzić z Wulfgarem, lecz dlatego, że ona, podobnie jak Wulfgar, ujrzała możliwość wyrzucenia z siebie otwarcie swej złości.

Bruenor zapadł się w fotelu, a jego ciemne oczy przeskakiwały z córki na Wulfgara. - Krasnoludy się zgubiły, to wszystko - powiedział.

- Nawet jeśli to prawda, to co zrobi Regis poza spowalnianiem drowa? - stwierdziła Catti-brie.

- Powiedział, że znajdzie sposób, żeby się dopasować! - zaprotestował Bruenor.

- Kto tak powiedział? - zażądała Catti-brie.

- Pasibrzuch! - krzyknął jej zdenerwowany ojciec.

- Nawet nie chciał iść! - odkrzyknął Wulfgar.

- Chciał! - ryknął Bruenor, wstając gwałtownie ze swego siedziska i odpychając pochylonego Wulfgara dwa kroki w tył, uderzywszy go krzepkim przedramieniem w pierś. - To Pasibrzuch powiedział mi, żebym wysłał go razem z drowem, powiadam wam!

- Regis był tu z tobą, gdy otrzymałeś wiadomość o zaginionych krasnoludach - stwierdziła Catti-brie. - Nie mówiłeś nic o tym, że Regis domagał się, by iść.

- Mówił mi wcześniej - odpowiedział Bruenor. - Powiedział... - krasnolud przerwał nagle, zdając sobie sprawę z braku logiki w tym wszystkim. W jakiś sposób, gdzieś na tyłach swego umysłu, przypominał sobie Regisa tłumaczącego mu, że on i Drizzt powinni iść po zaginione krasnoludy, jakże tak jednak mogło być, jeżeli Bruenor podjął decyzję zaraz po tym, jak dowiedzieli się, że krasnoludy zaginęły?

- Czy znów próbowałeś wody święconej, mój królu? - spytał z szacunkiem acz stanowczo Cobble.

Bruenor uniósł dłoń, wskazując wszystkim, by pozostali cicho, gdy on będzie przeszukiwał swoje wspomnienia. Jak z oddali pamiętał słowa Regisa i wiedział, że ich sobie nie wyobraził, wspomnieniom nie towarzyszył jednak żaden obraz, żadna scena, w której mógłby umieścić halflinga i w ten sposób wyjaśnić wyraźną niezgodność czasową.

Wtedy pojawił się w Bruenorze obraz, wirujący szereg lśniących ścianek, opadających spiralą w dół i wciągających go w głębiny cudownego rubinu.

- Pasibrzuch powiedział mi, że krasnoludy zaginą - powiedział powoli i wyraźnie Bruenor, z zamkniętymi oczyma, gdy wyciągał wspomnienia z podświadomości. - Powiedział mi, że powinienem posłać jego i Drizzta, aby ich odnaleźli, aby tylko oni dwaj doprowadzili krasnoludy bezpiecznie z powrotem do moich hal.

- Regis nie mógł tego wiedzieć - stwierdził Cobble, wyraźnie wątpiąc w słowa Bruenora.

- A nawet jeśli ten malec wiedział, nie chciałby iść, żeby ich szukać - dodał Wulfgar z takimi samymi wątpliwościami. - Czy to jest sen...?

- To nie sen! - warknął Bruenor. - Powiedział mi... z tym swoim rubinem. - Twarz Bruenora wykrzywiła się, gdy próbował sobie przypomnieć, starał się przyzwać swą krasnoludzką odporność na magię, by zwalczyła upartą blokadę umysłu.

- Regis by nie... - znów zaczął mówić Wulfgar, jednak tym razem to Catti-brie, znająca prawdę kryjącą się za słowami jej ojca, mu przerwała.

- Chyba że to nie był prawdziwy Regis - zasugerowała i jej własne słowa spowodowały, iż jej usta otworzyły się pod ciężarem strasznych implikacji. Wszyscy troje przeszli wiele u boku Drizzta i wiedzieli, iż drow miał wielu złych i potężnych przeciwników, z których zwłaszcza jeden dysponował odpowiednimi chwytami, by stworzyć tak dopracowane oszustwo.

Wulfgar wyglądał na równie ugodzonego, był zakłopotany, jednak Bruenor zareagował szybko. Zeskoczył z tronu i przemknął pomiędzy Wulfgarem a Pwentem, niemal zwalając ich z nóg. Catti-brie ruszyła tuż za nim, a Wulfgar również odwrócił się w stronę drzwi.

- O czym, na głowę goblina, oni wszyscy gadają? - zapytał Pwent, gdy kapłan Cobble również przemykał obok niego.- Walka - odparł Cobble, wiedząc dobrze, jak odbić żądania dłuższych wyjaśnień.

Thibbledorf opadł na jedno kolano i pochylił swój krzepki bark, uderzając triumfalnie pięścią przed siebie. - Jeeeeee! - krzyknął radośnie. - Dobrze jest znowu służyć Battlehammerowi!

* * *

- Jesteś z nimi w zмовie, czy to wszystko jest jednym strasznym zbiegiem okoliczności? - spytał sucho Drizzt, wciąż odmawiając odwrócenia się i dania Artemisowi Entreri satysfakcji oglądania jego męki.

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności - dobiegła przewidywalna odpowiedź.

W końcu Drizzt obrócił się, by ujrzeć swego przerażającego rywala, ludzkiego zabójcę Artemisa Entreri, stojącego swobodnie w gotowości, ze wspaniałym mieczem w jednej dłoni, a wysadzonym klejnotami sztyletem w drugiej. Pochodnia, wciąż płonąca, leżała u jego stóp. Magiczna transformacja z halflinga w człowieka była całkowita, wliczając w to ubiór, a fakt ten mocno zaniepokoił Drizzta. Kiedy on używał maski, nie zrobiła nic więcej poza zmianą koloru jego skóry i włosów, teraz więc zdumienie na jego twarzy było wyraźne.

- Powinieneś lepiej poznać wartość magicznych przedmiotów, zanim beztrząsliwie odrzucisz je na bok - powiedział do niego zabójca, rozumiejąc spojrzenie.

W słowach Entreriego była najwyraźniej nuta prawdy, jednak Drizzt nie żałował, iż zostawił magiczną maskę w Calimporcie. Pod jej ochronnym kamuflażem mroczny elf mógł chodzić spokojnie, bez prześladowań, pomiędzy innymi rasami. Jednak pod tą maską Drizzt Do'Urden chodził w kłamstwie.

- Mogłeś mnie zabić podczas walki z goblinami albo przy stu innych razach od swojego powrotu do Mithrilowej Hali - stwierdził Drizzt. - Po co te wyszukane gierki?

- Tym słodsze będzie moje zwycięstwo.

- Chcesz, żebym wyciągnął broń, abyśmy podjęli walkę rozpoczętą w kanałach Calimportu.

- Nasza walka zaczęła się na długo wcześniej, Drizzcie Do'Urden - złażał go zabójca. Niedbale wycelował ostrze w Drizzta, który nie uchylił się ani nie sięgnął po swe sejmity, gdy miecz musnął go w policzek.

- Ty i ja - ciągnął Entreri, zaczynając obchodzić Drizzta - jesteśmy śmiertelnymi wrogami od dnia, kiedy dowiedzieliśmy się o sobie, każdy z nas jest obrazą dla zasad walki drugiego. Kpię sobie z twoich zasad, a ty obrażasz moją dyscyplinę.

- Dyscyplina i pustka nie są tym samym - odpowiedział Drizzt. - Jesteś zaledwie skorupą, która wie, jak używać broni. Nie ma w tobie substancji.

- Dobrze - wycedził Entreri, stukając Drizzta w biodro swym mieczem. - Wyczuwam twoją złość, drowie, choć z taką desperacją starasz się ją ukryć. Wyciągnij broń i wyzwól ją. Naucz mnie swymi umiejętnościami tego, czego nie możesz słowami.

- Ciągłe nie rozumiesz - odparł spokojnie Drizzt, przekrzywiwszy na bok głowę, a na jego twarzy rozlał się szczery uśmiech. - Nie nauczę cię niczego. Szkoda mojego czasu na Artemisa Entreri.

Oczy Entreriego rozbłysły nagłą wściekłością i skoczył do przodu, trzymając wysoko miecz, jakby zamierzał ugodzić Drizzta.

Drizzt nawet nie drgnął.

- Wyciągnij broń, abyśmy mogli kontynuować nasze przeznaczenie - warknął Entreri, cofając się i opuszczając miecz do poziomu oczu drowa.

- Przewróć się na swoje własne ostrze i napotkaj jedyny koniec, na jaki zasługujesz - odrzekł Drizzt.

- Mam twoją kocięcę! - rzucił Entreri. - Musisz mnie pokonać albo Guenhwyvar będzie moja.

- Zapominasz, że obydwaj zostaniemy pochwyceni albo zabici - stwierdził Drizzt. - Nie doceniasz zdolności łowieckich mojego ludu.

- A więc walcz dla halflinga - warknął Entreri. Wyraz twarzy Drizzta wskazywał, iż zabójca trafił w czuły punkt. - Zapomniałeś o Regisie? - rzekł przymilnie Entreri. - Nie zabiłem go, jednak zginie tam, gdzie jest, a tylko ja znam to miejsce. Powiem ci tylko, jeśli wygrasz. Walcz, Drizzcie Do'Urden, jeśli nie dla żadnego lepszego powodu, to chociaż po to, by uratować życie tego żalosego halflinga!

Miecz Entreriego znów wykonał leniwe pchnięcie w twarz Drizzta, jednak tym razem został odepchnięty daleko w bok, gdy sejmitar wyskoczył z pochwy i go odtrącił.

Entreri natychmiast go zawrócił, po nim zaś nastąpił atak sztyletem, który niemal znalazł lukę w obronie Drizzta.

- Myślałem, że straciłeś władzę w ręku i oku - powiedział drow.

- Skłamałem - odparł Entreri, cofając się i rozkładając szeroko broń. - Może powinienem zostać ukarany?

Drizzt pozwolił swym sejmitarom odpowiedzieć za siebie, zaatakował szybko i wykonywał bez przerwy cięcia, w lewo i w prawo, w lewo i w prawo, a później trzeci raz w prawo, gdy jego lewe ostrze zawirowało nad głową i popędziło prosto przed siebie w oślepiającym pchnięciu.

Kontruując mieczem i sztyletem zabójca odtrącił na bok obydwie ataki.

Walka stała się tańcem, ruchy były zbyt zgrane, było w nich zbyt wiele doskonałej harmonii, by którykolwiek uzyskał przewagę. Drizzt, wiedząc, że czas biegnie na jego niekorzyść, a jeszcze bardziej na zgubę Regisa, zbliżył się do palącej się słabo pochodni, po czym nastąpił na nią, obracając nogą i dusząc płomień, gasząc w ten sposób światło.

Pomyślał, że jego rasowa zdolność widzenia w ciemności da mu przewagę, jednak kiedy spojrzał na Entreriego, zobaczył że oczy zabójcy płoną wielką czerwienią infrawizji.

- Sądziłeś, że to maska dała mi tę zdolność? - uznał Entreri. - To nieprawda, jak widzisz. To był dar od mojego towarzysza mrocznego elfa, najemnika, trochę podobnego do mnie - jego słowa zakończyły się, gdy rozpoczął szarżę. Jego miecz wzniósł się wysoko, zmuszając Drizzta do obrotu i uniku w bok. Drizzt uśmiechnął się z satysfakcją, gdy Błysk wzniósł się w górę, sejmitar zabrzączał, odtrącając na bok sztylet Entreriego. Delikatny obrót ustawił Drizzta z powrotem w defensywie, Błysk okrążył dłoń Entreriego ze sztyletem i wykonał cięcie w odsłoniętą pierś zabójcy.

Entreri zaczął już się cofać i ostrze nie zdołało się zbliżyć.

W stłumionym świetle Błysku kolory ich skóry stały się szarością, wydawali się podobni, niczym bracia odlani z tej samej formy. Entreriemu podobał się ten widok, jednak Drizztowi z pewnością nie. Drowowi renegatowi Artemis Entreri wydawał się mrocznym zwierciadłem własnej duszy, obrazem tego, czym mógłby się stać, gdyby pozostał w Menzoberranzan u boku swych amoralnych pobratymców.

Wściekłość Drizzta kierowała nim teraz w serii oślepiających pchnięć oraz przebiegłych, zamaszystych cięć. Jego zakrzywione ostrza tkwały wokół siebie ciasne linie, przy każdym ataku trafiały w Entreriego pod innym kątem.

Miecz i sztylet grały równie dobrze, blokując i odwzajemniając przebiegłe kontry, po czym blokując kontrujące kontry, które zabójca wydawał się z łatwością przewidywać.

Drizzt mógł walczyć z nim wiecznie, nigdy by się nie zmęczył, stojąc przed Entrerim. Wtedy jednak poczuł w łydce ukłucie, a później poczuł w nodze najpierw piekący ból, a następnie otępienie.

Po paru sekundach poczuł, jak jego refleks zwalnia. Chciał wykrzyczeć prawdę, skraść Entreriemu chwilę zwycięstwa, bowiem z pewnością zabójcy, który tak bardzo pragnął pokonać Drizzta w szczerzej walce, nie spodobałaby się wygrana dostarczona mu przez zatruty belt niewidocznych sprzymierzeńców.

Czubek Błysku upadł na podłogę i Drizzt zdał sobie sprawę, że jest niebezpiecznie narażony na ciosy.

Entreri padł pierwszy, podobnie zatruty. Drizzt wyczuł ciemne sylwetki wślizgujące się przez niskie drzwi i zastanawiał się, czy ma jeszcze czas, by uderzyć w czaszkę leżącego zabójcę, zanim on również osunął się na ziemię.

Usłyszał jak jedno z jego ostrzy, a następnie drugie, upada z brzękiem na podłogę, nie był jednak świadom, że je upuścił. Następnie już leżał z zamkniętymi oczyma, a jego słabnąca świadomość starała się ogarnąć rozmiar katastrofy, konsekwencje wynikające z niej dla jego przyjaciół i dla niego.

Jego myśli nie ukończyły ostatnie słowa, jakie usłyszał - słowa wypowiedziane w języku drowów głosem z przeszłości.

- Śpij dobrze, mój zagubiony bracie.

Część 3

DZIEDZICTWO

Jakże niebezpiecznymi ścieżkami kroczyłem w moim życiu, w jakie kierunki niosły mnie moje stopy: przez tunele Podmroku, przez Północne Krainy na powierzchni, a także za moimi przyjaciółmi. Potrząsam mą głową w zdumieniu - czy w każdym zakątku rozległego świata znajdują się osoby tak zaabsorbowane sobą, że nie mogą pozwolić innym przeciąć ścieżek swego życia? Osoby tak przepelnione nienawiścią, iż muszą podejmować pościg i oczyszczać się z dostrzeżonych zarzutów, nawet jeśli owe zarzuty nie były niczym więcej niż tylko szczerą obroną przed ich własnym złem?

Pozostawiłem Artemisa Entreri w Calimporcie, pozostawiłem go tam żywym, nasyciwszy odpowiednio swą potrzebę zemsty. Nasze ścieżki przecięły się i rozdzieliły, dla dobra nas obu.

Entreri nie miał żadnego praktycznego powodu, by mnie ścigać, nie mógł niczego osiągnąć znajdując mnie, może poza odzyskaniem swej zranionej dumy.

Jakimż głupcem on jest.

Odnalazł doskonałość ciała, wyostrzył swe umiejętności walki lepiej, niż ktokolwiek kogo znałem. Jego potrzeba pościgu ujawnia jednak jego słabości. Gdy odkrywamy tajemnice ciała, musimy również odstąpić melodie duszy. Artemis Entreri, pomimo całego swego fizycznego męstwa, nigdy nie dowie się jednak, jaką pieśń mogłaby śpiewać jego dusza. Zawsze będzie słuchał z zazdrością melodii innych, będzie zaabsorbowany niszczeniem wszystkiego, co zagraża

pożądaną przez niego wyższości.

Jest tak podobny do mojego ludu oraz do tak wielu innych, których spotkałem, z rozmaitych ras: barbarzyńskich wodzów, których potęga uzależniona jest od ich zdolności wytoczenia wojny wrogom, którzy nie są wrogami; krasnoludzkich królów, których skarbcze są bogate ponad wszelkie wyobrażenie, podczas gdy podzieliwszy się choć odrobiną swej własności, mogliby polepszyć życie tych, którzy ich otaczają, co z kolei pozwoliłoby im opuścić wiecznie obecne wojskowe osłony i odrzucić pochłaniającą ich paranoję; wyniosłe elfy, które odwracają oczy od cierpienia wszystkich tych, którzy nie są elfami, uważając, że "pomniejsze rasy" w jakiś sposób same sprowadziły na siebie ból.

Uciekam od tych osób, mijam je i słyszę niezliczone opowieści o nich od podróżników ze wszystkich znanych krain. Wiem teraz także, iż muszę z nimi walczyć, nie ostrzem czy armią, lecz pozostając w zgodzie z tym, o czym wiem w sercu, że jest prawidłowe.

Dzięki łasce bogów nie jestem sam. Odkąd Bruenor odzyskał swój tron, sąsiadujące ludy nabierają nadziei z obietnic, że krasnoludzkie skarby z Mithrilowej Hali przyniosą dobrobyt regionowi. Poświęcenie Catti-brie jej zasadom jest nie mniejsze niż moje, a Wulfgar ukazał swemu wojownicznemu ludowi lepszą drogę przyjaźni, drogę harmonii.

Są moim pancierzem, moją nadzieją na to, co przydarzy się mi i całemu światu. A gdy zagubione ogary, takie jak Entreri, łączą swoje ścieżki z moją, pamiętam o Zaknafeinie, spokrewnionym ze mną krwią i duszą. Pamiętam o Montolio i nabieram nadziei, że istnieją inni, którzy znają prawdę, że jeśli zostaną zabity, moje ideały nie zginą wraz ze mną. Dzięki przyjacielom, których poznałem, honorowym osobom, które napotkałem, wiem, że nie jestem samotnym bojownikiem o sprawę. Wiem, że kiedy zginę, to, co jest ważne, przetrwa.

To jest moje. Dzięki łasce bogów nie jestem sam.

- Drizzt Do'Urden

ROZDZIAŁ 11

SPRAWA RODZINNA

Ubrania latały szaleńczo, starocie roztrzaskiwały się o ścianę pokoju, zgromadzona broń wzbijała

się w powietrze i opadała w dół, czasami odbijając się od pleców Bruenora. Krasnolud, zagrzebany do połowy w swoich osobistych rzeczach, nie czuł tego wszystkiego, nie jęknął nawet wtedy, gdy podnosił się na chwilę, a płaz jego toporka do rzucania uderzył i przesunął trochę jego jednorogi hełm.

- Jest tutaj! - krasnolud powarkiwał uparcie, a nad jego ramieniem przeleciała kompletna zbroja kolcza, niemal trafiając w pozostałych obecnych w pokoju. - Na Moradina, to cholerstwo musi gdzieś tu być!

- Co, na Dziewięć... - zaczął Thibbledorf Pwent, jednak przerwał mu radosny krzyk Bruenora.

- Wiedziałem! - obwieścił rudobrody krasnolud, zrywając się i odwracając od rozbabranej skrzyni. W dłoni trzymał mały medalion w kształcie serca, zawieszony na złotym łańcuszku.

Catti-brie rozpoznała go natychmiast jako magiczny dar, który pani Alustriel z Silverymoon dała Bruenorowi, by mógł odnaleźć swych przyjaciół, którzy udali się do krain Południa. Wewnątrz medalionu znajdował się mały wizerunek Drizzta, a przedmiot był dostrojony do drowa, dając swemu właścicielowi ogólne informacje na temat lokalizacji Drizzta Do'Urdena.

- To zaprowadzi nas do elfa - oznajmił Bruenor, trzymając wisiołek wysoko przed sobą.

- A więc daj mi to, mój królu - powiedział Pwent. -I pozwól mi znaleźć tego twojego dziwnego... przyjaciela.

- Sam sobie z tym wystarczająco dobrze poradzę - warknął w odpowiedzi Bruenor, poprawiając swój jednorogi hełm i podnosząc swój wyszczerbiony topór oraz złotą tarczę.

- Jesteś królem Mithrilowej Hali! - zaprotestował Pwent. - Nie możesz narażać się na niebezpieczeństwo w nieznanym tunelach.

Catti-brie wybuchnęła, zanim Bruenor zdołał odpowiedzieć.

- Zamknij się, szalójowniku - rzuciła młoda kobieta. - Mój tatuś szybciej oddałby hale goblinom niż pozwolił, by Drizzt dłużej pozostawał w niebezpieczeństwie!

Cobble chwycił Pwenta za bark, raniąc się paskudnie w palec od jednej z zaostzonych krawędzi, aby potwierdzić spostrzeżenie dziewczyny i milcząco ostrzec dzikiego szalójownika, by dłużej nie drażył tego tematu.

Bruenor i tak nie słuchałby żadnych argumentów. Rudobrody król, z ogniami płonącymi w oczach, znów przemknął obok Pwenta i Wulfgara, wyprowadzając oddział z pokoju.

* * *

Obraz zaczął powoli, surrealistycznie, nabierać ostrości, i w chwili gdy Drizzt Do'Urden już się w pełni obudził, wyraźnie rozpoznał swą siostrę Viernę, pochylając się, by mu się przyjrzeć.

- Lawendowe oczy - kapłanka powiedziała w mowie drowów.

Uczucie, że w młodości ta scena rozgrywała się dziesiątki razy, niemal oszołomiło schwytanego mrocznego elfa.

Vierna! Jedyne dziecko jego rodziny, o którego Drizzt się w ogóle troszczył, poza zmarłym Zaknafeinem, stał teraz przed nim.

Vierna była nauczycielką Drizzta, jej zadaniem było wprowadzenie go, jako księcia Domu Do'Urden, w mroczne zwyczaje społeczeństwa drowów. Wracając jednak w myślach do tamtych odległych wspomnień, do czasów, z których niewiele, jeśli w ogóle, pamiętał, Drizzt wiedział, że z Vierną było coś nie tak, że pod niegodziwymi szatami kapłanki Pajęcznej Królowej kryła się jakaś czułość.

- Ile to już minęło, mój zagubiony bracie? - spytała Vierna, wciąż używając języka mrocznych elfów. - Prawie trzy dekady? I jakże daleko zaszedłeś, a jednocześnie tak blisko miejsca, z którego wyruszyłeś, i do którego przynależysz.

Drizzt patrzył na nią stalowym wzrokiem, nie miał jednak praktycznej odpowiedzi - nie z rękoma związanymi za plecami oraz tuzinem drowów żołnierzy kręcących się po małej komnacie. Był tam również Entreri, rozmawiający z najdziwniejszym mrocznym elfem, który miał na sobie nadmiernie przystrojony piórami kapelusz oraz krótką, rozpiętą kamizelkę, ukazującą mięśnie falujące na jego szczupłym brzuchu. Zabójca miał magiczną maskę przypiętą do pasa, a Drizzt obawiał się szkód, jakie Entreri znów mógł wyrządzić, jeśli pozwoli mu się wrócić do Mithrilowej Hali.

- O czym będziesz myślał, gdy znów wkroczysz do Menzoberranzan? - Vierna zapytała Drizzta, i choć to pytanie znów było retoryczne, skierowało na nią całą jego uwagę.

- Będę myślał o tym, o czym myśli więzień - odparł Drizzt. - A gdy zostanę doprowadzony przed opiekunę Malice... przed niegodziwą Malice...

- Opiekunę Malice! - wysyczała Vierna.

- Malice - powtórzył buntowniczo Drizzt, a Vierna uderzyła go silnie w twarz. Kilku mrocznych elfów odwróciło się, by spojrzeć na incydent, po czym zachichotali cicho i wrócili do swych rozmów.

Vierna również wybuchła śmiechem, długim i szalonym. Odrzuciła głowę do tyłu, a jej spływające białe loki opadły jej z twarzy.

Drizzt przyglądał jej się w milczeniu, nie mając pojęcia, co spowodowało tak wybuchową reakcję.

- Opiekunka Malice nie żyje, ty głupcze! - powiedziała nagle Vierna, wyrzucając głowę do przodu i zatrzymując ją kilka centymetrów od twarzy Drizzta.

Drizzt nie wiedział, jak zareagować. Właśnie dowiedział się, że jego matka nie żyje, i nie miał pojęcia, jak ta informacja powinna na niego wpłynąć. Poczł, jakby w oddali, smutek, jednak odrzucił go, rozumiejąc, że pochodzi od tego, iż nigdy nie znał matki, a nie z utraty Malice Do'Urden. Oparłszy się przetrawiając wieści, Drizzt zaczął czuć spokój, akceptację, która nie niosła ze sobą nawet grama żalu. Malice była jego naturalnym rodzicem, nigdy matką, i według wszelkich szacunków Drizzta Do'Urdena, jej śmierć nie była złą rzeczą.

- Nawet o tym nie wiedziałeś, prawda? - zaśmiała się z niego Vierna. - Od jak dawna cię nie było, zaginiony?

Drizzt spojrział na nią z zaciekawieniem, spodziewając się, że za chwilę usłyszy jakąś następną, jeszcze ważniejszą informację.

- Dzięki twoim własnym czynom Dom Do'Urden został zniszczony, a ty nawet o tym nie wiesz! - zachichotała histerycznie Vierna.

- Zniszczony? - spytał Drizzt, zdumiony, jednak znów niezbyt przejęty. Tak naprawdę drow renegat nie odczuwał w kwestii swego domu niczego więcej niż w kwestii jakiegokolwiek innego domu w Menzoberranzan. Tak naprawdę Drizzt niczego nie odczuwał.

- Opiekunka Malice otrzymała polecenie odnalezienia cię - wyjaśniła Vierna. - Kiedy nie mogła tego zrobić, kiedy wyślizgnąłeś się z jej ręki, straciła łaskę Lloth.

- Szkoda - przerwał Drizzt głosem ociekającym sarkazmem. Vierna znów go uderzyła, mocniej, jednak on trzymał się stanowczo swej stoickiej postawy i nawet nie mrugnął.

Vierna odwróciła się od niego, zacisnęła przed sobą delikatne acz zwodniczo silne dłonie i z trudem oddychała.

- Zniszczony - powtórzyła, a jej ból nagle stał się widoczny. - Wolą Pajęczej Królowej. Wszyscy nie żyją z twojego powodu! - krzyknęła, obracając się do Drizzta i celując w niego oskarżycielsko palcem. - Twoje siostry, Briza i Maya, oraz twoja matka. Cały dom zginął przez ciebie, Drizzcie Do'Urden!

Drizzt nie zrobił żadnej szczególnej miny, co było doskonałym odzwierciedleniem jego braku odczuć w kwestii niezwykłych wieści, którymi Vierna właśnie w niego rzuciła. - A co z naszym bratem? - spytał, bardziej by wydobyć informacje o tym najeździe niż z jakiejś szczerzej troski o niezbyt go obchodzący los Dinina.

- Nie powinieneś pytać, Drizzcie - powiedziała z wyraźnie udawanym zakłopotaniem Vierna. - Spotkałeś go przecież. Prawie obciąłeś mu jedną z nóg.

Zdumienie Drizzta było szczere, dopóki Vierna nie dokończyła myśli.

- Jedną z jego ośmiu nóg.

Drizzt znowu zdołał utrzymać swą twarz bez wyrazu, jednak oszałamiająca informacja, że Dinin stał się driderem, zdecydowanie go zaskoczyła.

- To znów twoja wina! - warknęła Vierna i obserwowała go przez długą chwilę, a jej uśmiech stopniowo słabł, gdy nie reagował.

- Zaknafein zginął za ciebie! - krzyknęła nagle Vierna i choć Drizzt wiedział, że powiedziała to tylko po to, by wywołać reakcję, tym razem nie mógł zachować spokoju.

- Nie! - wrzasnął z wściekłością, unosząc się z podłogi tylko po to, by zostać z łatwością znów do niej dociśnięty.

Vierna uśmiechnęła się paskudnie, wiedząc, że znalazła czuły punkt Drizzta.

- Gdyby nie grzechy Drizzta Do'Urdena, Zaknafein wciąż by żył - drażniła. - Dom Do'Urden byłby u szczytu chwały, a opiekunka Malice zasiadałaby w radzie rządzącej.

- Grzechy? - wypalił Drizzt, odnajdując odwagę pomimo bolesnych wspomnień straconego ojca. - Chwała? - spytał. - Mylisz te dwa pojęcia.

Dłoń Vierny wystrzeliła, jakby znów chciała go uderzyć, jednak kiedy stoicki Drizzt nawet się nie wzdrygnął, opuściła ją.

- W imieniu swojej nędznej bogini pławisz się w niegodziwości świata drowów - ciągnął nieposkromiony Drizzt. - Zaknafein zginął... nie, został zamordowany w pościgu za fałszywymi ideałami. Nie możesz przekonać mnie, bym przyjął na siebie winę. Czy to Vierna trzymała ofiarny sztylet?

Kapłanka wydawała się znajdować na skraju eksplozji, jej oczy płonęły intensywnie, a twarz jaśniała czerwienią w wyczuwającym ciepło wzroku Drizzta.

- Był też twoim ojcem - powiedział do niej Drizzt, a ona skrzywiła się pomimo wysiłków, by

podtrzymać swą wściekłość. Była to prawda. Zaknafein spłodził dwoje, i tylko dwoje, dzieci z Malice.

- Ale ciebie to nie obchodzi - stwierdził natychmiast Drizzt. - Zaknafein był w końcu jedynie mężczyzną, a mężczyźni nie liczą się w świecie drowów. - Był jednak twoim ojcem - nie mógł nie dodać Drizzt. - I dał ci więcej, niż mogłabyś się kiedykolwiek przyznać.

- Cisza! - Vierna warknęła przez zgrzytające zęby. Znow uderzyła Drizzta, kilkakrotnie raz po raz. Czuł jak po twarzy spływa mu ciepło jego własnej krwi.

Drizzt zachował milczenie przez chwilę, tkwiąc w prywatnych wspomnieniach na temat Vierny i rozmyślając o potworze, jakim się stała. Wydawała się teraz bardziej podobna do Brizy, najstarszej i najokrutniejszej siostry Drizzta, była ogarnięta szalem, który Pajęcza Królowa zawsze wydawała się być gotowa popierać. Gdzie była Vierna, która w tajemnicy okazywała miłosierdzie młodemu Drizztowi? Gdzie była Vierna, która postępowała zgodnie z mrocznymi zwyczajami, podobnie jak Zaknafein, jednak nigdy nie wydawała się w pełni akceptować tego, co Lloth miała do zaoferowania?

Gdzie była córka Zaknafeina?

Była martwa i pogrzebana, zdecydował Drizzt, kiedy spoglądał na jej rozpaloną twarz, pogrzebana pod kłamstwami oraz pustymi obietnicami wypaczonej chwały, które przekreślały znaczenie wszystkiego w mrocznym świecie drowów.

- Odkupię cię - rzekła Vierna znow spokojnie, a ciepło stopniowo opuszczało jej delikatną, piękną twarz.

- Bardziej niegodziwi niż ty już próbowali - odparł Drizzt, źle rozumiejąc jej zamiary. Śmiech Vierny ukazał, iż dostrzegła błąd w jego rozumowaniu.

- Oddam cię Lloth - wyjaśniła kapłanka. - W zamian zaś przyjmę większą potęgę niż kiedykolwiek mogła sobie wyobrazić nawet ambitna opiekunka Malice. Raduj się, mój zagubiony bracie, i wiedz, że przywrócę Domowi Do'Urden większy prestiż i potęgę, niż kiedykolwiek wcześniej znał.

- Potęgę, która osłabnie - odrzekł spokojnie Drizzt, a jego ton jeszcze bardziej zezłościł Vierne niż krytyczne słowa. - Potęgę, która wzniesie dom na skraj kolejnej przepaści, aby inny dom, zyskawszy łaskę Lloth, mógł znow zepchnąć Dom Do'Urden.

Uśmiech Vierny poszerzył się.

- Nie możesz temu zaprzeczyć - warknął Drizzt i tym razem to on zachwiał się w wojnie słów, on uznał, że jego sposób rozumowania, aczkolwiek sensowny, jest nieodpowiedni. - W Menzoberranzan nic nie jest pewne poza ostatnim kaprysem Pajęczej Królowej.

- To dobrze, mój zagubiony bracie - wycedziła Vierna.

- Lloth jest przeklętą istotą!

Vierna przytaknęła. - Twoje bluźnierstwa już nie mogą mnie zranić - wyjaśniła śmiertelnie spokojnym głosem kapłanka. - Bowiem nie jesteś już ze mną związany. Nie jesteś nikim więcej niż tylko pozbawionym domu banitą, którego Lloth uznała za odpowiedniego na ofiarę.

- Wypluwaj więc dalej swoje klątwy na Pajęczą Królową - ciągnęła Vierna. - Pokaż Lloth, jakże odpowiednią będzie ta ofiara! Jakież to ironiczne, bowiem gdybyś wyraził skruchę z powodu swoich zasad, gdybyś wrócił do prawdy o swoim pochodzeniu, wtedy byś mnie pokonał.

Drizzt przygryzł wargę, uświadamiając sobie, że lepiej będzie zachować milczenie, dopóki nie zbada lepiej głębi tego nieoczekiwanego spotkania.

- Czy ty nie rozumiesz? - spytała go Vierna. - Litościwa Lloth przyjęłaby z powrotem twój wyszkolony miecz, a moja ofiara okazałaby się zbędna. Wtedy żyłabym tak samo jak ty, jako wyrzutek, jako pozbawiona domu banitka.

- Nie boisz się mi tego mówić? - spytał ją nieśmiało Drizzt.

Vierna знаła swego zbuntowanego brata lepiej niż sądził. - Ale ty nie okazesz skruchy, głupi honorowy Drizzcie Do'Urden - odparła. - Nie wypowiedziałbyś takiego kłamstwa, nie ogłosiłbyś lojalności wobec Pajęczej Królowej, nawet by ocalić swoje życie. Jakże bezużyteczne są te ideały, które uważasz za tak cenne!

Vierna spoliczkowała go jeszcze raz, bez żadnego szczególnego powodu, a przynajmniej tak myślał Drizzt, i odeszła, jej gorąca sylwetka została zamglona poprzez powiewające kapłańskie szaty. Jakże odpowiedni wydawał się Drizztowi ten obraz, że prawdziwy kontur jego siostry był ukryty pod strojem wypaczającej Pajęczej Królowej.

Dziwnie wyglądający drow, który rozmawiał z Entrerim, podszedł wtedy do Drizzta, stukając głośno o kamień swymi wysokimi butami. Spojrzał na Drizzta niemal z sympatią, po czym wzruszył ramionami.

- Szkoda - stwierdził, wyciągając Błysk spomiędzy fałd swojego migoczącego płaszcza.

- Szkoda - powtórzył odchodząc, tym razem jego buty nie wydawały nawet najłżejszego dźwięku.

* * *

Zdumieni strażnicy przeszli natychmiast w stan gotowości, gdy do ich pomieszczenia wkroczył nieoczekiwanie ich król, w towarzystwie swojej córki, Wulfgara, Cobble'a oraz dziwnie opancerzonego krasnoluda, którego nie znali.

- Czy drow się odzywał? - Bruenor spytał strażników. Wypowiadając te słowa, krasnoludzki król kierował się prosto do ciężkiej sztaby na kamiennych drzwiach.

Milczenie powiedziało Bruenorowi wszystko, co potrzebował wiedzieć. - Idź do generała Dagny - polecił jednemu ze strażników. - Powiedz mu, żeby zebrał drużynę i udał się do nowych tuneli!

Krasnoludzki wartownik posłusznie stuknął piętami i wybiegł.

Kiedy sztaba brzęknęła o kamień, czworo towarzyszy Bruenora podeszło do niego.

- Trzy, a później dwa, to sygnał drowa - pozostały strażnik wyjaśnił Bruenorowi.

- Trzy, później dwa, rozumiem - odparł Bruenor, po czym zniknął w mroku, zmuszając pozostałych, zwłaszcza Thibble-dorfa, który wciąż nie uważał za słuszne, aby król Mithrilowej Hali w ogóle się tam znajdował, do przyspieszenia, by dotrzymać mu kroku.

Cobble, a nawet twardy Pwent, zerknęli za siebie i skrzywili się, gdy kamienne drzwi zatrzasnęły się, podczas gdy pozostała trójka, pochylona do przodu pod ciężarem obaw o ich zaginionego przyjaciela, nawet nie słyszała tego odgłosu.

ROZDZIAŁ 12

NIECH PRAWDA BĘDZIE ZNANA

Krew - mruknęła ponuro Catti-brie, trzymając pochodnię i pochylając się nisko nad linią kropelek w korytarzu, w pobliżu wejścia do małej komnaty. - To może być od walki z goblinami - powiedział z nadzieją Bruenor, lecz Catti-brie potrząsnęła głową.

- Wciąż mokra - odparła. - Krew goblinów już dawno by wyschła.

- Więc to z pełzaczy, które widzieliśmy - stwierdził Bruenor - rozrywających ciała goblinów.

Mimo to Catti-brie nie była przekonana. Pochyliwszy się nisko i trzymając przed sobą pochodnię, przeszła przez niskie wejście do bocznej komnaty. Wulfgar udał się za nią i przepchnął się obok niej, zaraz gdy przejście znów się poszerzyło, wychodząc opiekuńczo przed młodą kobietę.

Czyn barbarzyńcy nie przypadł do gustu Catti-brie. Być może, z punktu widzenia Wulfgara, było to po prostu podyktowane rozważą, ustawiało jego gotową do walki sylwetkę przed osobę z pochodnią, której wzrok skierowany był na podłogę. Catti-brie wątpiła jednak w tę ewentualność, czuła, że Wulfgar przedarł się tak szybko, bo chciał znaleźć się na czele, ponieważ odczuwał potrzebę chronienia jej, stania pomiędzy nią a każdym możliwym niebezpieczeństwem. Dumną i wyszkoloną Catti-brie bardziej to urażało niż jej schlebiało.

I martwiło, bowiem jeśli Wulfgar tak bardzo obawiał się o jej bezpieczeństwo, to mógł popełnić błąd taktyczny. Towarzysze przetrwali wspólnie wiele niebezpieczeństw, ponieważ każde z nich znalazło dla siebie niszę w grupie, ponieważ każdy odgrywał rolę uzupełniającą zdolności pozostałych. Catti-brie rozumiała wyraźnie, że zaburzenie tego wzorca mogło być tragiczne w skutkach.

Przepchnęła się przed Wulfgara, odtrącając jego rękę, kiedy podniósł ją, by zablokować jej dalszą drogę. Zmierzył ją wzrokiem, a ona natychmiast odwzajemniła się niewzruszonym spojrzeniem.

- Co tam macie? - dobiegło wołanie Bruenora, zakłócając nadciągającą próbę sił. Catti-brie odwróciła wzrok, by spojrzeć na ciemną sylwetkę swego ojca, pochyloną w niskich drzwiach. Cobble i Pwent, który trzymał drugą pochodnię, znajdowali się w korytarzu za nim.

- Pusto - odpowiedział stanowczo Wulfgar i odwrócił się do wyjścia.

Catti-brie wciąż jednak klęczała, rozglądając się, w równym stopniu pragnąc udowodnić, że barbarzyńca się myli, jak i szczerze szukając wskazówek.

- Nie pusto - sprostowała chwilę później, a obecna w jej tonie wyższość spowodowała, iż Wulfgar obrócił się, a Bruenor wszedł do środka.

Otoczyli Catti-brie, która pochylała się nad leżącym na podłodze przedmiotem: małym bełtem z kuszy, jednak zbyt małym na którąkolwiek z kusz używanych przez wojowników Bruenora ani jakąś z podobnych broni, które mogli kiedyś widzieć. Bruenor podniósł go swymi krępych palcami, przysunął blisko oczu i przyjrzał się uważnie.

- Mamy w tych tunelach chochliki? - spytał, mając na myśli niewielkie, lecz okrutne skrzaty, częściej występujące na obszarach leśnych.

- Jakiś rodzaj... - zaczął Wulfgar.

- Drow - przerwała Catti-brie. Wulfgar i Bruenor odwrócili się w jej stronę. Oczy barbarzyńcy błyskały złością z powodu, że mu przerwała, jednak zaledwie przez chwilę, której potrzebował, by zrozumieć powagę tego, co obwieściła Catti-brie.

- Elf miał łuk do którego to pasowało? - wypalił Bruenor.

- Nie Drizzt - sprostowała ponuro Cati-brie. - Inny drow. - Wulfgar i Bruenor wykrzywili twarze w wyraźnym zwątpieniu, jednak Catti-brie czuła, że jej przypuszczenia są słuszne. Wielokrotnie w przeszłości, w Dolinie Lodowego Wichru na pustych zboczach Kopca Kehdna, Drizzt opowiadał jej o swojej ojczyźnie, mówił jej o ważnych osiągnięciach i egzotycznych artefaktach narodu mrocznych elfów. Wśród owych artefaktów znajdowała się ulubiona broń drowów, trzymane w dłoni kusze, których bełty były zazwyczaj umarzone w truciźnie.

Wulfgar i Bruenor popatrzyli po sobie, każdy miał nadzieję, że ten drugi znajdzie coś, co podważy ponure przypuszczenia Catti-brie. Bruenor jedynie wzruszył ramionami, odrzucił pocisk i skierował się do wyjścia. Wulfgar znów spojrzał na młodą kobietę, a na jego twarzy widniała troska.

Żadne z nich nie przemówiło - żadne nie musiało - ponieważ obydwójce znali przepełnione przerażeniem opowieści o najazdach mrocznych elfów. Gdyby przypuszczenia Catti-brie okazały się słuszne, gdyby elfy drowy rzeczywiście przyszły do Mithrilowej Hali, konsekwencje wydawały się niezwykle poważne.

W wyrazie twarzy Wulfgara było jednak coś więcej, co niepokoiło Catti-brie, zaborczy protekcjonizm, o którym młoda kobieta zaczęła myśleć, iż wpędzi ich wszystkich w kłopoty. Przepchnęła się obok wielkiego mężczyzny, pochylając się nisko i wychodząc z komnaty, pozostawiając Wulfgara w mroku wraz z jego wewnętrznym zamętem.

* * *

Karawana podążała powolnym acz stałym tempem przez tunele, korytarze stawały się coraz bardziej naturalne. Drizzt wciąż miał na sobie swą zbroję, lecz został pozbawiony broni, ręce zaś miał związane jakimś magicznym sznurem, który nie chciał się ani trochę poluzować, nieważne jak starał się wykręcić nadgarstki.

Grupę prowadził Dinin, stukając swymi ośmioma nogami o kamień, zaś Vierna i Jarlaxle podążali niedaleko za nim. Za nimi szło w szyku kilku z dwudziestoosobowej drużyny drowów, wliczając w to dwóch sprawujących pieczę nad Drizztem. Raz natknęli się na większą, idącą bokiem grupę żołnierzy Domu Baenre. Jarlaxle wydał ciche rozkazy i drugi oddział drowów rozpląnął się w ciemnościach.

Dopiero wtedy Drizzt zaczął rozumieć znaczenie najazdu na Mithrilową Halę. Według jego obliczeń z Menzoberranzan przyszło gdzieś pomiędzy czterema a sześcioma dziesiątkami mrocznych elfów, co stanowiło dość poważną grupę łupieżczą.

I to wszystko z jego powodu.

Co z Entrerim? - zastanawiał się Drizzt. Jak zabójca pasował do tego wszystkiego? Wydawał się tak dobrze zazębiać z mrocznymi elfami. Dzięki podobnej budowie i temperamentowi zabójca mógł się z łatwością przemieszczać wśród szeregów drowów, nie wzbudzając podejrzeń.

Ze zbyt dużą łatwością, pomyślał Drizzt.

Entreri spędził trochę czasu z ogolonym najemnikiem oraz Vierną, lecz później zaczął cofać się szereg po szeregu, zbliżając się w nieunikniony sposób do swego najbardziej znieawidzonego przeciwnika.

- Miło cię spotkać - powiedział nieśmiało, gdy w końcu zaczął iść u boku Drizzta. Jedno spojrzenie człowieka spowodowało, iż dwóch najbliższych strażników odsunęło się z szacunkiem.

Drizzt przyglądał się przez chwilę uważnie zabójcy, szukając jakichś wskazówek, po czym wymownie odwrócił wzrok.

- Co? - nalegał Entreri, chwytając upartego drowa za ramię i odwracając go z powrotem. Drizzt zatrzymał się raptownie, przyciągając zainteresowane spojrzenia otaczających go drowów, zwłaszcza Vierny. Natychmiast jednak znów zaczął iść, nie lubiąc za bardzo tych spojrzeń, i stopniowo inne mroczne elfy wróciły do wygodnego tempa.

- Nie rozumiem - Drizzt odezwał się bezceremonialnie do Entreriego. - Miałeś maskę, miałeś Regisa i wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć. Dlaczego więc sprzymierzyłeś się z Vierną i jej gangiem?

- Zakładasz, że do mnie należał wybór - odparł Entreri. - To twoja siostra mnie znalazła, ja jej nie szukałem.

- A więc jesteś więźniem - stwierdził Drizzt.

- Nie bardzo - odrzekł bez wahania Entreri, chichocząc. - Za pierwszym razem dobrze to określiłeś. Jestem sprzymierzeńcem.

- Jeśli chodzi o moich pobratymców, to znaczy jedno i to samo.

Entreri znów zachichotał, najwidoczniej dostrzegając przynętę. Drizzt skrzywił się, słysząc w śmiechu zabójcy szczerą, ponieważ wtedy uświadomił sobie siłę więzi łączących jego wrogów, powiązań, co do których miał nadzieję, że mogą się naciągnąć i pęknąć.

- Tak naprawdę układam się z Jarlaxlem - wyjaśnił zabójca. - Nie z twoją ulotną siostrą. Z Jarlaxlem, pragmatycznym najemnikiem, oportunistą. Jego rozumiem. Jesteśmy do siebie bardzo podobni!

- Ale kiedy nie będziesz już potrzebny... - zaczął złowróźnie Drizzt.

- Jednak jestem i tak będzie! - przerwał Entreri. - Z Jarlaxlem oportunistą - powtórzył głośno, przyciągając pochwalne skinienie najemnika, który najwyraźniej dobrze rozumiał wspólną mowę powierzchwni. - Co osiągnąłby Jarlaxle zabijając mnie? Jestem cennym ogniwem łączącym z powierzchnią, czyż nie? Głowa gildii złodziei w egzotycznym Calimporcie, sprzymierzeniec, który

może okazać się niezwykle pomocny w przyszłości. Przez całe życie miałem do czynienia z takimi jak Jarlaxle, z mistrzami gildii z tuzina miast na Wybrzeżu Mieczy.

- Drowy słyną tego, że zabijają dla zwyczajnej przyjemności zabijania - zaprotestował Drizzt, nie chcąc tak łatwo wypuścić tego luźnego sznurka.

- Zgoda - odparł Entreri. - Jednak nie zabijają, kiedy mogą coś uzyskać nie zabijając. Pragmatyzm. Nie zburzysz tego sojuszu, skazany na zgubę Drizzcie. Widzisz, to dwustronna korzyść, ku twojej nieuniknionej zgubie.

Drizzt milczał przez długą chwilę, by przetrwać tę informację, by znaleźć jakiś sposób na ponowne uchwycenie tego sznurka, tej luźnej końcówki, która, jak sądził, zawsze istniała, gdy zdradzieckie indywidua zbierały się w jakiejś wspólnej sprawie.

- To nie jest dwustronna korzyść - powiedział cicho, widząc, że Entreri zerka z zaciekawieniem w jego stronę.

- Wyjaśnij - Entreri poprosił go po długiej chwili ciszy.

- Wiem, dlaczego poszedłeś za mną - stwierdził Drizzt. - Nie miałem być zabity, lecz zabity przez ciebie. I nie tylko zabity, lecz pokonany w równej walce. Możliwość ta wydaje się teraz mniej prawdopodobna, w tych tunelach, przy bezlitosnej Viernie oraz upragnionej przez nią zwyczajnej ofierze.

- Taki nieprzejednany, nawet gdy wszystko stracone - uznał Entreri, a jego ton wyższości znów wyrwał to ulotne pasmo z zasięgu Drizzta. - Pokonać cię w walce. Widzisz, zrobię to, taki jest układ. W komnacie, niedaleko stąd, twój pobratymcy i ja rozejdziemy się, jednak nie wcześniej niż ty i ja rozstrzygniemy naszą rywalizację.

- Vierna nie pozwoli ci mnie zabić - odrzucił Drizzt.

- Ale pozwoli mi cię pokonać - odpowiedział Entreri. - Pragnie tego, pragnie, by twoje upokorzenie było całkowite. Po tym jak wyrównamy nasze rachunki, odda cię Lloth... z moim błogosławieństwem.

-No chodź już, mój przyjacielu - wycedził Entreri, nie słysząc żadnej odpowiedzi ze strony Drizzta i dostrzegając, że jego twarz wykrzywiona jest w niezwykłym dla niego nadęśnaniu.

- Nie jestem twoim przyjacielem - odwarknął Drizzt.

- A więc mój krewniaku - drażnił Entreri, a jego zachwyt stał się całkowity, gdy Drizzt skierował na niego wściekłe spojrzenie.

- Nigdy.

- Walczymy - wyjaśnił Entreri. - Obydwoj tak dobrze walczymy, walczymy, by wygrać, choć nasze cele mogą się różnić. Mówiłem ci już wcześniej, że nie możesz przede mną uciec, nie możesz uciec przed tym, kim jesteś.

Drizzt nie miał na to odpowiedzi, nie w korytarzu otoczony przez wrogów oraz z rękoma związanymi ciasno na plecach. Entreri istotnie mówił coś takiego wcześniej, a Drizzt pogodził się z tym, pogodził się z decyzjami, jakie podjął co do swego życia oraz co do wybranej przez siebie ścieżki.

Widok wyraźnej przyjemności na twarzy złego zabójcy jednak niepokoił honorowego drowa. Niezależnie od tego, co zrobi w tej wydawałoby się beznadziejnej sytuacji, Drizzt Do'Urden zdecydował, że nie da Entreriemu satysfakcji.

Dotarli do obszaru z licznymi bocznymi korytarzami, krętymi tunelami, które wydawały się przypominać nory robaków, meandrującymi i skręcającymi jednocześnie we wszystkich kierunkach. Entreri powiedział, że to pomieszczenie, rozstaje dróg, było blisko, i Drizzt wiedział, że ucieka mu czas.

Rzucił się twarzą na podłogę, przyciągnął do siebie stopy i przełożył ręce nad nimi, po czym przetoczył się do pozycji wyprostowanej. W chwili gdy się odwrócił, wiecznie czujny Entreri miał już w dłoniach swój miecz i sztylet, jednak Drizzt i tak rzucił się na niego. Pozbawiony broni drow nie miał praktycznie żadnych szans, zgadywał jednak, że zabójca nie zrezygnuje pod wpływem impulsu z równego pojedynku, do którego z taką desperacją dążył, momentu, na który Entreri tak długo pracował, by go osiągnąć.

Jak można było przewidzieć, Entreri zawahał się, i Drizzt znajdował się po chwili już za jego pozbawioną zapału obroną, skoczył w powietrze i wylądował z obunożnym kopnięciem na twarzy oraz piersi Entreriego, posyłając go w tył.

Odbiwszy się Drizzt stanął na nogach i rzucił się w stronę wejścia do najbliższego bocznego tunelu, zablokowanego przez pojedynczego strażnika drowa. Znow Drizzt natarł bez strachu, mając nadzieję, iż Vierna obiecała straszne męki każdemu, kto pozbawi ją ofiary - nadzieję, która potwierdziła się, gdy Drizzt zerknąwszy przez ramię, zobaczył Viernę trzymającą rękę Jarlaxle'a, palce najemnika ścisnęły sztylet do rzucania.

Blokujący drogę drow, równie zwinny jak kot, zamierzył się rękobjęciem na szarżującego na niego Drizzta. Drizzt jednak, będąc jeszcze szybszy, podniósł gwałtownie ręce, a więzy trzymające jego nadgarstki zaczepiły o trzymającą broń dłoń wojownika i wyrzuciły jego miecz w powietrze. Drizzt wpadł na niego, podnosząc kolano i trafiając nim prosto w żołądek przeciwnika. Wojownik zgiął się w pół, a Drizzt, nie mając czasu do stracenia, przepchnął się obok niego i cisnął nim w stronę zbliżającego się szybko następnego żołnierza oraz podążającego za nim Entreriego.

Za róg, kawałek krótkim korytarzem, następnie w kolejny boczny tunel - przeciwnicy znajdowali się tak blisko Drizzta, że skręcając w jeszcze jeden boczny korytarz, usłyszał, jak bełt odbija się od

ściany z boku.

Co gorsza, drow tropiciel zauważył inne sylwetki wślizgujące się z otworów po bokach tunelu. Wraz z nim w korytarzu nie było więcej niż siedmiu mrocznych elfów, wiedział jednak, że więcej niż dwa razy tyle towarzyszyło Viernie, nie licząc już większego oddziału, który nie tak dawno temu pozostawili z tyłu. Drizzt wiedział, że brakujący żołnierze znajdowali się wszędzie dookoła, idąc z boku i przepatrując okolicę, dostarczając językiem znaków raporty o nieodpowiednich szlakach.

Okrzyknął następny zakręt, później kolejny, skręcający z powrotem w stosunku do pierwszego. Wspiął się po krótkiej ścianie, po czym przeklął swoje szczęście, gdy rozgałęziający się korytarz na górze opadł z powrotem na poprzedni poziom.

Za następnym załomem zauważył błysk świecącego jaskrawie ciepła i wiedział, że jest to zwierciadło sygnałowe, metalowa płyta magicznie ogrzana z jednej strony, której mroczne elfy używały do sygnalizowania. Rozgrzana strona błyszczała dla osób korzystających z infrawizji niczym lustro w świetle słonecznym. Drizzt skręcił w boczny korytarz, zdając sobie sprawę, że sieć wokół niego zacieśnia się, wiedząc, że ta próba nie powiedzie się.

Wtedy pojawił się przed nim drider.

Wstręt Drizzta był ogromny, zaczął się cofać pomimo tego, iż wiedział, że za nim znajduje się niebezpieczeństwo. Zobaczyć swojego brata w takim stanie! Wydęty tors Dinina poruszał się w harmonii z ośmioma nogami, a twarz była niczym pozbawiona wyrazu śmiertelna maska.

Drizzt uspokoił swe wzburzone emocje i rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś praktycznej drogi ominięcia tej przeszkody. Dinin obrócił swe topory tępymi stronami, wymachując nimi szaleńczo, a osiem nóg miotano się i kopało, nie dając Drizztowi żadnego wyraźnego przejścia.

Drizzt nie miał wyboru, obrócił się, zamierzając uciekać w drugą stronę. Zza rogu wyłonili się Vierna, Jarlaxle i Entreri, by go powitać.

Rozmawiali cicho we wspólnej mowie. Entreri powiedział coś o wyrównaniu rachunków tu i teraz, jednak najwyraźniej zmienił zdanie.

Zamiast tego podeszła Vierna, wymachując złowieszczo przed sobą swym biczem z pięcioma żywymi głowami węży.

- Jeśli mnie pokonasz, to odzyskasz swą wolność - drażniła się w języku drowów, ciskając Błysk na podłogę pod nogi Drizzta. Schylił się po broń, a Vierna uderzyła, lecz Drizzt się tego spodziewał i padł przed leżącym sejmitem, pozostawiając Błysk tuż za swoim zasięgiem.

Drider podpełznął do przodu, zahaczając toporem bark Drizzta i przewracając go przed Vierne. Tropiciel nie miał teraz innego wyboru, rzucił się po ostrze, ledwo dosięgając go palcami.

W jego nadgarstek wbiły się kły węża. Kolejne ugryzienie trafiło go w przedramię, a trzy następne w twarz i drugą rękę, którą okręcił wokół chwytającej macki w bezskutecznej próbie obrony. Ból ukąszenia był straszny, jednak to podstępna trucizna pokonała Drizzta. Sądził, że trzyma Błysk, nie mógł być jednak pewny, bowiem jego odrętwiałe palce nie czuły już metalu broni.

Okrutny bicz Vierny znów uderzył, pięć głów wbiło się ochoczo w ciało Drizzta, rozsyłając falę odrętwienia po całej jego umęczonej sylwetce. Bezlitosna kapłanka bezlitosnej bogini ugodziła bezbronno go tuzin razy, a jej twarz wykrzywiona była absolutną, złą radością.

Drizzt uparcie utrzymywał przytomność, spoglądał na nią z czystym zadowoleniem, jednak to tylko podjudzało Viernę i zatłukłaby go na śmierć, gdyby nie Jarlaxle, a bardziej stanowczo nawet Entreri, którzy zbliżyli się do niej i uspokoili. Dla Drizzta, którego ciało rozrywał ból, a wszystkie myśli o przetrwaniu już dawno uleciały, wydawało się to czymś, co trudno byłoby nawet nazwać odroczeniem.

* * *

- Aaargh! - zawył Bruenor. - Moi krewniacy!

Reakcja Thibbledorfa Pwenta na przerażający widok siedmiu zamordowanych krasnoludów była jeszcze bardziej dramatyczna. Szałojownik przypadł do ściany tunelu i zaczął uderzać czołem w skałę. Bez wątpienia straciłby przytomność, gdyby Cobble nie uświadomił mu cicho, że takie dudnienie może być słyszalne kilometr dalej.

- Zabici czysto i szybko - skomentowała Catti-brie, starając się zachować racjonalizm i wyciągnąć jakieś wnioski z tej najnowszej wskazówki.

- Entreri - warknął Bruenor.

- Według wszelkich naszych przypuszczeń, jeśli to rzeczywiście on nosił twarz i ciało Regisa, te krasnoludy zagięły, zanim jeszcze zszedł do tuneli - stwierdziła Catti-brie. - Wygląda na to, że zabójca mógł sobie sprowadzić jakichś pomocników. W jej myślach pojawił się obraz małego beltu i miała nadzieję, że jej obawy okażą się fałszywe.

- Ci pomocnicy będą martwi, jeśli zacisnę ręce na ich morderczych gardłach! - obiecał Bruenor. Padł na kolana i pochylił się nad martwym krasnoludem, który był jego przyjacielem.

Catti-brie nie mogła znieść tego widoku. Odwróciła wzrok od swego ojca na Wulfgara, który stał cicho trzymając pochodnię.

Grymas Wulfgara, skierowany w nią, zaskoczył ją.

Spoglądała na niego przez kilka chwil. - Cóż, wypowiedz swoje myśli - zażądała, stając się coraz bardziej niespokojna pod tym niewzruszonym spojrzeniem.

- Nie powinnaś była schodzić tu na dół - barbarzyńca odpowiedział cicho.

- A więc Drizzt nie jest moim przyjacielem? - spytała i znów się zdumiała, widząc, jak twarz Wulfgara marszczy się w bliskiej wybuchu wściekłości na jej wzmiankę o mrocznym elfie.

- Och, jest twoim przyjacielem, w to nie wątpię - odparł Wulfgar tonem ociekającym jadem. - Jednak ty masz zostać moją żoną. Nie powinnaś być w tak niebezpiecznym miejscu.

Oczy Catti-brie otworzyły się szeroko w niedowierzaniu, w absolutnej wściekłości, ukazując odbicia światła pochodni, jakby płonęły w nich jakieś wewnętrzne ognie. - Nie do ciebie należy ten wybór! - krzyknęła donośnie, tak głośno, że Cobble i Bruenor wymienili zatroskane spojrzenia, a król krasnoludów podniósł się znad swego martwego przyjaciela i podszedł w stronę córki.

- Masz zostać moją małżonką! - przypomniał jej Wulfgar równie głośno.

Catti-brie nie poruszyła się, nie mrugnęła, jej zdeterminowane spojrzenie zmusiło Wulfgara do cofnięcia się o krok. Rezulutna młoda kobieta niemal uśmiechnęła się pomimo swej złości, dzięki wiedzy, że barbarzyńca w końcu zaczynał rozumieć.

- Nie powinnaś tu być - powtórzył Wulfgar, odzyskawszy siły tą deklaracją.

- A więc zabieraj się z powrotem do Settlestone - rzuciła Catti-brie, mierząc palcem w masywną pierś Wulfgara. - Bowiem jeśli sądzisz, że nie powinnam tu być, żeby pomóc w znalezieniu Drizzta, to nie możesz nazywać się przyjacielem tropiciela!

- Na pewno nie takim jak ty! - odwarknął Wulfgar, jego oczy błysnęły złością, twarz wykrzywiła się, a jedna pięść zacisnęła u boku.

- O czym ty mówisz? - zapytała Catti-brie, szczerze zakłopotana tym wszystkim, irracjonalnymi słowami Wulfgara oraz jego nieobliczalnym zachowaniem.

Bruenor usłyszał już dość. Wszedł pomiędzy nich, odepchnął delikatnie Catti-brie i odwrócił się, by stanąć prosto przed barbarzyńcą, który był dla niego niczym syn.

- O czym ty mówisz, chłopcze? - spytał krasnolud, starając się zachować spokój, choć niczego nie pragnął bardziej, niż uderzyć Wulfgara w jego paplające usta.

Wulfgar w ogóle nie patrzył na Bruenora, wyciągnął tylko rękę nad krępy, lecz niskim krasnoludem, by wymierzyć oskarżająco palec w Catti-brie. - Jak wiele pocałunków dzieliłaś z drowem? - ryknął.

Catti-brie niemal się przewróciła. - Co? - wrzasnęła. - Straciłeś rozum. Ja nigdy...

- Kłamiesz! - zagrział Wulfgar.

- A niech cię diabli wezmą? - zawył Bruenor i wyciągnął swój wielki topór. Zamachnął się nim w poprzek, zmuszając Wulfgara do odskoczenia i uderzenia mocno o ścianę korytarza, po czym wykonał cięcie, wskutek którego barbarzyńca musiał rzucić się w bok. Wulfgar próbował blokować pochodnię, jednak Bruenor wytrącił mu ją z dłoni. Wulfgar starał się wyciągnąć Aegis-fanga, który wsunął pod plecak, gdy znaleźli martwe krasnoludy, jednak Bruenor nacierał na niego bez chwili spoczynku, ani razu tak naprawdę nie trafiając, zmuszając go jednak do uników oraz ocierania się o twarde kamień.

- Pozwól mi go zabić za ciebie, mój królu! - krzyknął Pwent podbiegając, źle zrozumiawszy intencje Bruenora.

- Odsuń się! - Bruenor ryknął na szałojownika, a wszystkich pozostałych, a najbardziej Pwenta, zdumiała potęga zawarta w głosie króla.

- Już od paru tygodni toleruję twoje głupie czyny - Bruenor powiedział do Wulfgara. - Ale nie mam już dla ciebie czasu. Powiedz tu i teraz, co spędza ci sen z powiek, albo zamknij swój głupi pysk i milcz, dopóki nie znajdziemy Drizzta i nie wyjdziemy z tych śmierdzących tuneli!

- Starałem się zachować spokój - odparł Wulfgar i zabrzmiało to bardziej jak prośba, bowiem barbarzyńca wciąż znajdował się na kolanach, unikając niebezpiecznie bliskich zamachów Bruenora. - Nie mogę jednak ignorować obrazy dla mojego honoru! - Jakby uświadomiwszy sobie swą służalczą postawę, dumny barbarzyńca zerwał się gwałtownie na nogi. - Drizzt spotkał się z Catti-brie, zanim wrócił do Mithrilowej Hali.

- Kto ci to powiedział? - zażądała Catti-brie.

- Regis! - odkrzyknął Wulfgar. - Powiedział mi też, że wasze spotkanie było wypełnione czymś więcej niż tylko słowami!

- To kłamstwo! - krzyknęła Catti-brie.

Wulfgar zaczął odpowiadać, zobaczył jednak szeroki uśmiech Bruenora i usłyszał jego szyderczy rechot. Głowica topora krasnoluda opadła na podłogę. Bruenor oparł obydwie dłonie na biodrach i potrząsał głową z wyraźnym niedowierzaniem.

- Ty głupi... - mruknął krasnolud. - Dlaczego nie użyjesz jakiejś części twojego ciała, która nie jest mięśniem, i nie zastanowisz się nad tym, co właśnie powiedziałaś? Jesteśmy tu dlatego, że wydaje nam się, iż Regis nie jest Regisem!

Wulfgar wykrzywił twarz w zakłopotaniu, dopiero teraz uświadamiając sobie, że nie rozważył

oskarżeń halflinga w świetle ostatnich odkryć.

- Jeśli czujesz się tak głupio, jak wyglądasz, to czujesz się tak, jak powinieneś się czuć - stwierdził sucho Bruenor.

Nagle odkrycie ugodziło Wulfgara równie silnie, jak mógłby to uczynić topór Bruenora. Jak wiele razy Regis rozmawiał z nim samym przez te ostatnie kilka dni? I jaki, zastanawiał się uważnie, był przebieg tych spotkań? Chyba po raz pierwszy Wulfgar zdał sobie sprawę, co zrobił w swojej komnacie wobec drowa, uświadomił sobie, że zabiłby Drizzta, gdyby ten nie wygrał walki. - Halfling... Artemis Entreri próbował wykorzystać mnie do swoich złych planów - uznał Wulfgar. Przypomniawszy sobie wirujące miriady lśniących odbić, ścianek klejnotu, zapraszających go w swoją głębię. - Użył na mnie swojego wisiora. Nie mogę być pewien, ale sądzę, że pamiętam... wydaję mi się, że użył.

- Bądź pewien - rzekł Bruenor. - Znam cię od dawna, chłopcze, i nigdy wcześniej nie zachowywałeś się jeszcze tak strasznie głupio. Ja zresztą też. Żeby wysłać halflinga z Drizztem do tej nieznannej okolicy!

- Entreri starał się sprawić, żebym zabił Drizzta - ciągnął Wulfgar, starając się to wszystko zgłębić.

- Chyba starał się sprawić, żeby Drizzt zabił ciebie - sprostował Bruenor. Catti-brie parsknęła, nie będąc w stanie trzymać w sobie swej przyjemności oraz wdzięczności, że Bruenor umieścił barbarzyńcę z powrotem na jego miejscu.

Wulfgar skrzywił się do niej nad ramieniem Bruenora.

- Naprawdę spotkałaś się z drowem - stwierdził.

- To moja własna sprawa - odparła młoda kobieta, ani trochę nie zmniejszając przepelniającej Wulfgara zazdrości.

Znow zaczęło narastać napięcie - Catti-brie widziała, że choć odkrycia na temat Regisa uspokoiły trochę Wulfgara, to jednak wciąż nie chciał on, by się tu znajdowała, nie chciał swojej przyszłej małżonki w niebezpiecznej sytuacji. Upartą i dumną Catti-brie bardziej to urażało niż jej schlebiało.

Nie miała jednak szansy, by wyzwolić swą wściekłość, nie wtedy, bowiem Cobble wrócił spieszenie do grupy, prosząc wszystkich, by byli cicho. Dopiero wtedy Bruenor i pozostali zauważyli, że nie ma już z nimi Pwenta.

- Hałas - wyjaśnił cicho kapłan - gdzieś dalej w głębszych tunelach. Módlmy się do Moradina, by to, co jest na dole, nie usłyszało odgłosów naszej własnej głupoty!

Catti-brie spojrzała na leżące krasnoludy i podniósłszy wzrok zauważyła, że Wulfgar zrobił to

samo. Wiedziała że barbarzyńca, podobnie jak ona, przypominał sobie właśnie, że Drizzt znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie. Jakże błahe wydawały się teraz ich kłótnie, poczuła wstyd.

Bruenor wyczuł jej rozpacz, podszedł do niej i objął jej ramiona. - Trzeba to było powiedzieć - rzekł uspokajająco. - Trzeba to było wyciągnąć i wyjaśnić, zanim zacznie się walka.

Catti-brie kiwnęła twierdząco głową i miała nadzieję, że walka, jeśli w ogóle jakaś będzie, nie zacznie się szybko.

Miała również nadzieję, z całego serca, że następna bitwa nie będzie toczona z zemsty za śmierć Drizzta Do'Urdena.

ROZDZIAŁ 13

ZŁAMANA OBIETNICA

Zapalona była jedna pochodnia. Drizzt zdał sobie sprawę, że była to część umowy. Entreri nie przywykł jeszcze najprawdopodobniej na tyle do nowo nabytej infrawizji, by walczyć z Drizztem zupełnie bez żadnego źródła światła.

Kiedy oczy Drizzta przeszły na zwyczajne spektrum światła, rozejrzał się po średniej wielkości komnacie. Choć jej ściany i strop były dość naturalnie uformowane, zakrzywiały się, miały załomy, a w dół zwisały małe stalaktyty, znajdowało się w niej dwoje drewnianych drzwi - niedawno wstawionych, jak sądził Drizzt, najprawdopodobniej zleciła to Vierna jako część układu z Entrerim. Po każdej stronie drzwi stał żołnierz drow, pomiędzy nimi zaś trzeci, dokładnie na środku obydwu wrót.

W pomieszczeniu było teraz dwunastu mrocznych elfów, wliczając w to Viernę i Jarlaxle'a, jednak nigdzie nie było widać dridera. Entreri rozmawiał z Vierną i Drizzt zobaczył, jak daje zabójcy pas z jego dwoma sejmitarami.

W komnacie, na tylnej ścianie, znajdowała się również zagadkowa alkowa, głęboka na krok, z półką do wysokości pasa, zasłoniętą kocem. Opierał się o nią żołnierz z wyciągniętymi mieczem i sztyletem.

Szyb? - zastanawiał się Drizzt.

Entreri powiedział, że jest to miejsce, w którym on i mroczne elfy rozdzielią się, jednak Drizzt wątpił, by zabójca, wyrównawszy swe rachunki, zamierzał wracać drogą, którą przyszli, z powrotem do Mithrilowej Hali. W komnacie były tylko jedne inne drzwi, więc może pod tym kocem rzeczywiście majaczył szyb, droga do otwartych i krętych korytarzy głębszego Podmroku.

Vierna powiedziała coś, czego Drizzt nie dosłyszał, po czym podszedł do niego Entreri, trzymając jego broń. Za Drizztem stanął żołnierz i uwolnił go z więzów, a on powoli przesunął ręce przed siebie. Barki bolały go od długiego przebywania w niewygodnej pozycji, poza tym ciągle obecny był ból od okrutnego biczowania Vierny.

Entreri upuścił pas z sejmityrami pod stopy Drizzta i cofnął się ostrożnie o krok. Drizzt spojrzał z zaciekawieniem na swoją broń, nie będąc pewien, co powinien zrobić.

- Podnieś je - polecił Entreri.

- Dlaczego?

Wyglądało na to, że pytanie podziałało na zabójcę niczym policzek. Na jego twarzy błysnął przez chwilę straszny grymas, po czym został zastąpiony przez typową dla Entreriego, beznamiętną minę.

- Żebyśmy mogli poznać prawdę - odpowiedział.

- Znam prawdę - odparł spokojnie Drizzt. - Chcesz ją wypaczyć, żebyś mógł ukryć, nawet przed sobą, szaleństwo swojej nędznej egzystencji.

- Podnieś je - warknął zabójca. - Albo zabiję cię tak, jak stoisz.

Drizzt wiedział, że groźba ta jest pusta. Entreri by go nie zabił, nie, dopóki nie spróbowałyby odkupić się w szczerzej walce. Nawet gdyby Entreri zaatakował, by go trafić, Drizzt uważał, iż Vierna by interweniowała. Drizzt był dla niej zbyt ważny, ofiary dla Pajęcznej Królowej nie były zbyt chętnie przyjmowane, jeżeli nie złożyła ich drowka kapłanka.

Drizzt w końcu pochylił się i podniósł broń, czuł się bezpieczniej, gdy miał ją przypiętą. Wiedział, że jego szansę w tym pomieszczeniu są zerowe, niezależnie od tego, czy miał sejmity, czy też nie. Był jednak wystarczająco doświadczony, by zdawać sobie sprawę, że możliwości były ulotne i często pojawiały się, gdy były najmniej oczekiwane.

Entreri wyciągnął swój wąski miecz oraz wysadzany klejnotami sztylet, po czym przykucnął nisko, a jego wąskie wargi wygięły się w szerokim uśmiechu.

Drizzt stał swobodnie, z oklapniętymi ramionami, a jego sejmity wciάζ tkwiły w pochwach.

Miecz zabójcy wykonał cięcie w poprzek, muskając czubek nosa Drizzta i zmuszając go, by odchylił głowę w bok. Mroczny elf podniósł niedbale kciuk oraz palec wskazujący i zacisnął je, blokując upływ krwi.

- Tchórz - drażnił Entreri, markując proste pchnięcie i wciąż krążąc.

Drizzt obrócił się, by mieć go bezpośrednio przed sobą, nie przejmując się ani trochę tą śmieszną obelgą.

- No dalej, Drizzcie Do'Urden - wtrącił się Jarlaxle, przyciągając spojrzenia zarówno Drizzta, jak i Entreriego. - Wiesz, że jesteś zgubiony, czy jednak nie odczujesz żadnej przyjemności, zabijając tego człowieka, tego mężczyznę, który wyrządził tobie oraz twoim towarzyszom tak wiele zła?

- Co masz do stracenia? - spytał Entreri. - Nie wolno mi cię zabić, jedynie pokonać, taki jest mój układ z twoją siostrą. Ty jednak możesz mnie zabić. Z pewnością Vierna nie będzie interweniować, a strata zwykłego ludzkiego żywota może jej się nawet spodobać.

Drizzt pozostał obojętny. Nie miał nic do stracenia, twierdzili. Tym, czego najwyraźniej nie rozumieli, był fakt, że Drizzt Do'Urden nie walczył, gdy nie miał nic do stracenia, jedynie wtedy, gdy miał coś do zyskania, jedynie gdy sytuacja wymagała, żeby walczył.

- Wyciągnij broń, błagam cię - dodał Jarlaxle. - Masz sporą reputację i niezwykle chciałbym zobaczyć cię podczas zabawy, sprawdzić, czy naprawdę jesteś lepszy od Zaknafeina.

Drizzt, starający się rozegrać to spokojnie, trzymający się ściśle swoich zasad, nie mógł ukryć grymasu na wzmiankę o swoim zmarłym ojcu, mającym reputację najlepszego fehmistrza, jaki kiedykolwiek posługiwał się bronią w Menzoberranzan. Wbrew sobie wyciągnął swe sejmitary. Gniewne błękitne lśnienie Błysku naprawdę odzwierciedlało kipiącą wściekłość, której Drizzt Do'Urden nie mógł w pełni zdusić.

Entreri natarł nagle, zaciekle, a Drizzt zareagował swymi instynktami wojownika - sejmitary zadzwoniły o miecz i sztylet, odbijając obydwa ataki. Przechodząc do ofensywy, zanim jeszcze zdał sobie sprawę, co robi, polegając jedynie na instynktach, Drizzt zaczął zataczać pełne koła, jego ostrza wirowały wokół niego niczym gwint śruby, każdy obrót kierował je przeciwko przeciwnikowi z innej wysokości i pod innym kątem.

Entreri, zakłopotany tym niekonwencjonalnym manewrem, opuścił równie wiele parowań, jak zadał ciosów, jednak szybkie ruchy utrzymywały go poza zasięgiem. - Zawsze zaskakujący - zabójca przyznał ponuro i skrzywił się z zazdrością, słysząc pochwalne westchnienia oraz komentarze otaczających pomieszczenie mrocznych elfów.

Drizzt przestał się obracać, kończąc manewr dokładnie naprzeciwko zabójcy, z ostrzami nisko i w gotowości.

- Ładne, ale nieprzydatne! - krzyknął Entreri rzucając się do przodu, z mieczem lejącym nisko, a sztyletem tnącym z wysoka. Drizzt wygiął się ukośnie, jednym ostrzem odtrącając miecz, drugim zaś tworząc barierę, przez którą sztylet nie mógł się przedostać, jeśli ciął wysoko.

Dłoń ze sztyletem Entreriego kontynuowała pełny obrót - Drizzt zauważył, że zabójca przekręcił ostrze w palcach - podczas gdy miecz cofał się i pchał, w tę i drugą stronę, zaprzatając uwagę drowa.

Jak można było przewidzieć, dłoń ze sztyletem wystrzeliła przed siebie i w dół, wypuszczając sztylet.

Wydając dźwięk niczym uderzenie młota o metal Błysk przeciął drogę pociskowi i odtrącił go, posyłając przez pomieszczenie.

- Dobra robota! - pogratulował Jarlaxle, zaś Entreri również cofnął się i skinął głową w szczerzej pochwale. Mając teraz zaledwie miecz, zabójca nacierał ostrożniej, straciwszy wykalkulowany atak.

Jego zdumienie było absolutne, gdy Drizzt nie sparował, gdy Drizzt chybił nie tylko jednym odbiciem, lecz dwoma, a wykonująca pchnięcie broń prześlizgnęła się przez osłonę sejmitarów. Miecz szybko się wycofał, nie docierając do swego wrażliwego celu. Entreri znów natarł, markując kolejne proste pchnięcie, lecz zamiast tego, prowadząc broń w tył i dookoła.

Miał już Drizzta pokonanego, mógł rozerwać mu bark lub szyję dzięki tej prostej fincie! Zatrzymał go jednak wiedzący uśmiech Drizzta. Odwrócił miecz płazem i uderzył nim o bark drowa, nie zadając żadnych poważnych obrażeń.

Drizzt przepuścił go przy obydwóch razach i szydził teraz z cennej walki zabójcy, udając nieudolność!

Entreri chciał wykrzyknąć swój protest, dopuścić pozostałe mroczne elfy do prywatnej gierki Drizzta. Zabójca zdecydował jednak, że ta walka jest zbyt osobista, że jest czymś, co powinno się rozstrzygnąć pomiędzy nim a Drizztem, nie zaś przez jakakolwiek interwencję Vierny czy Jarlaxle'a.

- Miałem cię - odezwał się, używając chrapliwego języka krasnoludów, w nadziei, że otaczające go drowy, nie licząc oczywiście Drizzta, nie zrozumieją go.

- I powinieneś wtedy to zakończyć - odparł spokojnie Drizzt we wspólnym języku powierzchni, choć równie doskonale mówił krasnoludzkim. Nie mógł dać Entreriemu satysfakcji przeniesienia tego wszystkiego na poziom osobisty, chciał utrzymać walkę publiczną i kpił z niej otwarcie swoimi czynami.

- Powinieneś być lepiej walczyć - rzucił Entreri, wracając do wspólnej mowy. - Jeśli nie dla twojego własnego dobra, to dla twego przyjaciela halflinga. Jeśli mnie zabijesz, to Regis będzie wolny, lecz jeśli stąd odejdem... - pozwolił, by groźba zawisała w powietrzu, jednak stała się zdecydowanie mniej złowieszczą, gdy Drizzt wysmiał ją otwarcie.

- Regis jest martwy - stwierdził drow tropiciel. - Lub będzie, niezależnie od rezultatu naszej walki.

- Nie... - zaczął Entreri.

- Tak - przerwał Drizzt. - Znam cię zbyt dobrze, by paść ofiarą twoich nie kończących się kłamstw. Zaślepiła cię twoja wściekłość. Nie przewidziałeś każdej ewentualności.

Entreri znów natarł, nie wykonując żadnych krzykliwych uderzeń, które uczyniłyby tę szaradę oczywistą dla zgromadzonych mrocznych elfów.

- Jest martwy - Drizzt w równym stopniu zapytał, jak stwierdził.

- Tak sądzisz? - odrzucił Entreri, a jego warkotliwy głos uczynił odpowiedź jeszcze bardziej oczywistą.

Drizzt uświadomił sobie zmianę taktyki, zrozumiał, iż Entreri próbował teraz go rozwścieczyć, by walczył w złości.

Drizzt pozostał obojętny, wykonał kilka leniwych ataków, z których obroną Entreri nie miał większych problemów - i które zabójca mógł skontrolować z katastrofalnym efektem, jeśli by sobie tego zażyczył.

Vierna i Jarlaxle zaczęli między sobą szeptać, a Drizzt, uważając, że mogło ich to zacząć męczyć, natarł z większą energią, choć wciąż wykalkulowanymi i bezskutecznymi uderzeniami. Entreri wykonał lekkie, lecz wyraźne skinienie głową, by pokazać, że zaczyna rozumieć. Gra, subtelne i ciche podteksty oraz komunikacja, stawała się osobista, a Drizzt w równym stopniu jak Entreri nie chciał, żeby Vierna interweniowała.

- Posmakujesz zwycięstwa - obiecał nietypowo dla siebie Entreri.

- Ono nic nie da - odparł Drizzt, której to odpowiedzi zabójca w pełni oczekiwał. Entreri chciał wygrać tę walkę, chciał ją wygrać jeszcze bardziej, ponieważ Drizzta wydawało to nie obchodzić. Drizzt wiedział jednak, że Entreri nie jest głupi, i choć on i Drizzt posiadali podobne umiejętności walki, z pewnością dzieliły ich motywacje. Entreri walczył przeciwko Drizztowi z całego serca tylko po to, by czegoś dowieść, lecz Drizzt szczerze czuł, iż nie ma czego dowodzić, nie zabójcy.

Błędy Drizzta w walce nie były blefem, nie były czymś, co Entreri mógłby ujawnić. Drizzt przegrałby, odczuwając więcej satysfakcji z tego, że nie dał Entreriemu radości prawdziwego zwycięstwa.

Teraz, gdy jego czyny były już wiadome, zabójca nie był całkowicie zaskoczony zwrotem wypadków.

- Twoja ostatnia szansa - kusił Entreri. - Tutaj wy i ja się rozdzielamy, ja wychodzę przez przeciwległe drzwi, a drowy wracają na dół do swojego mrocznego świata.

Fioletowe oczy Drizzta zerknęły w bok, ku alkwie, na chwilę, a ruch ten ukazał Entreriemu, że drow nie przegapił nacisku położonego na słowo "dół", nie przegapił oczywistego odniesienia do zakrytego tkaniną szybu.

Entreri przetoczył się nagle w bok, ustawivszy się wcześniej wystarczająco blisko, by mógł podnieść swój stracony sztylet. Był to śmiały manewr i znów ujawniał wiele jego przeciwnikowi, bowiem, gdy walka Drizzta była tak wyraźnie pełna luk, Entreri nie musiał podejmować ryzyka odzyskiwania broni.

- Mogę zmienić imię twojemu kotu? - spytał Entreri, przesuając się, by ukazać dużą sakiewkę przy pasku, przez której otwarte brzegi widać było wyraźnie czarną statuetkę.

Zabójca natarł szybko i silnie swym liczącym cztery ataki manewrem, z których każdy mógłby się przedostać, gdyby mocniej nacisnął, i zranić Drizzta.

- No dalej - powiedział głośno Entreri. - Potrafisz walczyć lepiej! Zbyt wiele razy widziałem twoje umiejętności, nawet w tych tunelach, żeby sądzić, iż można cię tak łatwo pokonać!

Z początku Drizzt był zdumiony, że Entreri tak wyraźnie pozwala, by ich prywatna rozmowa stała się tak publiczna, lecz Vierna i pozostali zauważyli już najprawdopodobniej do tego czasu, iż Drizzt nie walczy z całego serca. Mimo to wydawało się to dziwnym komentarzem, dopóki Drizzt nie zrozumiał ukrytego znaczenia słów zabójcy, przynęty zabójcy. Entreri odniósł się do ich walki w tych tunelach, jednak te walki nie były toczone przeciwko sobie. Przy tych niezwykłych okazjach Drizzt Do'Urden oraz Artemis Entreri walczyli wspólnie, ramię przy ramieniu i plecy przy plecach, z czystego pragnienia przetrwania w obliczu wspólnego wroga.

Czy znów miało tak być, tu i teraz? Czy Entreri z taką desperacją pragnął szczerzej walki z Drizztem, że proponował pomoc mu przeciwko Viernie i jej gangowi? Gdyby tak się stało, i wygraliby, wtedy każda następna walka pomiędzy Drizztem a Entrerim z pewnością dałaby Drizztowi coś do zyskania, coś, o co mógłby szczerze walczyć. Gdyby on i Entreri zdołali razem wygrać albo uciec, przy następnej rozgorzałej pomiędzy nimi walce wolność stałaby Drizztowi przed oczyma, a na jej drodze stałby jedynie Artemis Entreri.

- Tempus! - krzyk ten wyrwał obydwu przeciwników z rozmyślań, zmusił ich do reakcji na wyraźnie nadciągające źródło zamieszania.

Poruszali się w idealnej harmonii. Drizzt zamachnął się w poprzek swym sejmitem, a zabójca opuścił osłonę, padł w tył i obrócił biodro, by wystawić sakiewkę przy pasie. Błysk z łatwością odciął woreczek, wyrzucając figurkę zaklętej pantery na podłogę.

Drzwi, te same drzwi, przez które wkroczyli do komnaty, roztrzaskały się pod ciężarem lecącego

Aegis-fanga, ciskając stojącego przed nimi drowa na podłogę.

Pierwszy odruch powiedział Drizztowi, by udał się do drzwi i dołączył do swych przyjaciół, zobaczył jednak, że możliwość tę blokują liczne rzucające się tam mroczne elfy. Drugie drzwi również nie dawały nadziei, otworzyły się bowiem natychmiast na pierwszy znak zamieszania i drider Dinin wprowadził atakujące drowy do środka.

Komnata rozbłysła jasno magicznym światłem, a z każdego kąta rozległy się jęki. Przez roztrzaskane wrota przeleciała srebrna strzała, trafiając tego samego nieszczęsnego drowa, gdy podnosił się spod wyważonych drzwi. Pocisk cisnął go plecami na przeciwległą ścianę, gdzie znieruchomiał w powietrzu, ze strzałą wbitą przez pierś i kamień.

- Guenhwyvar!

Drizzt nie mógł czekać, by przekonać się, czy jego wołanie do pantery zostało usłyszane, w ogóle na nic nie mógł czekać. Rzucił się do alkowy, a jedyny pilnujący jej strażnik podniósł broń w zaskoczonych obronie.

Vierna krzyknęła, a Drizzt poczuł, jak sztylet wbija się w jego rozpostarty płaszcz i wiedział, że wisi on zaledwie kilka centymetrów od jego uda. Biegł przed siebie, pochylając w ostatniej chwili ramię, jakby zamierzał wskoczyć tam głową w dół.

Strażnik pochylił się wraz z nim, jednak Drizzt zatrzymał się tuż przed przeciwnikiem, skrzyżowawszy wysoko, na poziomie szyi, sejmitary.

Pilnujący drow nie był w stanie podnieść miecza i odbić nim wystarczająco wcześnie szybkiego jak błyskawica ataku, nie mógł odwrócić swego pędu i odsunąć się od niebezpieczeństwa.

Ostre jak brzytwy sejmitary Drizzta przejechały po jego gardle.

Drizzt skrzywił się, przycisnął do siebie zakrwawione ostrza i rzucił się głową na materiał, mając nadzieję, że rzeczywiście znajduje się pod nią otwór i że jest to szyb, a nie prosty spadek.

ROZDZIAŁ 14

W OBLICZU PRZEWAGI LICZEBNEJ

Thibbledorf Pwent pędził bocznym korytarzem, biegnąc równolegle i siedem metrów na prawo w stosunku do tunelu, w którym oddzielił się od swych towarzyszy, by wykonać szybki manewr oskrzydający. Usłyszał trzask rozwalanych młotem bojowym drzwi, świst strzał Catti-brie oraz krzyki z kilku miejsc, nawet jeden czy dwa warkoty, i przeklął swe szczęście za to, że omija go cała zabawa. Trzymając przed sobą pochodnię szałojownik skręcił ochoczo za róg po lewej stronie, mając nadzieję wrócić do pozostałych, zanim skończy się walka. Zatrzymał się gwałtownie, spoglądając na zagadkową postać, najwyraźniej równie zaskoczoną jak on.

- Hej - spytał szałojownik. - Czy ty jesteś tym drowem pupilkiem Bruenora?

Pwent obserwował, jak ręka szczupłego elfa podnosi się w górę i usłyszał kliknięcie strzelającej kuszy. Bełt uderzył w toporną, zbroję Pwenta i prześlizgnął się przez jedną z wielu szczerb, wysączając kroplę krwi z ramienia krasnoluda.

- Chyba nie! - krzyknął szczęśliwy Pwent, szarżując szaleńczo i odrzucając pochodnię na bok. Pochylił głowę, ustawiając na cel szpikulec na hełmie, zaś mroczny elf, wyglądając na zdumionego dzikością tego ataku, zaczął gmerać przy swoim mieczu, by go wyciągnąć.

Pwent, ledwo będąc w stanie widzieć, lecz w pełni spodziewając się obrony, poruszył głowę z boku na bok, zbliżając się do celu, w ten sposób parując miecz. Nie zwalniając, natychmiast znów wyprostował kurs i rzucił się na przeciwnika, z beztroską swobodą wpadając na oszołomionego mrocznego elfa.

Uderzyli o ścianę. Drow wciąż zachowywał równowagę i trzymał Pwenta w powietrzu, nie wiedząc, co poradzić na ten niezwykły, polegający na objęciu styl walki.

Mroczny elf oswobodził rękę z mieczem, zaś Pwent po prostu zaczął się trząść, jego najeżona ostrymi krawędziami zbroja ryła szramy w piersi drowa. Elf zaszamotał się wściekle, jego desperackie starania jedynie wspomagały konwulsyjne ataki szałojownika. Pwent uwolnił jedną rękę i wymierzył dziki cios nabijaną rękawicą, wbijając ją w gładką mahoniową skórę. Krasnolud przyklęknął i uderzył łokciem, ugryzł drowa w nos i ugodził go pięścią w bok.

- Aaaaaargh! - chrapliwy wrzask wydobył się aż z żołądka Pwenta, wibrował na jego obwisłych wargach, gdy krasnolud szaleńczo się miotał. Poczul ciepło płynącej z jego przeciwnika krwi i uczucie to jedynie wprowadziło go, najdzikszego szałojownika, na wyżyny zaciekłości.

- Aaaaaargh!

Drow osunął się na ziemię w beładną stertę. Pwent leżał na nim, wciąż trzęsąc się dziko. Po kilku chwilach jego przeciwnik już się nie szamotał, jednak Pwent nie chciał się pozbyć zdobytej przewagi.

- Ty podstępny elfi stworze! - ryknął, uderzając raz po raz czołem w twarz mrocznego elfa.

Mówiąc dosłownie, szałojownik, dzięki swej ostrej zbroi oraz licznym szpikulcom, rozszarpał nieszczęsnego drowa na strzępy.

Pwent w końcu puścił i podniósł się, podciągając obwisłe ciało do pozycji siedzącej i pozostawiając je oparte o ścianę. Szałojownik czuł ból w plecach i uświadomił sobie, że miecz drowa musiał go trafić przynajmniej raz. Bardziej go jednak przejmowało ośpienie rozlewające się po ręce, trucizna rozplływająca się z rany po kuszy. Znów wchodząc na wyżyny szału, Pwent pochylił swój spiczasty hełm, szurnął kilka razy butem o kamień, by uzyskać lepsze tarcie i popędził przed siebie, przebijając pierś martwego już przeciwnika.

Kiedy tym razem odskoczył, nieżywy drow padł na podłogę, a spod rozerwanego torsu zaczęła wypływać ciepła krew.

- Mam nadzieję, że nie byłeś drowem pupilkiem Bruenora - stwierdził szałojownik, nagle zdając sobie sprawę, że cały ten incydent mógł być straszną pomyłką. - Cóż, i tak już nic nie można na to poradzić!

* * *

Cobble, szukający za pomocą magii ewentualnych pułapek przed sobą, instynktownie wzdrygnął się, gdy kolejna strzała przemknęła obok jego ramienia, a jej srebrny poblask osłabł w znajdującej się dalej jasno oświetlonej komnacie. Krasnoludzki kapłan zmusił się do powrotu do pracy, chcąc zrobić to szybko, aby pozwolić na atak Bruenorowi i pozostałym.

W jego nogę wbił się bełt, jednak kapłan nie przejął się zbytnio jego przypominającym ukąszenie owada ukłuciem ani trucizną, rzucił bowiem na siebie zaklęcia opóźniające efekty narkotyków. Niech mroczne elfy trafią go choćby i tuzinem takich bełtów, miną godziny, zanim Cobble zapadnie w sen.

Przejrawszy całkowicie korytarz i nie znalazłszy żadnych ukrytych pułapek, Cobble zawołał w tył do pozostałych, którzy niecierpliwili się i już wcześniej zaczęli do niego zbliżać. Kiedy jednak kapłan zerknął za siebie, w przytłumionym świetle emanującym z komnaty wrogów zauważył na podłodze coś zagadkowego - metaliczne opiłki.

- Żelazo? - wyszeptał. Instynktownie wsunął dłoń do pękatej sakwy, wypełnionej zaklętymi wybuchającymi kamykami, i przykucnął defensywnie, trzymając wolną rękę za sobą, by ostrzec pozostałych z tyłu.

Kiedy skupił się na ogólnym hałasie rozgorzałej nagle bitwy, usłyszał głos drowki, śpiewny, czarujący.

Oczy krasnoluda rozszerzyły się z przerażenia. Odwrócił się, wrzeszcząc do swych przyjaciół, by odsunęli się, by uciekali. On również starał się biec, a jego buty ślizgały się po gładkiej podłodze,

tak szybko przebierał swymi krótkimi nogami.

Usłyszał crescendo czarującej drowki.

Opiłki żelaza stały się natychmiast żelazną ścianą, która, nie podparta niczym i pochylona, spadła na biednego Cobble'a.

Pojawił się potężny podmuch wiatru, wielka eksplozja ton żelaza uderzających o kamienną podłogę, a w twarze trojga oszołomionych towarzyszy poleciały strużki wystrzelonej ciśnieniem krwi oraz wewnętrznosci. Dziesiątki niewielkich eksplozji, dziesiątki małych, iskrzących wybuchów rozległy się głucho pod przewróconą ścianą.

- Cobble - wydyszała bezradnie Catti-brie.

Magiczne światło w odległej komnacie zgasło. Tuż za drzwiami pojawiła się kula ciemności, blokując koniec korytarza. Druga sfera mroku uniosła się w górę, tuż przed pierwszą, tuż za nią zaś trzecia, zakrywając dalszą krawędź przewróconej żelaznej ściany.

- Do ataku! - krzyknął do nich Thibbledorf Pwent, pojawiając się w korytarzu i przemykając obok swych wahających się przyjaciół.

Przed szalojownikiem pojawiła się kula ciemności, zatrzymując go gwałtownie. Za czernią brzęknęły niewidoczne kusze, posyłając żądłące małe bełty.

- Odwrót! - krzyknął Bruenor. Catti-brie wypuściła strzałę, zaś Pwent, trafiony tuzin razy, zaczął osuwać się na podłogę. Wulfgar chwycił go za szpikulec na hełmie i ruszył za rudobrodym krasnoludem.

- Drizzt - jęknęła cicho Catti-brie. Opadła na jedno kolano, wystrzeliwując jeszcze jedną strzałę i kolejną za nią, w nadziei że jej przyjaciel nie wybiegnie z komnaty prosto na niebezpieczeństwo.

Bełt, ociekający trucizną, stuknął o jej łuk i odbił się, nie czyniąc szkody.

Nie mogła zostać.

Wystrzeliła jeszcze raz, po czym odwróciła się i pobiegła za ojcem i pozostałymi, oddalając się od przyjaciela, którego przyszła uratować.

* * *

Drizzt spadł cztery metry i uderzył o nachyloną ścianę szybu, po czym popędził krętym i szybko opadającym korytarzem. Trzymał mocno sejmity, najbardziej obawiał się bowiem tego, iż jeden z

nich może się odchylić i przeciąć go na pół, gdy odbijał się od ścian.

Wykonał pełną pętlę, zdołał się obrócić, by wysunąć stopy do przodu i znów został odwrócony tyłem przy kolejnym pionowym spadku, końcowe uderzenie niemal pozbawiło go przytomności.

Właśnie kiedy pomyślał, że kontroluje sytuację i miał zamiar ponownie się obrócić, szyb wyszedł pod kątem na niższy korytarz. Drizzt wystrzelił jak pocisk, choć zachował na tyle przytomności umysłu, by odrzucić od siebie sejmity w bok, z daleka od toczącego się ciała.

Uderzył potężnie w podłogę, przetoczył się i uderzył nasadą pleców o wystający głaz.

Drizzt Do'Urden leżał całkowicie nieruchomo.

Nie myślał o bólu w nogach, szybko przechodzącym w odrętwienie, nie przyglądał się licznym zadrapaniom oraz siniakom, jakie spowodował upadek. Nie myślał nawet o Entrerim.

W tej bolesnej chwili ta jedna rzecz przeważała nawet nad obawami mrocznego elfa o swoich przyjaciół.

Złamał swoją obietnicę.

Kiedy młody Drizzt opuścił Menzoberranzan, po zabiciu Masoja Hun'ett, innego mrocznego elfa, przysiągł, że nigdy już nie zabije drowa. Trzymał się tej obietnicy, nawet gdy jego rodzina wyruszyła za nim w dzicz Podmroku, nawet gdy walczył ze swą najstarszą siostrą. Wciąż w jego umyśle była świeża śmierć Zaknafaena oraz pragnienie zabicia niegodziwej Brizy, najsilniejsze pragnienie, jakie kiedykolwiek odczuwał. Na wpół szalony z żalu, po dziesięciu latach spędzonych w bezlitosnej dziczy, Drizzt wciąż zdołał dotrzymać swej obietnicy.

Jednak nie teraz. Nie mogło być wątpliwości, że zabił strażnika na górze szybu - jego sejmity wycięły proste linie, idealne X, na gardle mrocznego elfa.

To była reakcja, przypominał sobie Drizzt, ruch konieczny, jeśli zamierzał uwolnić się od gangu Vierny. Nie dążył do przemocy, w żaden sposób o nią nie prosił. Rozsądnie rzecz ujmując, nie można było winić go za podjęcie wszystkich możliwych działań, by uciec przed niesprawiedliwym sądem Vierny oraz pomóc swoim przyjaciołom, atakującym potężnych przeciwników.

Rozsądnie rzecz ujmując, nie można było winić Drizzta, kiedy jednak tam leżał, a do jego posiniaczonych nóg stopniowo wracało czucie, jego świadomość nie mogła pozbyć się tej prostej prawdy.

Złamał swoją obietnicę.

* * *

Bruenor prowadził ich na ślepo przez splątany labirynt korytarzy, a tuż za nim szedł Wulfgar, niosąc chrapiącego Pwenta (otrzymując liczne zadrapania od zaostrzonych krawędzi zbroi szalajownika!). Catti-brie szła u jego boku, przystając, kiedy tylko pościg wydawał się znajdować wystarczająco blisko, by mogła wypuścić strzałę lub dwie.

Wkrótce korytarze stały się ciche, nie licząc hałasu powodowanego przez samą drużynę - zbyt ciche, jak na gust przerażonych towarzyszy. Wiedzieli, jak cicho potrafił poruszać się Drizzt, wiedzieli, że skradanie się było silną stroną mrocznych elfów.

Gdzie jednak uciekać? Nie mogli określić, gdzie znajdują się w tym mało znanym regionie, musieliby zatrzymać się i poświęcić trochę czasu na ustalenie położenia, zanim zdołaliby dojść do tego, jak wrócić do znajomych terenów.

W końcu Bruenor dotarł do małego bocznego tunelu, który rozgałęział się w trzy strony, zaś niedaleko dalej każda odnoga znów się rozwidła. Nie idąc żadnym ustalonym wcześniej szlakiem, rudobrody krasnolud poprowadził ich najpierw w lewo, później w prawo, i wkrótce weszli do małej komnaty, obrobionej przez goblina, z dużą kamienną płytą tuż za niskim wejściem. Gdy tylko wszyscy znaleźli się wewnątrz, Wulfgar zasłonił płytą otwór i oparł się o nią plecami.

- Drowy! - wyszeptała z niedowierzaniem Catti-brie. - W jaki sposób dotarły do Mithrilowej Hali?

- Nie jak, tylko dlaczego? - sprostował ponuro Bruenor. - Dlaczego pobratymcy elfa znajdują się w moich tunelach?

- I co? - ciągnął posepnie Bruenor. Spojrzał na swą córkę, swą ukochaną Catti-brie, oraz na Wulfgara, dumnego chłopaka, który z jego pomocą wyrósł na tak wspaniałego mężczyznę, a na owłosionych policzkach krasnoluda pojawiła się naprawdę ponura mina. - W co się tym razem wpakowaliśmy?

Catti-brie nie miała dla niego odpowiedzi. Wspólnie towarzysze walczyli z wieloma potworami, pokonali niewyobrażalne przeszkody, jednak to były mroczne elfy, okryte złą sławą drowy, śmiertelne, złe, i najwyraźniej trzymające w swoich łapach Drizzta, jeśli on jeszcze oddychał. Potężni przyjaciele pojawili się szybko, by uratować Drizzta, zdołali zaskoczyć mroczne elfy. Znaleźli się po prostu w obliczu przewagi liczebnej, zostali odepchnięci, zdoławszy uchwycić jedynie ulotne wrażenie tego, co mogło być ich zaginionym przyjacielem.

Catti-brie spojrzała na Wulfgara w poszukiwaniu wsparcia i dostrzegła, że wpatruje się w jej stronę z tak samo bezradnym wyrazem twarzy, jaki Bruenor skierował na nią.

Młoda kobieta odwróciła wzrok, nie mając ani czasu, ani chęci, by łajać nadopiekuńczego barbarzyńcę. Wiedziała, że Wulfgar wciąż bardziej martwi się o nią niż o siebie - nie mogła go za to

karać - jednak Catti-brie, będąc wojowniczką, wiedziała również, iż jeśli Wulfgar będzie patrzył na nią, jego oczy nie będą skupione na niebezpieczeństwach czyhających przed nim.

W tej sytuacji była dla niego uciążliwa, nie z powodu jakichś braków w zdolnościach walki, lecz z powodu słabości samego Wulfgara, jego niezdolności postrzegania Catti-brie jako równorzędnego sojusznika.

A jakże mocno potrzebowali sojuszników, gdy wszędzie wokół nich były mroczne elfy!

Wykorzystując wrodzoną moc lewitacji, ścigający drow żołnierz wydostał się z szybu, a jego wzrok padł natychmiast na leżącą dalej w korytarzu zwiniętą sylwetkę, przykrytą grubym płaszczem.

Wyciągnął ciężką pałkę i ruszył w tamtą stronę, krzycząc z radości, wyobrażał sobie bowiem nagrody, jakimi zostanie obsypany za ponowne schwytanie Drizzta. Pałka opadła w dół i rozległ się nieoczekiwanie ostry dźwięk, gdy odbiła się od leżącego pod płaszczem Drizzta sporego kamienia.

Równie cicho jak śmierć Drizzt opadł z półki skalnej nad wejściem do szybu, tuż za przeciwnikiem.

Oczy złego drowa rozszerzyły się, gdy zdał sobie sprawę z pułapki, przypomniał sobie wtedy kamień leżący naprzeciwko szybu.

Pierwszym odruchem Drizzta było uderzyć rękojeścią sejmitara, serce prosiło go o uszanowanie przysięgi i nie odbieranie życia żadnym innym drowom. Dobrze wymierzony cios mógłby powalić i unieszkodliwić tego przeciwnika. Drizzt mógłby go wtedy związać i zabrać mu broń.

Gdyby Drizzt był sam w tych tunelach, gdyby była to po prostu kwestia ucieczki przed Vierną oraz Entrerim, posłuchałby krzyku swego litościwego serca. Nie mógł jednak zapomnieć o swoich znajdujących się na górze przyjaciółach, bez wątpienia walczących z tymi wrogami, których pozostawił za sobą. Nie mógł podjąć ryzyka i pozwolić, by żołnierz, doszedłszy do siebie, wyrządzi krzywdę Bruenorowi, Wulfgarowi lub Catti-brie.

Uderzył Błysk, ostrzem do przodu, przebijając się przez kręgosłup i serce drowa oraz wychodząc z jego piersi. Ochoczy błękitny blask ostrza pokryty był czerwienią.

Kiedy Drizzt Do'Urden wyciągnął z powrotem swój sejmitar, miał więcej krwi na swych dłoniach.

Znów pomyślał o swych znajdujących się w niebezpieczeństwie przyjaciółach i zacisnął zęby, zdecydowany, jeśli nie wręcz przekonany, iż ta krew zostanie zmyta.

KOTEK I MYSZKA

Jakiż zamęt odczuwałem, kiedy pierwszy raz złamałem swą uroczystą, podyktowaną zasadami obietnicę, iż nigdy więcej nie odbiorę już życia nikomu z mojego ludu. Ból, poczucie porażki, poczucie straty, to właśnie stało się niezwykle silne, gdy zdałem sobie sprawę, jakże niegodziwą robotę wykonały moje sejmitary.

Wina szybko jednak osłabła - nie dlatego, że wybaczyłem sobie porażkę, lecz dlatego, iż uświadomiłem sobie, iż prawdziwa porażka nie polegała na złamaniu obietnicy, lecz na złożeniu jej. Kiedy opuściłem swą ojczyznę, wypowiedziałem jej słowa z niewinności, z naiwności niedoświadczonego młodzieńca, i gdy je wypowiadałem, naprawdę i szczerze w nie wierzyłem. Doszedłem jednak do wniosku, iż takie obietnice są nierealne, że gdybym podążał przez życie drogą obrony tych ideałów, które tak cenilem, nie mógłbym wybaczyć sobie czynów podyktowanych przez ową drogą, gdyby przeciwnikami okazały się kiedykolwiek mroczne elfy.

Jest to dość proste, kwestia wywiązywania się z obietnicy zależała od sytuacji znajdujących się całkowicie poza moją kontrolą. Gdybym po opuszczeniu Menzoberranzan już nigdy więcej nie spotkał mrocznego elfa w walce, nigdy nie złamałbym obietnicy. To jednak nie uczyniłoby mnie ani trochę bardziej honorowym. Szczęśliwe okoliczności nie są równoważne z zasadami.

Kiedy jednak okazało się, iż mroczne elfy zagrażają moim najdroższymi przyjaciółmi, dożą do stanu wojny przeciwko osobom, które nic im nie wyrządziły, jak mogłem, kierowany sumieniem, zatrzymać moje sejmitary w pochwach? Ileż było warte moje życie w porównaniu z życiem Bruenora, Wulfgara i Catti-brie, lub też w porównaniu z życiem jakichkolwiek innych niewinnych istot? Gdybym podczas swoich podróży natknął się na najazd drowów na elfy powierzchni, przyłączyłbym się do walki, walcząc z całych sił z niegodziwymi agresorami.

W tym przypadku poczułbym bez wątpienia dotkliwy ból porażki i wkrótce bym się jej pozbył, jak robię to teraz.

Nie żałuję więc, że złamałem obietnicę, choć boli mnie, jak zawsze, że musiałem zabić. Nie żałuję też, że złożyłem tę obietnicę, bowiem owa deklaracja z młodości nie niosła za sobą dalszego bólu. Gdybym jednak spróbował trzymać się bezwarunkowo s Iow przysięgi, gdybym wstrzymał moje ostrza w poczuciu fałszywej dumy i gdyby ten brak działania przyczynił się do krzywdy niewinnej osoby, wtedy ból Drizzta Do 'Urdena byłby bardziej dotkliwy i już nigdy by go nie opuścił.

Jest jeszcze jedna sprawa, do której doszedłem, rozważając swoją deklarację, jeszcze jedna prawda, która prowadzi mnie dalej drogą którą wybrałem w życiu. Powiedziałem, że już nigdy nie zabiję elfa drowa. Powziąłem to założenie, dysponując niewielką wiedzą o wielu innych rasach

rozległego świata, z powierzchni i z Podmroku, niewiele wiedząc o tym, że te miriady ludów w ogóle istnieją. Powiedziałem, że nigdy nie zabiję drowa, co jednak ze svirfnebli, głębinowymi gnomami? Co z halflingami, elfami czy krasnoludami? A co z ludźmi?

Miałem okazję zabijać ludzi, kiedy barbarzyńscy pobratymcy Wulfgara najechali na Dekapolis. Obrona niewinnych oznaczała walkę z ludzkimi agresorami, być może nawet zabijanie ich. Mimo to czyn ten, jakkolwiek nieprzyjemny, nie wpłynął w żaden sposób na moją obietnicę, pomimo faktu, że reputacja ludzi dalece przewyższa mroczne elfy.

Tak więc powiedzenie, że nigdy więcej nie zabiję już drowa, tylko dlatego, że one i ja mamy ten sam fizyczny rodowód, uderza mnie teraz jako zło, jako zwyczajny rasizm. Umieszczenie jednej żywej istoty nad inną tylko dlatego, że owa istota ma taki sam kolor skóry co ja, umniejsza moje zasady. Fałszywe wartości zawarte w dawnej obietnicy nie istnieją w moim świecie, w rozległym świecie niezliczonych fizycznych oraz kulturowych różnic. To właśnie owe różnice czynią moje podróże ekscytującymi, one dodają nowych kolorów i kształtów do uniwersalnej idei piękna.

Teraz składam nową obietnicę, wynikającą z doświadczenia i głoszoną z otwartymi oczyma: nie podniosę moich sejmitarów inaczej niż w obronie - w obronie moich zasad, mojego życia lub innych, którzy sami nie potrafią się bronić. Nie będę walczyć dla dobra sprawy fałszywych proroków, aby powiększać skarbcze królów albo mścić swą urażoną dumę.

Zaś dla wielu bogatych w złoto najemników, religijnych i świeckich, którzy postrzegają taką obietnicę jako nierealną, niepraktyczną, nawet śmieszna, składam ręce na piersi i oświadczam z przekonaniem -jestem znacznie bogatszy!

- Drizzt Do'Urden

ROZDZIAŁ 15

ISTOTA ZABAWY

Cisza! - delikatne palce Vierny zasygnalizowały tę komendę kilkakrotnie w zawiłym języku gestów drowów. Dwie kusze kliknęły cicho, gdy ich cięciwy zostały naciągnięte na pozycję do strzału. Trzymające je drowy przykucnęły nisko przy podłodze, wpatrując się w połamane drzwi. Zza nich, zza małej komnaty, dobiegł lekki syk, gdy strzała wyparowała w wyniku działania magii, wypuszczając swą mrocznoelfią ofiarę, która osunęła się na podłogę u podstawy ściany. Drider Dinin odsunął się od leżącego drowa, stukając twardymi odnóżami o skałę. - Cisza!

Jarlaxle podczołgał się do krawędzi wyłamanych drzwi i nadstawił ucha w stronę nieprzeniknionej czerni przyzwanych kuł. Usłyszał lekkie szurnięcie i wyciągnął sztylet, sygnalizując

kusznikom, by się przygotowali.

Kazał im opuścić broń, gdy postać, jego zwiadowca, wyczołgała się z ciemności i weszła do pomieszczenia.

- Zniknęli - wyjaśnił zwiadowca, gdy Vierna podeszła spieszenie do dowódcy najemników. - Mała grupa, a stała się jeszcze mniejsza, bowiem jeden został zmiażdżony przez twoją jakże wspaniałą ścianę. - Zarówno Jarlaxle jak i strażnik skłonili się z szacunkiem przed Vierną, która uśmiechnęła się paskudnie pomimo nagłej katastrofy.

- Co z Iftuu? - spytał Jarlaxle, myśląc o strażniku, którego zostawili w korytarzu, w którym zaczęły się kłopoty.

- Nie żyje - odparł zwiadowca. - Rozerwany.

Vierna odwróciła się ostro do Entreriego. - Co wiesz o naszych przeciwnikach? - zażądała.

Zabójca przyjrzał jej się złowrogo, przypominając sobie ostrzeżenia Drizzta na temat sojuszków z jego pobratymcami. - Wulfgar, wielki człowiek, cisnął młotem, który rozbił drzwi - odpowiedział z całym przekonaniem. Entreri spojrział na dwie stygnące szybko sylwetki leżące na kamiennej podłodze. - Możecie zrzucić winę za tych dwóch na Catti-brie, też człowieka, kobietę.

Vierna odwróciła się do zwiadowcy Jarlaxle'a i przetłumaczyła na mowę drowów to, co powiedział jej Entreri. - Czy któreś z nich było pod ścianą? - kapłanka spytała zwiadowcę.

- Tylko jeden krasnolud - odparł drow.

Entreri rozpoznał słowo oznaczające brodaty lud. - Bruenor? - zapytał retorycznie, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zabili króla Mithrilowej Hali.

- Bruenor? - powtórzyła Vierna, nie rozumiejąc.

- Głowa klanu Battlehammer - wyjaśnił Entreri. - Zapytaj go - poprosił Viernę, wskazując na zwiadowcę, po czym chwycił się dłonią za swój gładko ogolony podbródek, jakby szarpał się za brodę. - Rude włosy?

Vierna przetłumaczyła, po czym spojrzała na niego z powrotem, potrząsając głową. - Nie było tam światła. Zwiadowca nie mógł dojrzeć.

Entreri w myślach przeklął się za to, że jest tak głupi. Nie mógł po prostu przyzwycząić się do tego widzenia ciepła, gdzie kształty rozmywały się lekko, a kolory opierały się na temperaturze, nie odcieniach światła.

- Zniknęli i już nas nie obchodzą - Vierna rzekła do Entreriego.

- Pozwolisz im uciec po tym, jak zabili trzech z twojego orszaku? - zaczął protestować Entreri, widząc, do czego doprowadzi ich ten sposób rozumowania - a nie był pewien, czy podoba mu się ta ścieżka.

- Nie żyje czterech - sprostowała Vierna, jej wzrok skierował zabójcę ku ofierze Drizzta, leżącej przy odsłoniętym szybie.

- Ak'hafta poszedł za twoim bratem - szybko wtrącił się Jarlaxle.

- A więc nie żyje pięciu - odparła ponuro Vierna. - Jednak mój brat jest pod nami i musi się przez nas przedostać, by dołączyć do swoich przyjaciół.

Zacząła mówić do innych drowów w ich języku i choć Entreri był daleko od rozumienia tej mowy, uświadomił sobie, że Vierna organizuje zejście w dół szybu w pościgu za Drizztem.

- Co z moją umową? - przerwał.

Odpowiedź Vierny była zwięzła - Miałeś swoją walkę. Dajemy ci twoją wolność, jak ustaliliśmy.

Entreri udał, że ta odpowiedź go zadowoliła. Był wystarczająco rozsądny, by wiedzieć, iż okazanie w tej chwili wściekłości, oznaczałoby dołączenie do szybko stygnących sylwetek na podłodze. Zabójca nie zamierzał jednak tak łatwo godzić się z porażką. Rozejrzał się szaleńczo dookoła, szukając czegoś, co mogło zakłócić wykonaną już najwyraźniej umowę.

Entreri zaplanował wszystko idealnie do tego momentu, nie licząc tego, że w zamieszaniu nie był w stanie dostać się do szybu za Drizztem. Gdyby znaleźli się sami na dole, on oraz jego arcyrywal, mieliby czas, by raz na zawsze rozstrzygnąć sprawę, teraz jednak perspektywa zdobycia Drizzta samego na potrzeby walki wydawała się daleka, a z każdą sekundą oddalała się coraz bardziej.

Przebiegły zabójca wydostawał się już z niebezpieczniej szych sytuacji niż ta - tyle że, jak szybko sobie przypomniał, tym razem miał do czynienia z mrocznymi elfami, mistrzami intryg.

* * *

- Szzz! - Bruenor syknął do Wulfgara i Catti-brie, choć to Thibbledorf Pwent, pogrążony w głębokim śnie i chrapiący tak, jak tylko krasnolud potrafi chrapać, robił cały hałas. - Wydaje mi się, że coś słyszałem!

Wulfgar oparł szpikulec na hełmie szalojownika o ścianę, wsunął jedną dłoń pod brodę Pwenta, zamykając mu usta, po czym zacisnął palce na jego szerokim nosie. Policzki Pwenta wydeły się gwałtownie kilka razy, i skądś wydobyły się dziwne, świszcząco-mlaskające odgłosy. Wulfgar i Catti-brie spojrzeli na siebie, a Wulfgar nawet przechylił się w bok, zastanawiając się, czy szalony krasnolud nie chrapał właśnie przez uszy!

Bruenor skrzywił się na nieoczekiwany wybuch, miał jednak zbyt zaprzątniętą uwagę, by odwrócić się i złązać swych towarzyszy. Z korytarza dobiegło ponownie lekkie szurnięcie, ledwo słyszalne, po czym kolejne, jeszcze bliższe. Bruenor wiedział, że wkrótce zostaną odnalezieni. Jak mogli uciec, gdy Wulfgar i Catti-brie potrzebowali światła pochodni, by poruszać się po tych krętych tunelach?

Rozległo się następne szurnięcie, tuż za małą komnatą.

- No dobra, wyłaż, ty szpiczastouchy całowaczu orków! - ryknął sfrustrowany i przestraszony król krasnoludów, przeskakując przez mały otwór obok płyty, za pomocą której Wulfgar częściowo zablokował przejście. Krasnolud uniósł swój wielki topór nad głowę.

Ujrzał czarną sylwetkę, tak jak się spodziewał, i starał się ją ugodzić, jednak postać była zbyt szybka, wskoczyła do małej groty, nie powodując prawie żadnego hałasu.

- Co? - wyjąkał zaskoczony krasnolud, wciąż trzymający topór w górze, odwracając się i prawie przewracając na podłogę.

- Guenhwyvar! - usłyszał krzyk Catti-brie zza płyty. Bruenor wpadł z powrotem do komnaty, akurat gdy potężna pantera otworzyła szeroko pysk i wypuściła cenną figurkę - wraz z mahoniowoskórą dłonią nieszczęsnego mrocznego elfa, który sięgał po nią, gdy Guenhwyvar mu przerwała.

Catti-brie spojrzała kwaśno i kopnęła odgryzioną dłoń z dala od figurki.

- Cholernie dobry kot - przyznał Bruenor. Krzepki krasnolud odczuł niezwykłą ulgę, że znalazł się

nowy i potężny sojusznik.

Geunhwyvar zarzyczała w odpowiedzi, a jej donośny głos odbił się echem od ścian tuneli w odległości wielu, wielu metrów w każdym kierunku. Na ten dźwięk Pwent otworzył znużone powieki. Ciemne oczy szalojownika stały się niezwykle szerokie, gdy zauważyły trzystukilową panterę, siedzącą zaledwie metr dalej!

Dzięki adrenalinie wznoszącej się na nowe wyżyny dziki szalojownik wydobył z siebie na raz szesnaście słów, podnosząc się i kopiąc nogami, by wstać (niechcący uderzył się kolaniem w goleń i utoczył trochę krwi). Niemal mu się udało dostać do Guenhwyvar, ona jednak najwyraźniej zdała sobie sprawę z jego zamiarów i niedbale przejechała mu łapą, ze schowanymi pazurami, po twarzy.

Hełm Pwenta zagrał czystą nutą, gdy odbił się od ściany, i krasnolud pomyślał, że kolejna drzemka dobrze by mu zrobiła. Był jednak szalojownikiem, przypomniał sobie, i według niego miała się właśnie stoczyć najdziksza bitwa. Wyciągnął spod płaszcza sporą flaszkę i pociągnął solidny łyk, po czym potrząsnął głową, by pozbyć się pajęczyn, a jego grube wargi zatrzepotały donośnie. Wydając się w jakiś sposób otrzeźwiony, szalojownik ustawił się do szarży.

Wulfgar chwycił go za szpikuliec hełmu i podniósł z podłogi. Krótkie nogi Pwenta wymachiwały bezradnie w powietrzu.

- Co ty robisz? - warknął w proteście szalojownik, lecz nawet z niego uleciało zaciętrzewienie, wraz z krwią z twarzy, kiedy Guenhwyvar spojrzała na niego i warknęła, położywszy po sobie uszy i obnażywszy perłowe kły.

- Pantera jest przyjaciółką - wyjaśnił Wulfgar.

- Co... co to... za cholerny kot? - wyjąkał Pwent.

- Cholernie dobry kot - poprawił Bruenor, kończąc dyskusję. Król krasnoludów wrócił następnie do obserwowania korytarza, ciesząc się, że Guenhwyvar jest z nimi i wiedząc, że będą potrzebowali wszystkiego, co pantera mogła z siebie dać, a może nawet trochę więcej.

* * *

Entreri zauważył jednego rannego drowa, opartego o ścianę, którym zajmowali się dwaj inni, a bandaże, którymi go opatrywali, stawały się szybko gorące od płynącej krwi. Rozpoznał zranionego mrocznego elfa jako tego, który sięgał po statuetkę zaraz po tym, jak Drizzt zawołał kocicę, a przypomnienie Guenhwyvar dało zabójcy pomysł na nową intrygę.

- Przyjaciele Drizzta będą cię ścigać - Entreri stwierdził ponuro, znów przerywając Viernie.

Kapłanka odwróciła się do niego, wyraźnie przejęta jego rozumowaniem - podobnie jak stojący obok niej najemnik.

- Nie oceniaj ich zbyt nisko - ciągnął Entreri. - Znam ich i są lojalni ponad wszystko w świecie mrocznych elfów, poza oczywiście lojalnością kapłanek wobec Pajęczej Królowej -dodał szybko, okazując szacunek Viernie, nie chciał bowiem, by zerwano z niego skórę i zrobiono trofeum. - Zamierzasz udać się teraz za swoim bratem, nawet jednak jeśli go natychmiast schwytasz i skierujecie się jak najszybciej do Menzoberranzan, jego lojalni przyjaciele cię dościgną.

- Była ich tylko garstka - odparła Vierna.

- Tak, ale wróci więcej, zwłaszcza jeżeli krasnoludem pod ścianą był Bruenor Battlehammer - odrzekł Entreri.

Vierna spojrzała na Jarlaxle'a, szukając potwierdzenia słów zabójcy, a bardziej obeznany ze światem mroczny elf jedynie wzruszył ramionami i potrząsnął głową w bezradnej niewiedzy.

- Przybędą lepiej wyekwipowani i lepiej uzbrojeni - ciągnął Entreri, formułując swój nowy plan, a jego wesołość nabierała pędu. - Być może z czarodziejem. A z pewnością z wieloma kapłanami. Oraz z tym śmiercionośnym łukiem - zerknął na ciało przy ścianie - i młotem bojowym barbarzyńcy.

- Jest wiele tuneli - stwierdziła Vierna, najwyraźniej odrzucając ten argument. - Nie uda im się iść naszym śladem. - Odwróciła się, jakby jej słowa ją usatysfakcjonowały, wracając do formułowania swych pierwotnych planów.

- Mają panterę! - warknął do niej Entreri. - Panterę, która jest najdroższą przyjaciółką twojego brata. Guenhwyvar pójdzie za wami do samej otchłani, jeśli zaniesiecie tam ciało Drizzta.

Znów zaniepokojona Vierna spojrzała na Jarlaxle'a. - I co powiesz? - zapytała.

Jarlaxle potarł dłonią swój spiczasty podbródek. - Pantera była dobrze znana wśród grup zwiadowczych, gdy twój brat mieszkał w mieście - przyznał. - Nasza drużyna nie jest duża, a teraz jeszcze o pięciu mniejsza.

Vierna odwróciła się gwałtownie do Entreriego. - Ty, który wydajesz się tak dobrze znać ich zwyczaje - odezwała się z więcej niż odrobiną sarkazmu - co nam sugerujesz uczynić?

- Idźcie za uciekającą bandą - odparł Entreri, wskazując na zaczerniony korytarz za roztrzaskanymi drzwiami. - Schwytajcie ich i zabijcie, zanim wrócą do siedziby krasnoludów i zbiorą posiłki. Znajdę twojego brata za was.

Vierna spojrzała na niego podejrzliwie, wzrokiem, który się zdecydowanie nie podobał Entreriemu.

- Uzyskam jednak kolejną walkę z Drizztem - nalegał, nasycając plan odpowiednią dawką wiarygodności.

- Kiedy znów się spotkamy - dodała chłodno Vierna.

- Oczywiście - zabójca pochylił się w niskim ukłonie i skoczył w stronę szybu.

- Ale nie pójdziesz sam - zdecydowała Vierna. Zerknęła na Jarlaxle'a, on zaś wskazał dwóm ze swoich żołnierzy, by towarzyszyli zabójcy.

- Pracuję sam - nalegał Entreri.

- Zginiesz sam - sprostowała Vierna. - To znaczy z moim bratem w tunelach - dodała spokojniejszym tonem. Entreri wiedział jednak, że obietnica Vierny nie ma nic wspólnego z jej bratem.

Nie widział większego sensu w kontynuowaniu tej dyskusji, wzruszył więc tylko ramionami i wskazał jednemu z mrocznych elfów, by prowadził.

Prawdę mówiąc, kiedy zabójca miał pod sobą drowa z mocą lewitacji, droga w dół niebezpiecznego szybu była dla niego znacznie wygodniejsza.

Prowadzący mroczny elf pierwszy wyłonił się w dolnym korytarzu. Entreri wylądował zwinie za nim, zaś drugi drow pojawił się powoli za zabójcą. Pierwszy drow potrząsnął głową w wyraźnym zakłopotaniu i kopnął lekko leżące ciało, jednak Entreri, lepiej obeznany ze sztuczkami Drizzta, odepchnął mrocznego elfa na bok i wbił miecz w rzekome zwłoki. Ostrożnie zabójca przewrócił martwego drowa na drugą stronę, przekonując się, że to nie Drizzt w sprytnym przebraniu. Zadowolony schował miecz.

- Nasz przeciwnik jest sprytny - wyjaśnił, a jeden z jego towarzyszy, znający język powierzchni, przytaknął, po czym przetłumaczył drugiemu drowowi.

- To jest Ak'hafta - mroczny elf wyjaśnił Entreriemu. - Martwy, jak przewidziała Vierna. - Poprowadził swego towarzysza w stronę zabójcy.

Entreri nie był ani trochę zaskoczony, widząc zabitego żołnierza tuż pod szybem. On, bardziej niż ktokolwiek inny w drużynie Vierny, rozumiał, jak śmiertelny może być ich przeciwnik, i jak skuteczny. Entreri nie wątpił, że tych dwóch towarzyszących mu, wyszkolonych wojowników, lecz nie znających zwyczajów ich wroga, miałyby niewielkie szansę na schwytanie Drizzta. Według szacunków Entreriego, gdyby te nieświadome mroczne elfy zeszyły przez szyb same, Drizzt mógłby ich już równie dobrze powalić.

Entreri uśmiechnął się skrycie do tej myśli, po czym jego śmiech stał się jeszcze szerszy, gdy uświadomił sobie, iż ci dwaj nie znają swego sprzymierzeńca, nie mówiąc już o przeciwniku.

Jego miecz wykonał pchnięcie w bok, gdy prowadzący drow przechodził obok niego, zgrabnie przebijając płuca nieszczęsnego elfa. Drugi drow, szybszy niż Entreri się spodziewał, obrócił się, z wycelowaną i gotową do strzału kuszą.

Pierwszy poleciał wysadzany klejnotami sztylet, zawadzając trzymającą broń dłoń drowa wystarczająco mocno, by strzał poszedł bezpiecznie daleko. Niezrażony tym mroczny elf warknął i wyciągnął parę ostrych mieczy.

Nigdy nie przestało zadziwiać Entreriego, w jaki sposób te mroczne elfy walczą tak dobrze dwoma sztukami broni o równej długości. Wyszarpnął ze spodni wąski skórzany pas i zwinął go na pół w wolnej lewej dłoni, wymachując nim oraz mieczem przed sobą, by utrzymać przeciwnika w oddali.

- Jesteś po stronie Drizzta Do'Urdena! - odezwał się oskarżycielsko drow.

- Nie jestem po twojej stronie - sprostował Entreri. Drow natarł na niego silnie, krzyżując miecze i cofając się daleko, po czym znów krzyżując blisko, zmuszając tym Entreriego, by odbił je własnym mieczem, a następnie szybko je wycofując. Atak był umiejętny i zwodniczo szybki, jednak Entreri natychmiast dostrzegł podstawową różnicę pomiędzy tym drowem a Drizztem, subtelny poziom umiejętności, który wynosił Drizzta - i w związku z tym Entreriego - ponad innych wojowników. Podwójny atak krzyżowy został wykonany równie dobrze jak każdy wcześniej widziany przez Entreriego, jednak podczas tych kilku sekund, których mroczny elf potrzebował na manewr, jego obrona była zaniedbana. Podobnie jak wielu innych dobrych wojowników, ten drow był jednostronny - doskonały w ataku, doskonały w obronie, jednak niedoskonały w obydwu jednocześnie.

Była to drobna rzecz, szybkość drowa rekompensowała to tak dobrze, że większość wojowników nigdy nie dostrzegłoby owej słabości. Entreri nie był jednak jak większość wojowników.

Drow natarł znów. Jeden z mieczy kierował się prosto w twarz Entreriego, tylko po to, by w ostatniej chwili zostać odtrąconym na bok. Drugi szedł nisko, tuż za nim, Entreri odwrócił jednak tor swojej broni i odrzucił wykonujący pchnięcie czubek ku ziemi.

Drow atakował zaciekle, wymachując mieczami, szukając dowolnej widocznej luki, tylko po to, by jego ataki przechwytywał miecz Entreriego lub też skórzany pas.

Przez cały czas zabójca dobrowolnie cofał się, czekał na swój czas, czekał na pewny cios.

Miecze skrzyżowały się i rozeszły szeroko, po czym znów skrzyżowały, atakując symetrycznie Entreriego. Mroczny elf powtarzał swój początkowy atak.

Obrona się zmieniła, zabójca zaczął się poruszać z nagłą, przerażającą prędkością.

Pas Entreriego zawinął się wokół czubka miecza trzymanego przez drowa w prawej ręce, który był skrzyżowany pod drugim, następnie zaś zabójca szarpnął w lewo, stykając miecze ściśle ze sobą i

ciągnąc je obydwą w bok.

Zgubiony mroczny elf zaczął się natychmiast cofać, a obydwą miecze uwolniły się z łatwością niezgrabnej pętli, jednak drow, zgubiwszy obronę w tym ofensywnym manewrze, potrzebował ułamek sekundy, by odzyskać postawę.

Pędzący jak błyskawica miecz Entreriego nie potrzebował aż ułamek sekundy. Wbił się żarłocznie w wystawiony lewy bok drowa, a ostrze obróciło się, wchodząc w miękkie ciało pod klatką piersiową.

Ranny żołnierz padł do tyłu z paskudnie rozdartym brzuchem, a Entreri nie ruszył za nim, zamiast tego przechodząc w swą pozycję do walki.

- Jesteś martwy - stwierdził niedbale, gdy drow starał się wstać i podnieść miecze.

Drow nie mógł dyskutować i nie mógł mieć nadziei, że poprzez oślepiający i palący ból zdoła zatrzymać nadciągający atak zabójcy. Opuścił broń na podłogę i oznajmił - Poddaję się.

- Dobrze powiedziane - pochwalił go Entreri, po czym wbił miecz w serce głupiego mrocznego elfa.

Wyczyścił ostrze w piwafwi swojej ofiary, podniósł swój cenny sztylet, po czym odwrócił się, by przyrzeć się pustemu korytarzowi, biegnącemu prosto w obydwie strony poza zasięg jego dość ograniczonej infrawizji. - Teraz, drogi Drizzcie - powiedział głośno - wszystko jest tak, jak zaplanowałem. - Entreri uśmiechnął się, gratulując sobie za tak idealne wymanewrowanie z tak niebezpiecznej sytuacji.

- Nie zapomniałem kanałów Calimportu, Drizzcie Do'Urden! - krzyknął, kipiąc nagle gniewem. - Ani nie przebaczyłem!

Entreri uspokoił się natychmiast, przypominając sobie, że gdy walczył z Drizztem w mieście na południu, wściekłość okazała się jego słabością.

- Pociesz się, mój szanowny przyjacielu - powiedział cicho - bowiem teraz możemy zacząć naszą zabawę, tak jak miało być.

* * *

Drizzt wrócił do okolic szybu zaraz po tym, jak Entreri odszedł. Od razu odgadł, co się stało, gdy zauważył dwa nowe ciała, i zdał sobie sprawę, iż nie był to nawet w najmniejszym stopniu przypadek. Drizzt szczuł Entreriego w komnacie na górze, odmawiał udziału w grze na sposób, którego życzył sobie zabójca. Entreri przewidział jednak najprawdopodobniej niechęć Drizzta i

przygotował albo zaimprovizował alternatywny plan.

Teraz w niższych tunelach był tylko on i Drizzt, jeden na jednego. Teraz również, gdyby doszło do pojedynku, Drizzt walczyłby z całego serca, wiedząc, że wygrana oznacza jakąś szansę na wolność.

Drizzt kiwnął głową, w milczeniu gratulując swemu chwytającemu każdą okazję przeciwnikowi.

Priorytety Drizzta nie były jednak takie same jak Entreriego. Główną troską mrocznego elfa było przedostanie się do jego przyjaciół i wspomoczenie ich w niebezpieczeństwie. Dla Drizzta Entreri był zaledwie kolejnym elementem większego zagrożenia.

Gdyby jednak po drodze zdarzyło mu się napotkać Entreriego, Drizzt Do'Urden zamierzał zakończyć grę.

ROZDZIAŁ 16

WYTYCZANIE LINII

Nie jestem zadowolona - stwierdziła Vierna, stojąc z Jarlaxle'em w tunelu obok przywołanej żelaznej ściany, ze zmiażdżonym ciałem biednego Cobble'a pod spodem.

- Wydawało ci się, że pójdzie tak łatwo? - odparł najemnik. - Weszliśmy do tuneli ufortyfikowanego kompleksu krasnoludów z oddziałem zaledwie pięćdziesięciu żołnierzy. Pięćdziesięciu przeciwko tysiącom.

- Schwytasz z powrotem swojego brata - dodał Jarlaxle, nie chcąc, by Vierna za bardzo się zdenerwowała. - Moje wojsko jest dobrze wytrenowane. Wysłałem już prawie trzy tuziny, cały kontyngent Baenre, do jedyne go korytarza biegnącego z samej Mithrilowej Hali. Żaden ze sprzymierzeńców Drizzta nie wejdzie tą drogą, a jego schwytani w pułapkę przyjaciele nie uciekną.

- Kiedy krasnoludy dowiedzą się, że jesteśmy w pobliżu, przyślą tu armię - stwierdziła ponuro Vierna.

- Jeśli się dowiedzą - sprostował Jarlaxle. - Tunele Mithrilowej Hali są długie. Zebranie znaczącej siły może zająć naszym przeciwnikom trochę czasu, być może kilka dni. Będziemy znajdować się w połowie drogi do Menzoberranzan wraz z Drizztem, zanim krasnoludy się zorganizują.

Vierna milczała przez długą chwilę, rozważając swoje następne kroki. Istniały jedynie dwie drogi w górę z dolnego poziomu: szyb w pomieszczeniu obok oraz kręte tunele jakiś kawałek na północ. Spojrzała na komnatę i weszła do niej, by przyjrzeć się szybowi, zastanawiając się, czy dobrze zrobiła, posyłając jedynie trzy osoby za Drizztem. Rozważała, czy nie rozkazać całym pozostałym jej siłom - tuzinowi drowów oraz driderowi - udać się na dół w pościg.

- Człowiek go dostanie - powiedział do niej Jarlaxle, jakby czytał jej w myślach. - Artemis Entreri zna naszego przeciwnika lepiej niż my, walczył z Drizztem na rozległych obszarach świata powierzchni. Poza tym wciąż ma kolczyk, za pomocą którego możesz śledzić jego trasę. Tutaj na górze mamy do czynienia z przyjaciółmi Drizzta, według rozpoznania moich zwiadowców jedynie

garstką.

- A jeśli Drizzt wymknie się Entreriemu? - spytała Vierna.

- Są tylko dwie drogi na górę - przypomniał jej znów Jarlaxle.

Vierna przytaknęła, powziawszy decyzję, i podeszła do szybu. Spomiędzy fałd swej zdobnej szaty wyciągnęła małą różdżkę i zamknęła oczy, rozpoczynając cichy zaśpiew. Powoli i uważnie Vierna nakreśliła na otworze precyzyjne linie, z czubka jej różdżki wylewało się kleiste włókno. Kapłanka narysowała pajęczynę z cienkich pasm, zasłaniając wejście, a następnie cofnęła się o krok, by przyrzeć się swemu dziełu. Z sakiewki wyjęła paczuszkę drobnego proszku i, zacząwszy drugą inkantację, rozsypała go na pajęczynie. Pasma natychmiast zgrubiały, przyjmując czarno-srebrny poblask. Następnie lśnienie osłabło i ciepło energii zaklęcia ostygło do temperatury pomieszczenia, czyniąc nici praktycznie niewidzialnymi.

- Teraz jest tylko jedna droga na górę - Vierna oznajmiła Jarlaxle'owi. - Żadna broń nie przetnie tych pasm.

- A więc na północ - zgodził się Jarlaxle. - Wysłałem garstkę żołnierzy w przód, by strzegli dolnych tuneli.

- Drizzt i jego przyjaciele nie mogą się połączyć - poinstruowała Vierna.

- Jeśli Drizzt znów ich zobaczy, wszyscy będą już martwi odparł z całą pewnością butny najemnik.

* * *

- Do tego pomieszczenia może prowadzić inna droga - zauważył Wulfgar. - Gdybyśmy mogli uderzyć z dwóch stron...

- Drizzta już tam nie ma - przerwał Bruenor. Krasnolud pogładził palcem magiczny medalion i spojrzał na podłogę, wyczuwając, że ich przyjaciel znajduje się gdzieś pod nimi.

- Gdybyśmy zabili wszystkich naszych wrogów, wasz przyjaciel by nas odnalazł - stwierdził Pwent.

Wulfgar, wciąż trzymający szałojownika nad ziemią za szpikulec na hełmie, potrząsnął nim lekko.

- Nie mam serca, by walczyć z drowami - odparł Bruenor, spoglądając przeciągle i z troską na Catti-brie i Wulfgara - nie w ten sposób. Musimy trzymać się od nich z dala, jeśli to tylko możliwe, i atakować tylko, jeśli uznamy, że to konieczne.

- Moglibyśmy wrócić po Dagnę - zaproponował Wulfgar - i oczyścić tunele z mrocznych elfów.

Bruenor spojrział na płataninę korytarzy, które doprowadziłyby go z powrotem do krasnoludzkiego kompleksu, zastanawiając się nad drogą. On i jego przyjaciele straciliby najprawdopodobniej godzinę, docierając naokoło do Mithrilowej Hali, oraz kilka kolejnych zbierając rozsądne siły. Tych kilku godzin Drizzt najpewniej nie miał do stracenia.

- Idziemy po Drizzta - zdecydowała stanowczo Catti-brie. - Kierunek wskaże nam twój medalion, a później do niego zaprowadzi nas Guenhwyvar.

Bruenor wiedział, że Pwent ochoczo zgodzi się na wszystko, co otwiera możliwość walki, zaś Guenhwyvar miała zjezoną sierść, była niespokojna i napinała smukłe mięśnie. Krasnolud spojrział na Wulfgara i niemal splunął na chłopaka za zmartwioną, protekcyjną minę, jaka rozlała się po jego twarzy, gdy spoglądał na Catti-brie.

Guenhwyvar zastygła w miejscu, wydając z siebie niski, cichy pomruk. Catti-brie natychmiast zgasła palącą się słabo pochodnię i przykucnęła, wykorzystując świecące czerwono kropki oczu krasnoludów, by określić swoje położenie.

Drużyna zbliżyła się do siebie. Bruenor wyszeptał do pozostałych, by pozostali w komnacie, podczas gdy on poszedł sprawdzić, co wyczuła kocica.

- Drowy - wyjaśnił wróciwszy chwilę później z Guenhwyvar przy boku. - Tylko garstka, idą szybko na północ.

- Garstka martwych drowów - sprostował Pwent. Reszta słyszała, jak szalojownik potarł o siebie energicznie dłońmi, a części naramienne jego zbroi zgrzytnęły zbyt głośno.

- Bez walki! - Bruenor wyszeptał tak głośno, jak się tylko ośmielił, po czym chwycił Pwenta za rękę, by powstrzymać jego ruchy. - Wydaje mi się, że ta grupa może mieć pomysł, gdzie można znaleźć Drizzta, że szukają właśnie jego, jednak nie możemy podążać za nimi bez światła.

- A jeśli zapalimy pochodnię, to wkrótce czeka nas walka - stwierdziła Catti-brie.

- To zapal tę cholerną pochodnię - rzekł z nadzieją Pwent.

- Zamknij się - odpowiedział Bruenor. - Pójdziemy powoli i spokojnie, a ty zachowaj pochodnię, zrób z niej dwie, gotowe do zapalenia na pierwszy znak walki - polecił Wulfgarowi. Następnie wskazał Guenhwyvar, by ich prowadziła, prosząc kocicę, by zachowała wolne tempo.

Zaraz gdy wyszli z tunelu, Pwent wsunął swą sporą flaszkę w dłoń Catti-brie. - Walnij sobie łyka i podaj dalej - polecił.

Catti-brie na ślepo przejechała dłońmi po przedmiocie, odgadując w końcu, że to butelka.

Ostrożnie powąchała paskudnie pachnący płyn i zaczęła go oddawać.

- Lepiej o tym pomyślisz, kiedy drow wrazi ci zatruty bełt w plecy - wyjaśnił nieokrzesany szalójownik, klepiąc Catti-brie w pośladek. - Jak to zmiesza się z twoją krwią, żadna trucizna nie będzie miała szans!

Przypominając sobie, że Drizzt jest w kłopotach, młoda kobieta pociągnęła solidny łyk z flaszki, po czym zakaszłała i pochyliła się na bok. Przez chwilę widziała wpatrzona w siebie osiem krasnoludzkich i cztery kocie oczy, jednak podwójne widzenie wkrótce przeszło i podała butelkę ojcu.

Bruenor wziął ją z łatwością. Kiedy skończył pić, westchnął i wydał z siebie głębokie choć ciche beknięcie. - Ogrzeje ci stopy - wyjaśnił Wulfgarowi, podając naczynie dalej.

Kiedy Wulfgar doszedł już do siebie, grupa podjęła marsz. Miękkie łapy Guenhwyar wskazywały drogę, zaś zbroja Pwenta skrzypiała donośnie z każdym zamaszystym krokiem.

* * *

Czterdziestu gotowych do bitwy krasnoludów podążało za dudniącymi buciorami generała Dagny przez niskie kopalnie Mithrilowej Hali do ostatniego posterunku straży.

- Kierujemy się prosto do jaskini goblinów i tam się rozdzielamy - wyjaśnił generał swym podkomendnym. Przeszedł do instruowania wartowników przy drzwiach, ustalając zestaw sygnałów oraz pozostawiając wskazówki dla wszystkich następnych oddziałów, które się pojawią, szczególnie zwracając uwagę na to, że nie wolno wchodzić do nowych sekcji grupom, w których znajduje się mniej niż siedmiu krasnoludów.

Niewzruszony jak kamień Dagna ustawił swoich żołnierzy w szeregu, po czym śmiało i dumnie stanął na ich czele i przeszedł przez otwarte drzwi. Dagna tak naprawdę nie sądził, by Bruenor mógł znajdować się w opałach, wydawało mu się, że być może trzeba usunąć jakąś garstkę stawiających opór goblinów lub też inną pomniejszą niedogodność.

Generał był jednak konserwatywnym dowódcą, wolał znaczną przewagę od równowagi sił i nie miał zamiaru podejmować ryzyka, jeśli w grę wchodziło bezpieczeństwo Bruenora.

Ciężkie kroki twardych buciorów, brzęczące zbroje, a nawet co jakiś czas mrukliwa wojenna pieśń obwieszczały zbliżanie się oddziału, zaś co trzeci krasnolud trzymał pochodnię. Dagna nie miał powodu, by sądzić, iż tak silna drużyna powinna się skradać i miał nadzieję, że Bruenor oraz wszyscy inni sojusznicy, którzy mogą się znajdować tutaj na dole, będą w stanie znaleźć hałaśliwą grupę.

Dagna nie wiedział o mrocznych elfach.

Miarowe tempo krasnoludów wkrótce doprowadziło ich do pierwszego skrzyżowania, do spiętrzonych kości ettina, którego dawno temu zabił Bruenor. Dagna wezwał bocznych zwiadowców i ruszył do przodu, zamierzając kontynuować marsz aż do jaskini, w której odbyła się główna bitwa z goblinami. Przed dojściem do bocznego korytarza Dagna zwolnił krok swojego oddziału i rozkazał zachować ciszę.

Generał rozejrzał się dookoła z zaciekawieniem, nerwowo, zacząwszy przechodzić przez szersze rozwidlenie. Jego wojownicze instynkty, pielęgnowane od ponad trzech stuleci walki, powiedziały mu, że coś jest nie w porządku, a grube włosy na jego karku zjeżyły się.

Wtedy zgasły światła.

Z początku generał pomyślał, że coś zgasiło pochodnie, jednak szybko zdał sobie sprawę z rozlegającego się za nim brzęku zbroi oraz faktu, iż jego infrawizja, kiedy znów był w stanie skupić wzrok, była kompletnie bezużyteczna, że stało się coś bardziej złowieszczonego.

- Ciemność! - krzyknął jeden krasnolud.

- Czarodzieje! - zawył inny.

Dagna usłyszał, jak jego towarzysze szamotają się, usłyszał jak coś gwizdze mu przy uchu, a później rozległ się jęk jednego z niższych dowódców, stojącego tuż za nim. Instynktownie generał zaczął się cofać, i po zaledwie kilku krótkich krokach wyłonił się z kuli przyzwanej ciemności, by zauważyć, że wszędzie dookoła miotają się jego podwładni. Druga sfera mroku przecięła siły krasnoludów niemal dokładnie w połowie, i ci przed zasięgiem czaru nawoływali znajdujących się w środku oraz z tyłu, starając się osiągnąć jakąś organizację.

- Ustawić się w klin! - Dagna krzyknął ponad tumultem, wymagając najbardziej podstawowej formacji krasnoludów. - To tylko czar ciemności! - Za generałem krasnolud chwycił się za pierś, wyciągnął jakiś mały pocisk, którego Dagna nie mógł rozpoznać, po czym padł na ziemię, chrapiąc, zanim jeszcze uderzył w kamień.

Coś musnęło goleń Dagny, zignorował to jednak i dalej wydawał rozkazy, starając się ustawić grupę w pojedynczą i zwartą jednostkę. Posłał pięciu krasnoludów na prawą flankę, wokół kuli ciemności, do początku rozgałęziającego się korytarza.

- Znaleźć mi tego cholernego czarodzieja! - rozkazał im. - I znaleźć to, z czym, na dziewięć piekieł, walczymy!

Frustracja tylko podsyciała jego gniew i wkrótce zebrał pozostałe krasnoludy w zwartą formację, gotową wbić się w pierwszą sferę ciemności.

Pięciu krasnoludów weszło w boczny korytarz. Przekonawszy się, że żaden przeciwnik nie czai się po drodze, szybko ominęły kulę mroku, kierując się do wąskiego otworu za sferą i do wejścia znajdującego się dalej w głównym korytarzu.

Z cieni wyłoniły się dwie ciemne sylwetki, opadając na jedno kolano przed krasnoludami i pochylając małe kusze.

Prowadzący krasnolud, trafiony dwukrotnie, zachwiał się, lecz zdołał jeszcze wezwać do ataku. On oraz jego czterej towarzysze rzucili się z pełną prędkością na wrogów, nie zauważając aż do ostatniej chwili, że inni przeciwnicy, inne mroczne elfy, lewitują w górze i opadają wszędzie dookoła nich.

- Co do... - wydyszał krasnolud, gdy drow wylądował zwinnie za nim, trafiając go w bok czaszki potężnie zaklętym buzdyganem.

- Hej, ty nie jesteś Drizztem! - zdołał zauważyć inny krasnolud na ułamek sekundy przed tym, jak miecz drowa rozplątał mu gardło.

Przywódcą grupy chciał wezwać do odwrotu, jednak gdy zaczął wrzeszczeć, podłoga podniosła się i połknęła go. Była doskonałym łóżkiem dla śpiącego krasnoluda, jednak narażony w tym stanie na ciosy żołnierz miał się już nigdy nie obudzić.

Po pięciu sekundach pozostało już tylko dwóch krasnoludów. - Drowy! Drowy! - krzyknęły ostrzegająco.

Jeden padł ciężko na ziemię z trzema pociskami w plecach. Zdołał wstać na kolana, jednak rzuciły się na niego dwa mroczne elfy, rozsiekując go mieczami.

Pozostały krasnolud, biegnąc z powrotem do Dagny, zauważył, że ma do czynienia tylko z jednym przeciwnikiem. Drow pchnął w przód swym wąskim mieczem. Krasnolud przyjął trafienie i odwzajemnił je paskudnym cięciem topora w bok, raniąc rękę drowa i rozszarpując jego doskonałą kolczugę.

Przerażony krasnolud przemknął obok upadającego drowa i wpadł w ciemność, wylaniając się po drugiej stronie zaklętej kuli, tuż przed przednimi szeregami przesuwanego się powoli klina Dagny.

- Drowy! - znów krzyknął wystraszony krasnolud.

Pojawiła się trzecia sfera mroku, łącząc poprzednie dwie. Przeleciała salwa bełtów z kusz, zaś za nią pojawiły się mroczne elfy, wyszkolone w walce bez użycia oczu.

Dagna zdał sobie sprawę, że przydaliby się kapłani, by pokonać tę mroczoelfią magię, jednak gdy próbował nakazać odwrót, zamiast tego wydobyło się z niego głębokie ziewnięcie.

Coś trafiło go silnie w bok głowy i poczuł, jak upada.

Pośród chaosu i nieprzeniknionej ciemności nie można było utrzymać klina i zaskoczone krasnoludy nie miały większych szans przeciwko niemal równej liczbie wyszkolonych i przygotowanych mrocznych elfów. Krasnoludy roztropnie złamały szeregi, wielu zachowując przytomność umysłu, by schylić się i chwycić swych leżących ziomków, po czym pospieszyły z powrotem tą drogą, którą przybyły.

Odwrót trwał, jednak krasnoludy nie były nowicjuszami w walce i nie było w ich szeregach tchórzy. Zaraz gdy wydostali się z zaciemnionych obszarów tunelu, kilku z nich zajęło się przeorganizowaniem grupy. Szedł za nimi pościg, nie mogło być mowy o powrocie do normalnej walki, a obciążony przez niemal dziesięciu chrapiących krasnoludów, w tym Dagnę, oddział, nie mógł nawet mieć nadziei na wysforowanie się przed szybsze drowy.

Zaczęto nawoływać blokujących i nie zabrakło ochotników. Kilka chwil później krasnoludy biegły, pozostawiając sześciu dzielnych żołnierzy stojących tarcza w tarczę w korytarzu, by osłaniać odwrót.

- Uciekajcie, albo ci, którzy padli, zginęli na próżno! - krzyknął jeden z nowych dowódców.

- Uciekajcie dla dobra naszego zaginionego króla! - odezwał się inny.

Ci w tylnych szeregach uciekającego oddziału zerkali przez swe krępe ramiona, by spojrzeć na swych blokujących drogę towarzyszy, dopóki linii obrony nie przysłoniła im kula ciemności.

- Biegnijcie! - rozległ się wspólny krzyk, zarówno od tych uciekających, jak i od blokujących.

Uciekający usłyszeli początek walki, gdy mroczne elfy natarły na ich upartych towarzyszy. Usłyszeli brzęk stali o stal, jęki po solidnych uderzeniach i wymierzonych ciosach. Usłyszeli wrzaski rannych drowów i uśmiechnęły się ponuro.

Nie spoglądali się za siebie, lecz pochylili przed siebie głowy i biegli, każdy przysięgał sobie w duchu, że wypije za straconych towarzyszy. Blokujący nie złamią swojego szeregu i nie dołączą do ucieczki. Utrzymają pozycję, będą powstrzymywać wroga, dopóki ich pozbawione życia ciała nie padną na kamienie. Wszystko to z lojalności do ich uciekających ziomków, dla najwyższego, walecznego poświęcenia, krasnolud za krasnoluda.

Krasnoludy biegły, a gdy któryś z nich potknął się o kamień, czterech innych przystawało, by pomóc mu znów się podnieść. Jeśli dla któregoś brzemię śpiącego pobratymcy stawało się już zbyt ciężkie, inny dobrowolnie brał na siebie ładunek.

Jeden młodszy krasnolud wysforował się przed główną grupę i zaczął bębnić swym młotem o kamienne ściany, wystukując umówiony ze strażnikami przy drzwiach sygnał. W chwili gdy pojawił się na końcu tunelu, wielkie wrota już się uchylały i stanęły otworem, ujawniając prawdę o

odwrocie.

Oddział krasnoludów wpadł do strażnicy, niektórzy pozostali tuż za drzwiami, by poczekać na ewentualnych maruderów. Trzymali drzwi otwarte aż do ostatniej chwili, dopóki końca tunelu nie zablokowała kula ciemności i nie wyleciał z niej bełt, trafiając kolejnego żołnierza.

Tunel był zamknięty i zablokowany, a po policzeniu okazało się, że uciekło dwudziestu siedmiu z pierwotnych czterdziestu jeden, przy czym ponad jedna trzecia chrapała donośnie.

- Dawać tu całą cholerną armię! - zasugerował jeden z krasnoludów.

- I kapłanów - dodał inny, unosząc bezwładną głowę Dagny, by podkreślić swoje słowa. - Potrzebujemy kapłanów, by powstrzymać trucizny i zachować światło!

Przedsiębiorcze krasnoludy wkrótce ustaliły hierarchię i podział obowiązków. Połowa oddziału została ze śpiącymi i strażnikami, druga zaś część pobiegła na przeciwległy kraniec Mithrilowej Hali, wzywając do broni.

ROZDZIAŁ 17

BRZEMIE PRZYJAŹNI

Czuł się odsłonięty ze schowanymi sejmitarami i często przystawał, by powiedzieć sobie, że jego odwaga zahacza o głupotę. Potencjalna cena - życie jego przyjaciół - pchało jednak Drizzta do przodu, więc ostrożnie, ręka za ręką, wspinał się w krętym i zdradzieckim kominie. Przed laty, gdy również był stworzeniem Podmroku, Drizzt potrafił lewitować i znacznie łatwiej poradziłby sobie w szybie. Ta zdolność jednak, najwyraźniej powiązana w jakiś sposób z dziwnymi magicznymi emanacjami najgłębszych regionów, opuściła Drizzta wkrótce po tym, jak wyszedł na powierzchnię Torilu.

Nie zdawał sobie sprawy, jak daleko spadł, i w duszy podziękował swojej bogini, Mielikki, że przeżył upadek! Miał już za sobą ze trzydzieści metrów czołgania, czasami łatwego, po lekko nachylonych odcinkach, innym razem zaś niemal pionowo. Równie zwinny jak złodziej drow wspinał się uparcie dalej.

Co stało się z Guenhwyvar? - martwił się Drizzt. Czy pantera przybyła na jego pospieszne wezwanie? Czy jeden z drowów, być może wykorzystujący okazję Jarlaxle, podniósł po prostu upuszczoną figurkę, by przywłaszczyć sobie panterę?

Wspinając się ręka za ręką Drizzt zbliżył się do wylotu szybu. Nie położono z powrotem koca, a pomieszczenie na górze było niesamowicie ciche. Drizzt wiedział, że cisza niewiele się liczyła, gdy w grę wchodził jego pobratymcy. Prowadził grupy zwiadowcze drowów, które pokonywały osiemdziesiąt kilometrów ciężkich tuneli bez najłżejszego szmeru. Słuszne więc było, że Drizzt wyobraził sobie tuzin mrocznych elfów, otaczających mały szyb, z wyciągniętą bronią, oczekujących na bezmyślny powrót swego więźnia.

Drizzt musiał jednak wejść na górę. Dla dobra swoich znajdujących się w niebezpieczeństwie przyjaciół Drizzt musiał stłumić swój strach.

Wyczuł niebezpieczeństwo, kiedy jego dłoń skierowała się w górę, próbując namacać krawędź. Nic nie zobaczył, nie było żadnego zauważalnego ostrzeżenia, pomimo cichych okrzyków jego wojowniczych instynktów.

Drizzt próbował je odrzucić, jednak jego dłoń poruszała się wolniej. Jakże wiele razy to przecucie - mógł je nazywać szczęściem - ocaliło go?

Czule palce przesuwają się ostrożnie po kamieniu. Drizzt powstrzymywał niespokojne pragnienie, by wyrzucić dłoń gwałtownie w górę, chwycić krawędź i podciągnąć się, stawiając czoła każdemu niebezpieczeństwu, które na niego czekało. Zatrzymał się, poczuwszy coś, ledwo namacalnego, na czubku środkowego palca.

Nie mógł cofnąć ręki!

Zaraz gdy minęła początkowa chwila strachu, Drizzt uświadomił sobie, że to pułapka z pajęczyny i uspokoił się. Wielokrotnie widział magiczne sieci w Menzoberranzan. Pierwszy Dom miasta był wręcz otoczony podobnym do pajęczyny ogrodzeniem z nie dających się przerwać pasm. Teraz zaś, choć tylko jeden palec dotykał lekko magicznych nici, Drizzt był uwięziony.

Pozostawał idealnie nieruchomo, idealnie cicho, koncentrując ruchy mięśni tak, by jego ciężar opierał się bardziej o niemal pionową ścianę. Stopniowo przesunął wolną dłoń do płaszcza, najpierw w stronę sejmitara, później jednak roztropnie zmienił zdanie i sięgnął zamiast tego po jeden z małych beltów, które zabrał martwemu elfowi w korytarzu na dole.

Drizzt zamarł w bezruchu na dźwięk głosów drowów na górze, w komnacie.

Nie mógł odróżnić nawet połowy ich słów, odgadł jednak, że rozmawiając nim oraz o jego przyjaciółach, Catti-brie, Wulfgarze oraz jeszcze innych, którzy najwyraźniej uciekli.

A pantera biegła wolno. Drizzt usłyszał kilka wzmianek, pełnych strachu ostrzeżeń, o "diabelskim kocie".

Będąc teraz bardziej zdeterminowany niż wcześniej, Drizzt zaczął przesuwając wolną dłoń w kierunku Błysku, uważając, że musi spróbować przeciąć magiczną barierę, musi wydostać się z tego szybu i pospieszyć na pomoc swoim przyjaciołom. Chwila desperacji była jednak krótka, trwała tylko tak długo, ile potrzeba było, aby Drizzt uświadomił sobie, że Vierna zamknęła szyb, choć na górze pozostała przecież większość jej sił, musiała więc istnieć jakaś inna ścieżka, niedaleko, na tamten poziom.

Głosy drowów osłabły, a Drizzt poświęcił kolejną chwilę, by ustabilizować niepewną pozycję. Następnie wyciągnął belt z płaszcza i potarł nim o kamień, a następnie wytarł w ubranie, starając się zetrzeć całą podstępna truciznę usypiającą z czubka. Ostrożnie wyciągnął dłoń w górę, w stronę uwięzionego palca. Przygryzł wargę, by powstrzymać się przed krzykiem, i wbił pocisk pod skórę, roniąc łzę.

Drizzt mógł jedynie mieć nadzieję, że usunął całą truciznę i że nie zaśnie i nie spadnie, ginąc najprawdopodobniej pod szybem. Znalazłszy wolną dłońią solidny uchwyt, oparł się, szykując na wstrząs i ból, po czym szarpnął mocno ręką, odrywając od palca jego uwięziony czubek.

Niemal zemdlął z bólu, niemal stracił równowagę, zdołał jednak jakoś się utrzymać. Podniósł palec do ust, by wyssać i wypluć być może zatrutą krew.

Pięć minut później wyłonił się w dolnym korytarzu, z sejmitarami w dłoniach, spoglądając w jedną i drugą stronę w poszukiwaniu jego arcywroga i starając się odgadnąć, w którą stronę powinien się udać. Wiedział, że Mithrilowa Hala znajduje się gdzieś na wschodzie, jednak zdawał sobie sprawę, że jego eskorta szła głównie na północ. Jeśli rzeczywiście istniała druga droga na górę, znajdowała się najprawdopodobniej za szybem, dalej na północ.

Wsunął Błysk z powrotem do pochwy - nie chcąc, by zdradzało go jego lśnienie - jednak trzymał przed sobą drugi sejmik, gdy skradał się powoli korytarzem. Nie minął zbyt wielu bocznych tuneli i cieszyło go to, zdawał sobie bowiem sprawę, że niezależnie od tego, jaki kierunek wybierze, nie mając widocznych znaków, które mogłyby go prowadzić, będzie to jedynie kwestią zgadywania.

Następnie dotarł do rozwidlenia i uchwycił wzrokiem zarys biegnącej, ciemnej sylwetki, przemykającej najwyraźniej równoległym korytarzem po jego prawej.

Drizzt instynktownie wiedział, że to Entreri, a wydawało się oczywiste, że zna on inną drogę wyjścia z tego poziomu.

Drizzt ostrożnie udał się w prawo. Był teraz ścigającym, nie ściganym.

Przystanął, gdy dotarł do równoległego tunelu, wziął głęboki oddech i rozejrzał się. Ciemna sylwetka, poruszająca się szybko, znajdowała się daleko w przedzie, znów skręcając nieoczekiwanie w prawo. Drizzt zastanawiał się nad tą zmianą kierunku z dość sporymi podejrzeniami. Czy Entreri nie powinien iść w lewo, trzymać się blisko trasy, którą według niego podążał Drizzt?

Drizzt podejrzewał, że zabójca wie, iż jest śledzony, i prowadził Drizzta do miejsca, które mu odpowiadało. Drow nie miał jednak czasu na rozważenie tych podejrzeń, nie, gdy na włosku wisiał los jego zagrożonych przyjaciół. Udał się w prawo, szybko, tylko po to, by stwierdzić, że nic nie zyskał, że Entreri zaprowadził ich obojwóch do labiryntu przecinających się tuneli.

Nie mając już zabójcy w zasięgu wzroku, Drizzt skoncentrował się na podłodze. Ku swojej uldze znajdował się wystarczająco blisko, by widzieć, że ciepło wywołane przez przechodzące stopy Entreriego było, choć niewyraźnie, wciąż widoczne dla jego infrawizji. Zdał sobie sprawę, że jest narażony na atak, idąc z opuszczoną głową. Nie miał pojęcia, jak wiele sekund przed nim może być zabójca lub też jak wiele sekund za nim, jak przypuszczał Drizzt, był bowiem pewien, że Entreri zaprowadził go w tę okolicę, by móc zawrócić i dojść do drowa od tyłu.

Jego kroki ledwo dorównywały Entreriemu, gdy wąski tunel ustąpił szerszym grotom. Ślady pozostawały niewyraźne i szybko stygły, lecz Drizztowi udawało się jakoś za nimi podążać.

Zatrzymał go krótki krzyk w przedzie. Drizzt wiedział, że to nie Entreri, sądził jednak, że nie znalazł się jeszcze dostatecznie blisko, by dołączyć do swoich przyjaciół.

Któż to więc był?

Drizzt wykorzystał swe uszy zamiast oczu i przedarł się słuchem przez liczne drobne echa, by podążyć za ledwo słyszalnym łkaniem. Był w tym momencie wdzięczny za trening na drowa wojownika, za lata badania wzorów echa w krętych tunelach.

Łkanie stawało się głośniejsze. Drizzt wiedział, że jego źródło znajduje się tuż za rogiem, w czymś, co pod tym kątem wydawało się małą, owalną komnatą.

Z jednym sejmitem wyciągniętym oraz dłonią na rękojeści Błysku, drow wpadł za róg.

Regis!

Wymęczony i ranny pękaty haifling leżał oparty o przeciwległą ścianę, ze związanymi ciasno rękoma, gałganem zawiniętym ciasno wokół ust oraz policzkami pokrytymi krwią. Pierwszym odruchem Drizzta było podbiec do rannego przyjaciela, zatrzymał się jednak gwałtownie, obawiając się kolejnej z przebiegłych sztuczek Entreriego.

Regis zauważył go i spojrzał na niego z desperacją.

Drizzt widział już wcześniej tę minę, rozpoznał w niej szczerą wykraczającą poza wszystko, co Entreri, z maską lub bez niej, był w stanie powielić. Natychmiast znalazł się u boku halflinga, przecinając więzy i wrywając knebel.

- Entreri... - zaczął bez tchu haifling.

- Wiem - powiedział spokojnie Drizzt.

- Nie - odparł ostro Regis, zwracając uwagę drowa. - Entreri... był zaledwie...

- Przemknął tędy nie więcej niż minutę przede mną - dokończył Drizzt, nie chcąc, by Regis walczył bardziej niż to konieczne o swój utrudzony oddech.

Regis przytaknął, rozglądając się swymi okrągłymi oczyma, jakby spodziewał się, że zabójca zaraz wypadnie i zabije ich obu.

Drizzt bardziej się troszczył o obejrzenie licznych ran halflinga. Każda z nich oddzielnie wydawała się powierzchowna, razem jednak dawały poważny stan. Drizzt pozwolił, by minęło kilka chwil, aby krew zaczęła płynąć przez dopiero co rozwiązane ręce i stopy Regisa, po czym spróbował postawić halflinga.

Regis potrząsnął natychmiast głową. Wielka fala zawrotów głowy spowodowała, że przewrócił się i uderzyłby silnie w kamienną podłogę, gdyby Drizzt go nie złapał.

- Zostaw mnie - powiedział Regis, okazując niespodziewaną dozę altruizmu.

Niezrażony drow uśmiechnął się uspokajająco i podniósł Regisa do swego boku.

- Razem - wyjaśnił niedbale. - Nie zostawię cię tu, tak samo jak ty nie zostawiłbyś mnie.

Trop zabójcy był już do tego czasu zbyt zimny, by nim podążać, więc Drizzt musiał iść na ślepo, mając nadzieję, że natknie się na jakąś wskazówkę co do położenia korytarza na wyższy poziom. Wyciągnął teraz Błysk zamiast drugiego ostrza i wykorzystywał jego światło, by pomagało mu omijać

małe nierówności w podłodze. I tak został pozbawiony możliwości skradania, miał bowiem u boku jęczącego halflinga, a stopy Regisa częściej ocierały się o kamienie niż kroczyły, gdy Drizzt ciągnął go za sobą.

- Sądziłem, że on... mnie... zabije - stwierdził Regis, gdy zdołał chwycić i utrzymać wystarczająco dużo powietrza, by wypowiedzieć całe zdanie.

- Entreri zabija tylko wtedy, gdy może się to obrócić na jego korzyść - odparł Drizzt.

- Dlaczego... zabrał mnie ze sobą? - szczerze zastanawiał się Regis. - I dlaczego... pozwolił ci mnie znaleźć.

Drizzt spojrział z zaciekawieniem na swego małego przyjaciela.

- Zaprowadził cię do mnie - uznał Regis. - On... - halfling osunął się ciężko, lecz silne ramię Drizzta wciąż utrzymywało go wyprostowanym.

Drizzt rozumiał dokładnie, dlaczego Entreri zaprowadził go do Regisa. Zabójca wiedział, że Drizzt zabierze Regisa ze sobą - według Entreriego na tym właśnie polegała różnica pomiędzy nim a drowem, Entreri postrzegał to współczucie za słabość drowa. W istocie skradanie nie było już możliwe i teraz Drizzt musiał bawić się w kotka i myszkę zgodnie z zasadami Entreriego, poświęcając równie wiele uwagi obciążającemu go przyjacielowi, jak i grze. Nawet jeśli szczęście wskaże Drizztowi drogę na następny poziom, trudno mu będzie dostać się do przyjaciół, zanim doścignie go Entreri.

Jeszcze bardziej ważne niż fizyczne brzemie było to, jak uświadomił sobie Drizzt, że Entreri oddał mu Regisa, by zapewnić go, że walka jest szczerą. Drizzt rozegra nieuniknioną potyczkę całym sercem, nie mając zamiaru uciekać, a Regis będzie leżał bezradnie w pobliżu.

Wciągu następnej pół godziny Regis tracił i odzyskiwał przytomność, a Drizzt, nie skarżąc się, niósł go, co jakiś czas zmieniając ręce, by zrównoważyć ciężar. Drow mógł wykorzystywać w tunelach swe spore tropicielskie zdolności i czuł pewność, że idzie w odpowiednim kierunku przez ten labirynt.

Weszli do długiego, prostego korytarza, trochę wyżej sklepionego i szerszego niż wiele innych, przez które przeszli. Drizzt położył Regisapod ścianą i zaczął obserwować wzory skał. Zauważył ledwo dostrzegalne nachylenie podłogi, wznoszące się na południe, jednak fakt, że oni, podróżując na północ, schodzą lekko w dół, ani trochę nie zaniepokoił drowa.

- To główny korytarz w tej okolicy - zdecydował w końcu. Regis spojrział na niego, zakłopotany.

- Kiedyś płynęła tędy woda - wyjaśnił Drizzt. - Najprawdopodobniej przecinała się przez góry, by wydostać jakimś odległym wodospadem na północy.

- Idziemy w dół? - spytał Regis.

Drizzt przytaknął i dodał - Jednak jeśli istnieje tu przejście z powrotem na niższe poziomy Mithrilowej Hali, najprawdopodobniej leży gdzieś po drodze.

- Dobra robota - dobiegł głos skądś w oddali. Z bocznego tunelu wyszła szczupła sylwetka, zaledwie cztery metry przed Drizztem i Regisem.

Dłoń Drizzta wsunęła się instynktownie pod płaszcz, jednak, pokładając więcej zaufania w swoich sejmikach, cofnął ją natychmiast, gdy zabójca się zbliżył.

- Czy dałem ci nadzieję, której tak pragnąłeś? - zapytał Entreri. Powiedział coś pod nosem, najprawdopodobniej zaklęcie dla broni, bowiem jego wąski miecz zaczął lśnić żarliwie niebieskawo-zielonym odcieniem, otaczając sylwetkę zabójcy przytłumionym konturem, gdy szedł wolnym krokiem ku swemu oczekującemu przeciwnikowi.

- Nadzieję, której pożałujesz - rzekł pewnym głosem Drizzt. Biel zębów Entreriego zaślniła w wodnistym świetle, gdy odpowiadał z szerokim uśmiechem - Zobaczymy.

ROZDZIAŁ 18

WSPÓLNE ZAGROŻENIE

Jego hałasowanie sprowadzi nam na głowy cały Podmrok - wyszeptała Catti-brie do Bruenora, mając na myśli ciągle skrzypiącą zbroję szalojownika. Pwent, zdając sobie z tego sprawę, wysunął się znacznie przed pozostałych i stopniowo oddalał się od nich, bowiem Catti-brie oraz Wulfgar, ludzie nie obdarzeni darem oczu, które mogły widzieć w spektrum podczerwieni, musieli się niemal czołgać, cały czas trzymając się Bruenora. Jedyne Guenhwyvar, czasami prowadząc pochód, a częściej służąc za cichego posłańca pomiędzy Bruenorem a szalojownikiem, utrzymywała jakąś nić komunikacji pomiędzy członkami małej grupy. Kolejny zgrzytliwy pisk z przodu przywołał grymas na twarz Bruenora. Usłyszał zrezygnowane westchnienie Catti-brie i zgodził się z nim. Jeszcze w większym stopniu niż jego córka

Doświadczony Bruenor rozumiał bezowocność tego wszystkiego. Pomyślał, że namówi Pwenta na zdjęcie hałaśliwej zbroi, jednak natychmiast odrzucił tę ideę, zdając sobie sprawę, że nawet gdyby cała ich czwórka szła nago, odgłosy ich stóp brzmiałyby niczym werble marszowe w bystrych uszach mrocznych elfów.

- Zapal pochodnię - polecił Wulfgarowi.

- Nie możemy - sprzeciwiła się Catti-brie.

- Są wszędzie wokół nas - odparł Bruenor. - Czuję te psy, a oni widzą nas równie dobrze bez światła jak z nim. Nie mamy szans na przedostanie się bez kolejnej walki, jestem już tego pewien, możemy więc walczyć w warunkach, które lepiej nam odpowiadają.

Catti-brie rozejrzała się, choć nie mogła niczego dojrzeć w atramentowej czerni. Wyczuła jednak słuszność obserwacji Bruenora, wyczuła ciemne i bezszelestne kształty, które poruszały się wszędzie wokół nich, zaciskając pętlę na drużynie. Chwilę później musiała mrugnąć i przymknąć oczy, bowiem pochodnia Wulfgara zapłonęła żarliwym ogniem.

Absolutną czerń zastąpiły migoczące cienie. Catti-brie zdumiała się widząc, jak nierówne były te tunele, znacznie bardziej naturalne i poszarpane niż te, które opuścili. Ziemia mieszała się ze skałą na stropie i ścianach, zmniejszając pewność młodej kobiety co do stabilności tego miejsca. Stała się aż za bardzo świadoma setek ton ziemi i skały wiszących nad jej głową, świadoma, że lekkie poruszenie kamieni może natychmiast pogrzebać ją oraz jej towarzyszy.

- O co chodzi? - spytał Bruenor, widząc jej wyraźny niepokój. Odwrócił się do Wulfgara i zobaczył, że barbarzyńca staje się podobnie podenerwowany.

- Nieobrobione tunele - stwierdził krasnolud. - Nie jesteście tak przyzwyczajeni do dzikich głębin. - Wsunął swą sękatą rękę pod pachę ukochanej córki i poczuł kropelki zimnego potu.

- Przywykniecie do tego - obiecał spokojnie krasnolud. - Pamiętajcie jedynie, że Drizzt jest sam tam na dole i potrzebuje naszej pomocy. Skupcie myśli na tym fakcie i szybko zapomnicie o skalach nad waszymi głowami.

Catti-brie przytaknęła śmiało, wzięła głęboki oddech i z determinacją otarła pot ze skroni. Bruenor wysunął się do przodu, mówiąc, że idzie na skraj światła pochodni, by sprawdzić, czy może zlokalizować prowadzącego pochod szalojownika.

- Drizzt nas potrzebuje - powiedział Wulfgar do Catti-brie, zaraz po tym jak krasnolud zniknął.

Catti-brie odwróciła się do niego, zdumiona jego tonem. Po raz pierwszy od dawna Wulfgar odezwał się do niej bez śladu ochronnej protekcyjności albo wzbierającej wściekłości.

Wulfgar podszedł do niej i objął ją delikatnie w talii, by szła obok niego. Dostosowała się do jego wolnych kroków, cały czas obserwując jego twarz, starając się przebić przez wyraźne cierpienie, malujące się na jego ostrych rysach.

- Kiedy to się skończy, musimy sporo przedyskutować - rzekł cicho.

Catti-brie zatrzymała się, spoglądając na niego podejrzliwie - a to wydawało się jeszcze bardziej ranić barbarzyńcę.

- Jestem winien wiele przeprosin - starał się wyjaśnić Wulfgar. - Drizztowi, Bruenorowi, jednak głównie tobie. Żeby pozwolić Regisowi... Artemisowi Entreri... tak się ogłupić! - Wzbierająca ekscytacja Wulfgara uleciała, gdy spojrzał uważniej na Catti-brie, na stanowczość w jej niebieskich oczach.

- To, co stało się w przeciągu ostatnich kilku tygodni, było z pewnością wzmocnione przez zabójcę i jego magiczny wisiorek - zgodziła się młoda kobieta. - Obawiam się jednak, że te problemy istniały, zanim jeszcze pojawił się Entreri. Przede wszystkim musisz to przyznać przed sobą.

Wulfgar odwrócił wzrok, rozważając jej słowa, po czym skinął twierdząco głową. - Porozmawiamy - obiecał.

- Kiedy już zakończy się sprawa z drowem - powiedziała Catti-brie.

Barbarzyńca znów przytaknął.

- I pamiętaj o swoim miejscu - rzekła do niego Catti-brie. - Masz w grupie rolę do odegrania, i nie polega ona na zajmowaniu się moim bezpieczeństwem. Zachowaj swoje miejsce.

- A ty zachowaj swoje - zgodził się Wulfgar, a jego uśmiech wywołał w Catti-brie falę ciepła, przypomniał jej wyraźnie o tych wyjątkowych, chłopięcych cechach, o niewinności i powstrzymywaniu się przed osądami, które niegdyś przyciągnęły ją do Wulfgara.

Barbarzyńca jeszcze raz przytaknął i, wciąż się uśmiechając, zaczął iść, a Catti-brie szła u jego boku, już nie za nim.

* * *

- Dałem ci to wszystko - podjudzał Entreri, przesuwając się powoli w stronę swego rywala, rozkładając szeroko swój lśniący miecz oraz wysadzany klejnotami sztylet, jakby był przewodnikiem wycieczki po jakimś rozległym skarbcu. - Dzięki moim wysiłkom odzyskałeś nadzieję, możesz przemierzać te ciemne tunele z pewną wiarą, że znów ujrzysz światło dnia.

Drizzt zacisnął zęby, trzymał sejmity w dłoniach i nie odpowiadał.

- Czy nie jesteś wdzięczny?

- Proszę, zabij go - Drizzt usłyszał szept wymęczonego Regisa. Była to chyba najbardziej żałośnie brzmiąca prośba, z jaką tropiciel kiedykolwiek miał do czynienia. Spojrzał w bok i zobaczył, że halfling trzęsie się z nieokiełznanego przerażenia, zagryzając wargi i zaciskając na sobie złane potem dłonie. Jakich okropności Regis musiał doświadczyć z rąk Entreriego, zdał sobie sprawę Drizzt.

Znów spojrzał na zbliżającego się zabójcę, a Błysk zamigotał złowrogo.

- Teraz jesteś już gotów do walki - stwierdził Entreri. Wykrzywił wargi w swym typowym paskudnym uśmiechu. - I gotów, by umrzeć?

Drizzt odrzucił płaszcz na plecy i wystąpił śmiało do przodu, nie chciał bowiem walczyć z Entrerim w pobliżu Regisa. Zabójca mógł po prostu wbić ten swój sztylet w halflinga tylko po to, by bardziej udręczyć Drizzta, by zwiększyć jego wściekłość.

Ręka ze sztyletem rzeczywiście cofnęła się tak, jakby zabójca zamierzał nim cisnąć, a Drizzt instynktownie przykucnął, podnosząc defensywnie ostrza. Entreri nie puścił jednak broni, a jego powiększający się uśmiech pokazał, że wcale nie zamierzał tego robić.

Dwa kolejne kroki doprowadziły Drizzta w zasięg miecza. Jego sejmity rozpoczęły swój rozmyty taniec.

- Nerwowo? - drażnił zabójca, celowo uderzając swym mieczem w wyciągnięte ostrze Błysku. - Oczywiście, że tak. Na tym polega problem z twoim miękkim sercem, Drizzcie Do'Urden, słabość twojej namiętności.

Drizzt zaatakował przebiegłym krzyżem, po czym zamachnął się pod niskim kątem w stronę pasa Entreriego, zmuszając zabójcę do wciągnięcia brzucha i odskoczenia, w tym samym czasie uderzając sztyletem w poprzek, by zatrzymać sejmitar.

- Masz zbyt dużo do stracenia - ciągnął Entreri, wydając się nie przejmować bliskością. - Wiesz, że jeśli zginiesz, halfling umrze. Zbyt wiele rzeczy odwraca twoją uwagę, mój przyjacielu, zbyt wiele nie pozwala ci się skupić na walce. - Wymawiając ostatnie słowo, zabójca zaszarżował, wymachując zaciekle mieczem. Przeskakując nim od jednego sejmitara do drugiego, starał się odnaleźć w obronie Drizzta jakąś lukę, przez którą mógłby się prześlizgnąć jego sztylet.

W obronie Drizzta nie było luk. Każdy manewr, jakkolwiek dokładny, pozostawiał Entreriego znów tam, gdzie zaczął, a Drizzt przeszedł stopniowo od obrony do ataku, odpychając zabójcę i wymuszając kolejną przerwę.

- Doskonale! - pogratulował Entreri. - Teraz walczysz całym sercem. Na tę chwilę czekałem od naszej potyczki w Calimporcie.

Drizzt wzruszył ramionami. - Proszę, nie pozwól mi cię rozczarować - powiedział i wyszedł gwałtownie do przodu, obracając się z sejmitarami wygiętymi niczym gwint śruby, jak zrobił już wcześniej w komnacie na górze. Entreri znów nie wypracował praktycznej obrony przeciwko temu zagraniu - poza tym, że trzymał się poza skróconym zasięgiem sejmitarów.

Drizzt wyszedł z obrotu wygięty lekko na lewą stronę Entreriego, tam, gdzie zabójca trzymał sztylet. Drow rzucił się w przód i przetoczył, tuż za pchnięciem Entreriego, po czym wstał i natychmiast odwrócił pęd, biegnąc dookoła pleców Entreriego, zmuszając zabójcę do obrotu na piętach i zacieklego wymachiwania mieczem, by utrzymać atakujące sejmitary z dala od siebie.

Entreri już się nie uśmiechał.

W jakiś sposób zdołał uniknąć trafienia, jednak Drizzt naciskał, nie dawał chwili wytchnienia.

Skądś w korytarzu usłyszeli cichy brzęk kuszy. Śmiertelni wrogowie odskoczyli jednocześnie i rzucili się przewrotem w bok, a bełt przemknął nieszkodliwie pomiędzy nimi.

Pięć ciemnych sylwetek zbliżało się powoli z wyciągniętymi mieczami.

- Twoi przyjaciele - stwierdził pewnym głosem Drizzt. - Wygląda na to, że nasza walka znów musi poczekać.

Oczy Entreriego zmrużyły się w wyraźnej nienawiści, gdy spojrział na zbliżające się mroczne elfy.

Drizzt rozumiał źródło niepokoju zabójcy. Czy Vierna podarowałaby Entreriemu kolejną walkę, zwłaszcza że w tunelach znajdowali się inni potężni przeciwnicy, szukający Drizzta? Nawet jeśli tak, Entreri musiał zdawać sobie sprawę, że, podobnie jak przy poprzedniej potyczce, nie skłoniłby Drizzta do tego poziomu walki, nie, gdy nadzieje drowa na wolność nie istniały.

Mimo to następne słowa zabójcy dość mocno zaskoczyły drowa tropiciela.

- Pamiętasz naszą walkę z duergarami?

Entreri znów natarł na Drizzta, gdy mroczne elfy zbliżały się. Drizzt z łatwością parował szybkie, lecz niezbyt dobrze wymierzone ataki.

- Lewy bark - wyszeptał Entreri. Za słowami ruszył miecz, kierując się w bark Drizzta. Błysk skrzyżował się z nim z prawej, by zablokować, lecz chybił, a miecz zabójcy wbił się, wycinając dziury w płaszczu drowa.

Regis krzyknął. Drizzt upuścił jeden sejmitar i pochylił się, wyraźnie ukazując swój ból. Zbliżył się czubek miecza Entreriego, zaledwie dziesięć centymetrów od jego gardła, a Błysk był zbyt nisko, by go sparować.

- Poddaj się! - krzyknął zabójca. - Rzuć broń!

Błysk brzęknął o podłogę, a Drizzt ciągnął dalej swoje przesadzone pochylenie się, wyglądając tak, jakby w każdej chwili mógł się przewrócić. Z tyłu Regis jęknął głośno i próbował uciekać, jednak jego zmęczone, posiniaczone nogi nie mogły go utrzymać, nie dawały mu nawet wystarczająco siły, by mógł się czołgać.

Mroczne elfy zbliżyły się z wahaniem do oświetlonej pochodnią okolicy, rozmawiając między sobą i kiwając z uznaniem głowami nad dobrą robotą zabójcy.

- Zabierzemy go z powrotem do Vierny - powiedział jeden z nich w urywanym wspólnym.

Entreri zaczął przytakiwać, jednak obrócił się nagle, wbijając swój miecz prosto w pierś mówiącego.

Drizzt poderwał ostrza i zaatakował z obrotu, jeden sejmitar podążył za drugim w czystym cięciu przez brzuch najbliższego drowa. Ranny mroczny elf próbował się odsunąć, jednak Drizzt był zbyt szybki, odwrócił chwyt na prowadzącym ostrzu i pchnął nim do przodu i lekko w górę. Czubek broni wbił się pod żebra mrocznego elfa i przekłuł jego klatkę piersiową.

Entreri walczył już w tej chwili w pełni z trzecim drowem, a bliźniacze miecze mrocznego elfa starały się zaciekle utrzymać miecz i sztylet zabójcy z dala. Zabójca chciał szybko zakończyć walkę i jego manewry były czysto ofensywne, przemyślane, by szybko zabić. Ten jednak drow, od dawna członek Bregan D'aerthe, nie był nowicjuszem w walce, wykonywał więc pół i kompletne obroty oraz wymachiwał obydwoma mieczami, tworząc oślepiającą obronną ścianę.

Entreri warknął niezadowolony, jednak wciąż naciskał, mając nadzieję, że jego przeciwnik zrobi choć drobną pomyłkę.

Drizzt zauważył, że ma do czynienia z dwoma, a jeden z nich uśmiechnął się paskudnie i podniósł wolną dłoń małą kuszę. Drizzt okazał się jednak szybszy, skierował swój sejmitar tuż przed broń tak, że gdy drow wystrzelił, bełt odbił się od ostrza i poleciał nieszkodliwie wysoko.

Drow cisnął kuszą w Drizzta, zmuszając tropiciela, by cofnął się wystarczająco daleko, by mógł on wyciągnąć sztylet celem uzupełnienia trzymanego już miecza.

Drugi drow wykorzystał wyraźną przewagę, gdy Drizzt się uchylał, i zaczął wymachiwać zaciekle swymi dwoma mieczami, szerokim i krótkim.

Metal zadzwonił tuzin razy o metal, dwa tuziny, gdy Drizzt w niemożliwy sposób odpierał każdy atak. Następnie do walki dołączył się drugi drow, i Drizzt, pomimo swoich umiejętności, zauważył, że nie jest już tak łatwo. Błysk uderzył w poprzek, by zablokować krótki miecz, ruszył dalej i w dół, by odbić czubek wykonującego pchnięcie szerokiego miecza, po czym zawrócił, ledwo odtrącając sztylet.

Trwało tak przez kilka długich i gorączkowych chwil. Obydwaj żołnierze działali w harmonii, każdy wymierzał swoje ataki w świetle tego drugiego, każdy wznosił odpowiednią obronę, gdy jego towarzysz wydawał się narażony na cios.

Drizzt nie był pewien, czy może wygrać z tymi dwoma i wiedział, że nawet jeżeli tak, długo potrwa, zanim walka obróci się na jego korzyść. Zerknął przez ramię i zobaczył, jak Entreri zaczyna wycofywać się z manewrów ataku, przechodząc do zwyczajniejszego rytmu przeciwko swojemu wyszkolonemu przeciwnikowi.

Zabójca zauważył Drizzta i najwyraźniej również dostrzegł jego kłopoty. Skinął lekko głową w jego stronę, a Drizzt zauważył lekką zmianę w sposobie, w jaki Entreri trzyma swój sztylet.

Drizzt rzucił się nagle przed siebie, odpychając tego z mieczem i sztyletem, po czym obrócił się do drugiego drowa, rozpoczynając atak z dołu i kierując sejmitary w górę, zmuszając drowa do uniesienia szerokiego miecza.

Drizzt natychmiast zakończył ruch, uderzył sejmitarem o ostrze szerokiego miecza i odskoczył dwa kroki.

Wrogi drow, nie rozumiejąc, trzymał swój miecz w górze przez kolejną chwilę - zbyt długą - zanim zaczął zbliżać się do kontry.

Klejnoty na sztylcie Entreriego zamigotały wieloma barwami, gdy broń przecinała powietrze, wbijając się pomiędzy żebra drowa, pod jego uniesioną rękę. Jęknął i odskoczył na bok, uderzając o ścianę, zachował jednak równowagę i trzymał przed sobą defensywnie miecze.

Jego towarzysz natychmiast wyszedł do przodu, rozumiejąc, co robi Drizzt. Długi miecz wystrzelił w dół, następnie w górę, po czym obrócił się do cięcia z wysoka.

Drizzt zablokował, następnie drugi raz, po czym zanurkował pod przewidywalnie wysokim trzecim atakiem, kierując się na bok i obydwoma ostrzami wymierzając nagłe, krótkie uderzenia, które otworzyły obronę ślaniającego się, rannego drowa. Jeden z sejmitarów wbił się w ciało tuż obok sztyletu, drugi zaś dołączył po chwili do niego, zagłębiając się dalej i kończąc dzieło.

Instynktownie Drizzt podniósł poziomo i wysoko wyciągnięte ostrze, i metal zabrzmiał czystą nutą, zatrzymując wykonany zza głowy zamach opadającego miecza drugiego drowa.

Walczący z Entrerim mroczny elf przeszedł do ofensywy zaraz po tym, jak zabójca cisnął sztyletem. Bliźniacze ostrza kierowały pozostały zabójcy miecz w górę i w dół, w jedną stronę i w drugą. Widząc, że Entreri przybrał odpowiednią postawę do takiej walki i uważając, że wygrana jest blisko, drow wyszedł z prostym podwójnym pchnięciem, obydwa miecze kierując równolegle w zabójcę.

Miecz Entreriego trafił w jeden z nich, później w drugi, niemożliwie szybko, odtrącając szeroko obydwa. Drugi raz uderzył w miecz ze swojej prawej, niemal wytrącając drowowi ostrze z ręki, po czym trzeci raz, posyłając miecz w górę.

Drugi sejmitar Drizzta wy dostał się z piersi martwego drowa, jednak Drizzt nie skierował ostrza na swego aktualnego przeciwnika. Zamiast tego wsunął ostrze pod jelec wbitego sztyletu i gdy zobaczył, że Entreri jest przygotowany na przechwycenie go, szarpnął ostrzem, posyłając sztylet w stronę zabójcy.

Entreri chwycił go wolną ręką i odwrócił jego pęd, wbijając go prosto w odsłonięte żebra, pod uniesionymi mieczami. Zabójca odskoczył, a umierający drow wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

Cóż za żalorny widok, pomyślał Entreri, obserwując, jak jego przeciwnik stara się podnieść miecze rękoma, w których nie ma już siły. Wzruszył nieczule ramionami, gdy drow padł na podłogę.

Znajdujący się w sytuacji jeden na jeden drow uświadomił sobie szybko, że nie może się równać z Drizstem Do'Urdenem. Utrzymując obronę, kierował się w bok Drizzta, i nagle zauważył desperacką możliwość. Wymachując zaciekle mieczem, by utrzymać z dala sejmitary, uniósł sztylet w dłoni, jakby zamierzając nim rzucić.

Drizzt natychmiast przeszedł do manewrów obronnych - jeden sejmitar śmigał na ewentualnym torze lotu pocisku, drugi zaś wciąż nacierał.

Wrogi wojownik zerknął jednak w bok, na halflinga, rozciągniętego bezradnie niedaleko na podłodze.

- Poddaj się albo zabiję halflinga! - zły mroczny elf krzyknął w mowie drowów.

Lawendowe oczy Drizzta błysnęły zaciekleścią.

Sejmitar trafił złego drowa w nadgarstek, wytrącając mu z dłoni sztylet. Drugie ostrze Drizzta uderzyło raz w miecz, po czym zanurkowało nisko, rozcinając przeciwnikowi kolano. Błysk przeszedł w poprzek wraz z błękitnym blaskiem, odbijając opadający miecz, zaś swobodny, znajdujący się nisko sejmitar popędził prosto, trafiając drowa w udo.

Zgubiony mroczny elf skrzywił się i zachwiał, starając się cofnąć, starając się coś powiedzieć, jakieś słowa poddania, by powstrzymać napastnika. Groźba wobec Regisa pozbawiła jednak Drizzta normalnego rozumowania.

Drizzt zbliżał się powoli i śmiertelnie pewnie. Mimo że trzymał sejmitary nisko przy boku, udawało mu się podnosić je, by odbijać wszelkie ataki.

Wszystkim na co mógł patrzeć przeciwnik Drizzta, były wzburzone oczy, i nic, co drow widział kiedykolwiek wcześniej, nawet węzowe bicze bezlitosnych kapłanek ani wściekłość matki opiekunki, nie zawierało w sobie obietnicy tak szybkiej śmierci.

Pochylił głowę i krzyknął głośno, po czym, poddając się swemu przerażeniu, rzucił się z desperacją do przodu.

Sejmitary trafiły go po kolei w pierś. Błysk wbił się czysto w biceps, zatrzymując nieszkodliwie z tyłu jego rękę z mieczem, zaś drugie ostrze Drizzta wdarło się pod jego podbródek, unosząc mu twarz, aby mógł, w chwili swej śmierci, jeszcze raz spojrzeć w te lawendowe oczy.

Z pierśią unoszącą się gwałtownie pod wpływem adrenaliny oraz oczyma płonącymi wewnętrznym ogniem, Drizzt wyszarpnął ostrza i spojrział w bok, gotów zakończyć sprawę z Entrerim.

Jednak zabójcy nie było nigdzie widać.

Thibbledorf Pwent stał na końcu wąskiego tunelu, rozglądając się za pomocą infrawizji po znajdującej się dalej szerokiej jaskini, obserwując zmieniające się temperatury, aby móc lepiej zrozumieć układ leżącego przed nim niebezpiecznego obszaru. Odróżnił liczne zwisające ze stropu zęby, długie i wąskie stalaktyty, oraz dostrzegł dwie wyraźnie chłodniejsze linie, wskazujące na półki skalne na wysokich ścianach - jedna bezpośrednio z przodu, druga zaś wzdłuż ściany po prawej. Na poziomie podłogi w kilku miejscach widniały w ścianach ciemne otwory. Pwent wiedział, że ten jeden znajdujący się zaraz po jego lewej oraz inny, na prawo, pod półką, były najprawdopodobniej długimi tunelami. Kilka innych uznał za mniejsze boczne komnaty bądź alkowy.

U boku szałojownika znajdowała się Guenhwyvar, położywszy po sobie uszy i wydając ledwo słyszalne pomruki. Pwent zdał sobie sprawę, że pantera również wyczuwa niebezpieczeństwo. Wskazał Guenhwyvar, by poszła za nim - nagle nie był już taki wzburzony, mając tak niezwykłą towarzyszkę - i cofnął się z powrotem do korytarza, do zbliżającego się światła pochodni, by zatrzymać pozostałych przed grotą.

- Tam są przynajmniej trzy lub cztery drogi wyjścia - szałojownik zakomunikował ponuro swoim towarzyszom. -I wszędzie dużo otwartej przestrzeni. - Przeszedł do dokładnego opisu jaskini, zwracając szczególną uwagę na liczne i wyraźne kryjówki.

Bruenor, dzielając mroczne obawy Pwenta, przytaknął i spojrzał na pozostałych. On również czuł, że ich wrogowie są blisko, wszędzie wokół nich, i że stopniowo się zbliżają. Król krasnoludów spojrzał w korytarz, którym przyszli, i było oczywiste dla reszty, że stara się ustalić jakąś inną drogę.

- Możemy obrócić ich nadzieję na zaskoczenie nas przeciwko nim - zaproponowała Catti-brie, wiedząc, iż nadzieje Bruenora są bezowocne. Towarzysze nie mieli zbyt wiele czasu do stracenia, a niedużo bocznych tuneli, które minęli, sugerowało, że może zaprowadzić ich w niższe regiony lub też do szerszych tuneli, gdzie mogliby odnaleźć Drizta.

W ciemnych oczach Wulfgara pojawiła się iskra wskazująca na pragnienie walki, jednak chwilę później zmarszczył brwi, gdy Guenhwyvar opadła ciężko u stóp Catti-brie.

- Kocica jest już tutaj zbyt długo - stwierdziła młoda kobieta. - Wkrótce będzie potrzebowała odpoczynku. - Myny Wulfgara oraz krasnoludów wskazywały, że nie cieszą ich zbytnio te wieści.

- Tym lepszy powód, by iść dalej - powiedziała z determinacją Catti-brie. - Guen może sobie jeszcze pozwolić na trochę walki, nie martwcie się!

Bruenor zastanowił się nad tymi słowami, po czym przytaknął ponuro i uderzył swym wyszczerbionym toporem o otwartą dłoń. - Musimy mocno się zbliżyć do tego przeciwnika - przypomniał swym przyjaciołom.

Pwent wyciągnął swój gorzki płyn. - Golnijcie sobie jeszcze - zaproponował Catti-brie i Wulfgarowi. - Trzeba się upewnić, że jest świeże w waszych brzuchach.

Catti-brie skrzywiła się, jednak wzięła flaszkę, po czym podała ją Wulfgarowi, który również zmarszczył brwi i wypił małego łyka.

Bruenor i Pwent kucnęli na podłodze pomiędzy nimi, a Pwent szybko naszkicował ogólną mapę grotu. Nie mieli czasu na bardziej szczegółowe plany, jednak Bruenor określił obowiązki, przyporządkowując każdej osobie zadanie najlepiej dostosowane do jej stylu walki. Krasnolud nie mógł oczywiście dać dokładnych wskazówek Guenhwyvar i nie męczył się zbytnio Pwentem, wiedząc, że gdy tylko rozpocznie się walka, szalojownik zacznie się zachowywać w swój dziki, niezdiscyplinowany sposób. Catti-brie i Wulfgar również zdawali sobie sprawę z roli Pwenta i nie skarżyli się, rozumiejąc, że przeciwko tak wyszkolonemu i precyzyjnym przeciwnikom jak elfy drowy, mały chaos nie będzie złą rzeczą.

Wciąż utrzymywali płonąca pochodnię, a nawet zapalili drugą, i ruszyli ostrożnie do przodu, chcąc przeprowadzić walkę na swoich własnych warunkach.

Kiedy światło pochodni dotarło do grotu, przemknęła czarna sylwetka, wpadając z pełną prędkością w ciemność. Guenhwyvar rzuciła się na prawo, następnie popędziła w stronę środka pomieszczenia i znów skierowała w prawo, do ściany.

Skądś z przodu dobiegły odgłosy zwalnianych kusz, po nich zaś zgrzyty bełtów uderzających w kamienie, zawsze jeden krok za uchylającą się, skaczącą panterą.

Guenhwyvar znów skręciła w ostatniej chwili, skoczyła i odwróciła w poprzek, wbiegając kilka kroków po pionowej ścianie, zanim musiała wrócić na podłogę. Cel kocicy, wysoka półka na ścianie po prawej, znajdował się teraz w polu widzenia, i Guenhwyvar biegła, pędząc do niego bez wytchnienia.

U podstawy, kiedy pantera była w pełnym biegu i najwyraźniej zmierzała do kolizji czołowej, nagle zmieniła kierunek, niemal prostopadle, i skoczyła, wydając się lecieć, by pokonać siedmiometrową odległość do półki.

Trzy mroczne elfy na górze nie mogły spodziewać się tego niezwykłego manewru. Dwóch strzeliło z kusz w stronę Guenhwyvar i rzuciło się z powrotem do tunelu, trzeci zaś, mający nieszczęście znajdować się na drodze skaczącej pantery, zdołał jedynie rozłożyć ręce, gdy pantera na niego wpadła.

Do pomieszczenia wpadły pochodnie, oświetlając teren bitwy, po nich zaś Bruenor, mający z prawej strony Wulfgara, z lewej zaś Thibbledorfa Pwenta. Catti-brie cicho przemknęła się za nimi, rzucając się na bok, zasadniczo w tym samym kierunku, który obrała Guenhwyvar, z gotowym do strzału łukiem w ręku.

Znów brzęknęły kusze niewidocznych mrocznych elfów i wszyscy towarzysze zostali trafieni. Wulfgar poczuł, jak jad wlewa mu się w nogę, odczuwał jednak również pieczenie w ranie, gdy potężny napitek Pwenta przeciwdziałał jego działaniu. Na jedną z pochodni spadł czar ciemności, zasłaniając jej światło, jednak Wulfgar był na to gotowy, zapalił trzecią i cisnął ją daleko w bok.

Pwent zauważył wrogiego drowa w tunelu na prawo i ruszył w tamtą stronę, jak można się było spodziewać, rycząc przy każdym zamaszystym kroku.

Bruenor i Wulfgar zwolnili, jednak dalej parli swym kursem przez grootę, w stronę największych otworów tuneli. Barbarzyńca dostrzegł błysk oczu drowa na drugiej półce, nad tunelami. Zatrzymał się, obrócił i cisnął młotem bojowym, wydając okrzyk do swego boga. Aegis-fang poleciał nisko, roztrzaskując krawędź półki i posyłając kamienie na wszystkie strony. Jeden mroczny elf odskoczył na inny fragment długiej półki, inny spadł w dół, ze strzaskaną nogą, i ledwo chwycił się kamienia spadając w dół ściany.

Wulfgar nie podążył za rzutem. Znów został ugodzony żądłącym pociskiem i rzucił się w bok, do pozostałego tunelu, wzdłuż prawej ściany, gdzie przykucnęła para mrocznych elfów.

Pragnąc włączyć się do walki, Bruenor skręcił za barbarzyńcą. Przed zakończeniem obrotu krasnolud spojrzął jednak za siebie i zobaczył, jak z tunelu bezpośrednio przed nim wychodzi ośmionogi potwór, drider, za nim zaś poruszają się inne ciemne sylwetki.

Wydawszy z siebie okrzyk zadowolenia i nie zastanawiając się teraz, gdy wraz z przyjaciółmi poświęcił się walce, nad przewagą liczebną przeciwników, krasnolud wrócił z powrotem na początkowy kurs, zdecydowany stawić czoła wrogom, niezależnie jak wielu mogło ich być.

* * *

Catti-brie potrzebowała całej dyscypliny, na jaką mogła się zdobyć, by powstrzymać się przed pierwszym strzałem. Nie miała zbyt dobrego kąta dla tych, których ścigał Pwent, lub też tych na półce, gdzie zniknęła Guenhwyvar, nie uważała zaś za sensowne przebijać rannego drowa wiszącego bezradnie pod roztrzaskaną półką - przynajmniej jeszcze nie.

Bruenor poprosił ją, by upewniła się, że pierwszy strzał, ten strzał, po którym zostanie zauważona, liczy się.

Chętna do walki młoda kobieta obserwowała przerwę pomiędzy Bruenorem a Wulfgarem i znalazła możliwość. Wychylił się drow, przykucnięty za ponad metrową ukośną krawędzią w tylnej ścianie, niemal dokładnie w połowie drogi pomiędzy jej biegnącymi towarzyszami, trzymając w dłoni kuszę. Mroczny elf wystrzelił, po czym padł zdumiony, gdy przemknęła obok niego srebrna strzała, odbiła się od kamienia i pozostawiła po sobie osmaloną plamę.

Drugi strzał Catti-brie wbił się chwilę później w powietrze. Nie widziała już drowa, w pełni ukrytego za głazem, nie uważała jednak, by jego osłona była zbyt gruba.

Strzała trafiła wystający fragment ponad pół metra od jego brzegu i w podobnej odległości od miejsca, w którym łączył się ze skałą. Rozległ się ostry trzask rozłupywanego kamienia, po nim zaś jęk, gdy pocisk zagłębiał się w czaszkę drowa.

* * *

Mroczny elf na wysokiej półce szamotał się i wierzgał, trzymając nad sobą tarczę, i zdołał w jakiś sposób wyciągnąć drugą ręką sztylet. Jedyne jego doskonała kolczuga powstrzymywała drapiące pazury Guenhwyvar, jedynie dzięki niej powiększające się rany były poważne, a nie śmiertelne.

Elf podniósł sztylet, by wbić go panterze w bok, jednak broń wydawała się mała wobec takiego przeciwnika i wyglądało na to, że tylko jeszcze bardziej rozwścieczy kota. Jego ręka z tarczą została odtrącona na bok, za głowę, z siłą, która wystarczyła, by wybić bark. Starał się ją cofnąć, by zablokować atak, zauważył jednak, że nie odpowiada na gorączkowe wezwania umysłu. Zdołał ustawić drugą rękę na drodze wielkiego pyska, co było dość marną obroną.

Pazury Guenhwyvar zahaczyły o linię włosów tuż nad głową. Drow znów wbił sztylet, modląc się o szybką śmierć.

Pazury pantery zdarły mu twarz.

Z tunelu na końcu wąskiej półki znów brzęknęły kusze. Nie będąc jakoś specjalnie zraniona, pantera zeskoczyła ze swojej ofiary i rzuciła się w pościg.

Dwa mroczne elfy przyzwały pomiędzy siebie a kocicę kule ciemności i uciekły.

Gdyby spojrzeli za siebie, mogliby dołączyć z powrotem do walki, bowiem pościg Guenhwyvar nie był zbyt wytrwały. W związku z ranami od sztyletu i bełtów, podstępna trucizną nasenną oraz długością wizyty pantery na tym planie, Guenhwyvar skończyła się energia. Kocica nie chciała odchodzić, wołała zostać i walczyć u boku towarzyszy, zostać, by odnaleźć swego zaginionego pana.

Magia figurki nie mogła jednak wspierać tych pragnień. Po kilku krokach w ciemny korytarz Guenhwyvar zatrzymała się, ledwo utrzymując chwiejną równowagę. Ciało pantery rozpląnęło się w szary dym. Otworzył się i przywołał ją planarny tunel.

* * *

Znów został trafiony, gdy opuszczał komnatę, jednak bełt nie zrobił nic poza sprowadzeniem uśmiechu na wykrzywioną twarz najbliższego szałojownika. Jego drogę zablokowała kula ciemności, ryknął jednak i przedarł się przez nią, wciąż się uśmiechając, nawet gdy zderzył się z krzywą ścianą po drugiej stronie.

Zdumiony mroczny elf, obserwując zbliżanie się zacieklego Pwenta, odbiegł, pędząc dalej tunelem, po czym okrążył ostry zakręt. Pwent wpadł tuż za nim, skrzypiąc zbroją, a z jego tłustych warg spływały na gęstą czarną brodę strużki śliny.

- Głupi! - wrzasnął, pochylając głowę, gdy okrążył róg tuż za uciekającym drowem, w pełni spodziewając się zasadzki.

Szpikulec na hełmie Pwenta przechwycił cięcie mieczem i przebił przedramię wroga. Szałojownik nie zwolnił, lecz rzucił się płasko w powietrze, wpadając przeciwnikowi na pierś i powalając go na ziemię pod sobą.

Kolce z rękawicy wbiły się w pachwinę i twarz mrocznego elfa. Kanciasta zbroja Pwenta rozorała zbitą kolczugę, gdy wpadł on w serię gwałtownych konwulsji. Z każdym ruchem szałojownika przez przebitą rękę drowa przechodziły fale rozdzierającego bólu.

* * *

Bruenor zauważył szczupłą sylwetkę drowa, mającego na sobie krzykliwy kapelusz o szerokim rondzie i ozdobiony piórami, przesuwanego się w wejściu do tunelu. Następnie w świetle pochodni zaiskrzyły przedmioty wypadające zza potwornego dridera, a Bruenor podniósł defensywnie tarczę. O metal uderzył donośnie sztylet, później następny, a za nim trzeci. Czwarty przeleciał nisko, zadrapiując krasnoludowi goleń, piąty zaś przedostał się nad pochyloną tarczę, gdy trafiony Bruenor wygiął się do przodu, ryjąc linię na jego głowie, pod krawędzią jednorogiego hełmu.

Drobne rany nie mogły jednak spowolnić Bruenora, podobnie jak widok wydętego dridera, wymachującego toporami oraz klekoczącego ośmioma odnóżami. Krasnolud natarł na niego, przyjął trafienie na tarczę i oddał uderzeniem w drugi opadający topór dridera. Bruenor, znacznie mniejszy niż jego przeciwnik, działał na dole, jego topór uderzał w twarde egzoszkielet opancerzonych odnóży dridera. Przez cały czas krasnolud pozostawał rozmytą sylwetką, poruszającą się w rozszalały sposób. Nad sobą trzymał tarczę, najlepszą, jaka została kiedykolwiek wykuta, odbijając trafienie za trafieniem ze strony paskudnie ostrej, zakłętej przez drowy broni.

Topór Bruenora wbił się klinem pomiędzy dwie nogi, wdzierając się w mięsiste wnętrze dridera. Uśmiech krasnoluda był jednak krótkotrwały, bowiem członki dridera zabębniły potężnie o tarczę, obracając ją na ramieniu Bruenora, po czym stwór ustawił odpowiednio nogę i kopnął nią silnie krasnoluda w żołądek, odrzucając go w tył, zanim jego topór zdołał wyrządzić jakieś poważne obrażenia

Bruenor stracił dech i bolała go ręka. Znów z korytarza za driderem wyleciała seria sztyletów, pozbawiając Bruenora równowagi. Ledwo zdołał podnieść tarczę, by zatrzymać ostatnie cztery. Spojrzał w dół na pierwszy, wystający z przodu jego warstwowej zbroi. Zza jego czubka spływała strużka krwi i wiedział, że o włos uniknął śmierci.

Wiedział również, że to odwrócenie uwagi będzie go sporo kosztować, nie miał już bowiem odpowiedniej postawy do walki, a drider rzucał się na niego.

* * *

Lecący młot Wulfgara wskazywał mu drogę do korytarza. Jeden jego rzut reprezentował sobą więcej niż bełty z kusz, które ugodziły ryczącego barbarzyńcę. Celował wysoko, bowiem nad wejściem do jaskini wisiały zęby stalaktytów, i jego potężny młot doskonale wykonał swoje zadanie, roztrzaskując kilka wiszących skał.

Jeden mroczny elf padł do tyłu - Wulfgar nie mógł stwierdzić, czy zmiażdżył go spadający kamień, czy nie - drugi zaś rzucił się do przodu, wyciągając miecz oraz sztylet i wyłaniając się w grocie, by zmierzyć się z nieuzbrojonym barbarzyńcą.

Wulfgar zatrzymał się tuż przed błyskającymi ostrzami, rzucił się w bok, kopnął, uderzył pięścią, robiąc wszystko, co tylko mógł, by utrzymać przez parę potrzebnych mu sekund niebezpiecznego i szybkiego przeciwnika z dala od siebie.

Drow, nie rozumiejąc magii Aegis-fanga, nie wydawał się chętny, by zaryzykować, że chwyci go potężny barbarzyńca. Wyszedł z przemyślaną kombinacją, miecz, sztylet i znów sztylet - ostatnie pchnięcie zawadziło boleśnie o biodro barbarzyńcy.

Drow uśmiechnął się paskudnie.

W oczekujących rękach Wulfgara pojawił się Aegis-fang.

Jedną ręką, trzymając nisko rączkę młota, Wulfgar zaczął wykonywać przed sobą płynne obroty. Drow obserwował wyraźnie szybkość broni, a Wulfgar przyglądał się bacznie obserwacjom drowa.

Za poruszającym się młotem ruszył sztylet. Druga dłoń Wulfgara zacisnęła się na rączce tuż za głowicą broni i gwałtownie odwróciła kierunek, odtrącając atak drowa.

Drow był szybki, uderzył swym mieczem pod kątem w dół, kierując go w bark Wulfgara, jeszcze gdy jego ręka ze sztyletem była odrzucana. Wielkie przedramię Wulfgara naciągnęło się z napięciem, gdy zatrzymywał ruch ciężkiego młota, znów kierując go przed siebie. Wolną dłonią chwycił Aegis-fanga w połowie i uderzył ukośnie w górę, tak że solidna głowica młota bojowego przyjęła na siebie miecz i odrzuciła go bezpiecznie daleko.

Po zakończeniu parowania jedna ręka drowa znajdowała się nisko, Wulfgar zaś stał przed swoim przeciwnikiem w idealnej równowadze, ściskając oburącz Aegis-fanga. Zanim mroczny elf zdołał cofnąć swe rozłożone szeroko ostrza, zanim ustawił stopy, by odskoczyć, Wulfgar zamachnął się na niego, a młot przedarł się przez ramię i skierował w dół do przeciwległego biodra. Drow zachwiał się do tyłu pod trafieniem, po czym, jakby wcześniej nie dotarła do niego w pełni ogromna siła ciosu, wykonał niekontrolowany przewrót w tył, który posłał go na ścianę.

Z jedną nogą wygiętą i zmiażdżonym płucem drow podniósł przed sobą poziomo miecz w nędznej obronie. Trzymając dłonie nisko na rączce, Wulfgar cofnął młot za głowę i zamachnął się z całej siły, przebijając się przez ostrze i trafiając drowa w twarz. Z paskudnym chrzęstem czaszka drowa pękła, zmiażdżona pomiędzy kamieniem ściany a metalem potężnego Aegis-fanga.

* * *

Oślepiający strumień srebra powstrzymał ataki dridera i ocalił Bruenora Battlehammera. Strzała nie ugodziła jednak dridera. Wzleciała wysoko, przybijając ранego drowa (który właśnie wspiął się z powrotem na roztrzaskaną półkę) do skały.

Owo odwrócenie uwagi, chwila by otrząsnąć się po ataku sztyletami, było wszystkim, czego potrzebował Bruenor. Znów natarł silnie, jego wyszczerbiony topór uderzył w najbliższe odnoże dridera, a tarcza uniosła się w górę, by blokować pozbawione teraz równowagi zamachy toporami. Krasnolud napierał na bestię, wykorzystując jej cielsko, by uzyskać trochę ochrony przed przeciwnikami w korytarzu i zmuszał ją do cofania, dopóki drider nie zdołał zaprzeć się wszystkimi nogami przed atakami.

Obok przemknęła kolejna strzała Catti-brie, krzesząc iskry, gdy odbiła się od skały korytarza.

Bruenor uśmiechnął się szeroko, dziękując bogom, że dali mu sojuszniczkę i przyjaciółkę tak wspaniałą jak Catti-brie.

* * *

Pierwsze dwie strzały rozwścieczyły Viernę. Trzecia, pędząca korytarzem, niemal pozbawiła ją głowy. Jarlaxle podbiegł do niej ze stanowiska w pobliżu wejścia do komnaty.

- Nieźle - przyznał najemnik. - Mam w jaskini martwych żołnierzy.

Vierna pospieszyła do przodu, koncentrując się na krasnoludzie walczącym z jej zmutowanym bratem. - Gdzie jest Drizzt Do'Urden - zażądała, wykorzystując magię, by skupić swe słowa tak, żeby Bruenor usłyszał ją przez dridera.

- Trafiasz we mnie i masz ochotę rozmawiać? - zawył krasnolud, kończąc zdanie wykrzyknikiem w postaci zamachu toporem. Jedna z nóg Dinina odpadła, a krasnolud napierał dalej, spychając pozbawionego równowagi dridera kolejnych kilka kroków do tyłu.

Vierna ledwo co zdołała zacząć zamierzony czar, gdy Jarlaxle chwycił ją i pociągnął w dół. Jej wściekłość na najemnika rozplynęła się po uderzeniu kolejnej srebrnej strzały, która wybiła otwór w kamiennej ścianie, gdzie przed chwilą stała kapłanka.

Vierna przypominała sobie ostrzeżenia Entreriego na temat tej grupy, miała tuż przed sobą dowody w postaci toczącej się bitwy. Zadrżała ze wściekłości i warknęła niezrozumiale, rozważając, ile może ją kosztować porażka. Jej myśli skierowały się do wewnątrz, podążyły ścieżką jej wiary do jej mrocznej bogini, i zakrzyknęły do Lloth.

- Vierna! - zawołał z jakiegoś dalekiego miejsca Jarlaxle. Lloth nie mogła pozwolić na porażkę, musiała pomóc jej przy tej nieoczekiwanej przeszkodzie, aby mogła dostarczyć ofiarę.

- Vierna! - Poczwała na sobie dłonie najemnika, poczuła dłonie innego drowa pomagającego Jarlaxle'owi postawić ją na nogi.

- Wishya! - rozległ się jej niezamierzony krzyk, a później istniał już dla niej tylko spokój, wiedziała, że Lloth odpowiedziała na jej wołanie.

Jarlaxle i drugi drow uderzyli w ściany tunelu od siły magicznego wybuchu Vierny. Obydwaj spojrzeli na nią z niepokojem.

Rysy najemnika złagodniały, gdy Vierna poprosiła go, by udał się za nią w głąb korytarza, dalej od niebezpieczeństwa.

- Lloth pomoże nam dokończyć to, co tu zaczęliśmy - wyjaśniła kapłanka.

* * *

Catti-brie wpakowała na wszelki wypadek jeszcze jedną strzałę w korytarz, po czym rozejrzała się, szukając wyraźniejszych celów. Obserwowała walkę pomiędzy Bruenorem a potwornym driderem, wiedziała jednak, że wszelkie strzały w kierunku nadętego stwora byłyby zbyt ryzykowne.

Wulfgar miał najwyraźniej sytuację pod kontrolą. U jego stóp leżał martwy drow, on zaś przeglądał gruzowisko w poszukiwaniu przeciwnika, który się nie wyłaniał. Pwenta nie było nigdzie widać.

Catti-brie spojrzała na roztrzaskaną półkę skalną ponad Bruenorem i driderem, szukając drowów, którzy nie spadli, następnie na drugą, gdzie zniknęła Guenhwyvar. W małej alkwie pod spodem

młoda kobieta zauważyła zagadkowy widok - kłęby mgły podobne do tych, które zapowiadają nadejście pantery. Obłok zmienił kolory, stał się pomarańczowy, niemal niczym wirująca kula płomieni.

Catti-brie wyczuła złą aurę, gromadzącą się i rozprzestrzeniającą i skierowała w tamtą stronę łuk. Włosy na jej karku stanęły dęba - ktoś ją obserwował.

Catti-brie opuściła Poszukiwacza Serc i obróciła, jednocześnie wyszarpując z pochwy swój krótki miecz, ledwo na czas, by odbić pchnięcie lewitującego drowa, który bezszelestnie opadł ze stropu.

Wulfgar również zauważył mgłę i wiedział, że wymaga ona jego uwagi, że musi być gotów ją zaatakować, zaraz gdy ujawni się jej natura. Nie mógł jednak zignorować nagłego krzyku Catti-brie, a kiedy na nią spojrział, zauważył, że jest mocno naciskana, niemal siedzi na ziemi, jej krótki miecz pracuje zaciekle, by utrzymać napastnika na dystans.

W cieniach, niedaleko od młodej kobiety i jej napastnika, zaczął opadać kolejny ciemny kształt.

* * *

Ciepła krew poszarpanego wroga mieszała się ze śliną na brodzie Thibbledorfa Pwenta. Drow przestał się szamotać, jednak Pwent, pławiąc się w zabójstwie, nie.

Kusza przebiła jego ucho. Wydając z siebie ryk podniósł głowę, podnosząc makabrycznie na szpikulcu ramię martwego drowa. Stał tam następny wróg, zbliżając się stopniowo.

Szałojownik poderwał się gwałtownie, miotając głowę z boku na bok i szarpiąc schwytanym drowem w przód i w tył, dopóki mahoniowa skóra nie rozerwała się, uwalniając szpikulec na hełmie.

Zbliżający się mroczny elf przystanął, starając się jakoś ogarnąć potworną scenę. Znów się poruszał - w przeciwną stronę – kiedy nieposkromiony Pwent rozpoczął z rykiem szarżę.

Drow był szczerze zdumiony szaleńczym tempem przysadzistego krasnoluda, dziwił się, że nie może łatwo przegonić przeciwnika. I tak nie odbiegłby zresztą zbyt daleko, woląc odciągnąć tego niebezpiecznego osobnika od głównej bitwy.

Mknęli szeregiem krętych korytarzy, mroczny elf dziesięć kroków w przedzie. Jego pełne wdzięku kroki prawie nie straciły gracji, gdy skoczył, wylądował i obrócił się, z mieczem w gotowości i szerokim uśmiechem.

Pwent nawet na chwilę nie zwolnił, jedynie pochylił głowę, by wycelować szpikulec na hełmie. Z

oczyma utkwionymi w kamieniach szalajownik zbyt późno uświadomił sobie pułapkę, dopiero gdy przekraczał krawędź jamy, którą subtelnie przeskoczył drow.

Szalajownik spadł w dół, obijając się i uderzając, liczne szpikulce na jego zbroi bojowej krzesały iskry, ślizgając się o skałę. Jakiś kawałek niżej złamał sobie żebro o zaokrąglony kraniec stalagmitu, wykonał kompletny obrót i wylądował płasko na plecach w komnacie poniżej.

Leżał tam przez jakiś czas, podziwiając przebiegłość swego przeciwnika oraz zaskakujący sposób, w jaki strop - tony solidnej skały - wciąż się obracał.

* * *

Nie będąc nowicjuską w używaniu miecza, Catti-brie wspaniale wymachiwała swym ostrzem, wykorzystując każdy manewr obronny, który pokazał jej Drizzt, by uzyskać pewnego rodzaju równowagę w walce. Była przekonana, że początkowa przewaga drowa słabnie, że wkrótce będzie w stanie podnieść się i potykać na równych prawach z tym przeciwnikiem.

Nagle, nieoczekiwanie, nie miała już z kim walczyć.

Przemknął obok niej Aegis-fang, jego podmuch rozwiał jej włosy. Młot trafił z całą siłą zaskoczonego mrocznego elfa, odrzucając go.

Catti-brie obróciła się, a jej początkowa wdzięczność osłabła, gdy rozpoznała protekcyjność Wulfgara. Do tego czasu mgła w pobliżu barbarzyńcy uformowała się już, przybierając materialną, cielesną formę mieszkańca jakiegoś niegodziwego niskiego planu, jakiegoś przeciwnika znacznie bardziej niebezpiecznego niż mroczny elf, z którym walczyła Catti-brie.

Wulfgar pomógł jej, sam ryzykując, przedłożył jej bezpieczeństwo nad swoje własne.

Dla Catti-brie, przekonanej, że sama poradziłaby sobie ze swoją sytuacją, czyn ten wydawał się bardziej głupi niż altruistyczny.

Catti-brie schyliła się po łuk - musiała to zrobić.

Zanim jednak całkowicie położyła na nim dłonie, potwór, yochlol, pojawił się w pełni na tym planie. Był bezkształtny, przypominał trochę bryłę na wpół stopionego wosku z ośmioma przypominającymi macki wypustkami oraz umieszczoną pośrodku otwartą paszczą z długimi, ostrymi zębami.

Catti-brie wyczuła za sobą niebezpieczeństwo, zanim zdołała zawołać do Wulfgara. Odwróciła się z łukiem w dłoni i spojrzała na swego przeciwnika, na miecz drowa spadający szybko na jej głowę.

Catti-brie wystrzeliła pierwsza. Strzała uniosła drowa kilkanaście centymetrów nad podłogę i przebiła się przez niego, wybuchając pod stropem deszczem iskier. Mroczny elf wciąż trzymał miecz, kiedy opadł na podłogę, a jego mina ukazywała, że nie był do końca pewien, co się stało.

Catti-brie chwyciła swój łuk niczym maczugę i skoczyła w jego stronę, okładając go zaciekle, dopóki jego umysł nie zarejestrował faktu, że nie żyje.

Natychmiast odwróciła wzrok, by zobaczyć, jak Wulfgar jest chwytny przez jedną z macek yochlola, a zaraz później przez następną. Cała niezwykła siła barbarzyńcy nie mogła utrzymać go z dala od oczekującej paszczy.

Atakując dalej, spychając Dinina w tył, Bruenor nie widział nic poza czernią torsu dridera. Nie słyszał nic poza świstem opadających ostrzy, brzękiem metalu o metal czy też odgłosami pękającej skorupy za każdym razem, gdy jego topór trafił w cel.

Wiedział instynktownie, że Catti-brie i Wulfgar, jego dzieci, są w kłopotach.

Topór Bruenora uderzył w końcu w cofającego się stwora z całą siłą, gdy drider uderzył o ścianę. Kolejne pajęczce odnóże odpadło, a Bruenor zaparł się stopą i odepchnął jak mógł najmocniej, odskakując kilka kroków w tył.

Dinin, dziwacznie wykrzywiony, bez dwóch nóg, nie ruszył natychmiast za nim, ciesząc się przerwą, jednak zżarty Bruenor znów natarł, a dzikość krasnoluda oszołomiła ранego dridera. Tarcza Bruenora zablokowała pierwszy topór, hełm przyjął na siebie następne uderzenie, cios, który by go powalił.

Wyszczerbiony topór krasnoluda uderzył prosto przed siebie, ponad twardym egzozkieletem, by wyciąć poszarpaną linię w wydętym brzuchu dridera. Wylały się gorące wnętrzości. Ciecz spływała po nogach dridera oraz rękach Bruenora.

Bruenor wpadł w szal, jego topór uderzał raz za razem, nieprzerwanie, w przerwę pomiędzy dwoma przednimi odnóżami dridera. Egzozkielec ustąpił miejsca ciału, a ciało otworzyło się, wylewając więcej wnętrzości.

Topór Bruenora znów uderzył potężnie, krasnolud jednak otrzymał trafienie w bark ręki z bronią. Niepewny kąt, pod jakim uderzał drider, pozbawił cios większości siły i topór nie przebił się przez doskonałą, mithrilową zbroję Bruenora. Mimo to krasnolud poczuł falę gorącego bólu.

Jego umysł krzyczał, że Catti-brie i Wulfgar go potrzebują!

Krzywiąc się z bólu, Bruenor zamachnął się swoim toporem na odlew w górę i płazem broni uderzył z trzaskiem w łokieć dridera. Stwór zawył, a Bruenor znów wykonał cios, tym razem wymierzony w drugą stronę, trafiając dridera w pachę i odcinając potworowi rękę.

Catti-brie i Wulfgar go potrzebują!

Obdarzony dłuższym zasięgiem drider zdołał ominąć drugim toporem blokującą tarczę krasnoluda, dół jego ostrza utoczył linię krwi z ręki Bruenora. Krasnolud przyciągnął bliżej tarczę i opierając się barkiem o ścianę zablokował potwora. Odbił się, wbił silnie topór w odsłonięty bok stwora, po czym znów zablokował.

Krasnolud odbił się w tył, wykonał cięcie toporem, po czym krzepkie nogi Bruenora znów się naprężyły, posyłając go do przodu. Tym razem Bruenor usłyszał, jak drugi topór dridera upada na podłogę, a kiedy odskoczył, został tam, siecząc szaleńczo swą bronią, wbijając dridera w skałę, rozdzierając ciało i łamiąc żebra.

Bruenor obrócił się i zobaczył, że Catti-brie kontroluje sytuację wokół siebie, i postąpił o krok w stronę Wulfgara.

- Wishya!

Fale energii trafiły krasnoluda, unosząc go nad ziemię i posyłając cztery metry dalej, gdzie uderzył o ścianę.

Odbił się biegnąc w przeciwnym kierunku i zakrzyknął z wściekłości, kierując się ku wejściu do odległego tunelu. Z głębi obserwowały go oczy kilku drowów.

- Wishya! - odezwał się ponownie ten sam krzyk, a Bruenor zaczął się nagle cofać.

- Jak dużo razy jeszcze możesz? - ryknął niewzruszony krasnolud, wzruszając ramionami po ostatnim uderzeniu w skałę.

Oczy, wszystkie pary, odwróciły się.

Na krasnoluda spadła kula ciemności, i prawdę mówiąc, cieszył się z jej osłony, bowiem ostatnie uderzenie zraniło go bardziej, niż ośmielił się po sobie pokazać.

* * *

Czwarty żołnierz dołączył do Vierny, Jarlaxle'a oraz ich jednego ochroniarza, gdy znów wchodzili głębiej w tunele.

- Krasnolud z boku - wyjaśnił nowo przybyły. - Dziki, szalony ze wściekłości. Wrzuciłem go do jamy, jednak wątpię, by to go powstrzymało!

Vierna zaczęła odpowiadać, jednak Jarlaxle jej przerwał, wskazując na boczny korytarz, a w nim

kolejnego drowa sygnalizującego do nich z przejęciem w bezszelestnej mowie znaków.

- Diabelski kot! - pokazał znajdujący się daleko drow. Obok niego przemknęła druga sylwetka, a za nią, kilka sekund później, trzecia. Jarlaxle zrozumiał posunięcia swoich żołnierzy, wiedział, iż tych trzech było ocalałymi z dwóch oddzielnych walk i był świadomy, że zarówno półka skalna, jak i boczny korytarz poniżej niej, były stracone.

- Musimy iść - zasygnalizował Viernie. - Znajdźmy korzystniejszą okolicę, gdzie będziemy mogli kontynuować tę walkę.

- Lloth odpowiedziała na moje wezwanie! - warknęła na niego Vierna. - Przybył sługa!

- Tym lepszy powód, by odejść - odparł na głos Jarlaxle. - Okaż swą wiarę w Pajęczą Królową i wyruszmy na polowanie na twojego brata.

Vierna rozważała te słowa zaledwie przez chwilę, po czym, ku uldze roztropnego najemnika, przytaknęła twierdząco. Jarlaxle prowadził ją obok siebie z ogromną prędkością, zastanawiając się, czy to możliwe, by z jego wyszkolonego oddziału Bregan D'aerthe pozostało jedynie siedem osób, wliczając w to jego i Viernę.

* * *

Ręce Wulfgara uderzały szaleńczo w wijące się macki, jego dłonie zaciskały się na otaczających go wypustkach, starając się wyrwać z żelaznego uścisku. Ugodziło go więcej macek, przyciągając jego uwagę.

Był wciągany prosto w wielką paszczę i rozumiał, że te ostatnie uderzenia miały służyć jedynie rozproszeniu koncentracji. Ostre jak brzytwy zęby wbiły się w jego plecy i żebra, rozdzierały mięśnie i ocierały o kości.

Uderzył ręką i chwycił w garść śliską skórę yochlola, obracając i wrywając ów kawałek. Stworzenie nie zareagowało i wciąż gryzło kości, ostre zęby przejeżdżały po uwięzionym torsie.

Do ręki Wulfgara wrócił Aegis-fang, zbyt był jednak wykrzywiony, by można nim zadać jakiegokolwiek ciosy przeciwnikowi. Mimo to barbarzyńca zamachnął się nim, trafiając mocno, jednak miękka, gumowata skóra złego stwora wydawała się absorbować ciosy, zagłębiając się pod ciężarem Aegis-fanga'.

Wulfgar ponownie się zamachnął, obracając pomimo rozdzierającego bólu. Zobaczył, że Cattibrie stoi swobodna, drugi drow leży martwy u jej stóp, a jej twarz wyraża czyste przerażenie, gdy wpatruje się w biel odsłoniętych żeber Wulfgara.

Mimo to obraz jego miłości, wolnej od niebezpieczeństwa, sprowadził na twarz barbarzyńcy grymas satysfakcji.

Tuż obok przemknął srebrny pocisk, strasząc Wulfgara i uderzając w yochlola, i barbarzyńca uznał, że ocalenie leży w zasięgu ręki, pomyślał, że jego ukochana Catti-brie, kobieta, którą śmiał nie doceniać, powali jego napastnika.

Macka owinęła się wokół kostek Catti-brie i przewróciła ją. Jej głowa uderzyła silnie o kamień, cenny łuk wypadł jej z ręki, i nie stawiała większego oporu, gdy yochlol zaczął ją ciągnąć.

- Nie! - ryknął Wulfgar, znów uderzając raz za razem, bezowocnie, w gumowatą bestię. Krzyknął do Bruenora i kącikiem oka zauważył, że krasnolud wytacza się z czarnej kuli, oszołomiony i zamroczony.

Paszczka yochlola żuła bezlitośnie. Ktoś słabszy już dawno padłby pod siłą tego uścisku.

Wulfgar nie mógł sobie pozwolić na śmierć, nie, gdy Catti-brie i Bruenor byli w niebezpieczeństwie.

Rozpoczął żarliwą pieśń do Tempusa, swego boga bitwy. Śpiewał z płucami wypełnionymi krwią, głosem, który wypływał z serca bijącego potężnie od ponad dwudziestu lat.

Śpiewał i zapominał o falach paralizującego bólu. Śpiewał i pieśń powracała z powrotem do jego uszu, odbijając się od ścian jaskini niczym chór sług doceniającego to boga.

Śpiewał i zacieśniał uchwyt na Aegis-fangu.

Wulfgar uderzył, nie w bestię, lecz w niski strop alkowy. Młot przebił się przez pył i utkwiał w kamieniu.

Wszędzie wokół barbarzyńcy i jego napastnika spadły kamyki i pył. Raz za razem, przez cały czas śpiewając, Wulfgar uderzał w strop.

Yochlol, nie będąc głupią bestią, gryzł mocniej i potrząsał szaleńczo swą wielką paszczą, jednak Wulfgar nie rejestrował już bólu. Aegis-fang wbił się w górę, a kiedy upadał, podążył za nim odłamek skały.

Oprzytomniawszy, Catti-brie zobaczyła, co robi barbarzyńca. Yochlol nie był już nią zainteresowany, już jej nie ciągnął i zdołała odczołgać się z powrotem do swego łuku.

- Nie, mój chłopcze! - usłyszała krzyk Bruenora.

Catti-brie naciągnęła strzałę i obróciła się.

Aegis-fang uderzył o strop.

Strzała Catti-brie wbiła się w yochlola na chwilę przed tym, jak ustąpił strop. Wielkie głązy opadły w dół, a wszelka przestrzeń pomiędzy nimi szybko wypełniła się stertami kamieni i ziemi, wzbijającej się w górę kłębamii pyłu. Grota zatrzęsała się gwałtownie, a huk spadających głązów odbił się echem we wszystkich tunelach.

Ani Catti-brie, ani Bruenor nie stali już. Obydwoje rzucili się na podłogę, zasłaniając rękoma głowy, gdy alkowa kończyła się zawalać. Żadne z nich nic nie widziało przez mrok i pył. Żadne z nich nie widziało, że potwór i Wulfgar zniknęli pod tonami zwałonych skał.

Część 5

KONIEC GRY

Kiedy umrę...

Straciłem przyjaciół, straciłem ojca, mojego mentora, dla tej największej z tajemnic nazywanej śmiercią. Znałem żal od dnia, kiedy opuściłem moją ojczyznę, od dnia, kiedy niegodziwa Malice poinformowała mnie, że Zaknafein został oddany Pajęczej Królowej. Żal jest dziwnym uczuciem, jego obiekt się zmienia. Czy żałuję Zaknafeina, Montolio, Wulfgara? Albo też czy żałuję siebie, za stratę, z powodu której zawsze będę cierpiał?

Jest to chyba najbardziej podstawowe pytanie śmiertelnego istnienia, a jednocześnie takie, na które nie może być odpowiedzi... Jeśli odpowiedź nie jest związana z wiarą. Wciąż odczuwam smutek, kiedy myślę o zabawach w walkę z moim ojcem, kiedy przypominam sobie spacery u boku Mongolio po górach oraz kiedy te wspomnienia o Wulfgarze, najwyraźniejsze ze wszystkich, przelatują przez moje myśli niczym streszczenie ostatnich kilku lat mojego życia. Pamiętam chwilą na Kopcu Kehina, wychodzącym na tundrą Doliny Lodowego Wichru, kiedy to miody Wulfgar zauważył ognie obozowe swego nomadycznego ludu. Wtedy Wulfgar i ja staliśmy się prawdziwymi przyjaciółmi. W tamtej chwili nauczyliśmy się, że we wszystkich niepewnych momentach życia będziemy mieć siebie.

Pamiętam białego smoka, Lodową Śmierć oraz giganta, Biggrina, i jak, bez bohaterskiego Wulfgara przy boku, zginąłbym najpewniej w obydwu tych walkach. Pamiętam również dzielenie się zwycięstwami z moim przyjacielem, kiedy nasza więź zaufania i miłości zacieśniała się - byliśmy coraz bliżej siebie, lecz nie krępowało nas to.

Nie było mnie tam, kiedy ginął, nie mogłem użyzyć mu wsparcia, które on z pewnością użyzyłby mi.

Nie mogłem powiedzieć “ Żegnaj!”.

Kiedy umrę, czy będę sam? Jeśli nie zginę z powodu broni potworów lub w pętach choroby, z pewnością przeżyję Catti-brie i Regisa, a nawet Bruenora. Na tym etapie mojego życia wierzę

stanowczo, iż nieważne kto będzie przy mnie. Jeśli nie będzie już tej trójki, naprawdę umrę sam.

Myśli te nie są tak mroczne. Tysiącrotnie powiedziałem Wulfgarowi żegnaj. Mówiłem to za każdym razem, gdy dawałem mu do zrozumienia, jak jest dla mnie ważny, za każdym razem, gdy moje słowa lub czyny potwierdzały naszą miłość. Żegnaj jest mówione przez żyjących, w życiu, każdego dnia. Jest wypowiedzane z miłością i przyjaźnią, z potwierdzeniem tego, że choć ciało nie jest wieczne, są takimi wspomnieniami.

Wulfgar znalazł inne miejsce, inne życie. Muszę w to wierzyć, inaczej jaki byłby sens istnienia?

Mój naprawdę wielki żal jest za mnie, za stratę, o której wiem, że będę odczuwał do końca mych dni, jakkolwiek wiele stuleci przeminie. W stracie tej zawiera się jednak spokój, boski spokój. Lepiej było znać Wulfgara i dzielić z nim te wszystkie wydarzenia, które teraz podsycają mój żal, niż nigdy nie iść u jego boku, walczyć przy nim, spoglądać na świat przez jego kryształowoniebieskie oczy.

Kiedy umrę... niech będą tam przyjaciele, którzy mnie pożałują, którzy przeniosą nasze wspólne radości i smutki, którzy przeniosą pamięć o mnie.

Na tym polega nieśmiertelność duszy, wiecznie żyjące, podsycanie żalu.

Jednak jest to również podsycanie wiary.

- Drizzt Do'Urden.

ROZDZIAŁ 20

NAGLE

Pył wciąż osiadał w rozległej komnacie, tłumiąc migoczące światło. Jedna z pochodni zgasła, gdy spadł na nią odłamek skały, jej blask zgasł w mgnieniu oka.

Zgasł niczym światło w oczach Wulfgara. Kiedy huk się nareszcie skończył, kiedy większe kawałki opadłego stropu znieruchomiały, Catti-brie obróciła się i zdołała wstać, spoglądając na wypełnioną gruzem alkowę. Otarła pył z oczu i mrugała przez kilka długich chwil, zanim zarejestrowała w pełni ponurą prawdę.

Jedyna widoczna macka stwora, wciąż owinięta wokół kostki młodej kobiety, została gładko

odcięta. Jej druga część, obok rumowiska, odruchowo drgała.

Za nią były tylko spiętrzone kamienie. Potworność tej sytuacji przytłoczyła Catti-brie. Zachwiała się, niemal mdlejąc. Odnalazła siłę dopiero, gdy zawrzały w niej złość i sprzeciw. Oderwała mackę i poczołgała się do przodu na czworakach. Próbowwała wstać, jednak pulsowanie w głowie, zmusiło ją do trzymania jej nisko. Znów pojawiła się fala słabych mdłości, zaproszenie do zapadnięcia w nieświadomość.

Wulfgar!

Catti-brie czołgała się dalej, odrzuciła na bok drgającą mackę i zaczęła gołymi dłońmi przekopywać się przez stertę kamieni, drapiąc sobie skórę i boleśnie zrywając paznokcie. Jakże podobnie wyglądało to zawalenie do tego, które zabrało Drizzta podczas pierwszego pobytu towarzyszy w Mithrilowej Hali. Wtedy była to jednak zaprojektowana przez krasnoludy pułapka, zapadnia, która otworzyła się w podłodze, uwalniając jednocześnie blok ze stropu i posyłając Drizzta bezpiecznie na niższy korytarz.

To nie była zapadnia, przypomniała sobie Catti-brie, nie było tu szybu do niższej komnaty. Gdy zaczęła dalej odgarniać gruz, z jej ust wydobył się cichy jęk. Była zdesperowana, żeby wyciągnąć Wulfgara spod tej sterty, modliła się, by głazy zawaliły się, tworząc przestrzeń, która pozwoliłaby barbarzyńcy przetrwać.

Wtedy znalazł się przy niej Bruenor, upuszczając swój topór oraz tarczę na podłogę i podbiegając spieszenie do sterty. Potężny krasnolud zdołał odrzucić na bok kilka wielkich głazów, kiedy jednak zewnętrzna krawędź zawaliska została oczyszczona, przerwał pracę i wpatrzył się pustym wzrokiem w gruzowisko.

Catti-brie wciąż kopała, nie zauważając zmarszczonych brwi swego ojca.

Po więcej niż dwóch stuleciach pracy w górnictwie Bruenor znał prawdę. Zawalisko było całkowite.

Chłopak odszedł.

Catti-brie wciąż kopała, pociągając nosem, gdy jej umysł zaczął jej mówić to, czemu zaprzeczało serce.

Bruenor położył dłoń na jej ręce, by zatrzymać jej bezcelową pracę, a kiedy podniosła na niego wzrok, wyraz jej twarzy złamał serce twardego krasnoluda. Jej twarz była pokryta brudem. Na jednym policzku zakrzepła krew, a włosy splątały się. Bruenor widział wtedy jedynie oczy Catti-brie, błękitne jak u łani, lśniące wilgocią.

Bruenor powoli potrząsnął głową.

Catti-brie opadła do pozycji siedzącej, jej krwawiące dłonie obwisły, a oczy nawet nie zamrugały. Jakże wiele razy była wraz z przyjaciółmi tak blisko tego ostatecznego punktu? - zastanawiała się. Jakże wiele razy uciekła w ostatniej chwili z pożądliwych objęć śmierci?

Dopadł ich los, dopadł Wulfgara, tu i teraz, nagle, bez ostrzeżenia.

Odszedł wielki wojownik, przywódca swojego plemienia, mężczyzna, którego Catti-brie zamierzała poślubić. Ona, Bruenor, nawet potężny Drizzt Do'Urden, nie mogli zrobić nic, by mu pomóc, nic, by zmienić to, co się stało.

- On mnie ocalił - wyszeptała młoda kobieta.

Bruenor wydawał się jej nie słyszeć. Krasnolud bez przerwy ocierał pył z oczu, pył przyklejający się do wielkich łez, które zbierały się, a następnie spływały, brużdząc jego brudne policzki. Wulfgar był dla Bruenora jak syn. Nieugięty krasnolud zabrał młodego Wulfgara - wtedy chłopca - do swojego domu po bitwie, rzekomo jako niewolnika, tak naprawdę jednak, by nauczyć chłopaka innego sposobu życia. Bruenor ukształtował Wulfgara w mężczyznę, któremu można było ufać, człowieka o szczerym charakterze. Najszczęśliwszym dniem w życiu krasnoluda, nawet radośniejszym niż odzyskanie Mithrilowej Hali, był ten, w którym Wulfgar i Catti-brie oświadczyli, że się pobiorą.

Bruenor kopnął ciężki kamień, a siła ciosu odrzuciła go na bok.

Leżał tam Aegis-fang.

Pod odważnym krasnoludem ugięły się kolana na widok głowicy wspaniałej broni, ozdobionej symbolami Dumathoina, krasnoludzkiego boga, Strażnika Tajemnic pod Górą. Bruenor wciągał powietrze głębokimi oddechami i przez długą chwilę starał się uspokoić, zanim znalazł w sobie siłę, by schylić się i uwolnić młot bojowy z gruzowiska.

Był on największym dziełem Bruenora, esencją jego niezwykłych zdolności kowalskich. W wykucie tego młota włożył całą swoją miłość i umiejętności. Zrobił go dla Wulfgara.

Na wpół stoicka fasada Catti-brie zawałiła się niczym strop na widok broni. Jej ramionami wstrząsnęło ciche łkanie i zadrzała, wydając się krucha w przytłumionym, zasłoniętym pyłem świetle.

Spoglądając na nią, Bruenor odnalazł w sobie siłę. Przypomniawszy sobie, że był ósmym królem Mithrilowej Hali, że był odpowiedzialny za swych poddanych - i za swoją córkę. Wsunął cenny młot bojowy w pętlę przy swoim podróżnym plecaku i objął Catti-brie ramieniem, podnosząc ją na nogi.

- Nie możemy nic dla niego zrobić - wyszeptał Bruenor. Catti-brie odsunęła się od niego i wróciła z powrotem do sterty, powarkując, gdy odrzucała kilka mniejszych kamieni. Widziała bezowocność tego wszystkiego, widziała tony pyłu i kamieni, z których wiele było zbyt dużych, by je przesunąć. Catti-brie jednak mimo to kopała, po prostu nie była w stanie poddać się. Nic innego nie

dawało żadnej nadziei.

Dłonie Bruenora zacisnęły się delikatnie na jej rękach.

Wydawszy z siebie warknięcie młoda kobieta strząsnęła go i wróciła do pracy.

- Nie! - ryknął Bruenor i znów ją chwycił, silnie, podnosząc ją z ziemi i odciągając od sterty. Odwrócił ją, stawiając swoje szerokie ramiona pomiędzy nią a stertą, i którąkolwiek stroną Catti-brie nie próbowałaby go obejść, Bruenor przesuwiał się, by ją zablokować.

- Nic nie możemy zrobić! - wrzasnął jej tuzin razy prosto w twarz.

- Muszę próbować! - w końcu odezwała się błagalnie, kiedy stało się dla niej oczywiste, że Bruenor nie pozwoli jej wrócić do kopania.

Bruenor potrząsnął głową - jedynie łyzy w jego ciemnych oczach, wyraźne roztrzęsienie, powstrzymywały Catti-brie przed uderzeniem go w twarz. Uspokoila się i przestała próbować prześlizgnąć się obok upartego krasnoluda.

- To koniec - powiedział do niej Bruenor. - Chłopiec... mój chłopiec, wybrał swój los. Oddał siebie za nas, za ciebie i mnie. Nie okaż mu braku szacunku pozwalając, by zatrzymywały cię tu, w niebezpieczeństwie, głupie żale.

Ciało Catti-brie obwisło pod niezaprzeczalną prawdą rozumowania Bruenora. Nie wróciła do sterty, do kopca pogrzebowego Wulfgara, gdy Bruenor podnosił swą tarczę i topór. Krasnolud wrócił do niej i objął ją ramieniem.

- Pożegnaj się - zaproponował i w milczeniu poczekał chwilę, zanim ją zaprowadził najpierw po jej łuk, a następnie w kierunku tego samego wyjścia, przez które weszli.

Catti-brie zatrzymała się nagle i spojrzała z zaciekawieniem na niego oraz tunel, jakby sprzeciwiając się tej trasie.

- Pwent i kocica muszą sami znaleźć sobie drogę - odpowiedział Bruenor jej pustemu spojrzeniu, mylnie oceniając jej zakłopotanie.

Catti-brie nie martwiła się o Guenhwyvar. Wiedziała, że dopóki magiczna figurka znajdowała się w jej posiadaniu, nic nie mogło wyrządzić panterze prawdziwej szkody, zaś zaginionym szalojownikami w ogóle się nie przejmowała.

- Co z Drizztem? - spytała po prostu.

- Sądzę, że elf żyje - odrzekł z pewnością Bruenor. - Jedna z tych drowów zapytała mnie o niego, zapytała, czy wiem, gdzie jest. Żyje i uciekł od nich, a tak poza tym wydaje mi się, że ma większą

szansę wydostać się z tych tuneli niż my dwoje. Może nawet jest z nim już kocica.

- A może być tak, że nas potrzebuje - spierała się Catti-brie, wrywając z delikatnego uchwytu Bruenora. Zarzuciła łuk na ramię i skrzyżowała ręce na piersi z ponurą i zdeterminowaną twarzą

- Wracamy do domu, dziewczyno - rozkazał stanowczo Bruenor. - Nie wiemy, gdzie może być Drizzt. Jedynie zgaduję, i mam nadzieję, że naprawdę jest żywy!

- Chcesz zaryzykować? - spytała bezceremonialnie Catti-brie. - Chcesz zaryzykować, a jak nas potrzebuje? Straciliśmy jednego przyjaciela, a może dwóch, jeśli zabójca skończył z Regisem. Nie zamierzam narażać Drizzta na żadne ryzyko. - Skrzywiła się, gdy kolejne wspomnienie przemknęło przez jej umysł, wspomnienie o byciu uwięzionym na Tarterusie, innym planie egzystencji, gdzie Drizzt Do'Urden stawiał czoło nie dającym się opisać potworom, by sprowadzić ją do domu.

- Pamiętasz Tarterus? - odezwała się do Bruenora, a myśl ta sprawiła, że czujący się bezradnie krasnolud mrugnął i odwrócił wzrok.

- Nie poddaję się - powtórzyła Catti-brie - pomimo ryzyka. - Spojrzała na przeciwległe wejście do tunelu, gdzie najwyraźniej zniknęły uciekające mroczne elfy. - Pomimo wszelkich mrocznych elfów i ich zrodzonych w piekle przyjaciół!

Bruenor milczał przez długą chwilę, myśląc o Wulfgarze, rozważając pełne determinacji słowa swojej córki. Drizzt mógł być w okolicy, mógł być ranny, mógł być znów schwytany. Gdyby to Bruenor zaginął tam na dole, a Drizzt byłby tu na górze, krasnolud nie miał wątpliwości, co uczyniłby drow.

Znów skierował wzrok na Catti-brie i stertę za nią. Właśnie stracił Wulfgara. Czy mógł ryzykować również utratę Catti-brie?

Bruenor przyjrzał się bliżej Catti-brie i ujrzał w jej oczach kipiącą determinację. - Moja dziewczynka - powiedział cicho.

Podnieśli pozostałą pochodnię i wyszli przez otwór po przeciwległej stronie grotty, wchodząc głębiej w tunele w poszukiwaniu swego zaginionego przyjaciela.

* * *

Ktoś, kto nie wychował się w wiecznej ciemności Podmroku, nie zauważyłby subtelnej zmiany w głębi mroku, lekkiego dotyku podmuchu świeżego powietrza. Dla Drizzta zmiany te były równie oczywiste jak uderzenie w twarz. Przyspieszył kroku, przyciskając Regisa mocniej do siebie.

- O co chodzi? - spytał wystraszony halfling, rozglądając się, jakby spodziewał się, że z

najbliższego cienia wyskoczy Artemis Entreri i pożre go.

Minęli szeroki, lecz niski boczny korytarz, nachylony w górę. Drizzt zawahał się, jego wyczucie kierunku mówiło mu, że właśnie przeszedł obok odpowiedniego tunelu. Zignorował jednak te ciche prośby i parł dalej, w nadziei, że otwarcie na świat zewnętrzny będzie osiągalne dla niego i dla Regisa, że będą mogli odetchnąć świeżym powietrzem.

Tak było. Okrążyli zakręt tunelu i poczuli na twarzach mroźny podmuch wiatru, ujrzeli przed sobą jaśniejszy otwór, za nimi zaś strzeliste góry... i gwiazdy!

Pełne ulgi głębokie westchnienie Regisa doskonale oddawało odczucia niosącego Regisa Drizzta. Kiedy wyłonili się z tunelu, obydwu przytłoczył wdzięk rozpościerającej się przed nimi górskiej scenerii, czyste piękno świata powierzchni pod gwiazdami, tak dalekiego od bezgwiezdnych nocy Podmroku. Wiatr, owiewający ich, wydawał się być żywą istotą.

Znajdowali się na wąskiej półce skalnej, w dwóch trzecich drogi na dno wysokiego, trzystumetrowego zbocza. Z prawej strony wiła się wąska ścieżka, idąc dalej na lewo, jednak pod niewielkim kątem, co dawało niewielką nadzieję, że będzie tak szła wystarczająco daleko, aby obydwaj mogli zejść w dół klifu.

Drizzt spojrział na strzelistą ścianę. Wiedział, że z łatwością zszedłby na dół, prawdopodobnie również bez większych problemów wspiąłby się na górę, nie sądził jednak, aby był w stanie zabrać ze sobą Regisa, a nie podobała mu się perspektywa znajdowania się w nieznanym zakątku dziczy, nie wiedząc jak długo może potrwać powrót do Mithrilowej Hali.

Jego przyjaciele, niedaleko stąd, byli w kłopotach.

- Dolina Strażnika jest tam - stwierdził z nadzieją Regis, wskazując na północny zachód. - Najprawdopodobniej nie dalej niż kilka kilometrów stąd.

Drizzt przytaknął, lecz odparł - Musimy wrócić do środka.

Choć Regis nie wyglądał na zadowolonego z tej ewentualności, nie spierał się, rozumiejąc, że w swoim obecnym stanie nie uda mu się zejść z tej półki.

- Dobra robota - zza załomu dobiegł głos Entreriego. W polu widzenia pojawiła się ciemna sylwetka zabójcy, klejnoty na wiszącym u jego pasa sztylcie lśniły niczym jego postrzegające ciepło oczy. - Wiedziałem, że tu przyjdiesz - wyjaśnił Drizztowi. - Wiedziałem, że poczujesz czyste powietrze i skierujesz się do niego.

- Gratulujesz mi czy sobie? - spytał drow tropiciel.

- Nam obu! - odparł z serdecznym śmiechem Entreri. Biel jego zębów zniknęła, zastąpiona chłodnym grymasem, gdy zbliżył się bardziej. - Tunel, który minąłeś pięćdziesiąt metrów wcześniej, rzeczywiście zabierze cię na wyższy poziom, gdzie prawdopodobnie znajdziesz swych przyjaciół, swych drogich przyjaciół, bez wątpienia.

Drizzt nie chwycił przynęty, nie pozwolił, by jego wściekłość popchnęła go do ataku.

- Ale nie możesz się tam dostać, prawda? - drażnił go Entreri. - Sam mógłbyś mi umknąć, mógłbyś uniknąć walki, której żądam. Jednak jest jeszcze twój ranny towarzysz. Pomyśl o tym, Drizzcie Do'Urden. Zostaw halflinga i zdołasz uciec!

Drizzt nie zaszczylił tej absurdalnej myśli odpowiedzią.

- Ja bym go zostawił - stwierdził Entreri, obrzucając Regisa chłodnym spojrzeniem. Halfling zdrzął i wtulił się pod silne ramię Drizzta.

Drizzt starał się nie wyobrażać sobie okropności, jakich Regis doświadczył z niegodziwych dłoni Entreriego.

- Ty go nie zostawisz - ciągnął Entreri. - Dawno temu ustaliliśmy różnicę pomiędzy nami, różnicę, którą ty nazywasz siłą lecz ja wiem, że to słabość. - Był już w odległości zaledwie tuzina kroków. Ze świstem wyciągnął z pochwy swój wąski miecz, oblewający go niebiesko-zielonym blaskiem. - Zajmijmy się więc naszymi sprawami - powiedział. - Oraz naszym przeznaczeniem. Czy podoba ci się przygotowane przeze mnie pole walki? Jediną drogą z tej półki jest znajdujący się za tobą tunel, tak więc ja, podobnie jak ty, nie mogę uciec, muszę rozegrać to do końca. - Mówiąc to spoglądał na zbcze. - Śmiertelny upadek dla przegranego - wyjaśnił, uśmiechając się. - Walka bez pardonu.

Drizzt nie mógł odrzucić doznań, jakie na niego spływały, gorąca w piersi i za oczyma. Nie mógł zaprzeczyć, że w jakimś odosobnionym zakątku swego serca i duszy pragnął tej walki, chciał udowodnić Entreriemu, że się myli, udowodnić, że życie zabójcy jest bezwartościowe. Mimo to walka ta nigdy nie miałaby miejsca, gdyby Drizztowi Do'Urden pozwolono na rozsądny wybór. Pragnienia jego ego, które rozumiał i w pełni akceptował, nie były wystarczającym powodem do śmiertelnej potyczki. Teraz, gdy za nim znajdował się bezradny Regis, a gdzieś powyżej przyjaciele, stawiający czoła mrocznym elfom, musiał podjąć wyzwanie.

Poczuł w dłoniach twardy metal rękojeści swych sejmitarów. Kiedy Błysk załśnił swym gniewnym błękitem, pozwolił, by jego oczy przeszły w pełni w spektrum zwyczajnego światła.

Entreri zatrzymał się, z mieczem u jednego boku, sztyletem u drugiego, wskazując Drizztowi, by się zbliżył.

Po raz trzeci w okresie krótszym niż dzień Błysk zaczął uderzać mocno w wąskie ostrze zabójcy.

Trzeci raz i, jeśli brać pod uwagę Drizzta i Entreriego, ostatni.

Zaczęli spokojnie, każdy uważał na swoje kroki na tej niezwyklej arenie. Półka miała w tym miejscu chyba ze trzy metry szerokości, jednak zwężała się znacznie tuż za Drizztem i tuż za Entrerim.

Cięcie na odlew otworzyło manewr Entreriego, za nim nastąpiło pchnięcie sztyletem.

Rozbrzmiały dwa solidne parowania i Drizzt uderzył sejmitem w lukę pomiędzy ostrzami Entreriego, lukę, która w mgnieniu oka została zamknięta przez cofający się miecz, a atak Drizzta został nieszkodliwie odbity na bok.

Krążyli, Drizzt w środku w pobliżu ściany, zaś zabójca przesuwiał się swobodnie w stronę urwiska. Entreri wykonał niskie cięcie, nieoczekiwanie uderzając tym razem sztyletem jako pierwszym.

Drizzt uskoczył przed skróconym cięciem i oddał kombinacją dwóch cięć, wymierzoną w głowę uchylającego się zabójcy. Miecz Entreriego wystrzelił w lewo i w prawo, przemknął poziomo nad głową, by zablokować następujące po sobie ciosy, po czym zmienił lekko kąt nachylenia, by pchnąć w przód, by utrzymać drowa z dala, podczas gdy zabójca będzie odzyskiwał postawę.

- To nie pójdzie tak łatwo - obiecał Entreri z paskudnym uśmiechem i jakby chcąc udowodnić nieprawdziwość swego twierdzenia, wyskoczył z furią do przodu, trzymając przed sobą miecz.

Dłonie Drizzta poruszyły się niczym we mgle, jego sejmity trafiły zręcznie jeden za drugim w nachyloną broń. Mroczny elf przesunął się w bok, starając się nie opierać o ścianę.

Drizzt zgadzał się w pełni z oceną zabójcy - to nie pójdzie tak łatwo, niezależnie kto zabije. Będą walczyć przez wiele minut, być może przez godzinę. I w jakim celu? - zastanawiał się Drizzt. Jakich korzyści mógł oczekiwać? Czy pokaże się Vierna i jej kohorta, by przedwcześnie zakończyć pojedynek?

W jakiej sytuacji znaleźliby się wtedy Drizzt i Regis, nie mając gdzie uciec, z ogromną przepaścią tuż obok!

Zabójca znów wyprowadził atak, a Drizzt znów wykonał sejmitemi odpowiednią, doskonale zrównoważoną obronę. Entreri nie dotarł wystarczająco blisko, by go trafić.

Entreri przeszedł wtedy do obrotu, naśladując ruchy Drizzta w ich dwóch poprzednich spotkaniach, kręcąc swymi dwoma ostrzami niczym gwintem śruby, by zmusić Drizzta do wycofania się na węższy fragment półki.

Drizzt był zdumiony, że zabójca nauczył się tak idealnie tak śmiałego i trudnego manewru, jednak to Drizzt wymyślił ten ruch i wiedział jak go skontrolować.

On również zaczął się obracać, jego sejmitary krążyły w górę i w dół. Przy każdym obrocie ostrza łączyły się, czasami krzesząc iskry w mrok nocy przy akompaniamencie brzęku metalu, a zieleń i błękit mieszały się w nierozróżnialną mgłę. Drizzt przysunął się do Entreriego. Zabójca zmienił nagle kierunek, jednak Drizzt dostrzegł to i zatrzymał się, obydwoma ostrzami blokując odwrócone cięcie mieczem i sztyletem.

Drizzt znów zaczął, kontrując Entreriego, i tym razem kiedy zabójca znów zmienił kierunek obrotu, drow przewidział to tak dokładnie, iż to on pierwszy przeszedł do obracania się w przeciwną stronę.

Dla Regisa, wpatrującego się bezradnie i nie mającego śmiałości interweniować, oraz dla wszelkich nocnych stworzeń z tej okolicy, które mogły obserwować, nie istniały słowa, by opisać ten zdumiewający taniec, przeplatanie się kolorów, gdy mijały się Błysk oraz lśniące ostrze zabójcy, fioletowe iskry oczu Drizzta, czerwone ciepło Entreriego. Zgrzyt ostrzy stał się symfonią, miriadami nut przygrywających do tańca, wzbudzającymi dziwne poczucie harmonii pomiędzy zażartymi przeciwnikami.

Zatrzymali się jednocześnie, kilka kroków od siebie, obydwaj rozumiejąc, że nie byłoby końca temu obrotowemu tańcowi, żaden z graczy nie uzyskałby przewagi. Stali naprzeciwko siebie niczym odważnicy o identycznej wadze.

Entreri roześmiał się głośno, zdawszy sobie z tego sprawę, roześmiał się, że może rozkoszować się tą chwilą, tą wieloaktową sztuką, która prawdopodobnie ujrzy światło wschodzącego słońca, a być może nigdy się nie zakończy.

Drizzta to nie bawiło, a początkowa ochota do walki uleciała, pozostawiając go z brzemieniem odpowiedzialności - za Regisa oraz za przyjaciół w tunelach.

Zabójca zaatakował nisko i silnie, pchając mieczem podnoszącym się przy każdym uderzeniu, gdy Entreri stopniowo prostował swoją postawę, sprawdzając dokładnie obronę Drizzta z rozmaitych przebiegłych kątów.

Entreri wprowadził drowa w rytm parowania, po czym złamał tę melodię podstępym cięciem sztyletem. Zabójca zawył z radości, myśląc przez chwilę, że jego ostrze się przedarło.

Zgrabnie przejęła go rękojeść Błysku, chwyciła go i trzymała, zaledwie centymetry od boku Drizzta. Zabójca skrzywił się i uparcie starał się pchać, gdy doszła do niego prawda.

Wyraz twarzy Drizzta był jeszcze chłodniejszy. Sztylet ciągle się nie poruszał.

Wykonany przez drowa obrót nadgarstka odrzącił szeroko obydwaj ostrza. Entreri był na tyle przebiegły, by odsunąć się i rozerwać broń, by poczekać na następną możliwość, by pokazać, na co go stać.

- Prawie cię dostałem - drażnił. Dobrze ukrył swój grymas, gdy Drizzt w żaden sposób nie odpowiedział, ani słowami, ani ruchami ciała, ani niewzruszonymi rysami swej mahoniowej twarzy.

Sejmitar uderzył w poprzek, brzęcząc donośnie na wietrze, gdy Entreri ustawił swój blokujący miecz na jego drodze.

Nagły dźwięk ogarnął Drizzta, przypomniał mu, że Vierna może być niedaleko. Wyobraził sobie swych przyjaciół w poważnych tarapatach, schwytych lub martwych, poczuł wyjątkowe wyrzuty za Wulfgara, których nie mógł wyjaśnić. Skrzyżował spojrzenia z Entrerim, przypominając sobie, że ten mężczyzna był przyczyną tego wszystkiego, że ten wróg oszustwem zaciągnął go do tych tuneli, oddzielił go od jego przyjaciół.

A teraz Drizzt nie mógł ich bronić.

Sejmitar uderzył w poprzek, drugi ruszył w przeciwnym kierunku. Drizzt powtórzył to posunięcie, a później jeszcze raz, i każdy ruch, każde brzęknięcie metalu o metal, kierowało jego myśli na stojące przed nim zadanie, wzmacniało jego emocjonalne przygotowanie oraz instynkty wojownika.

Każde uderzenie było doskonale wycelowane, a każde parowanie idealnie przyjmowało na siebie atakujące ostrza, a mimo to ani Drizzt, ani Entreri, skupieni na spoglądaniu sobie w oczy, nie obserwowali swoich dłoni. Żaden z nich nie mrugał, nie, gdy podmuch wysokiego cięcia postawił włosy na czubku głowy zabójcy, nie, gdy pchnięcie mieczem Entreriego zostało sparowane na grubość włosa od oka Drizzta.

Drizzt czuł jak rośnie jego pęd, czuł jak zadawanie i przyjmowanie ciosów staje się coraz szybsze, uderzenie i parowanie. Entreri, równie pochłonięty jak tropiciel, ścigał się z nim.

Ruchy ich ciał zaczęły dorównywać rozmyciu dłoni i broni. Entreri pochylił bark i miecz wystrzelił do przodu. Drizzt wykonał kompletny obrót, parując za plecami, gdy usunął się z zasięgu.

Tropiciela dręczyły obrazy Bruenora i Catti-brie, schwytych przez Viernę. Wyobrażał sobie Wulfgara, rannego lub umierającego, z mieczem drowa w gardle. W jego myślach pojawił się barbarzyńca na czubku stosu pogrzebowego, obraz, który z jakiegoś niezrozumiałego przez Drizzta powodu nie dawał się łatwo odrzucić. Drizzt akceptował te obrazy, kierował pełną uwagę na ten mentalny szturm, pozwalał, by obawy o jego przyjaciół podsyciły jego pasję. Istniała różnica pomiędzy nim a zabójcą, przypominał sobie, przypominał tej części siebie, która spierała się z nim, by zachował czystość umysłu, a ruchy były precyzyjne i przemyślane.

To właśnie w ten sposób Entreri zawsze grał w tę grę, zawsze całkowicie się kontrolując, nigdy nie odczuwając nic poza myślami o aktualnym przeciwniku.

Z ust Drizzta wydostał się cichy warkot, a jego lawendowe oczy zalśniły w świetle gwiazd. W jego umyśle Catti-brie krzyczała z bólu.

Natarł na Entreriego w dzikim szale.

Zabójca zaśmiał się z niego, wymachując zaciekle mieczem i sztyletem, by nie dopuścić do siebie dwóch sejmitarów. - Poddaj się wściekłości - szydził. - Odrzuć swą dyscyplinę.

Entreri nie rozumiał i właśnie o to chodziło.

Błysk wykonał cięcie, jak można było przewidzieć, sparowane przez miecz Entreriego. Tym razem jednak nie miało być tak łatwo dla zabójcy. Drizzt wycofał się i znów ciął, a później ponownie, raz za razem, dobrowolnie uderzając swym ostrzem w nad stawi ona broń zabójcy. Jego drugie ostrze natarło z furją z drugiej strony, a sztylet Entreriego odbił je w bok.

Gwałtowność Drizzta, można by powiedzieć czyste szaleństwo, utrzymywało zabójcę bez przerwy w stanie gotowości. Tuzin trafień, dwa tuziny, brzmiały niczym jeden krzyk brzęczącej stali.

Wyraz twarzy Entreriego zadawał kłam j ego śmiechowi. Nie spodziewał się tak szalonego ataku, nie spodziewał się, że Drizzt tak się ośmieli. Gdyby mógł na jedną chwilę uwolnić któreś ze swoich ostrzy, Drizzt byłby wystawiony na uderzenie.

Jednak Entreri nie mógł uwolnić miecza ani sztyletu. Ognie pchały Drizzta do przodu, utrzymywały jego tempo niemożliwie szybkim, a koncentrację idealną. Do dziewięciu piekieł z jego życiem, uznał, jego przyjaciele potrzebowali go, musiał więc wygrać.

Ofensywna seria trwała dalej. Regis zasłonił uszy przed strasznym skowytem i zgrzytem ostrzy, jednak pomimo całego swego przerażenia halfling nie był w stanie oderwać wzroku od walczących mistrzów. Jakże wiele razy Regis spodziewał się, że któryś z nich lub obydwaj spadną w przepaść! Jakże wiele razy wydawało mu się, że pchnięcie mieczem lub sejmitarem ugodziło w cel! W jakiś jednak sposób wciąż walczyli, każdy atak po prostu chybiał, każda obrona blokowała cios w ostatnim możliwym momencie.

Błysk trafił w miecz. Następny atak Drizzta z drugiej strony nie został sparowany, lecz przeszedł za daleko, gdy Entreri przesunął stopę i cofnął się o krok.

Ręka ze sztyletem zabójcy wystrzeliła w przód. Entreri wydał z siebie okrzyk zwycięstwa, myśląc, że się prześlizgnął.

Błysk opadł w poprzek z wysoka, szybciej niż Entreri się spodziewał, szybciej niż zabójca uważał za możliwe, rozcinając mu ramię na chwilę przed tym, zanim zdołał zbliżyć sztylet do odsłoniętego brzucha Drizzta. Sejmitar podążył w tył, na odlew odtrącając miecz. Entreri wyskoczył do przodu, by zbliżyć się, zdając sobie sprawę, że jest odkryty.

Nagła szarża ocaliła mu życie, jednak choć Drizzt nie mógł wygiąć czubka swego wolnego ostrza na tyle, by zadać śmiertelne pchnięcie, mógł, i nie omieszkiał tego zrobić, uderzyć rękojeścią, trafiając Entreriego mocno w twarz i posyłając go chwiejnym krokiem w tył.

Mocny elf natarł, błyskając niestrudzenie ostrzami, spychając Entreriego na krawędź urwiska. Zabójca starał się skierować na prawo, jednak jeden sejmitar odtrącił na bok jego blokujący miecz, podczas gdy manewrując drugim, Drizzt utrzymywał się bezpośrednio przed nim. Zabójca zaczął się przemieszczać w lewo, jednak przy wolniejszej reakcji zranionej ręki wiedział, że nie zdoła wyjść na czas poza zasięg drowa. Entreri utrzymywał więc pozycję, parując zaciekle, starając się wyjść z kontratakami, który zepchnie tego opętanego przeciwnika do tyłu.

Oddech wydostawał się z Drizzta krótkimi sapnięciami, dostosowując się do szaleńczego rytmu. Oczy mu błyszczały bezlitośnie, gdy przypominał sobie raz po raz, że jego przyjaciele umierają - a on nie może ich chronić!

Zbyt daleko zabrnął w szal, ledwo dostrzegał ruchy, gdy poleciał na niego sztylet. W ostatniej chwili uchylił się w bok, a na skórze ponad jego kością policzkową pojawiło się kilkucentymetrowe cięcie. Co więcej, zakłócił się rytm Drizzta. Ręce bolały go od wysiłku, pęd się wyczerpał.

Powarkując zabójca rzucił się do natarcia, pchając mieczem, a nawet trafiając lekko, gdy odpychał Drizzta i okręzał go. Do czasu aż tropiciel odzyskał w jakiś sposób równowagę, to palce jego stóp, nie Entreriego, skierowane były na zbocze, jego pięty czuły swobodną pustkę górskich wiatrów.

- Jestem lepszy! - obwieścił Entreri, a jego następny atak niemal udowodnił prawdziwość tych słów. Siecząc i pchając mieczem, wyprowadził piętę Drizzta poza krawędź.

Drizzt opadł na jedno kolano, by zachować środek ciężkości w przedzie. Czuł wyraźnie wiatr, słyszał jak Regis krzyczy jego imię.

Entreri mógł odskoczyć i podnieść sztylet, wyczuł jednak zwycięstwo, wyczuł, że nigdy nie będzie już miał lepszej możliwości, by zakończyć tę grę. Jego miecz opadł z furią w dół. Wydawało się, że Drizzt załamał się pod jego ciężarem. Wydawało się, że ześlizguje się jeszcze dalej za krawędź.

Drizzt sięgnął w głąb siebie, sięgnął do swej wrodzonej, wynikającej z dziedzictwa magii... i stworzył ciemność.

Drizzt rzucił się przewrotem w bok i podniósł kilka kroków dalej wzdłuż krawędzi, za kulą mroku, którą stworzył obok Regisa.

Niewiarygodne, ale Entreri wciąż znajdował się przed nim, napierając na niego ostro.

- Znam twoje sztuczki, drowie - oznajmił wyszkolony zabójca.

Część Drizzta Do'Urdena chciała się wtedy poddać, po prostu położyć i pozwolić górom się pochłonać, jednak ów moment słabości był krótki, Drizzt otrząsnął się z niego, podsycił nim nieugiętego ducha i poczuł siłę w znużonych ramionach.

Jednak wygłodniały Entreri również się podsycił.

Drizzt ześlizgnął się nagle i musiał złapać krawędzi, puszczać chwyt na ostrzu. Błysk zjechał z urwiska, spadając po kamieniach.

Miecz Entreriego opadł w dół, zablokowany tylko przez drugi sejmitar. Zabójca zawył i odskoczył, wracając zaraz z pchnięciem.

Drizzt nie mógł go zatrzymać, Entreri wiedział o tym, jego oczy stały się szerokie, gdy w końcu pojawiła się chwila zwycięstwa. Kąt, pod którym drow trzymał broń, był nieprawidłowy. Drizzt nie był w stanie opuścić i obrócić ostrza na czas.

Nie mógł go zatrzymać!

Drizzt nie próbował go zatrzymać. Niepostrzeżenie zwinął pod sobą nogę, szykując się do przewrotu, i rzucił się w bok, gdy miecz zanurkował w jego stronę, ledwo chybiając. Drizzt obrócił swe leżące ciało, jedną nogą kopiąc Entreriego w kostkę, drugą zaś zahaczając i uderzając zabójcę w tylną część kolana.

Dopiero wtedy Entreri uświadomił sobie, że ześlizgnięcie drowa i stracony sejmitar były podstępem. Dopiero wtedy Artemis Entreri uświadomił sobie, że pokonała go jego własna żądza zwycięstwa.

Padł do przodu z zamiarem pchnięcia, kierując się w stronę krawędzi. Każdy mięsień w jego ciele był napięty. Wbił swój wąski miecz w stopę Drizzta i w jakiś sposób zdołał chwycić wolną dłonią przebitą but drowa.

Pęd był zbyt wielki by Drizzt, wciąż leżący wzdłuż gładkiej krawędzi, mógł ich obu utrzymać. Drow został pociągnięty za Entrerim, ześlizgiwał się po kamieniach, a ból w stopie stopniowo zelżał, gdy bardziej dotkliwie stały się zadrapania i siniaki z otarć o głązy.

Drizzt trzymał mocno drugi sejmitar, zacisnął rękojęść i chwycił go jeszcze drugą ręką.

Zatrzymał się nagle, a Entreri wisiał pod nim, nad cofniętym fragmentem, który nie dawał zabójcy żadnej szansy na znalezienie uchwytu. Drizztowi wydawało się, że wszystkie jego wnętrzości zostaną wydarte przez przebitą stopę. Zerknął w dół i zobaczył, że jedna z rąk Entreriego wymachuje szaleńczo, druga zaś trzyma się z desperacją rękojęści miecza, makabrycznej i niepewnej nici łączącej go z życiem.

Drizzt jęknął i skrzywił się, niemal mdlejąc z bólu, gdy ostrze ześlizgnęło się kilkanaście

centymetrów.

- Nie! - usłyszał zaprzeczenie Entreriego i zabójca stał się zupełnie nieruchomy, najwidoczniej zrozumiał, co go czeka.

Drizzt spojrział na niego, wiszącego w powietrzu, wciąż dobre sześćdziesiąt metrów od ziemi.

- To nie jest droga do ogłoszenia zwycięstwa! - w przyływie desperacji zawołał do niego Entreri. - To niezgodne z zasadami pojedynku i pozbawia cię szacunku.

Drizzt przypomniał sobie o Catti-brie i znów odczuł to dziwne przeczucie, że stracił Wulfgara.

- Nie wygrałeś! - krzyknął Entreri.

Drizzt pozwolił, by przemówiły za niego jego lawendowe oczy. Oparł solidnie ręce, zacisnął zęby i przekręcił stopę, czując jak każdy przenikliwie bolesny centymetr miecza prześlizguje się przez nią.

Entreri próbował się wspiąć i szamotał, i niemal chwycił Drizzta wolną ręką, kiedy ostrze uwolniło się.

Zabójca potoczył się w mrok nocy, a jego krzyk pochłonęło zawodzenie górskiego wiatru.

ROZDZIAŁ 21

WIATR W GÓRSKIEJ DOLINIE

Drizzt powoli podciągnął się i zdołał dotknąć dłonią rozerwanego buta, gdzie w jakiś sposób zatkał upływ krwi. Rana była przynajmniej czysta i po kilku próbach Drizzt zauważył, że wciąż może używać tej stopy, że choć z bólem, ale utrzyma jego ciężar.

- Regis? - zawołał w górę klifu. Przez krawędź wyrzwał ciemny kształt głowy halflinga.

- Drizzt? - odkrzyknął z wahaniem Regis. - Ja... ja myślałem...

- Wszystko w porządku - zapewnił go drow. - Nie ma już Entreriego. - Z tej odległości Drizzt nie mógł dostrzec anielskich rysów Regisa, potrafił sobie jednak wyobrazić radość, jaką ta wiadomość sprawiła jego udręczonemu przyjacielowi. Entreri ścigał Regisa od wielu lat, schwycił go dwukrotnie, i żaden z tych razów nie był dla halflinga przyjemnym doświadczeniem. Regis bał się Artemisa Entreri bardziej niż czegokolwiek na świecie, i wyglądało na to, że teraz halfling mógł wreszcie pozbyć się tych obaw.

- Widzę Błysk! - halfling zawołał z ekscytacją. Ponad krawędzią pojawił się zarys jego ręki, wyciągniętej w dół. - Lśni na dole, na prawo od ciebie.

Drizzt spojrział w tamtą stronę, nie widział jednak dna przepaści, bowiem tuż pod nim skała się nachylała. Przesunął się ostrożnie w bok, i, jak twierdził Regis, w jego polu widzenia pojawił się magiczny sejmitar, którego niebieskie lśnienie kontrastowało z ciemnymi kamieniami dna doliny. Drizzt z rozwągą zastanawiał się przez parę chwil nad tym widokiem. Dlaczego sejmitar, będąc poza jego dłonią, tak błyszczał? Zawsze uważał ogień ostrza za odbicie samego siebie, za magiczną reakcję empatyczną płomienie w jego wnętrzu.

Skrzywił się na myśl, że być może Artemis Entreri zabrał ostrze. Drizzt wyobraził sobie szczerzącego się do niego zabójcę, trzymającego Błysk jako ironiczną przynętę.

Drizzt odrzucił natychmiast tę mroczną wizję. Widział upadek Entreriego z cofniętego zbocza, na którym nie było czego się złapać. Im dalej opadał, tym bardziej oddalała się od niego ściana.

Najlepszym na co mógł liczyć zabójca, był ślizg po dziesięcio lub piętnastometrowym upadku. Nawet jeśli nie był martwy, z pewnością nie stał na dnie doliny.

Cóż więc miał zrobić Drizzt? Pomyślał, że powinien natychmiast wrócić do Regisa i kontynuować poszukiwania, by poznać los swych przyjaciół. Mógł z łatwością wrócić tutaj z Doliny Strażnika, gdy już skończą się kłopoty, i miał ogromną szansę na to, że żaden goblin czy górski troll nie znajdą broni.

Rozważywszy jednak jeszcze raz możliwość kolejnej walki z podwładnymi Vierny, Drizzt zdał sobie sprawę, że lepiej czułby się z Błyskiem w dłoni. Znów spojrzał w dół i sejmitar zawołał do niego - poczuł to w swoim umyśle i nie mógł być pewien, czy to sobie wyobraził, czy też Błysk posiadał jakieś właściwości, których Drizzt jeszcze nie rozumiał. Również coś innego wołało do Drizzta, jeśli nie przed nikim innym, to musiał to przyznać przed samym sobą. Jego ciekawość co do losu zabójcy nie zostanie tak łatwo zaspokojona. Drizzt spałby spokojniej, gdyby znalazł u podstawy górskiego zbocza połamane ciało zabójcy.

- Idę po ostrze! - wrzasnął drow do Regisa. - Nie zajmie mi to długo. Krzycz w razie jakichś kłopotów.

Usłyszał z góry lekkie skamłanie, lecz Regis jedynie krzyknął - Pospiesz się! - i nie spierał się z jego decyzją.

Drizzt schował do pochwy pozostały mu sejmitar i ostrożnie dobierał drogę wokół cofniętego fragmentu, chwytając solidne uchwyty i starając się jak najbardziej zdjąć ciężar z rannej stopy. Po ponad piętnastu metrach dotarł do ostro nachylonego, lecz nie pionowego obszaru luźnych kamieni. Nie było tam uchwytów, lecz Drizzt ich nie potrzebował. Położył się płasko na ścianie i powoli zjechał w dół.

Kącikiem oka zauważył niebezpieczeństwo. Miało nietoperze skrzydła, było wielkości człowieka i leciało ostrymi zakosami na wietrze górskiej doliny. Drizzt oparł się mocniej, gdy kształt skręcił, ujrzał wtedy niebieskozielony blask znajomego miecza.

Entreri!

Zabójca zarechotał radośnie przemykając obok i trafiając drowa lekko w ramię. Płaszcz Entreriego przekształcił się, stał się nietoperzymi skrzydłami!

Drizzt znał teraz prawdziwy powód, dla którego diabelski zabójca postanowił walczyć na półce skalnej.

Zabójca wykonywał drugi przelot, bliżej, uderzył drowa płazem miecza i kopnął go w plecy.

Drizzt przetoczył się i zaczął niebezpiecznie ześlizgiwać, luźne kamienie pod nim poruszały się. Wyciągnął sejmitar i w jakiś sposób sparował uderzenie przy następnym przelocie.

- Masz taki płaszcz jak ja! - drażnił Entreri, zawracając ostro jakiś kawałek dalej i wydając się wisieć w powietrzu. - Biedny, mały drow, nie ma sieci, która mogłaby go złapać. - Rozległ się kolejny radosny rechot i zabójca obniżył lot, wciąż zachowując bezpieczny dystans, wiedząc, że do niego należy przewaga i nie może pozwolić, by znów pokonała go popędliwość.

Miecz, niosący za sobą pęd szybkiego lotu zabójcy, uderzył mocno w sejmitar Drizzta i choć tropiciel zdołał utrzymać wąskie ostrze z dala od swego ciała, Entreri z pewnością wygrał starcie.

Drizzt znów się ześlizgiwał. Odwrócił się, by być skierowany do skały, starał się jej uchwycić, wsunął pod siebie jedną rękę i rozcapierzył palce, wykorzystując swój ciężar, by wbić je wystarczająco głęboko w luźny żwir, aby spowolnić upadek. Drizzt wydawał się bezradny w tej strasznej chwili, równie go pochłaniało utrzymywanie niebezpiecznej pozycji, jak parowanie uderzeń zabójcy.

Kilka następnych przelotów pośle go najprawdopodobniej w objęcia śmierci.

- Nawet nie jesteś w stanie poznać moich licznych sztuczek! - krzyknął zwycięsko zabójca, pikując w stronę swej zdobyczy.

Drizzt przetoczył się, by odwrócić w stronę Entreriego. Wolna ręka tropiciela podniosła się w górę i wyprostowała, trzymając coś, czego Entreri się nie spodziewał.

- A ty nie możesz poznać moich! - rzucił Drizzt. Dokonał rozeznania w nagle zawiłych manewrach zabójcy i strzelił z kuszy, którą zabrał drowowi zabitemu pod szybem.

Entreri uderzył się ręką w bok szyi, wrywając bełt zaraz po tym, jak go użądlił. - Nie! - zawył, czując pieczenie trucizny. - Bądź przeklęty! Bądź przeklęty, Drizzcie Do'Urden!

Zniżył lot w stronę ściany, wiedząc, że latanie podczas snu byłoby mniej niż rozsądne, jednak podstępny środek zaczął już krążyć głównymi arteriami, zamazując mu wzrok.

Odbił się od ściany siedem metrów na prawo od Drizzta, światło miecza zgasło natychmiast, gdy wypadł mu z ręki.

Drizzt usłyszał jęk, a następnie kolejne przekleństwo, tym razem przerwane przez donośne ziewnięcie.

Nietoperze skrzydła płaszcza wciąż biły, utrzymując zabójcę w powietrzu. Nie mógł jednak skupić znużonego umysłu na zmianie kierunku, dryfował więc na górskim wietrze, ponownie uderzając w ścianę, a później trzeci raz.

Drizzt usłyszał trzask kości. Lewa ręka Entreriego wisiała pod jego poziomą sylwetką. Nogi również opadły, trucizna wysssała z nich siłę.

- Bądź przeklęty - powtórzył niepewnie, wyraźnie tracąc przytomność. Płaszcz złapał wtedy najwyraźniej podmuch powietrza, bowiem Entreri poleciał w głąb doliny i został pochłonięty przez mrok niczym przez śmierć.

Zejscie z tego miejsca nie było zbyt trudne czy niebezpieczne dla zwinnego drowa. Pokonanie zbocza stało się odpoczynkiem, paroma chwilami, podczas których mógł sobie pozwolić na zmniejszenie czujności i zastanowić się nad potwornością tego, co właśnie się stało. Jego walka z Entrerim, ciągnąca się od tak długiego czasu, była brutalniejsza i gwałtowniejsza niż wszystko, co Drizzt znał do tej pory. Zabójca był jego przeciwieństwem, mrocznym odbiciem duszy Drizzta, uosabiał sobą największe obawy, jakie drow kiedykolwiek żywił względem swej przyszłości.

Teraz się skończyła. Drizzt roztrzaskał lustro. Czy naprawdę czegoś dowiedział? - zastanawiał się. Być może nie, jednak przynajmniej pozbawił świat niebezpiecznego i złego człowieka.

Z łatwością odnalazł Błysk. Sejmitar zaślnił jasno, gdy go podniósł, po czym jego wewnętrzne światło zamarło, by ukazać odbicia gwiazd na srebrnej powierzchni. Drizzt ucieszył się z tego widoku i z czcią wsunął sejmitar z powrotem do pochwy. Zastanawiał się, czy nie poszukać miecza zgubionego przez Entreriego, jednak przypomniał sobie, że nie może marnować czasu, że Regis, i najprawdopodobniej także pozostali przyjaciele, potrzebują go.

Po kilku minutach był już z powrotem przy halflingu, przyciągając Regisa do swego boku i kierując się do wejścia do tunelu.

- Entreri? - spytał z wahaniem halfling, jakby nie był w stanie dopuścić do siebie, że zabójcy już naprawdę nie ma.

- Uleciał z górskim wiatrem - odparł pewnie, lecz bez śladu wyższości Drizzt. - Uleciał z wiatrem.

* * *

Drizzt nie mógł wiedzieć, jak dokładna okaże się jego zagadkowa odpowiedź. Oszołomiony i szybko tracący przytomność Artemis Entreri dryfował na prądach wznoszących szerokiej doliny. Jego umysł nie mógł się skupić, nie mógł wysłać telepatycznych rozkazów do ożywionego płaszcza, a bez jego kontroli magiczne skrzydła wciąż były.

Poczuł, że podmuch powietrza zwiększa się wraz z jego prędkością. Mknął wraz z nim, ledwo świadom tego, że leci.

Entreri potrząsnął gwałtownie głową, starając się wyrwać z uporczywego uchwytu trucizny usypiającej. Gdzieś w zakamarku umysłu wiedział, że musi się w pełni obudzić, musi odzyskać kontrolę i zwolnić lot.

Jednak podmuch powietrza tak przyjemnie owiewał jego policzki. Odgłosy wiatru w uszach dawały mu poczucie wolności, wyzwolenia się z ludzkich więzów.

Zamrugnął oczyma i ujrzał jedynie bezgwiezdny, złowroźną czern. Nie mógł sobie uświadomić, że jest to koniec doliny, zbocze góry.

Powiew wiatru skłonił go, by pogrążyć się we śnie. Uderzył w ścianę głową. W jego głowie i ciele wybuchły ogniste eksplozje. Powietrze opuściło jego płuca w jednym wielkim wydechu.

Nie był świadom tego, że siła uderzenia rozdarła jego magiczny płaszcz, złamała nałożone na skrzydła zaklęcie. Nie był świadom tego, że wiatr w jego uszach był teraz odgłosem spadania ani że znajduje się sześćdziesiąt metrów nad ziemią.

ROZDZIAŁ 22

SZARŻA CIĘŻKIEJ BRYGADY

Pochód prowadziło dwunastu opancerzonych krasnoludów, ich nachodzące na siebie tarcze przedstawiały sobą solidną metalową ścianę dla wrogich broni. Tarcze miały specjalne zawiasy, pozwalające krasnoludom z brzegów wejść za przedni szereg, gdy korytarz się zwężał.

W następnych szeregach znajdował się generał Dagna i jego elitarny oddział kawalerii, każdy żołnierz uzbrojony był w ciężką kuszę, załadowaną specjalnymi bełtami z czubkami ze srebrno-białego metalu. Kilku osobników niosących pochodnie, z których każdy trzymał przed sobą dwa płonące polana, by mogli mieć do nich łatwy dostęp jeźdźcy, maszerowało pomiędzy wierzchowcami dwudziestu żołnierzy Dagny. Pozostała część krasnoludzkiej armii szła z tyłu, z ponurymi grymasami, różniącymi się od tych min, jakie mieli na twarzach, gdy podążali tą samą drogą, by walczyć z goblinami.

Krasnoludy nie śmiały się, gdy w grę wchodziły mroczne elfy, a poza tym, według wszelkich znaków, ich król był "w poważnych kłopotach".

Dotarli do bocznego korytarza, znów czystego, bowiem czary ciemności już dawno się rozproszyły. Przed nimi leżały kości ettina, w jakiś sposób nie naruszone podczas harmidru poprzedniego spotkania.

- Kapłani - wyszeptał Dagna i to ciche wezwanie zostało powtórzone w szeregach krasnoludów. Gdzieś w najbliższych rzędach za elitą Dagny pół tuzina krasnoludzkich kapłanów, ubranych w swoje kowalskie fartuchy i trzymających w podniesionych pięściach mithrilowe święte symbole w kształcie młotów bojowych, zauważyło swoje cele - dwa z boku, dwa z przodu i dwa w górze.

- Cóż - powiedział Dagna do krasnoludów z tarczami w przednim szeregu. - Dajcie im coś, w co warto strzelać.

Ściana tarcz rozstąpiła się, dwunastu krasnoludów rozciągnęło się wzdłuż szerokiego rozwidlenia. Nic się nie stało.

- Cholera - rzekł nadąsany Dagna po paru pozbawionych wydarzeń chwilach, zdając sobie sprawę, że mroczne elfy wycofały się do kolejnej pułapki. Po minucie przywrócono szyk bitewny i wojsko ruszyło dalej z większą prędkością, zaledwie mała grupa udała się w boczny korytarz, by upewnić się, że przeciwnicy nie pojawią się na tyłach.

Pomiędzy szeregami przebiegły mrukliwe gwizdnięcia, chętne do walki krasnoludy denerwowały się opóźnieniem.

Jakiś czas później warknięcie jednego z ogarów, trzymanego na smyczy w środkowych szeregach, rozległo się jako jedyne ostrzeżenie.

W górze brzęknęły kusze. Większość bełtów odbiła się nieszkodliwie od złączonych tarcz, jednak niektóre, lecące z większej wysokości, ugodziły krasnoludy w drugim i trzecim szeregu. Padł jeden z niosących pochodnie, a jego płonący ładunek spowodował mały zamęt u wierzchowców dwóch najbliższych jeźdźców. Krasnoludy i ich wierzchowce były jednak dobrze wytrenowane i sytuacja nie przerodziła się w chaos.

Klerycy rozpoczęli swoje zaśpiewy, recytując odpowiednie magiczne słowa. Dagna i jego

jeźdźcy przyłożyli czubki swych osadzonych na kuszach bełtów do płonących pochodni. Przedni szereg policzył wspólnie do dziesięciu, po czym przewrócił się na plecy, trzymając nad sobą tarcze.

Ruszyła kawaleria, opancerzone dziki chrząknęły, a pokryte magnezją pociski zapłonęły intensywnym białym światłem. Szarżująca kawaleria przedostała się szybko poza zasięg pochodni, jednak w korytarzu przed nimi rozbrzły kapłańskie czary, magiczne światła rozproszyły ciemność.

Dagna oraz wszyscy pozostali członkowie jego oddziału zakrzyknęli radośnie, widząc, jak tym razem mroczne elfy uwijają się pospiesznie, najwidoczniej zaskoczone nagłą zaciekłością i szybkością ataku krasnoludów. Drowy były przekonane, że mogą przegonić krótkonogie krasnoludy, i tak było w istocie, jednak nie mogły przegonić krzepkich, zaopatrzonych w kły wierzchowców.

Dagna zauważył, że jeden z mrocznych elfów odwraca się i wyciąga rękę, jakby do rzutu, a obeznany ze światem i mądry generał zrozumiał, że chce on wykorzystać swą zdolność do czynienia ciemności, starając się przeciwstawić piekącym magicznym światłom.

Kiedy bełt z magnezją zapalił się wewnątrz brzucha drowa, jego obiekt zainteresowania, jak można było przewidzieć, zmienił się.

- Piaskowiec! - krzyknął jeździec przy Dagnie, używając krasnoludzkiego przekleństwa. Generał zobaczył, że jego towarzysz pochyla się do tyłu, kierując broń w górę. Poruszył się gwałtownie - najwyraźniej trafiony przez jakiś pocisk - lecz zdołał wystrzelić z własnej kuszy, zanim stoczył się z siodła, objając o kamienie.

Płonący bełt spudłował, jednak i tak oznaczał zgubę dla unoszącego się drowa, naprowadził bowiem innych krasnoludzkich żołnierzy, piechotę, nacierających z tyłu.

- Strop! - krzyknął jakiś krasnolud i dwa tuziny kuszników przyklękęło, podnosząc wzrok w górę. Żołnierze dostrzegli ruch pomiędzy kilkoma stalaktytami i wystrzelili praktycznie jednocześnie.

Kiedy przeładowywali, przemknęło obok nich więcej krasnoludów, a ogary wydawały z siebie wzbudzające niepokój ujadanie. Oddział Dagny nacierał w gorącym pościgu, niewiele przejmując się tym, że wyszedł poza oświetlony obszar. Tunele były dość płaskie, a uciekające drowy niedaleko.

Jeden z kapłanów zatrzymał się, by pomóc klęczącym kusznikom. Pokazali mu ogólny kierunek, w który mieli wycelowane bełty, a on umieścił tam czar światła.

Martwy drow, którego tors rozerwały dwie dziesiątki ciężkich pocisków, wisiał nieruchomo w powietrzu. Jakby ujawniające go światło było znakiem, jego czar lewitacji rozproszył się i drow spadł z siedmiu metrów na podłogę.

Krasnoludy nawet na niego nie spojrzały. Światło na suficie ujawniło dwóch ukrytych towarzyszy drowa. Te nowe mroczne elfy starały się szybko skontrolować czar swymi wrodzonymi mocami ciemności, jednak wyszkoleni kusznicy wzięli ich na cel i nie potrzebowali już ich widzieć.

Jęki i wrzaski bólu towarzyszyły szalonym eksplozjom, gdy salwa beltów odbiła się od licznych stalaktytów. Dwa drowy spadły, jeden wił się na podłodze, nie całkiem martwy.

Obskoczyły go zaciekle krasnoludy, pałując tępymi końcami swych ciężkich broni.

* * *

Jeden tunel stał się kilkoma, gdy jeźdźcy dotarli do regionu wijących się bocznych korytarzy. Dagna z łatwością ustalał cel, pomimo komplikującego się labiryntu oraz mroku. Niewielka ilość światła pomagała wręcz Dagnie, bowiem drow, którego ścigał, został trafiony w ramię, i płonąca bielą magnezja służyła za boję nacierającemu krasnoludowi.

Z każdym susem zmniejszał dystans. Zobaczył jak drow odwraca się w jego stronę, a jego ramię załśniło czerwienią, gdy pokazał je od przodu. Dagna upuścił kuszę i wyciągnął ciężki buzdygan, kierując dzika tak, by przejechać tuż obok zranionego boku drowa.

Drow, chwyciwszy przynętę, obrócił się ukośnie, wyciągając przed siebie jedyną sprawną broń.

W ostatniej chwili Dagna opuścił głowę i skręcił wierzchowcem, a oczy drowa rozszerzyły się, gdy uświadomił sobie nowy kierunek szalonego krasnoluda. Próbował odskoczyć na bok, otrzymał jednak solidne trafienie, kły ugodziły go tuż nad kolaniem, a żelazny hełm Dagny uderzył go w brzuch. Przeleciał chyba z pięć metrów i pewnie dotarłby dalej, gdyby nie zatrzymała go gwałtownie ściana tunelu.

Zbity w połamaną stertę u podstawy ściany, ledwo przytomny, drow zobaczył, jak Dagna zatrzymuje przed nim swojego wierzchowca i ujrzał, jak buzdygan krasnoluda unosi się w górę.

Eksplozja w jego głowie zajaśniała równie jaskrawo jak magnezja w jego ramieniu, a później była już tylko ciemność.

* * *

Posokowce prowadziły sporą grupę krasnoludzkiej armii na lewo od głównej komnaty, w region splecionych ze sobą, bardziej naturalnych grot. Żołnierze pomaszerowali prosto, z kapłanami w swoich szeregach, zaś pozostałe krasnoludy, uzbrojone nie w broń, lecz w narzędzia, przystąpiły do pracy za nimi oraz w korytarzach z boku.

Dotarli do poczwórnego rozwidlenia, a posokowce rozciągały swoje smycze w prawo i w lewo. Podstępne krasnoludy pociągnęły jednak psy prosto i, jak można było przewidzieć, ponad tuzin mrocznych elfów wślizgnęło się za nimi do środkowego tunelu, strzelając swymi paskudnymi

pociskami.

Armia obróciła się, klerycy wezwali swoje czary, by oświetlić teren, zaś drowy, wobec przewagi liczebnej cztery do jednego, roztropnie odwróciły się i uciekły. Nie miały powodu obawiać się, że ich droga jest zablokowana, nie, gdy przed nimi było tak wiele tuneli. Miały dość dobre pojęcie o liczbie krasnoludów i były pewne, że zablokowana będzie zaledwie połowa możliwości.

Wybrały pierwszą ścieżkę, jednak zrozumiały swą pomyłkę, wbiegły bowiem na świeżo skonstruowane żelazne drzwi, zamknięte sztabą z drugiej strony. Mroczne elfy mogły widzieć wokół krawędzi wrót - krasnoludy nie miały czasu, by je dopasować idealnie do nierównego tunelu - nie mogły się jednak prześlizgnąć.

Następny korytarz wydawał się bardziej obiecujący i zgodnie z nadziejami uciekających drowów musiał się takim okazać, bowiem krasnoludy, z ujadającymi dziko psami, znów następowały im na pięty. Okrążywszy zakręt mroczne elfy odkryły drugie drzwi i usłyszały za nimi młoty pracujących krasnoludów, kończących swe dzieło.

Zdesperowane mroczne elfy rzuciły po drugiej stronie wrót czary ciemności, spowalniając ich pracę. Znalazły wzdłuż krawędzi najszersze szpary i strzelały na ślepo w robotników, powiększając zamieszanie. Jeden z drowów przedostał dłoń i zlokalizował zamykającą sztabę.

Za późno. Psy okrążyły zakręt, za nimi zaś biegły krasnoludy.

Ciemność zapadła nad terenem bitwy. Krasnoludzcy kapłani, których moce były niemal na wyczerpaniu, skontrolowali ją, jednak wtedy kolejny drow znów zaczernił okolicę. Śmiałe krasnoludy walczyły na ślepo, dorównując umiejętnościom drowów za pomocą furii.

Jeden z krasnoludów poczuł gorąco, gdy niewidoczny przeciwnik wbił mu miecz pomiędzy żebra, przebijając mu płuco. Krasnolud wiedział, że rana okaże się śmiertelna, czuł jak krew wypełnia mu płuca i krztusi go. Mógł się wycofać, w nadziei że wypadnie z zaciemnionego obszaru blisko kapłana z czarami leczącymi, który będzie mógł zająć się raną. W tej krytycznej chwili krasnolud wiedział jednak, że przeciwnik jest wystawiony na cios, wiedział, że gdyby się wycofał, jeden z jego towarzyszy mógłby jako następny poczuć okrutny miecz drowa. Pochylił się do przodu, nabijając się mocniej na miecz, i uderzył swym młotem bojowym, trafiając raz, a później następny, w przeciwnika.

Przewrócił się na martwego drowa i zgiął z ponurym uśmiechem satysfakcji na brodatej twarzy.

Dwa krasnoludy, wbijające się głęboko ramię przy ramieniu, poczuły przed sobą zamierzony cel, odwróciły się jednak zbyt późno, by uniknąć zderzenia z żelaznymi drzwiami. Będąc zdezorientowanymi, lecz wciąż wyczuwając z boku ruch, każdy z nich zamachnął się mocno swoim młotem i każdy trafił w drugiego.

Przewrócili się w nieładzie i poczuli podmuch powietrza, gdy mroczny elf wrócił ponad nimi - tym razem na końcu krasnoludzkiej włóczni - i uderzył potężnie w drzwi. Drow padł ranny na dwóch

krasnodudów, w nich zaś pozostało jeszcze wystarczająco dużo refleksu i siły, by złapać za podarek. Kopali i gryźli, uderzali rękojeściami broni lub okrytymi rękawicami dłońmi. W przeciągu zaledwie kilku sekund rozdarli nieszczęsnego mrocznego elfa na strzępy.

Ponad dwie dziesiątki krasnodudów zginęły w końcu z rąk drowów w tym wąskim korytarzu, lecz padło również piętnastu mrocznych elfów, połowa sił, które miały blokować drogę do nowych sekcji.

* * *

Garstka drowów trzymała się wystarczająco długo przed swymi jadącymi na dzikach prześladowcami, by dotrzeć do dalekiej komnaty, tego samego pomieszczenia, w którym Drizzt i Entreri walczyli ku uciesze Vierny i jej sług. Roztrzaskane drzwi oraz kilku martwych towarzyszy powiedziało żołnierzom, że grupa Vierny została potężnie uszkodzona, lecz mimo to wierzyli, że zbawienie jest w zasięgu ręki, kiedy pierwszy z nich skoczył do szybu - skoczył i przykleił się do blokującej drogę pajęczyny.

Uwięziony drow szarpał się bezradnie, mając obydwie ręce całkowicie przyklejone. Jego towarzysze, nawet nie myśląc o pomocy swemu zgubionemu koledze, spojrzeli na drugie drzwi, tam szukając ratunku.

Dziki chrząknęły, a tuzin krasnodudzich jeźdźców zakrzyknął radośnie, przejeżdżając na swych wierzchowcach przez roztrzaskane drzwi.

Generał Dagna dotarł do komnaty zaledwie pięć minut później i ujrzał pięciu elfów, dwóch krasnodudów oraz trzy dziki, leżących martwych na podłodze.

Zadowolony, że w pobliżu nie ma żadnych innych przeciwników, generał nakazał inspekcję znacznego obszaru. Żal ugodził ich serca, gdy znaleźli zmiażdżone ciało Cobble'a pod przyzwaną żelazną ścianą, był on jednak wymieszany z pewną dozą nadziei, że Bruenor i pozostali ugodzili tu mocno przeciwnika i najwyraźniej, za wyjątkiem biednego Cobble'a, przeżyli.

- Gdzie jesteś, Bruenorze? - generał zadał pytanie w pusty korytarz. - Gdzie jesteś?

* * *

Determinacja oraz niezgoda na porażkę były ich jedyną siłą, gdy Catti-brie oraz Bruenor, znużeni, ranni i zwieszani na sobie dla wsparcia, przedzierali się krętymi tunelami, idąc coraz głębiej w naturalne korytarze. Bruenor trzymał w wolnej dłoni pochodnię, a Catti-brie miała łuk w gotowości. Żadne z nich nie wierzyło, że mieliby jakiegokolwiek szansę, gdyby napotkali mroczne elfy, w sercach

jednak żadne z nich nie sądziło, by mogli przegrać.

- Gdzie ten cholerny kot? - zapytał Bruenor. - I dzikus.

Catti-brie potrząsnęła głową, nie mając odpowiedzi. Kto wiedział, gdzie mógł udać się Pwent? Uciekł z jaskini w typowym ślepym szale i do tej chwili mógł już przebiec całą drogę do Wąwozu Garumna. Guenhwyvar była jednak inną historią. Catti-brie wsunęła dłoń do sakiewki, a jej czułe palce pogładziły zawile kształty figurki. Wyczuła, że pantery nie ma już w okolicy, i zawierzyła temu odczuciu, bowiem gdyby pantera nie opuściła planu materialnego, do tej pory już by się z nimi skontaktowała.

Catti-brie zatrzymała się, a Bruenor po kilku krokach odwrócił się zaciekawiony i uczynił podobnie. Młoda kobieta, klęcząc na jednym kolanie, trzymała oburącz figurkę, oglądając ją uważnie, jej łuk leżał obok na podłodze.

- Odeszła? - spytał Bruenor.

Catti-brie wzruszyła ramionami i położyła statuetkę na podłodze, po czym cicho zawołała Guenhwyvar. Przez długą chwilę nic się nie działo, jednak gdy Catti-brie zamierzała podnieść przedmiot, zaczęła się zbierać i przyjmować kształt znajoma szara mgła.

Guenhwyvar wyglądała naprawdę wynędzniale! Pantera miała zapadnięte mięśnie, poruszała się wolno z wyczerpania, a pokryta czarną sierścią skóra była rozdarta na jednym barku, odsłaniając leżące pod spodem ścięgna.

- Och, wracaj! - krzyknęła Catti-brie, przerażona jej widokiem. Podniosła figurkę i machnęła nią, by odesłać panterę.

Guenhwyvar poruszyła się szybciej, niż Catti-brie lub krasnolud uznaliby za możliwe, zważywszy na jej żaloszny stan. Uderzyła łapą Catti-brie, wytrącając figurkę na podłogę. Pantera położyła po sobie uszy i wydała z siebie gniewny pomruk.

- Pozwól kotu zostać - powiedział Bruenor.

Catti-brie skierowała na krasnoluda niedowierzające spojrzenie.

- Nie wygląda gorzej od nas - wyjaśnił Bruenor. Podeszedł i położył delikatnie dłoń na głowie pantery, zmniejszając napięcie. Guenhwyvar podniosła z powrotem uszy i przestała warczeć. - I jest nie mniej zdeterminowana.

Bruenor spojrział znów na Catti-brie, po czym na rozciągający się dalej korytarz. - A więc jest nas troje, pobitych i prawie padających z nóg, ale najpierw musimy zapędzić tych śmierdzących drowów na dół! - powiedział krasnolud.

Drizzt czuł, że się zbliża i wyciągnął swe drugie ostrze, Błysk, koncentrując się mocno, by powstrzymać błękitne światło seymitara przed rozjaśnianiem się. Ku jego zadowoleniu, seymitar idealnie odpowiadał. Drizzt był ledwo świadom, że halfling wciąż trzyma się jego boku. Zamiast tego, jego czułe zmysły wycelowane były we wszystkich kierunkach, szukając jakiejś wskazówki, że w pobliżu jest wróg. Przeszedł przez niskie wejście do nie wyróżniającej się niczym szczególnym komnaty, zaledwie szerszego odcinka korytarza z dwoma innymi wyjściami, jednym z boku i na tym samym poziomie, oraz jednym dokładnie naprzeciwko, wznoszącym się.

Drizzt nagle pchnął Regisa na ziemię i rzucił się plecami na ścianę, celując bronią i oczyma na boki. To nie drow jednak przeszedł przez niskie wejście, lecz krasnolud, chyba najdziwniej wyglądające stworzenie, jakie kiedykolwiek widział któryś z towarzyszy.

Pwent znajdował się o zaledwie trzy susy od mrocznego elfa, a jego donośny ryk wskazywał na to, że jest pewny, iż uzyskał przewagę zaskoczenia. Pochylił głowę, wycelował swój kolczasty hełm w brzuch Drizzta i usłyszał, jak ten mały na podłodze piszczy ostrzegawczo.

Drizzt wyrzucił dłonie nad głowę, wyczuwając silnymi, czułymi palcami szczeliny w ścianie. Wciąż trzymał obydwie ostrza i nie było się za bardzo czego złapać, jednak zwinny drow nie potrzebował wiele. Kiedy pewny siebie szałojownik wpadał na niego na ślepo, Drizzt podniósł nogi, przenosząc je nad szpikulcem.

Pwent uderzył głową o ścianę, a jego szpikuliec wyłobił metrową bruzdę w skale. Drizzt opuścił nogi, po jednej z każdej strony głowy szałojownika, a następnie opadły w dół seymitary drowa, uderzając silnie rękojeściami w odsłonięty kark Pwenta.

Szpikuliec krasnoluda, wygięty dziwnie w bok, zazgrzytał, gdy szałojownik opadał płasko na kamienie, jęcząc głośno.

Drizzt odskoczył, pozwalając, by żądny walki seymitar rozbłysnął, zalewając okolicę niebieskim lśnieniem.

- Krasnolud - skomentował zaskoczony Regis.

Pwent jęknął i przetoczył się. Drizzt zauważył na łańcuchu na jego szyi amulet, na którym wyryty był spieniony kufel, herb klanu Battlehammer.

Pwent potrząsnął głową i zerwał się gwałtownie na nogi.

- Wygrałeś tę rundę! - ryknął ruszając w stronę Drizzta.

- Nie jesteśmy wrogami - starał się wyjaśnić drow tropiciel. Regis znów krzyknął, gdy Pwent się zbliżył, wyrzucając przed siebie podwójny cios kolczastymi rękawicami.

Drizzt z łatwością uniknął krótkich uderzeń i dostrzegł liczne ostre krawędzie na zbroi jego przeciwnika.

Pwent znów zaatakował, podchodząc za ciosem, by dać mu pewnen zasięg. Drizzt wiedział, że to podstęp, nie mający szans na trafienie. Doświadczony drow zrozumiał już taktykę walki Pwenta i wiedział, że ten fałszywy cios miał za zadanie jedynie ustawić krasnoluda w odpowiedniej pozycji, żeby mógł się rzucić na Drizzta. Błysnął sejmitar, by przyjąć na siebie uderzenie. Drizzt zaskoczył krasnoluda, obracając drugie ostrze nad głową i podchodząc bliżej (wykonując dokładnie przeciwny manewr niż spodziewał się po nim Pwent), a następnie posyłając swą znajdującą się wysoko broń szerokim i lekko opadającym łukiem, gdy przesunął się w bok, prowadząc ostrze do trafienia w tylną część kolana krasnoluda.

Pwent momentalnie zapomniał o swoim skoku i instynktownie zgiął narażoną nogę przed atakiem. Drizzt naciskał, przykładając do kolana krasnoluda zaledwie tyle siły, by poruszało się dalej. Pwent wyleciał w powietrze i wylądował mocno na podłodze, leżąc płasko na plecach.

- Przestań! - Regis wrzasnął do upartego, leżącego krasnoluda, który znów próbował się podnieść. - Przestań. Nie jesteśmy twoimi wrogami.

- On mówi prawdę - dodał Drizzt.

Pwent, podniósłszy się na jedno kolano, znieruchomiał i przeniósł zaciekawiony wzrok z Regisa na Drizzta. - Przyszliśmy tu, by dorwać halflinga - powiedział do Drizzta, wyraźnie zakłopotany. - Dorwać go i obdrzeć żywcem ze skóry, a ty mi mówisz, żebym mu zaufał?

- Innego halflinga - stwierdził Drizzt, wsuwając ostrza do pochew.

Na twarzy krasnoluda pojawił się nieumyślny uśmiech, gdy rozważył przewagę, jaką najwyraźniej dał mu właśnie przeciwnik.

- Nie jesteśmy twoimi wrogami - rzekł pewnym głosem Drizzt, a jego lawendowe oczy błysnęły niebezpiecznie. - Ale nie mam czasu, by bawić się w twoje głupie gierki.

Pwent wyskoczył do przodu, napinając mięśnie, gotów rozerwać drowa na strzępy.

Oczy drowa znów błysnęły, a Pwent uspokoił się, rozumiejąc, że przeciwnik właśnie odczytał jego myśli.

- Chodź dalej, jeśli chcesz - ostrzegł Drizzt. - Wiedz jednak, że kiedy następnym razem się przewrócisz, już nigdy nie wstaniesz.

Thibbledorf Pwent, którym rzadko coś wstrząsało, rozważył ponurą obietnicę oraz swobodną postawę jego przeciwnika i przypomniał sobie, co Catti-brie mówiła mu o tym drowie, jeśli to rzeczywiście był legendarny Drizzt Do'Urden. - Sądzę, że jesteśmy przyjaciółmi - przyznał pozbawiony odwagi krasnolud i wstał powoli.

ROZDZIAŁ 23

UOSOBNIENIE WOJOWNIKA

Dzięki wracającemu po swoich śladach i wskazującemu drogę Pwentowi Drizzt był pewien, że wkrótce pozna los swych przyjaciół i znów stanie przed swoją złą siostrą. Szalójownik nie mógł powiedzieć mu wiele o Bruenorze i pozostałych, jedynie to, że kiedy się od nich oddzielał, byli mocno atakowani.

Wieści te spowodowały, że Drizzt przyspieszył. Na skraju jego świadomości unosiły się obrazy Catti-brie, bezbronnej, torturowanej przez Viernę. Wyobraził sobie upartego Bruenora plującego Viernie w twarz - i Viernę rozrywającą mu w odpowiedzi jego oblicze.

W tej okolicy nie było zbyt wielu komnat. Dominowały długie, wąskie tunele, niektóre całkowicie naturalne, inne zaś obrobione w miejscach, w których gobliny najwyraźniej zdecydowały, że potrzebne są podpory. Weszli we trójkę do całkowicie murowanego tunelu, nachylonego lekko w górę, z kilkoma odbiegającymi w bok korytarzami. Drizzt nie widział przed sobą sylwetek mrocznych elfów, kiedy jednak Błysk rozświetlił się nagle, nie wątpił w ostrzeżenie miecza.

Potwierdziło się ono chwilę później, kiedy z ciemności wyleciał bełt i ugodził Regisa w ramię. Halfling jęknął, a Drizzt odciągnął go i położył bezpiecznie za rogiem bocznego korytarza, który właśnie minęli. Do czasu aż drow wrócił do głównego tunelu, Pwent znajdował się już w pełnej szarży, śpiewając dziko i przyjmując na siebie liczne uderzenia zatrutych pocisków, lecz nie przejmując się nimi.

Drizzt ruszył za nim i zobaczył, jak Pwent mija ciemny otwór bocznego korytarza. Instynkt podpowiadał mu, że krasnolud wszedł właśnie w pułapkę.

Drizzt stracił szałojownika z oczu, kiedy obok dalekiego krasnoluda przemknął bełt i trafił drowa. Spojrzał na pocisk, wystający boleśnie z przedramienia, i poczuł piekące mrowienie, gdy eliksir Pwenta walczył z trucizną. Drizzt zastanawiał się, czy nie opaść tam, gdzie stał, zapraszając swych przeciwników do myślenia, że ich trucizna znów go powaliła i jest łatwą zdobyczą.

Nie mógł jednak opuścić Pwenta, a poza tym był po prostu zbyt wściekły, by choć chwilę dłużej czekać na to spotkanie. Nadszedł czas, by położyć kres zagrożeniu.

Wślizgnął się w ciemny otwór bocznego korytarza, trzymając Błysk trochę z tyłu, by go całkowicie nie zdradził. Z przodu wybuchł ryk wściekłości, po nim zaś odezwał się miarowy strumień krasnoludzkich przekleństw, które powiedziały Drizztowi, iż zamierzone ofiary Pwenta umknęły.

Drizzt usłyszał z boku lekki szmer i wiedział, że szałojownik zwrócił uwagę tego, co tam się znajdowało. Wziął głęboki oddech, w myśli policzył do trzech i wskoczył za róg, ze świecącym Błyskiem. Najbliższy drow padł w tył, wystrzeliwując w Drizzta drugi bełt, który zranił mu skórę przez szparę na barku w jego zbroi. Mógł mieć tylko nadzieję, że eliksir Pwenta był wystarczająco silny, aby poradzić sobie z drugim trafieniem i nabrał trochę pewności z faktu, iż wyglądało na to, że Pwent został wielokrotnie trafiony podczas szarży korytarzem.

Drizzt spychał szybko kusznika w tył, a zły drow gorączkowo starał się wyciągnąć broń do walki wręcz. Drizzt szybko by go powalił, jednak dołączył do niego drugi drow, uzbrojony w miecz i sztylet. Drizzt wszedł do małej, względnie okrągłej komnaty, z drugim wyjściem z prawej strony, prawdopodobnie łączącym się gdzieś dalej z głównym korytarzem. Drizzt ledwo zauważał jednak fizyczne cechy groty, ledwo zauważał początkowe uderzenia w walce, parując wymierzone ataki

swoich przeciwników. Jego oczy były utkwione za nimi, w tylnej części pomieszczenia, gdzie stała Vierna oraz najemnik Jarlaxle.

- Byłeś przyczyną moich wielkich cierpień, mój zaginiony bracie - warknęła do niego Vierna. - Jednak kiedy już do mnie wróciłeś, nagroda będzie warta ceny.

Słuchając każdego jej słowa, zdezorientowany Drizzt niemal pozwolił, by miecz przebił się przez jego osłonę. Odtrącił go na bok w ostatniej chwili i natarł w popisowy sposób, jego sejmity wirowały w opadającym, przecinającym się wzorze.

Żołnierze dobrze jednak współpracowali i odbili atak, kontruując jeden cios za ciosem i zmuszając Drizzta do cofnięcia się.

- Tak uwielbiam obserwować, jak walczysz - ciągnęła Vierna, uśmiechając się z zadowoleniem. - Jednak nie mogę zaryzykować, że zostaniesz zabity, jeszcze nie. - Rozpoczęła wtedy serię inkantacji, a Drizzt wiedział, że jej następny czar będzie wymierzony w jego stronę, prawdopodobnie w umysł. Zaciśnął zęby i przyspieszył tempo walki, przyzywając obrazy torturowanej Catti-brie, stawiając ścianę czystej wściekłości.

Vierna wyzwoliła czar ze zwycięskim krzykiem, a Drizzta zalały fale energii, otaczając go i mówiąc mu, zarówno ciału, jak i umysłowi, by zatrzymał się, by po prostu stał nieruchomo i dał się schwytać.

Wewnątrz drowa tropiciela jedna jego część zawrzała, to pierwotne i dzikie ego, które nie ujawniało się od czasów spędzonych w dzikim Podmroku. Znów był łowcą, wolnym od emocji, wolnym od wrażliwości mentalnej. Strząsnął z siebie czar i uderzył mocno sejmityrami w ostrza swych przeciwników, mocno na nich nacierając.

Oczy Vierny zrobiły się szerokie ze zdziwienia. Jarlaxle u jej boku wydał z siebie chichot.

- Twoje otrzymane od Lloth moce nie działają na mnie - oznajmił Drizzt. - Wyrzekłem się Pajęczej Królowej!

-Zostaniesz oddany Pajęczej Królowej! - odkrzyknęła Vierna i wyglądało na to, że znów zdobyła przewagę, bowiem z tunelu na prawo od Drizzta wszedł do komnaty kolejny żołnierz. - Zabijcie go! - rozkazała kapłanka. - Niech ofiara ma miejsce tu i teraz. Nie będę tolerowała więcej bluźnierstw tego banity!

Drizzt walczył wspaniale, spychając swych przeciwników tak, że opierali się na piętach. Jeśli jednak dołączy się trzeci żołnierz...

Tak się nie stało. Z tunelu po prawej dobiegł dziki ryk i do środka wpadł Thibbldorf Pwent, z głową pochyloną w jednej ze swoich typowych szalonych szarż. Trafił zaskoczonego drowa żołnierza w bok, a skrzywiony szpikulec na jego hełmie wbił się w szczupłe biodro nieszczęsnego elfa,

rozdzierając mu żołądek.

Potężne nogi Pwenta parły dalej, dopóki nie zaplątał się w końcu w stopy przebitego drowa i obydwaj walczący padli na ziemię tuż przed oszołomioną Vierną.

Drow szamotał się w bezradnej desperacji, gdy Pwent okładał go bezlitośnie.

Drizzt wiedział, że musi szybko znaleźć się u boku swego kompana, rozumiał niebezpieczeństwo grożące Pwentowi stojącemu przed Vierną oraz najemnikiem, mającym go wyraźnie na celu. Opuścił Błysk w gwałtownym cięciu krzyżowym w dół, odbijając na bok miecze obydwu przeciwników, po czym zbliżył się o krok za ostrzem, wychodząc z drugim sejmitem na bliższego przeciwnika, tego, który trafił go bełtem z kuszy i który nie miał drugiej broni.

Ręka drugiego drowa wystrzeliła do przodu, sztylet trafił w sejmitar zaraz przed tym, jak miał zabić. Mimo to Drizztowi udało się boleśnie ugodzić jednego z przeciwników, rozcinając mu policzek.

Vierna wyciągnęła swój wężowy bicz. Na twarzy kapłanki widniała czysta wściekłość, gdy smagnęła plecy leżącego szałojownika. Żywe głowy węży przedarły się przez zbroję krasnoluda, znajdując szczeliny, przez które mogły się wgryźć w jego grubą skórę.

Pwent oswobodził swój szpikulec, wbił kolczastą rękawicę w twarz umierającego mrocznego elfa, po czym w pełni skierował swą uwagę na najnowszą napastniczkę oraz jej paskudną broń.

Trzask!

Wężowa głowa trafiła go w bark. Dwie inne musnęły mu szyję. Obracając się Pwent wyrzucił w górę rękę, jednak został dwukrotnie ugryziony w dłoń i kończyna natychmiast stała się omdlała. Czuł jak jego potężny eliksir walczy, jednak był bliski omdlenia.

Trzask!

Vierna znów go trafiła, wszystkie pięć głów znalazło sobie cele na dłoni i twarzy krasnoluda. Pwent przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, uformował wargi tak, jakby chciał wypowiedzieć przekleństwo, po czym padł na ziemię i obrócił się niczym wyjęta z wody ryba, jego całe ciało było niemal całkowicie zdrętwiałe, nerwy i mięśnie nie były w stanie działać w skoordynowany sposób.

Vierna spojrzała w stronę Drizzta, a jej oczy zapłonęły otwartą nienawiścią. - Teraz już wszyscy twoi żalosi przyjaciele są martwi, mój zaginiony bracie! - warknęła, wygłaszając coś, co szczerze uważała za prawdę. Podeszła o krok, trzymając wysoko wężowy bicz, przystanęła jednak na widok czystej i nieokiełznanej wściekłości, która nagle wykrzywiła rysy jej brata.

Wszyscy twoi żalosi przyjaciele są martwi!

Słowa te zapłonęły we krwi Drizzta, zmieniły jego serce w kamień.

Wszyscy twoi żalosni przyjaciele są martwi!

Catti-brie, Wulfgar i Bruenor, wszyscy, którzy byli drodzy Drizztowi Do'Urden, byli dla niego straceni, zabrał ich jego rodowód, przed którym nie był w stanie uciec.

Ledwo mógł widzieć ruchy swych przeciwników, choć wiedział, że jego sejmitary przechwytywały idealnie każdy atak, poruszając się w precyzyjnej mgle, która nie pozostawiała wrogom żadnych luk.

Wszyscy twoi żalosni przyjaciele są martwi!

Znów był łowcą, który walczył o przetrwanie w dziczy Podmroku. Był kimś więcej niż łowcą, był uosobieniem wojownika, walczącym z idealnym instynktem.

Pchnięcie mieczem z prawej. Sejmitar Drizzta skierował je w dół, sprowadzając czubek miecza ku ziemi. Szybciej niż zwinny zły drow mógł zareagować, Drizzt odwrócił całkowicie swoje ostrze nad mieczem i pociągnął nim w górę, odrzucając drowa o krok do tyłu.

Sejmitar błysnął w poprzek, odcinając mięśnie tricepsu na ramieniu miecznika. Zraniony drow wrzasnął, lecz w jakiś sposób utrzymał broń, choć nie dało mu to zbyt wiele, gdy sejmitar wrócił tą samą drogą, zgrzytając, gdy przecinał koleczugi, rysując linię krwi w poprzek piersi drowa.

Drizzt w mgnieniu oka obrócił ostrze w dłoni i sejmitar pomknął w drugą stronę, wysoko. Znów go obrócił i skierował czwarty raz z powrotem, a jedynym powodem, dla którego chybił, był fakt, iż głowa, która była jego zamierzonym celem, już spadała swobodnie.

Przez cały ten czas sejmitar w drugim ręku Drizzta parował ataki pozostałego przeciwnika.

Vierna wciągnęła gwałtownie powietrze podobnie jak żołnierz walczący z Drizztem. Tropiciele powaliły go z równą łatwością, jednak zauważył z tyłu, w luce pozostawionej przez zabitego przeciwnika, ruch ręki Jarlaxle'a.

Następny taniec Drizzta był czystą i pełną furii desperacją. Jego pierwszy sejmitar brzęknął od metalicznego uderzenia. Błysk nadciągnął w poprzek i odbił na bok drugi sztylet.

Wszystko się zakończyło w przeciągu sekundy, pięć sztyletów zostało odtrąconych przez mrocznego elfa, który nawet nie dostrzegał świadomie, że lecą.

Jarlaxle zakołysał się na piętach, po czym zaczął okręzać, śmiejąc się przez cały czas, zdumiony i przerażony oszalamiającym pokazem oraz trwającą walką.

Kłopoty Drizzta nie zakończyły się jednak, bowiem Vierna, wołając do Lloth, by była z nią,

wyskoczyła do przodu, by użyzyć wsparcia żołnierzowi, a jej węzowy bicz przedstawiał sobą znacznie większe problemy niż pojedynczy miecz martwego drowa.

* * *

Regis zwinął się w najmniejszy kłębek, w jaki tylko mógł, gdy zauważył ciemne sylwetki przemykające w ciszy obok wejścia do bocznego korytarza. Halfling uspokoił się, gdy grupa przeszła, i odważył się podczołgać do wejścia i użyć infrawizji, by sprawdzić, czy było tu więcej tych złych mrocznych elfów.

Te świecące się czerwienią oczy zdradziły go. Za grupą szedł szósty żołnierz.

Regis rzucił się do tyłu z piskiem. Chwycił swą tłuściutką, małą dłoń kamień i trzymał go przed sobą. Była to żalosna broń jak na kogoś takiego jak drow!

Mroczny elf przyjrzał się bacznie halflingowi oraz tunelowi, po czym wszedł, poruszając się ostrożnie. Jego uśmiech poszerzył się, gdy zdał sobie sprawę z wyraźnej bezradności Regisa.

- Już ranny? - spytał we wspólnej mowie.

Regis potrzebował chwili, by zrozumieć ciężki i nieznajomy akcent. Podniósł groźnie kamień, gdy drow się zbliżył, klękając na poziomie Regisa i trzymając w jednym ręku długi oraz okrutny miecz, zaś w drugim sztylet.

Drow roześmiał się głośno. - Uderzysz mnie swoim kamyczkiem? - zadrwił i rozłożył szeroko ręce, ukazując Regisowi odsłoniętą pierś. - Traf mnie mały halflingu. Zabaw mnie, zanim mój sztylet wyrwie piękną linię na twoim gardle.

Trzęsąc się, Regis poruszył gwałtownie kamieniem, jakby zamierzał przyjąć propozycję drowa. To jednak druga dłoń halflinga wystrzeliła do przodu, ta, w której trzymał sztylet upuszczony przez Artemisa Entreri.

Klejnoty na śmiertcionośnym ostrzu zajaśniały z uznaniem, jakby broń była obdarzona własnym życiem i pragnieniem, kiedy sztylet przebijał się przez gęstą kolczugę i zanurzał głęboko w miękką skórę zaskoczonego mrocznego elfa.

Regis zamrugał dziwiąc się, z jaką łatwością sztylet się przebił. Wydawało się, jakby jego przeciwnik był kryty pergaminem a nie metalową kolczugą. Dłoń halflinga niemal puściła rękoność broni, gdy przez sztylet przeszedł do jego ręki ładunek mocy. Drow próbował oddać, a Regis nie miałby się jak bronić, gdyby jego przeciwnik użył obydwu broni.

Z jakiegoś powodu drow nie mógł jednak tego zrobić. Jego oczy pozostawały szerokie od szoku, a

ciało przeszły spazmatyczne wstrząsy. Regisowi wydawało się, że umyka z niego siła życiowa. Z otwartymi ustami Regis wpatrywał się w najbardziej przerażoną twarz jaką widział w życiu.

W rękę halflinga wlało się więcej energii życiowej i usłyszał, jak broń drowa upada na kamień. Regis mógł myśleć jedynie o opowieściach, jakie jego ojciec snuł mu o przerażających, nocnych stworzeniach. Czuł się tak, jak wyobrażał sobie, że czuje się wampir, żywiąc się krwią swych ofiar, czuł jak oblewa go perwersyjne ciepło.

Jego rany się zasklepiały!

Drow osunął się bez życia na podłogę, a Regis siedział i wpatrywał się pustym wzrokiem w magiczny sztylet. Zatrząsał się wiele razy, przypominając sobie wyraźnie każdy raz, kiedy to niemal poczuł paskudne uządlenie tej broni.

* * *

Dwa drowy szły cicho, lecz szybko, krętymi tunelami, które miały doprowadzić ich do Vierny i Jarlaxle'a. Były pewne, że wysforowały się przed szalonego krasnoluda, nie wiedziały, że Pwent poszedł bokiem i pierwszy dotarł do Vierny.

Nie wiedziały również, że inny krasnolud wszedł do tuneli, rudobrody krasnolud, którego łyzy obiecywały śmierć każdemu przeciwnikowi, na którego się natknął.

Mroczne elfy okrążyły zakręt, wchodząc do tunelu, który prowadził do bocznego pomieszczenia, równoległe do głównego tunelu. Zobaczyły, jak wypada przed nich niska, lecz szeroka sylwetka krasnoluda i szarżuje na nich odważnie.

Trzej przeciwnicy splekli się w szalonej kotłowni. Bruenor trzymał przed sobą tarczę i wymachiwał wokół siebie na ślepo swym wyszczerbionym toporem.

- Zabiliście mojego chłopca! - ryknął krasnolud i choć żaden z jego przeciwników nie rozumiał wspólnej mowy, wystarczająco wyraźnie dostrzegali wściekłość Bruenora. Jeden z drowów odzyskał równowagę i przedostał miecz nad ozdobioną herbem tarczą, trafiając krasnoluda w bark w sposób, który powinien pozbawić tę rękę siły.

Nawet jeśli Bruenor wiedział, że został trafiony, nie pokazał tego po sobie.

- Mój chłopiec! - warknął, odtrącając na bok miecz drugiego drowa potężnym zamachem swego ciężkiego topora. Drow zastąpił miecz drugim, znów napierając na krasnoluda. Bruenor przyjął jednak cios, nawet nie drgnął, jego myśli były ukierunkowane wyłącznie na zabijanie.

Zamachnął się nisko toporem. Drow przeskoczył nad ostrzem, lecz Bruenor zatrzymał broń i

obrócił ją. Wylądowawszy drow próbował ponownie podskoczyć, jednak ruch Bruenora był zbyt szybki, krasnolud zahaczył toporem kostkę drowa i szarpnął z całej siły, zwalając mrocznego elfa z nóg.

Zbliżył się drugi drow, starając się zasłonić swego leżącego towarzysza. Jego miecz świsnął w poprzek, raniąc Bruenorowi twarz i oślepiając krasnoluda na jedno oko. Bruenor zignorował palący ból i rzucił się do przodu, w zasięg odpowiedni do zadania ciosu.

- Mój chłopiec! - znów krzyknął i ciął w dół z całej siły, jego ostrze wbiło się w kręgosłup podnoszącego się drowa.

Bruenor podniósł tarczę akurat na czas, by zatrzymać pchnięcie mieczem stojącego drowa. Pozbawiony równowagi i spychany w tył krasnolud szarpał raz za razem, w końcu uwalniając broń.

* * *

Wężowe głowy wydawały się działać niezależnie od siebie, nacierając na Drizzta z różnych kątów, uderzając i wycofując się, by znów uderzyć. Zachęcony widokiem walczącej obok niego Vierny, drow również naciskał na Drizzta, jego miecz i sztylet pracowały zaciekle, aby mógł zabić dla kapłanki, ku chwale niegodziwej Pajęczej Królowej.

Drizzt zachował pozycję przez cały szturm, pracując zgodnie sejmityrami i stopami, by blokować lub parować lub też utrzymać przeciwników, zwłaszcza Viernę, z daleka od siebie.

Wiedział jednak, że jest w kłopotach, zwłaszcza gdy zauważył Jarlaxle'a, okrążającego ich i znajdującego lukę pomiędzy Vierną a żołnierzem. Drizzt spodziewał się kolejnej salwy lecących sztyletów, szczerze nie wiedział, w jaki sposób uciekłyby tym razem przed ich ukąszeniami, gdy bicz Vierny zaprzętał całą jego uwagę.

Jego obawy podwoiły się, gdy zobaczył, że najemnik celuje w niego nie sztyletem, lecz różdżką.

- Szkoda, Drizzcie Do'Urden - powiedział najemnik. - Oddałbym wielu żołnierzy, by mieć wojownika o twoich umiejętnościach. - Zaczął śpiewać w języku drowów. Drizzt starał się przesunąć w bok, jednak Vierna i drugi drow napierali na niego silnie, trzymali go przed sobą.

Pojawił się rozbłysk, błyskawica zaczynająca się tuż za pochylającą się Vierną oraz żołnierzem. Jednak, kiedy najemnik wypowiedział wyzwajające słowa, zza Drizzta wypadła czarna sylwetka, która przeskakując obok tropiciela uderzyła go w ramię i skierowała się w lukę pomiędzy Vierną a drowem.

Guenhwyvar przyjęła na siebie całą siłę pocisku, wchłonęła energię błyskawicy, zanim jeszcze się wyzwoliła. Pantera przemknęła przez magiczną energię, wpadając na zaskoczonego najemnika i

przyciskając go do kamienia.

Nagły błysk, nagłe pojawienie się pantery, nie rozproszyły uwagi doświadczonego Drizzta. Vierna, tak pełna nienawiści, tak obsesyjnie przejęta swoją ofiarą, nie odwróciła uwagi od zacieklej walki. Drugi drow skrzywił się jednak, widząc nagły rozbłysk i odwrócił na chwilę głowę, by zerknąć przez ramię.

Kiedy drow odwrócił się z powrotem do walki, zauważył, że śmiercionośny czubek Błysku przebił już jego zbroję i sięga do serca.

* * *

Błysk nie trwał dłużej niż ułamek sekundy i nie rozjaśnił zbytnio głównego korytarza poza wejściem do głównej komnaty, jednak właśnie w tym ułamku sekundy Catti-brie, przykucnięta w tunelu, by obserwować Guenhwyvar, ujrzała szczupłe sylwetki zbliżającej się bandy drowów.

Wypuściła strzałę w powietrze i użyła jej srebrnego światła, by określić dokładne pozycje mrocznych elfów. Na twarzy wyczerpanej młodej kobiety widniał bezlitosny grymas. Podniosła się po wystrzale, by zacząć powoli skradać się do przeciwników, po drodze zakładając kolejną strzałę.

Każdą jej myślą kierowała zemsta za Wulfgara. Nie wiedziała, co to strach, nie wzdrygnęła się nawet, słysząc oczekiwaną odpowiedź kusz. Ukąsiły ją dwa bełty.

Poleciała kolejna strzała, tym razem trafiając mrocznego elfa w ramię i ciskając go na ziemię. Zanim jej światło rozpląnęło się, Catti-brie wystrzeliła trzecią, która zapiszczała niczym zły duch, rysując obrobioną kamienną ścianę tunelu.

Mimo to młoda kobieta szła dalej. Wiedziała, że mroczne elfy widzą każdy jej krok, choć ona dostrzegała sylwetki elfów tylko, gdy obok nich przelatowały jej strzały.

Instynkt powiedział jej, by posłała strzałę wysoko i uśmiechnęła się ponuro, kiedy trafiła lewitującego drowa, dokładnie w twarz, roztrzaskując mu głowę. Siła uderzenia obróciła ciało do góry nogami i zawisło ono bez ruchu w powietrzu.

Catti-brie nie widziała, jak jej następna strzała wylatuje i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że mroczne elfy okryły ją kulą ciemności. Jakże głupio, pomyślała, bowiem teraz nie mogli jej widzieć, tak jak ona nie mogła widzieć ich.

Wciąż szła, wychodząc z kuli, znów strzelając i zabijając kolejnego z przeciwników.

Bełt z kuszy trafił ją w bok twarzy, ocierając się boleśnie o zuchwę.

Catti-brie szła nadal, zacisnąwszy ponuro zęby. Zobaczyła, jak świecące czerwono oczy pozostałych dwóch drowów zbliżają się szybko do niej, wiedziała, że wyciągnęli miecze i szarżują. Podniosła łuk, używając ich oczu jako boji.

Zakryła ją kula ciemności.

Przerażenie zawrzało w młodej kobiecie, zwalczyła je jednak uparcie, nie zmieniając wyrazu twarzy. Wiedziała, że ma jedynie parę chwil, zanim przebiją ją miecze drowów. Jej mózg przywołał ostatnie pozycje, w których widziała przeciwników, pokazał jej pod jakim kątem ma strzelić.

Posłała kolejną strzałę w górę, usłyszała przed sobą i w lewo cichutki szmer, odwróciła się i wystrzeliła. Następnie wypuściła trzecią i czwartą, nie kierując się niczym poza własnym instynktem i mając nadzieję, że przynajmniej zrani nacierające mroczne elfy i spowolni je. Padła płasko na podłogę i wystrzeliła na ukos, po czym skrzywiła się, gdy jej strzała poleciała w czern, najwyraźniej nie trafiając.

Wciąż kierując się instynktem, Catti-brie obróciła się na plecy i wystrzeliła w górę. Usłyszała głucho łupnięcie, a następnie ostry trzask gdy pocisk przeleciał przez unoszącego się drowa i wbił się w strop. Z góry spadły odłamki gruzu, a Catti-brie zasłoniła się.

Pozostawała przez długą chwilę w pozycji obronnej, spodziewając się, że spadnie na nią strop, spodziewając się, że zjawi się mroczny elf i rozetnie ją na pół.

* * *

Znacznie częściej zbliżał swój miecz do krasnoluda niż nieporęczny topór rudobrodego był blisko trafienia jego, jednak samotny, walczący z Bruenorem drow wiedział, że nie może wygrać, nie może powstrzymać rozwścieczonego przeciwnika. Przyzwał swą wrodzoną magię i otoczył Bruenora niebieskimi, nieszkodliwymi płomieniami - nazywanymi ogniem faerie - które spowiły sylwetkę krasnoluda i uczyniły ją łatwiejszym celem dla drowa.

Bruenor nawet się nie wzdrygnął.

Drow wyszedł z paskudnym, prostym pchnięciem, które zmusiło krasnoluda do cofnięcia się, po czym odwrócił się i uciekł, zamierzając oddalić się kilka kroków od wroga, a następnie opuścił na krasnoluda kulę ciemności.

Bruenor nawet nie próbował dorównać długim susom drowa. Podniósł topór, chwycił go oburącz i ustawił go za głową.

- Mój chłopiec! - krasnolud wrzasnął z całą swoją wściekłością i z całą siłą cisnął toporem, który zaczął obracać się w powietrzu. Było to śmiałe posunięcie, podyktowane desperacją ojca, który

stracił dziecko. Topór Bruenora nie mógł do niego wrócić, tak jak Aegis-fang wracał do Wulfgara. Gdyby nie trafił w cel...

Trafił w drowa, gdy ten skręcał, wracając do krętego bocznego tunelu, uderzając go w biodro oraz plecy i rzucając na drugą stronę korytarza, gdzie wpadł do przeciwległego rogu. Drow starał się otrząsnąć i wił przez kilka chwil na podłodze, szukając zgubionego miecza oraz powietrza do odetchnięcia.

Kiedy jego dłoń zbliżyła się do leżącej broni, nadepnął ją krasnoludzki bucior, miażdżąc palce.

Bruenor przyjrzał się kątowni, pod jakim sterczał topór, oraz krwi zalewającej całe ostrze broni. - Jesteś martwy - powiedział chłodno do mrocznego elfa i z paskudnym chrzęstem wydarł broń.

Drow słyszał z oddali jego słowa, jednak jego umysł zwolnił już do tego czasu, myśli ulatywały z niego równie szybko jak krew.

* * *

Vierna nie zmiękła, gdy jej towarzysz padł martwy, w żaden sposób nie pokazała, że przejęła się nagłym zwrotem walki. Drizztowi skręcił się żołądek na widok jego siostry. Jej rysy zastygły w grymasie nienawiści, którą Pajęcza Królowa tak hołubiła, oraz wściekłości wykraczającej poza granice rozsądku, poza świadomość i sumienie.

Drizzt nie pozwolił jednak, by jego sprzeczne uczucia wpłynęły na jego styl walki, nie po tym, jak Vierna oznajmiła, że jego przyjaciele są martwi. Często trafiał w atakujące węzowe głowy, wyglądało jednak na to, że nie jest w stanie ugodzić na tyle solidnie, by wyrządzić im jakieś szkody.

Jedna z nich wbiła swe kły w jego rękę. Drizzt poczuł odrętwiające mrowienie i machnął w poprzek drugim ostrzem, by ją odciąć.

Ruch ten spowodował jednak, że jego przeciwległa flanką stała się otwarta i druga głowa trafiła go w bark. Trzecia ruszyła w bok jego twarzy.

Cięcie na odlew pozbawiło najbliższego gada głowy i odtrąciło innego atakującego węża.

W biczu Vierny pozostały już tylko trzy głowy, jednak trafienia poraziły Drizzta. Zachwiał się kilka kroków w tył i znalazł oparcie w ścianie. Spojrzał na swój bark i z przerażeniem zobaczył, że odcięta węża głowa wciąż się trzyma, jej kły są głęboko wbite.

Dopiero wtedy Drizzt zauważył znajome srebrne błyski Taul-marila, łuku Catti-brie. Guenhwyvar

żyła i znajdowała się w pobliżu, Catti-brie była w sali, walcząc, zaś skądś dalej w innym korytarzu, tym wzdłuż prawej strony małej komnaty, Drizzt słyszał nie dający się z niczym pomylić ryk Bruenora Battlehammera, jego litanię wściekłości.

- Mój chłopiec!

- Mówiłaś, że są martwi - Drizzt odezwał się do Vierny. Oparł się o ścianę.

- Oni się nie liczą! - odwrzasnęła do niego Vierna, najwyraźniej równie jak Drizzt zdumiona tym odkryciem. - Tylko ty się liczysz, ty oraz chwała, jaką przyniesie mi twoja śmierć! - Rzuciła się na swego rannego brata, a trzy węzowe głowy wskazywały jej drogę.

Drizzt znów odzyskał siły, znalazł je dzięki obecności przyjaciół, dzięki wiedzy, że oni również byli zaangażowani w tę walkę i potrzebowali, by zwyciężył.

Zamiast przypuścić gwałtowny atak lub ciąć w poprzek, Drizzt pozwolił, by węzowe głowy zbliżyły się do niego. Został ugryziony raz i drugi, lecz Błysk rozszczepił na pół atakującą węzową głowę i jej rozdarte ciało wiło się bezużytecznie.

Drizzt odepchnął się nogą od ściany, spychając zaskoczoną Viernę w tył. Wymachiwał swymi ostrzami szybko i silnie, zawsze celując w węże z biczu Vierny, choć przynajmniej dwa razy czuł, że mógłby prześlizgnąć się przez obronę swej siostry i ugodzić w jej ciało.

Kolejna węzowa głowa upadła na podłogę.

Vierna zaatakowała swym zdziesiątkowanym biczem, jednak sejmitar rozciął jej głęboko ramię, zanim zdołała wyrzucić ostatnią węzową głowę w przód. Broń upadła na podłogę. Zaraz po opuszczeniu dłoni Vierny, wąż znieruchomiał.

Vierna zasyczała - zupełnie jak zwierzę - na Drizzta, a jej puste ręce chwyciły kilkakrotnie powietrze.

Drizzt nie zbliżył się natychmiast, nie musiał, bowiem śmiertelny czubek Błysku znajdował się zaledwie kilkanaście centymetrów od piersi jego siostry.

Ręka Vierny podążyła w stronę paska, gdzie oczekiwały dwa buzdygany, ozdobione zawitymi pajęczymi runami. Drizzt mógł dość łatwo odgadnąć moc tych broni, zaś z czasów spędzonych w Menzoberranzan znał z pierwszej ręki umiejętności Vierny w posługiwaniu się nimi.

- Nie rób tego - rozkazał, wskazując na broń.

- Obydwoje zostaliśmy wyszkoleni przez Zaknafa - przypomniała mu Vierna, a wzmianka o ojcu dotknęła boleśnie Drizzta. - Czy obawiasz się sprawdzić, kto lepiej pojął jego lekcje?

- Obydwoje zostaliśmy spłodzeni przez Zaknafeina - odparł Drizzt, odtrącając dłoń Vierny od jej paska za pomocą wściekle lśniącego ostrza Błysku. - Nie przeciągaj tego i nie okrywaj go hańbą. Jest lepsza droga, moja siostrze, światło, którego nie znasz.

Vierna wyszydziła go kpiącym chichotem. Czy on naprawdę wierzył, że może zmienić ją, kapłankę Lloth?

- Nie rób tego! - rozkazał z większym naciskiem Drizzt, gdy dłoń Vierny zaczęła pełznąć w stronę bliższego buzdyganu.

Sięgnęła po niego gwałtownie. Błysk przebił jej pierś, jej serce, jego zakrwawiony czubek wyszedł jej z pleców.

Drizzt znalazł się zaraz przy niej, trzymając mocno jej ramiona, podtrzymując ją, gdy zawodziły ją jej nogi.

Spoglądali na siebie, gdy Vierna osuwała się powoli na podłogę. Zniknęła jej wściekłość, jej obsesja, zastąpione przez pogodność, rzadkie uczucie na twarzy drowa.

- Przepraszam - tylko to wyszeptał cicho Drizzt.

Vierna potrząsnęła głową, odrzucając wszelkie przeprosiny. Drizztowi wydawało się, iż ta jej pogrzebana część, która była córką Zaknafeina Do'Urden, była wdzięczna za takie zakończenie.

Oczy Vierny zamknęły się wtedy na zawsze.

ROZDZIAŁ 24

DLUGA DROGA DO DOMU

Dobra robota - słowa te dotarły do Drizzta nieoczekiwanie, zmusiły go do uświadomienia sobie, że choć Vierna nie żyje, walka może nie być jeszcze wygrana. Odskokzył na bok, ustawiając przed sobą defensywnie sejmity. Opuścił broń, kiedy spojrział na Jarlaxle'a. Najemnik siedział oparty o przeciwległą ścianę komnaty, a jedna jego noga była wygięta pod niezwykłym kątem w bok.

- Pantera - wyjaśnił najemnik, mówiąc wspólną mową tak płynnie, jakby spędził całe życie na powierzchni. - Sądziłem, że mnie zabije. Już mnie miała. - Jarlaxle wzruszył ramionami. - Może moja błyskawica ją zraniła.

Wzmianka o błyskawicy przypomniała Drizztowi o ródźce, przypomniała mu, że ten drow wciąż jest bardzo niebezpieczny. Pochylił się, krążąc w pozycji obronnej.

Jarlaxle skrzywił się z bólu i uniół przed sobą otwartą dłoń, by uspokoić podenerwowanego tropiciela. - Nie użyłbym jej, gdybyś był bezbronny. Uważam zresztą, że ty zrobiłbyś tak samo.

- Chciałeś mnie zabić - odparł chłodno Drizzt. Najemnik znów wzruszył ramionami, a uśmiech na jego twarzy poszerzył się. - Vierna zabiłaby z kolei mnie, gdyby wygrała, a ja nie poszedłbym jej z pomocą - wyjaśnił spokojnie. - A pomimo twoich umiejętności uważałem, że to właśnie ona wygra.

Wydawało się to wystarczająco logiczne, a Drizzt wiedział, że pragmatyzm był cechą częstą u mrocznych elfów. - Lloth wciąż może cię jeszcze wynagrodzić za moją śmierć - uznał Drizzt.

- Nie jestem łowcą niewolników dla Pajęczej Królowej - odrzekł Jarlaxle. - Ja tylko wykorzystuję okazje.

- Grozisz?

Najemnik roześmiał się głośno, po czym znów skrzywił się z bólu.

Z bocznego korytarza wpadł do komnaty Bruenor. Zerknął na Drizzta, po czym spojrział na

Jarlaxle'a. Jego szal nie wyczerpał się jeszcze.

- Stój! - nakazał mu Drizzt, gdy krasnolud ruszył w stronę wyraźnie bezbronnego najemnika.

Bruenor zatrzymał się gwałtownie i zmierzył Drizzta chłodnym spojrzeniem, które wydawało się jeszcze bardziej złowieszcze, gdy spojrzało się na poszarpaną twarz krasnoluda, pozbawioną prawego oka i z linią krwi biegnącą od górnej części czoła do podstawy lewego policzka. - Nie potrzebujemy jeńców - warknął Bruenor.

Drizzt zastanowił się nad jadem obecnym w głosie Bruenora oraz faktem, że nigdzie w czasie tej walki nie widział Wulfgara. - Gdzie są pozostali?

- Jestem tutaj - odparła Catti-brie wchodząc do komnaty z głównego tunelu, za plecami Drizzta.

Drizzt odwrócił się, by na nią spojrzeć, a jej brudna twarz oraz niezwykle ponure oblicze ujawniły wiele. - Wulf... - zaczął pytać, lecz Catti-brie potrząsnęła z czcią głową, jakby nie mogła znieść wypowiedzienia tego imienia na głos. Podeszła do Drizzta i skrzywiła się, czując, że z jej szczęki wciąż wystaje mały belt. Drizzt delikatnie dotknął twarzy Catti-brie, po czym chwycił paskudny pocisk i wyciągnął go. Natychmiast przeniósł dłoń na ramię młodej kobiety, użyczając jej wsparcia, gdy ogarnęły ją fale mdłości i bólu.

- Mam nadzieję, że nie zraniłem pantery - wtrącił się Jarlaxle. - To naprawdę wspaniała bestia!

Drizzt obrócił się, a jego lawendowe oczy błysnęły.

- On zakłada na ciebie przynętę - stwierdził Bruenor, a jego palce poruszyły się niecierpliwie na rękojeści zakrwawionego topora. - Prosi o litość nie prosząc.

Drizzt nie był taki pewien. Znał okropieństwa Menzoberranzan, wiedział, do czego są w stanie posunąć się niektóre drowy, aby przetrwać. Jego własny ojciec, Zaknafein, drow, którego Drizzt kochał najbardziej, był zabójcą, służył opiekunce Malice za mordercę z czystej woli przetrwania. Czy to możliwe, by ten najemnik obdarzony był podobnym pragmatyzmem?

Drizzt chciał w to wierzyć. U jego stóp leżała martwa Vierna, więc jego rodzina, jego więź z tym rodowodem, już nie istniała, a chciał wierzyć, że nie jest sam na tym świecie.

- Zabij psa albo powlecemy go za sobą - warknął Bruenor, jego cierpliwość wyczerpała się.

- Jaki będzie twój wybór, Drizzcie Do'Urden? - spytał spokojnie Jarlaxle.

Drizzt znów przyjrzał mu się. Zdecydował, że nie przypomina on tak bardzo Zaknafeina, przypominał bowiem sobie wściekłość ojca, kiedy ten dowiedział się, że Drizzt zabił elfy z powierzchni. Pomiędzy Zaknafeinem a Jarlaxlem istniała niezaprzeczalna różnica. Zaknafein zabijał tylko tych, którzy według niego zasługiwali na śmierć, tylko tych, którzy służyli Lloth lub inne złe

istoty. Nie poszedłby u boku Wierny na to polowanie.

Nagła wściekłość, która zagotowała się w Drizzcie, niemal spowodowała, że rzucił się na najemnika. Zwalczył jednak ten impuls, przypominając sobie kolejny raz ciężar Menzoberranza, brzemień przenikającego wszystko zła, które pochylało barki nie zachowujących się w typowy sposób mrocznych elfów. Zaknafein przyznał się Drizztowi, że wielokrotnie niemal poddał się zwyczajom Lloth, zaś podczas swojej wędrówki przez Podmrok Drizzt Do'Urden często obawiał się, kim może się stać, bądź też kim już się stał.

Jakże mógł wymierzyć sprawiedliwość temu mrocznemu elfowi? Sejmitary wróciły z powrotem do swych pochew.

- On zabił mojego chłopca! - ryknął Bruenor, najwyraźniej rozumiejąc zamiary Drizzta.

Drizzt potrząsnął zdecydowanie głową.

- Litość jest zagadkowym zjawiskiem, Drizzcie Do'Urden - stwierdził Jarlaxle. – Siłą czy słabością?

- Siłą - odpowiedział szybko Drizzt.

- Może ocalić twą duszę - odparł Jarlaxle - lub przekląć twoje ciało. - Dotknął w geście salutu swego szerokiego kapelusza, po czym poruszył się nagle, jego dłoń wydosłała się spod płaszcza. Coś małego uderzyło przed nim o podłogę, wybuchając i wypełniając ten obszar komnaty gęstym dymem.

- A niech go diabli wezmą! - warknęła Catti-brie posyłając srebrny strzał, który przebił się przez obłok i uderzył o skałę na przeciwległej ścianie. Bruenor podbiegł do oparu, wymachując zaciekłe toporem, jednak nie było tam nic, co mógłby trafić. Najemnik zniknął.

W chwili gdy Bruenor wyłonił się z dymu, Drizzt i Catti-brie stali nad nieruchomą sylwetką Thibbledorfa Pwenta.

- Nie żyje? - spytał król krasnoludów.

Drizzt schylił się przy szałojowniku przypominając sobie, że Pwent został paskudnie trafiony wężowym biczem Wierny. - Nie - odparł. - Bicze nie są przeznaczone do zabijania, jedynie do paraliżowania.

Jego bystre uszy wychwyciły słowa, które Bruenor wymruczał pod nosem - Szkoda.

Otrzeźwienie szałojownika zajęło im parę chwil. Pwent zerwał się gwałtownie i zaraz potem znów przewrócił. Podniósł się ponownie i zachowywał skromność, dopóki Drizzt nie popełnił błędu i nie podziękował mu za ceną pomoc.

W głównym korytarzu znaleźli pięć martwych drowów, jeden wciąż wisiał pod sufitem w miejscu, w którym była kula ciemności. Kiedy Catti-brie wyjaśniła, skąd pojawiła się ta mała banda, Drizzta przebiegł dreszcz.

- Regis - wydyszał i pobiegł korytarzem aż do bocznego tunelu, w którym zostawił halflinga.

Siedział tam Regis, przerażony, na wpół pogrzebany pod martwym drowem, trzymając mocno swój wysadzany klejnotami sztylet.

- Choć, mój przyjacielu - powiedział do niego przepelniony ulgą Drizzt. - Nadszedł czas powrotu do domu.

* * *

Pięcioro zmordowanych towarzyszy opierało się na sobie, idąc powoli i cicho tunelami. Drizzt spojrział na obszarpaną grupę, na Bruenora z zamkniętym okiem i Pwenta wciąż mającego kłopoty z koordynacją mięśni. Drizzta bolała dotkliwie stopa. Zaczął czuć wyraźniej ranę, gdy powoli opadała nagromadzona w czasie walki adrenalina. To jednak nie fizyczne problemy najbardziej niepokoiły tropiciela. Wydawało się, że ciężar straty Wulfgara pogrążył głęboko wszystkich tych, którzy byli jego towarzyszami.

Czy Catti-brie będzie w stanie przywołać znów swą wściekłość, zignorować emocjonalne cierpienie, które na nią spadło, i walczyć całym sercem? Czy Bruenor, tak paskudnie ranny, że Drizzt nie był pewien, czy uda mu się dojść żywym do Mithrilowej Hali, zdoła przejść przez kolejną walkę?

Drizzt nie był pewien, a westchnienie ulgi jakie wydał z siebie, kiedy generał Dagna na czele krasnoludzkiej kawalerii na ich pochrzających wierzchowcach wyjechał z zakrętu tunelu, było szczere.

Bruenor pozwolił sobie przewrócić się widząc to, a krasnoludy nie traciły czasu, podnosząc swego rannego króla oraz Regisa, przywiązując ich do dzików i wydostając się z nieujarzmionego obszaru. Pwent również przyjął wodze wierzchowca, jednak Drizzt i Catti-brie nie wrócili najkrótszą drogą do Mithrilowej Hali. W towarzystwie trzech spieszonych krasnoludzkich jeźdźców, w tym generała Dagny, młoda kobieta zaprowadziła Drizzta do pamiętnej jaskini.

Nie mogło być wątpliwości, uświadomił sobie Drizzt, zaraz gdy spojrział na zawaloną alkowę, żadnych wątpliwości, żadnej nadziei. Jego przyjaciel odszedł na zawsze.

Catti-brie zrelacjonowała szczegóły bitwy i musiała przerwać na dłuższą chwilę, zanim zmusiła głos do opowiedzenia o walecznym końcu Wulfgara.

Spojrzała w końcu na stertę gruzu, powiedziała cicho - Żegnaj - i wyszła z pomieszczenia wraz z

trzema krasnoludami.

Drizzt stał samotnie przez wiele minut, wpatrując się bezradnie. Ledwo mógł uwierzyć, że tam pod spodem znajdował się potężny Wulfgar. Chwila ta wydawała się dla niego nierzeczywista, wykraczała poza jego zdolności pojmowania.

Była jednak rzeczywista.

A Drizzt był bezradny.

Osaczyły go szpony winy, przypominające, że to on doprowadził do polowania swej siostry, więc on spowodował śmierć Wulfgara. Odrzucił wszystkie te myśli, nie chcąc znów się nad tym zastanawiać.

Nadszedł czas pożegnania się z zaufanym towarzyszem, z drogim przyjacielem. Chciał być z Wulfgarem, chciał znajdować się u boku młodego barbarzyńcy i pocieszać go, prowadzić go, podzielić z barbarzyńcą jeszcze jedno szelmowskie mrugnięcie i śmiało stawić czoła wszystkiemu, co miała dla nich w zanadrzu śmierć.

- Żegnaj, mój przyjacielu - wyszeptał Drizzt, bezowocnie starając się, by nie załamywał mu się głos. - Tę podróż odbędziesz sam.

* * *

Powrót do Mithrilowej Hali nie był dla wyczerpanych, znękanych przyjaciół okazją do świętowania. Nie mogli mówić o zwycięstwie po tym, co stało się w niskich tunelach. Każdy z czwórki, Drizzt, Bruenor, Catti-brie oraz Regis, inaczej spoglądał na stratę Wulfgara, bowiem każdy z nich miał inną z nim relację - był synem dla Bruenora, narzeczonym dla Catti-brie, kompanem dla Drizzta, obrońcą dla Regisa.

Fizyczne rany Bruenora były najpoważniejsze. Krasnoludzki król stracił jedno oko i do końca swych dni miał nosić od czoła do żuchwy paskudną, czerwonawosiną szramę. Ból fizyczny był jednak najmniejszym ze zmartwień Bruenora.

W ciągu następnych kilku dni krzepki krasnolud przypominał sobie nagle, że należy coś ustalić z głównym kapłanem i uświadamiał sobie, że nie ma już Cobble'a, który pomógłby mu wszystko poukładać, że tej wiosny nie będzie już wesela w Mithrilowej Hali.

Drizzt widział żal wyryty wyraźnie na twarzy krasnoluda. Pierwszy raz w przeciągu lat, odkąd znał Bruenora, tropiciel uważał, że król wygląda na starego i zmęczonego. Drizzt ledwo był w stanie na niego patrzeć, lecz jego serce jeszcze bardziej bolało, gdy natknął się na Catti-brie.

Była młoda i żywotna, pełna życia i czuła się jakby była nieśmiertelna. Teraz wizja świata Catti-brie legła w gruzach.

Przyjaciele trzymali się głównie samotnie, gdy mijały nieskończenie długie godziny. Drizzt, Bruenor i Catti-brie rzadko widywali się nawzajem, a żadne z nich nie widziało Regisa.

Żadne z nich nie wiedziało, że halfling opuścił Mithrilową Halę, wychodząc przez zachodnie wrota do Doliny Strażnika.

Regis wszedł powoli na skalistą iglicę, piętnaście metrów ponad poszarpanym dnem południowego krańca długiej i wąskiej doliny. Natknął się na nieruchomą sylwetkę, wiszącą na strzępach porwanego płaszcza. Halfling położył się na skale, trzymając się jej mocno, gdy targał nim wichur. Ku jego zdumieniu, mężczyzna w dole wciąż poruszał się lekko.

- Żyjesz? - halfling wyszeptał z podziwem. Entreri, którego ciało było wyraźnie połamane i poszarpane, wisiał tutaj od ponad dnia. - Wciąż żyjesz? - Zawsze ostrożny, zwłaszcza jeśli w grę wchodził Artemis Entreri, Regis wyciągnął wysadzany klejnotami sztylet i umieścił jego ostrze pod szwem płaszcza, tak że lekki ruch nadgarstka posłałby niebezpiecznego zabójcę na dno. Entreri zdołał przechylić głowę na bok i jęknął słabo, nie znalazł jednak w sobie dość siły, by sformułować słowa.

- Masz coś mojego - powiedział do niego Regis. Zabójca odwrócił się trochę bardziej, wyciągając głowę, by móc spojrzeć, a Regis skrzywił się i cofnął lekko na groteskowy widok, jaki przedstawiała sobą poszarpana twarz mężczyzny. Jego kość policzkowa roztrzaskała się na pył, z boku twarzy wisiała rozdarta skóra. Zabójca najwyraźniej nic nie widział na oko, które odwrócił w stronę Regisa.

Regis był zaś pewien, iż ten człowiek, z połamanymi kośćmi, którego ból atakował z każdej rany, nie był nawet świadom tego, że nie widzi.

- Rubinowy wisiołek - powiedział z większym naciskiem Regis, zauważając hipnotyczny klejnot wiszący nisko na łańcuszku pod Entrerim.

Entreri najwyraźniej zrozumiał, bowiem jego dłoń przesunęła się w stronę przedmiotu, jednak obwisła, zbyt słaba, by poruszyć się dalej.

Regis potrząsnął głową wziął swoją laskę. Trzymając sztylet przy płaszczu, sięgnął pod iglicę i szturchnął Entreriego.

Zabójca nie zareagował.

Regis znów go stuknął, znacznie mocniej, i jeszcze kilka razy zanim nie przekonał się, że zabójca naprawdę jest bezradny. Uśmiechając się szeroko, Regis wsunął koniec laski pod łańcuch na szyi zabójcy, lekko ją pochylił i obrócił, zdejmując wisiołek.

- Jak to jest? - spytał Regis, biorąc swój cenny rubin. Opuścił laskę, szturchając Entreriego w tył głowy.

- Jak to jest być bezradnym, być więźniem zależnym od kaprysów kogoś innego? Jakże wiele razy stawiałaś kogoś w pozycji, którą teraz możesz się cieszyć? - Regis znów go uderzył. - Sto?

Regis zamierzał znów szturchnąć, zauważył jednak inną ceną rzecz wiszącą na sznurze przy pasie zabójcy. Zdobycie tego przedmiotu będzie znacznie trudniejsze niż odzyskanie wisiora, jednak Regis był w końcu złodziejem i szczyił się (oczywiście w tajemnicy), że jest w tym dobry. Zawiązał swą jedwabną linę na iglicy i pochylił się nisko, dla równowagi stawiając stopę na plecach Entreriego.

Maska była jego.

Poza tym halfling pogrzebał swymi złodziejskimi dłońmi w kieszeniach zabójcy, znajdując małą sakiewkę oraz dość cenny klejnot.

Entreri jęknął i próbował się obrócić. Przerażony tym ruchem Regis w mgnieniu oka znów znalazł się na iglicy, przyciskając mocno sztylet do szwu podartego płaszcza.

- Mógłbym okazać ci litość - stwierdził halfling, spoglądając na krążące w powietrzu sępy, padlinożerne ptaki, które pokazały mu drogę do Entreriego. - Mógłbym skłonić Bruenora i Drizzta, by cię zabrali. Być może posiadasz informacje, które okazałyby się dla nich cenne.

Regis spojrział na własną dłoń i wtedy wróciły do niego gwałtownie wspomnienia tortur, jakich doznał od Entreriego. Brakowało w niej dwóch palców, które odciął zabójca - tym samym sztyletem, który teraz trzymał Regis. Jakże to pięknie ironiczne, pomyślał halfling.

- Nie - zdecydował. - Nie czuję się dzisiaj szczególnie litościwy. - Znów spojrział w górę. - Powiniennem zostawić cię, żebyś tutaj wisiał, żeby zajęły się tobą sępy - powiedział.

Entreri nie zareagował w żaden sposób.

Regis potrząsnął głową. Mógł być chłodny, jednak nie do tego stopnia, nie do stopnia Artemisa Entreri. - Zaklęte skrzydła ocaliły cię, gdy Drizzt pozwolił ci spać - rzekł. - Jednak już ich nie ma!

Regis przekręcił nadgarstek, rozcinając ostatni szew płaszcza i pozwalając, by ciężar zabójcy zrobił resztę.

Entreri wciąż wisiał, gdy Regis schodził z iglicy, jednak płaszcz zaczął się rozrywać.

Artemisowi Entreri skończyły się sztuczki.

ROZDZIAŁ 25

NA OTWARTEJ DŁONI

Opiekunka Baenre rozsiadła się wygodnie w wyściełanym poduszkami fotelu, a jej pomarszczone palce bębniły niecierpliwie o twarde, kamienne poręcze. Przed nią znajdował się podobny fotel, jedyny inny mebel w tym szczególnym pokoju spotkań, siedział w nim zaś najbardziej niezwykły najemnik.

Jarlaxle wrócił właśnie z Mithrilowej Hali z raportem, którego opiekunka Baenre w pełni oczekiwała.

- Drizzt Do'Urden pozostaje wolny - mruknęła pod nosem. Dziwne, jednak Jarlaxle'owi wydawało się, iż fakt ten wcale nie smuci matki opiekunki. Co tym razem planowała Baenre, zastanawiał się najemnik.

- Obwiniam za to Viernę - powiedział spokojnie Jarlaxle. - Nie doceniła sprytu swego młodszego brata. - Zachichotał lekko. - I zapłaciła za tę pomyłkę własnym życiem.

- A ja obwiniam ciebie - szybko wtrąciła opiekunka Baenre. - Jak ty zapłacisz?

Jarlaxle nie uśmiechnął się, odpowiedział na groźbę stanowczym spojrzeniem. Wystarczająco dobrze znał Baenre, by wiedzieć, że niczym zwierzę potrafiła wyczuć strach, a jego smród często kierował jej następnymi posunięciami.

Opiekunka Baenre spojrzała równie stanowczo, bębniąc palcami.

- Krasnoludy zorganizowały się przeciwko nam szybciej, niż uważaliśmy za możliwe - podjął po kilku chwilach niezręcznej ciszy najemnik. - Ich obrona jest silna, podobnie jak upór oraz, najwyraźniej, lojalność wobec Drizzta Do'Urdena. Mój plan - podkreślił odniesienie do własnej osoby - zadziałał doskonale. Schwytaliśmy Drizzta Do'Urdena bez większych kłopotów. Jednak Vierna, wbrew moim życzeniom, umożliwiła ludzkiemu szpiegowi spełnienie jego części umowy, zanim oddaliliśmy się wystarczająco od Mithrilowej Hali. Nie rozumiała lojalności przyjaciół Drizzta Do'Urdena.

- Zostaliście wysłani, by sprowadzić tu z powrotem Drizzta Do'Urdena - powiedziała zbyt cicho opiekunka Baenre. - Drizzta tu nie ma. Zawiedliście więc.

Jarlaxle znów zamilkł. Wiedział, że nie było sensu spierać się z rozumowaniem opiekunki Baenre, nie potrzebowała bowiem żadnego poparcia dla swoich działań i nie zabiegała o nie. To było Menzoberranzan, a w mieście drowów opiekunka Baenre nie miała sobie równych.

Mimo to Jarlaxle nie obawiał się, że pomarszczona matka opiekunka zabije go. Ciągnęła smaganie go językiem, a gdy skończyła łajanie, jej głos wzniósł się aż do wrzasku, jednak przez cały ten czas Jarlaxle odnosił słabe wrażenie, że ona się dobrze bawi. W końcu gra wciąż trwała. Drizzt Do'Urden pozostawał na wolności i czekał na to, żeby go schwytać, a Jarlaxle wiedział, że dla opiekunki strata paru tuzinów żołnierzy - do tego mężczyzn - oraz Vierny Do'Urden nie jest zbyt wysoką ceną.

Następnie opiekunka Baenre wyliczyła liczne sposoby, za pomocą których mogłaby zamęczyć Jarlaxle'a na śmierć - najbardziej ceniła sobie "kradzież duszy", metodę drowów zdejmowania z ofiary skóry, centymetr po centymetrze, przy użyciu rozmaitych kwasów oraz specjalnie do tego celu wykonanych zębatych noży.

Na wzmiankę o tym Jarlaxle robił co mógł, by powstrzymać śmiech.

Opiekunka Baenre przerwała nagle, a najemnik wystraszył się, że zauważyła, iż nie bierze jej poważnie. To, jak Jarlaxle wiedział, byłoby fatalną pomyłką. Baenre nie dbało o Viernę czy martwych mężczyzn - była wyraźnie zadowolona, że Drizzt wciąż jest na wolności -jednak zranienie jej dumy było pewną drogą do powolnej i bolesnej śmierci.

Pauza Baenre przeciągała się w nieskończoność, nawet odwróciła wzrok. Kiedy znów spojrzała na Jarlaxle'a, odetchnął ze szczerą ulgą, bowiem była spokojna, uśmiechała się szeroko, jakby właśnie coś jej przyszło do głowy.

- Nie jestem zadowolona - rzekła, kłamiąc wyraźnie. - Jednak tym razem wybaczę ci porażkę. Przyniosłeś cenną informację.

Jarlaxle wiedział, co ma na myśli.

- Zostaw mnie - powiedziała, machając dłonią z wyraźnym znudzeniem.

Jarlaxle wolałby zostać dłużej, aby otrzymać jakąś wskazówkę, co ta arcyprzebiegła matka opiekunka może knuć. Wiedział jednak, że lepiej nie sprzeciwiać się Baenre, gdy była w tak zagadkowym nastroju. Jarlaxle przeżył kilka stuleci jako banita dlatego, że wiedział, kiedy wyjść.

Podniósł się z fotela i zdjął ciężar ze złamanej nogi, po czym skrzywił się i niemal padł Baenre w objęcia. Potrząsając głową, Jarlaxle podniósł laskę.

- Triel nie zakończyła leczenia - najemnik wyjaśnił przeprasząc. - Zajęła się moją raną, jak

poleciałaś, nie sądzę jednak, by zawarła w czarze całą swą energię.

- Zasługujesz na nią z pewnością - to było wszystko, co powiedziała chłodna opiekunka Baenre, po czym znów odegnęła go machnięciem ręki. Baenre poleciła najprawdopodobniej swej córce, by pozostawiła go w bólu i odczuwała teraz pewnie wielką przyjemność obserwując, jak kulejąc wychodzi z pokoju.

Zaraz gdy za wychodzącym najemnikiem zamknęły się drzwi, opiekunka Baenre roześmiała się głośno. Usankcjonowała próbę schwytania Drizzta Do'Urdena, nie znaczyło to jednak, że miała nadzieję, iż się ona powiedzie. Tak naprawdę pomarszczona matka opiekunka liczyła na to, że sprawy potoczą się właśnie tak, jak miało to miejsce.

- Nie jesteś głupcem, Jarlaxle. To właśnie dlatego pozwalam ci żyć - powiedziała do pustego pokoju. - Musiałeś zdać sobie już sprawę, że nie chodzi o Drizzta Do'Urdena. On jest tylko drobną niedogodnością, małym robakiem, niegodnym moich myśli.

- Stanowi jednak wygodną wymówkę - ciągnęła Baenre, bawiąc się szerokim krasnoludzkim zębem, wprawionym w pierścień i wiszącym na łańcuchu na jej szyi. Baenre podniosła rękę i odpięła klamrę naszyjnika, po czym podniosła pierścień na otwartej dłoni i zaśpiewała cicho, używając pradawnego języka krasnoludów.

Na wszystkie krasnoludy w Krainach żyjące,

Na ich tarcze ciężkie oraz hełmy lśniące,

Uderzenia ich młotów, och, usłysz ich brzęk,

Przyjdź tu do mnie królu, przyjdź tu ze swych mąk!

Na końcu krasnoludzkiego zęba pojawił się tuman niebieskawego dymu. Z upływem sekund mgła nabierała szybkości i rozmiaru. Wkrótce na dłoni Baenre stał mały wir. Na jej mentalne polecenie odpłynął od niej, zwiększając szybkość i poblask, a także powiększając się w miarę oddalania. Po kilku chwilach całkowicie oderwał się od zęba i wirował na środku pomieszczenia, lśniąc jaskrawym, niebieskim światłem.

Stopniowo w środku tego tumanu zaczął formować się obraz - w wirze stał bardzo spokojnie stary, siwobrody krasnolud, zaciskający mocno podniesione ręce.

Wiatr oraz niebieskie światło zamarły, pozostawiając ducha pradawnego krasnoluda. Nie był to solidny obraz, wręcz przejrzysty, jednak odróżniające zjawę szczegóły - przetykana rudymi włosami siwa broda oraz stalowoszare oczy - widać było wyraźnie.

- Gandalug Battlehammer - powiedziała natychmiast Baenre, wykorzystując wiążącą moc prawdziwego imienia krasnoluda, by utrzymać ducha całkowicie pod swoją kontrolą. Stał przed nią pierwszy król Mithrilowej Hali, patron klanu Battlehammer.

Stary krasnolud spojrział na swą pradawną nemezis, a jego oczy zwęziła nienawiść.

- Minęło tyle czasu - drażniła go Baenre.

- Wolałbym cierpieć wieczne katusze, gdybym miał gwarancję, że cię tam nie będzie, wiedźmo! - odparł grobowym głosem duch. - Wolałbym...

Machnięcie ręką opiekunki Baenre uciszyło rozwścieczoną zjawę. - Nie przywołałam cię, by słuchać twoich narzekań - rzekła. - Pomyślałam, że przekażę ci pewną informację, którą możesz uznać za interesującą.

Duch odwrócił się w bok i przekrzywił swą owłosioną głowę, by spojrzeć przez ramię, celowo odwracając wzrok od Baenre. Gandalug starał się wyglądać na obojętnego, jednak, jak większość krasnoludów, stary król nie potrafił zbyt dobrze udawać swych prawdziwych uczuć.

- Podejdz, drogi Gandalugu - odezwała się Baenre. - Jakże nudne musiało być dla ciebie to czekanie. Minęły stulecia, gdy siedziałeś w swoim więzieniu. Z pewnością obchodzi cię, jak miewają się twoi potomkowie.

Gandalug skierował zamyślane spojrzenie przez drugie ramię, z powrotem na opiekunkę Baenre. Jakże nienawidził tej pomarszczonej, starej drowki! Jej wzmianka o potomkach zaniepokoiła go jednak, temu nie mógł zaprzeczyć. Rodowód był najważniejszą rzeczą, dla każdego szanującego się krasnoluda, przewyższającą nawet kamienie i klejnoty, zaś Gandalug, jako patron swojego klanu, uważał wszystkie krasnoludy, które sprzymierzyły się z klanem Battlehammer, za swoje dzieci. Nie mógł ukryć swego zmartwienia.

- Czy miałaś nadzieję, że zapomnę o Mithrilowej Hali? - spytała Baenre. - Minęło zaledwie dwa tysiące lat, stary królu.

- Dwa tysiące lat - odwarknął z niesmakiem Gandalug. - Dlaczego po prostu nie położysz się i nie zdechniesz, stara wiedźmo?

- Wkrótce - odpowiedziała Baenre i pokiwała głową nad prawdą zawartą w jej słowach. - Jednak najpierw muszę skończyć to, co zaczęłam dwa tysiące lat temu.

- Czy pamiętasz ten dzień, stary królu? - ciągnęła, a Gandalug skrzywił się, rozumiejąc, że zamierzała to wszystko odtworzyć, rozgrzebać stare rany i pozostawić krasnoluda w całkowitej rozpacz.

Gdy w halach żyły biegly szerokie,

A w ścianach srebra jak sięgnąć okiem,

Gdy król był młody, świeża przygoda,

Zaś jego ludem władała zgoda,

Gdy z tronu swego Gandalug rządził,

Klan Battlehammer w historię się włączył.

Zmuszony przez magię obecną w trwającym śpiewie opiekunki Baenre, Gandalug Battlehammer zauważył, że jego myśli wracają do korytarzy z odległej przeszłości, z powrotem do czasów założenia Mithrilowej Hali, kiedy to spoglądał z nadzieją w przyszłość dla swoich dzieci, a później ich dzieci.

Z powrotem do czasów, zanim poznał Yvonnell Baenre.

* * *

Gandalug stał obserwując ciosanie, gdy zapracowane krasnoludy z klanu Battlehammer kuły pochyle ściany wielkiej jaskini, wycinając stopnie, które staną się Podmiastem Mithrilowej Hali. Była to wizja Bruenora, trzeciego syna Gandaluga, największego bohatera klanu, który poprowadził pochód, sprowadzając do tego miejsca tysiąc krasnoludów.

- Dobrze zrobiłeś dając to Bruenorowi - stwierdził brudny krasnolud, stojący przy wiekowym królu, mając na myśli decyzję Gandaluga oddania tronu właśnie Bruenorowi, nie zaś któremuś z jego starszych braci. W przeciwieństwie do wielu innych ras, krasnoludy nie przekazywały automatycznie swego dziedzictwa lub tytułów najstarszym ze swych dzieci. Bardziej pragmatycznie wybierały te, które według nich były najodpowiedniejsze.

Gandalug przytaknął i był zadowolony. Był już stary, miał dobrze ponad cztery stulecia, i zmęczony. Zadaniem jego życia było założenie własnego klanu, klanu Battlehammer, i spędził większą część dwustu lat, szukając odpowiedniego miejsca na królestwo. Wkrótce po tym jak klan Battlehammer ujarzmił i dostosował do swoich potrzeb Mithrilową Halę, Gandalug zaczął dostrzegać prawdę, zaczął zdawać sobie sprawę, że jego czas oraz obowiązki już przeminęły. Jego ambicje zostały spełnione, tak więc zadowolony Gandalug odkrył, że nie ma już w sobie dość energii, by dorównać planom, które jego synowie oraz młodsze krasnoludy rozłożyli przed nim, plany wielkiego Podmiasta, mostu przecinającego wielką rozpadlinę na wschodnim krańcu kompleksu, oraz miasta nad ziemią, na południe od gór, służącego jako ogniwo handlowe z okolicznymi królestwami.

Wszystko to wydawało się, oczywiście, Gandalugowi wspaniałe, nie tęsknił jednak, by to zobaczyć.

Stary, siwy brodacz, w którego włosach i brwiach wciąż było widać ślady ich poprzedniej ognistej rudości, skierował pełne wdzięczności spojrzenie na swego drogiego towarzysza. Przez te dwa stulecia Gandalug nie mógłby wyobrazić sobie lepszego kompana w podróży niż Crommower Pwent, i teraz, mając przed sobą jeszcze jedną wyprawę, król, który zstąpił z tronu, był zadowolony z towarzystwa.

W przeciwieństwie do dostojnego Gandaluga, Crommower był brudny. Miał brodę, wciąż czarną, i golił swą głowę tak, by jego wielki, spiczasty hełm ciasno do niej przylegał. "Nie mogę na coś wbiegać, gdy mój hełm toczy się na bok, czyż nie?" zwykł mówić Crommower. I rzeczywiście, Crommower Pwent uwielbiał wbiegać w różne rzeczy. Był szalajownikiem, krasnoludem z wyraźną wizją świata. Jeśli coś groziło królowi lub obrażało jego bogów, zabijał to, proste. Pochylał wtedy głowę i przebijał wroga, uderzał go szpikulcami na rękawicach, kolcami na łokciach i kolanach. Odgryzał przeciwnikowi ucho lub język, lub też głowę, jeśli mógł. Drapał, kopał i pluł, jednak przede wszystkim wygrywał.

Gandalug, którego życie w tym nieujarzmionym świecie zawsze było ciężkie, cenił sobie Crommowera ponad wszystkich innych ze swojego klanu, nawet ponad swoje drogocenne i lojalne dzieci. Pogląd ten nie był podzielany przez klan. Niektóre z krasnoludów, choć twarde, ledwo mogły tolerować odór Crommowera, a skrzypienie zbroi szalajownika było równie nieprzyjemne jak odgłos przejeżdżania paznokciami po płytce łupkowej.

Dwa stulecia podróżowania u czyjegoś boku, walczenia przy kimś, często w poważnych kłopotach, powodowało, że takie fakty traciły na znaczeniu.

- Chodź, mój przyjacielu - poprosił stary Gandalug. Pożegnał się już ze swymi dziećmi, z Bruenorem, nowym królem Mithrilowej Hali oraz całego klanu. Teraz znów nadszedł czas podróży z Crommowerem przy boku, jak przez tak wiele lat. -Idę poszerzyć granice Mithrilowej Hali - oznajmił Gandalug - aby poszukać większych bogactw dla mojego klanu. - Krasnoludy zakrzyknęły radośnie, jednak wielu z nich uroniło tego dnia łzę, wszystkie bowiem rozumiały, że Gandalug nie wróci do domu.

- Myślisz, że trafi nam się jakaś dobra walka? - spytał z nadzieją Crommower, drecząc u boku swego ukochanego króla, a jego zbroja skrzypiała na każdym kroku.

Stary król tylko się roześmiał.

Spędzili wiele dni przeszukując tunele bezpośrednio pod Mithrilową Halą oraz na zachód od kompleksu. Po drodze znaleźli jednak niewiele cennego mithrilu - żadnych śladów żył, które dorównywałyby wielkim złożom w samym kompleksie. Niezrażeni tym podróżnicy zeszli niżej, do jaskiń, które wydawały się obce nawet ich krasnoludzkim zmysłom, do korytarzy, w których ciśnienie tysięcy ton skał wypychało przed nimi ze ścian mieniące się kryształy, do tuneli o

pięknych kolorach, gdzie dziwne rośliny błyszczały niesamowitymi barwami.

Do Podmroku.

Na długo po tym, jak ich lampy na olej się wyczerpały, na długo po tym, jak ich pochodnie się wypaliły, Crommower Pwent otrzymał swą walkę.

Zacząła się, kiedy mrowie kolorowych wzorów ujawnionych przez wyczuwającą ciepło infrawizję krasnoludów zamgliło się do szarości, po czym całkowicie zniknęło w obłoku atramentowej czerni.

- Mój królu! - zawołał dziko Crommower. - Straciłem wzrok!

- Ja również - Gandalug zapewnił cuchnącego szalojownika i, jak mógł przewidzieć, usłyszał ryk oraz szuranie zniecierpliwionych stóp, gdy Crommower rozpędzał się, szukając przeciwnika, którego mógłby przebić.

Gandalug pobiegł za hałasem czynionym przez szalojownika. Widział wystarczająco wiele magii, by rozumieć, że jakiś czarodziej albo kapłan nałożył na nich kulę ciemności, to zaś było najprawdopodobniej zaledwie wstępem do bardziej bezpośredniego ataku.

Jęki i łomoty Crommowera pozwoliły Gandalugowi wydostać się z zaciemnionego obszaru ze względnie małą ilością siniaków. Zdążył spojrzeć szybko na wroga, zanim nie zakryła go kolejna kula

- Drowy, Crommower! - krzyknął Gandalug z przerażeniem w głosie, bowiem już wtedy reputacja mrocznych elfów wzbudzała dreszcze nawet u najśmielszych mieszkańców powierzchni.

- Widziałem - dobiegła zdumiewająco spokojna odpowiedź Crommowera. - Powinniśmy zabić koło pięćdziesięciu tych chudych istot, położyć je płasko z rękoma nad głową i wykorzystywać jako okiennice, gdy zeszywnieją!

Widok drowa oraz użycie magii mówiło Gandalugowi, że on i szalojownik są w sporych kłopotach, jednak mimo to roześmiał się, nabierając pewności siebie oraz siły dzięki swemu przyjacielowi.

Wyłonili się z drugiej kuli i spadła na nich trzecia, tym razem w towarzystwie cichych brzęknięć wystrzeliwanych ręcznych kusz.

- Moglibyście przestać to robić? - Crommower skarżył się tajemniczym przeciwnikom. - Jak mam... Au! O wy nędzni spryciarze!... Jak mam was przekłuć, gdy was nie widzę?

Gdy wyszli z drugiej strony tej kuli, do szerszego tunelu z wysokimi kopcami stalagmitów oraz wiszącymi stalaktytami, Gandalug zobaczył, że Crommower wyciąga z szyi mały belt.

Obydwaj zatrzymali się nagle. Nie spadła na nich żadna kula mroku i nie widać było żadnych drowów, choć obydwoj doświadczeni wojownicy wiedzieli, że stalagmity oferują wiele kryjówek dla ich wrogów.

- Był zatruty? - spytał z troską Gandalug, znając ponurą reputację pocisków drowów.

Crommower przyjrzał się z zaciekawieniem małemu beltowi, po czym wsunął jego czubek do ust i pociągnął mocno, marszcząc w zadumie krzaczaste brwi i mlaszcząc, gdy badał smak.

- Ano - obwieścił rzucając pociskiem przez ramię.

- Nasi przeciwnicy są niedaleko - powiedział Gandalug, rozglądając się dookoła.

- Ba, pewnie uciekli - zakpił Crommower. - Też szkoda. Mój hełm rdzewieje. Przydałoby się trochę skóry z chudego elfa, by nasmarować go porządnie. Au! - warknął nagle szalojownik i chwycił się za nowy belt, wystający mu z barku. Podążając wzrokiem za jego torem lotu Gandalug uświadomił sobie pułapkę - drowy nie kryły się pomiędzy stalagmitami, lecz znajdowały się w górze, lewitując wśród stalaktytów.

- Rozdzielmy się! - krzyknął szalojownik. Chwycił Gandaluga i odciągnął go. Normalnie krasnoludy zostałyby razem i walczyły plecy w plecy, jednak Gandalug rozumiał i zgadzał się z rozumowaniem Crommowera. Wielu przyjaznych krasnoludów oberwało kolcem z rękawicy lub kolana, gdy szalony Crommower wpadł w swą furję.

Kilka mrocznych elfów opuściło się zwinnie z wyciągniętą bronią, a Crommower Pwent, z typowym dla szalojownika natężeniem, wpadł w szal. Miotał się wszędzie dookoła, uderzając w elfy i stalagmity, przebijając brzuch jednego drowa swym szpikulcem na hełmie, po czym przeklinając swe szczęście, gdy nie mógł wyciągnąć kolca z umierającego przeciwnika. Crommower otrzymał kilka cięć w plecy, jednak tylko ryknął ze wściekłości, napiął ogromne mięśnie i wyprostował się, zabierając nieszczęsnego, przebitego drowa ze sobą.

W związku z tym, że szaleństwo Crommowera zaprzętało większość uwagi wrogów, Gandalug radził sobie z początku dobrze. Stanął przeciwko dwóm drowkom. Starego krasnoluda ujęło, jak piękne były te złe istoty, ich wyraźne, choć nieostre rysy, ich włosy bardziej lśniące niż zadbana broda krasnoludki, oraz tak przenikliwe oczy. Obserwacje te nie zmniejszyły jednak ochoty Gandaluga do zderzenia skóry z ich drowich twarzy, wywijał więc w tę i z powrotem swym toporem, odtrącając na bok tarcze oraz blokującą broń, spychając kobiety w tył.

Wtedy jednak Gandalug skrzywił się z bólu, raz, drugi, a następnie trzeci, gdy jakieś niewidoczne pociski oparzyły mu plecy. Przez jego solidną zbroję prześlizgiwała się ich magiczna energia, wgryzając się w skórę. Chwilę później stary król usłyszał, jak Crommower ryknął z wściekłości i wycedził - Cholerny czarodziej! - Wiedział, że jego przyjaciel został podobnie zaatakowany.

Crommower dostrzegł maga spod dyndających nóg martwego już drowa, nabitego na jego hełm. - Nienawidzę czarodziei - mruknął i pięściami zaczął torować sobie drogę do znajdującego się daleko wroga.

Czarodziej powiedział coś w języku, którego Crommower nie znał, zrozumiał chyba jednak, o co chodzi, kiedy sześciu mrocznych elfów, z którymi walczył, rozstało się nagle, otwierając drogę pomiędzy szalajownikami a czarodziejem.

Crommower nie był jednak w stanie racjonalnie myśleć, pochłaniała go żądza walki, żądza krwi. Zamierzając ugodzić czysto czarodzieja, zaszarżował przed siebie, a martwy drow na jego hełmie podskakiwał. Szalajownik nie usłyszał śpiewu maga, nie zauważył metalowej różdżki, którą drow wymierzył w jego stronę.

Crommower wzleciał, oślepiiony nagłym błyskiem i ciśnięty w tył energią błyskawicy. Uderzył mocno o stalagmit i ześlizgnął się na tyłku.

- Nienawidzę czarodziei - mruknął krasnolud ponownie, po czym zerwał z głowy martwego drowa i znów zaszarżował, dymiąc i parując.

Pochylił głowę, wymierzył szpikulec na hełmie i pędził szaleńczo przed siebie, odbijając się od pagórków, a jego zbroja skrzypiała i trzeszczała. Mroczne elfy, z którymi walczył, natarły na niego z boków, siekąc ostrymi mieczami i uderzając zaklętymi buzdyganami, gdy szalajownik przedzierał się przez nich, brocząc krwią z kilku ran.

Krzyk Crommowera ciągnął się nieprzerwanie. Jeśli czuł w ogóle jakieś rany, nie pokazywał tego po sobie. Pochłaniał go szal skupiony bezpośrednio na czarodzieju.

Mag zdał sobie wtedy sprawę, że jego wojownicy nie będą w stanie zatrzymać tej szalanej istoty. Przywołał swą wrodzoną magię, w nadziei, że to wściekłe krasnoludzisko nie potrafi latać, i zaczął unosić się nad podłogę.

Gandalug usłyszał za sobą zamieszanie i krzywił się za każdym razem, gdy rozbrzmiewał odgłos, jakby Crommower był trafiany. Stary król nie mógł jednak zrobić zbyt wiele, by pomóc swemu przyjacielowi. Te drowki były zadziwiająco dobrymi wojowniczkami, działały w idealnym zgraniu i parowały wszystkie jego ataki, a nawet zdołały kilka razy go trafić, jedna cięła okrutnie ostrym mieczem, druga machnęła jaskrawo jarzącym się buzdyganem. Gandalug krwawił w kilku miejscach, choć żadna z ran nie była poważna.

Gdy cała trójka dostosowała się do rytmu, ta z buzdyganem wycofała się z walki i zaczęła inkantację.

- Nie, nie rób tego - wyszeptał Gandalug i natarł mocno na tę z mieczem, zmuszając ją do zwarcia. Szczupła drowka nie mogła dorównać fizycznej sile krzepkiego krasnoluda i Gandalug cisnął ją w tył, by zderzyła się ze swoją towarzyszką i zakłóciła czar.

Stary krasnolud, pierwszy król Mithrilowej Hali, rzucił się do ataku, wpadając w nie ze swą tarczą uderzając je spienionym kuflem, herbem założonego przez niego klanu.

Crommower skręcił w bok, wręcz wbiegł po stalagmicie i wybił się wysoko, wbijając się szpikulcem na hełmie w kolano wznoszącego się czarodzieja, roztrzaskując mu rzepkę i rozcinając tylną część nogi.

Czarodziej krzyknął z bólu. Jego czar lewitacji był wystarczająco silny, by utrzymać ich obu w powietrzu, a przez mgłę bólu przeraźliwie ranny drow nie był w stanie pomyśleć, by zakończyć zaklęcie. Wisieli dziwnie w górze. Czarodziej trzymał się za nogę dłońmi osłabłymi z bólu, zaś Crommower miotał się z boku na bok, jeszcze bardziej uszkodzając nogę, i uderzał w górę zaopatrzoną w kolce rękawicą. Uśmiechnął się zagłębiwszy ją w udzie.

Na szalojownika spadł deszcz ciepłej krwi, podsycając szal.

Pod Crommowerem znajdowały się jednak inne drowy, a on nie był daleko od ziemi. Próbowal podkulić nogi, gdy miecze uderzyły w jego stopy. Poruszył się wtedy gwałtownie i zrozumiał, że to jego ostatnia walka, bowiem jeden drow wyciągnął długą lancę i - wbił ją szalojownikowi w nerkę.

Trzymająca buzdygan znów się wycofała za róg, a Gandalug zbliżał się szybko do kobiety z mieczem. Poruszył się, jakby znów chciał uderzyć tarczą, zbliżyć się i pchnąć ją w tył jak wcześniej. Sprytny stary krasnolud zatrzymał się jednak gwałtownie i pochylił, a jego topór przejechał w poprzek po stopach drowki. Gandalug rzucił się na nią natychmiast, przyjmując paskudne ukąszenie mieczem, w zamian zaś wymierzył jej cięcie, które rozszczepiło jej głowę.

Podniósł wzrok, akurat by zobaczyć, jak w powietrzu przed nim pojawia się magiczny młotek i uderza go w twarz. Gandalug poruszył z zaciekawieniem językiem, po czym wypluł ząb, wpatrując się z niedowierzaniem w młodą - a ta drowka była naprawdę młoda - kobietę.

- Chyba sobie żartujesz - stwierdził stary król. Ledwo zauważył, że kobieta rzuciła już drugi czar, przyciągając ząb do jej oczekujących palców za pomocą magicznie przyzwanej dłoni.

Magiczny młotek kontynuował swój szturm, znów trafiając Gandaluga, tym razem w bok głowy, gdy wychylał się w stronę drowki. - Jesteś martwa - obiecał młodej kobiecie, uśmiechając się paskudnie. Jego radość znikła jednak, gdy powietrze przeszył wrzask. Gandalug widział już wiele zaciekłych bitew, potrafił odróżnić okrzyk śmierci, gdy go usłyszał, i wiedział, że ten pochodzi od krasnoluda.

Poświęcił chwilę, uspokajając się, przypominając sobie, że on i stary Crommower w pełni spodziewali się, iż będzie to ich ostatnia podróż. Kiedy znów skupił się nad tym, co dzieje się przed nim, młoda kobieta wycofała się dalej za róg, i usłyszał jak śpiewa cicho. Gandalug wiedział, że inne mroczne elfy zaraz zaczną deptać mu po piętach, zdecydował jednak, że znajdą swe dwie towarzyski martwymi. Uparty krasnolud parł do przodu, za nic mając magię, którą mogła dla niego szykować młoda drowka.

Kiedy okrążył róg, zauważył ją, stojącą na środku korytarza, z zamkniętymi oczyma i rękoma przy bokach. Stary król rzucił się na nią - zatrzymał go jednak nagły wir powietrza, który otoczył go i zatrzymał w miejscu.

- Co ty robisz? - ryknął Gandalug. Walczył zaciekle z tą przebiegłą magią, nie mógł jednak wyrwać się z jej upartego chwytu, nie mógł nawet przesunąć stóp w stronę diabelskiej kobiety.

Wtedy Gandalug poczuł w głębi piersi przerażające odczucie. Nie czuł już smagania cyklonu, jednak jego wiatr wciąż wiał, jakby w jakiś sposób znalazł drogę przez jego skórę. Gandalug czuł się, jakby coś ciągnęło go za duszę, jakby wyrywało z niego wnętrze.

- Co ty...? - zaczął znów pytać, jednak jego słowa przeszły w bełkot, gdy stracił kontrolę nad wargami, stracił kontrolę nad swym ciałem. Dryfował bezradnie w powietrzu w stronę drowki, w stronę jej wyciągniętej ręki oraz zagadkowego przedmiotu. Co to jest? - zastanawiał się. Co ona trzyma?

Jego ząb.

A później była już tylko biała pustka. Z ogromnej odległości Gandalug usłyszał rozmowy mrocznych elfów, a spojrzawszy za siebie trafił jeszcze na jeden widok. Na podłodze, otoczone przez kilkoro mrocznych elfów, leżało martwe ciało - jego ciało!

Jego ciało...

* * *

Duch krasnoluda zachwiał się wyłoniwszy z tego snu, tego koszmaru, który ta okrutna Yvonne Baenre, ta diabelska młoda kobieta, znów na niego sprowadziła. Baenre wiedziała, że te wspomnienia były najstraszniejszą torturą, jaką mogła zadać upartemu krasnoludowi i często to robiła.

Teraz Gandalug wpatrywał się w nią z czystą nienawiścią. Byli tutaj, niemal dwa tysiące lat później, dwa tysiące lat pustego, białego więzienia oraz strasznych wspomnień, przed którymi biedny Gandalug nie mógł uciec.

- Kiedy opuściłeś Mithrilową Halę, oddałeś tron swemu synowi - stwierdziła Baenre. Znała tę historię, wymusiła ją wiele stuleci temu ze swego udręczonego więźnia. - Nowy król Mithrilowej Hali nazywa się Bruenor. Tak miał na imię twój syn, czyż nie?

Duch stał spokojnie, jego wzrok był stanowczy i pełen determinacji.

Opiekunka Baenre zaśmiała się z niego. - W twoich wspomnieniach zawarte są drogi oraz środki obronne Mithrilowej Hali - powiedziała. - Nie różniące się teraz za bardzo od tych, które były niegdyś, jeśli dobrze rozumiem zwyczaje krasnoludów. Jaka to ironia, że ty, wielki Gandalug, założyciel Mithrilowej Hali, patron klanu Battlehammer, dopomożesz w zniszczeniu hali i klanu?

Krasnoludzki król zawył z wściekłości i urósł, sięgając gigantycznymi rękoma do pomarszczonego gardła Baenre. Matka opiekunka znów się z niego zaśmiała. Podniosła ząb i na jej żądanie pojawił się wicher, chwytając Gandaluga i wtrącając go z powrotem do jego białego więzienia.

- Tak więc Drizzt Do'Urden uciekł - wycedziła opiekunka Baenre, nie będąc niezadowolona. - Jest dobrą wymówką i niczym więcej!

Jej paskudny uśmiech poszerzył się, gdy zasiadła wygodnie w swoim fotelu, zastanawiając się, jak Drizzt Do'Urden pozwoli scementować potrzebny jej sojusz, jak zbieg okoliczności i los dały jej środki oraz sposoby do podboju, którego pragnęła od niemal dwóch tysięcy lat.

EPILOG

Drizzt Do'Urden siedział w swoich prywatnych komnatach, rozważając wszystko, co się stało. Jego myśli były zdominowane wspomnieniami o Wulfgarze, nie były one jednak mrocznymi obrazami, nie przebłyskami z alkowy, w której barbarzyńca został pogrzebany. Drizzt pamiętał wiele przygód, zawsze ekscytujących, często lekkomyślnych, które przeżył u boku wielkiego mężczyzny. Ufając swojej wierze, Drizzt umieścił Wulfgara w tym samym zakątku swego serca, w którym przechowywał wspomnienia o Zaknafeinie, swoim ojcu. Nie mógł odrzucić smutku po stracie Wulfgara, nie chciał go odrzucić, jednak wiele wspomnień o wysokim, młodym barbarzyńcy mogło walczyć z tym smutkiem, sprowadzać słodko-gorzki uśmiech na spokojną twarz Drizta Do'Urdena.

Wiedział, że Catti-brie również dojdzie do podobnego, akceptującego przekonania. Była młoda, silna i pełna żądy przygody, jakkolwiek niebezpiecznej, równie mocno jak Drizzt i Wulfgar. Catti-brie nauczy się uśmiechać przez łzy.

Drizzt obawiał się jedynie o Bruenora. Krasnoludzki król nie był taki młody, nie był tak gotów spoglądać w przyszłość, na to co czeka go w pozostałych mu latach. Bruenor odcierpiał jednak wiele tragedii w swoim długim i ciężkim życiu i, mówiąc ogólnie, zwyczajem stoickich krasnoludów było akceptowanie śmierci jako naturalnego przemijania. Drizzt musiał wierzyć, że Bruenor jest wystarczająco silny, by przez to przejść.

Dopiero gdy Drizzt skupił się na Regisie, zastanowił się nad tak wieloma innymi rzeczami, które miały miejsce. Entreri, zły człowiek, który tak wielu osobom wyrządził tak wiele szkód, odszedł. Jak wielu w czterech krańcach Faerunu ucieszy się z tej wieści?

Nie było również Domu Do'Urden, ogniwa łączącego Drizta z mrocznym światem jego pobratymców. Czy Drizzt wymknął się w końcu poza uchwyt Menzoberranzan? Czy on, a także Bruenor, Catti-brie i wszyscy inni w Mithrilowej Hali mogli teraz spać spokojnie, w nadziei że zagrożenie ze strony drowów zostało wyeliminowane?

Drizzt chciałby mieć pewność. Według relacji o bitwie, w której zginął Wulfgar, pojawił się yochlol, sługa Lloth. Jeśli wyprawa, by go schwytać, została zainspirowana jedynie przez desperację Vierny, to co sprowadziło między nich tak potężną istotę?

Myśl ta niepokoiła Drizzta i siedząc w swoim pokoju zastanawiał się, czy zagrożenie ze strony drowów zakończyło się, czy mógł w końcu odpocząć od tego miasta, które zostawił za sobą.

* * *

- Przybyli wysłannicy z Settlestone - powiedziała Catti-brie do Bruenora, wchodząc do prywatnych komnat krasnoluda bez pukania.

- Nie obchodzi mnie to - król krasnoludów odpowiedział jej opryskliwie.

Catti-brie podeszła do niego, chwyciła za szeroki bark i zmusiła, by odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Zapadła pomiędzy nimi cicha, wspólna chwila żalu i świadomości, że jeśli ich życie nie będzie toczyć się dalej, jeśli nie posuną się do przodu, to śmierć Wulfgara będzie tym bardziej bezcelowa.

Jakąż stratą jest śmierć, jeśli nie można żyć życiem?

Bruenor objął swą córkę w jej wąskiej talii i przyciągnął do siebie w tak mocnym uścisku, jaki tylko krasnolud mógł dać. Catti-brie również go ścisnęła, a z jej niebieskich oczu potoczyły się łzy. Na jej twarzy wykwitł jednak również uśmiech i choć ramiona Bruenora wstrząsały się pozbawionym wstydu łkaniem, czuła pewność, że on również wkrótce się z tym pogodzi.

Bowiem pomimo wszystkiego, przez co przeszedł, Bruenor pozostawał ósmym królem Mithrilowej Hali, zaś, pomimo przygód, zabaw i smutków, jakich zaznała Catti-brie, dopiero skończyła swój dwudziesty rok życia.

Wciąż było jeszcze wiele do zrobienia.